

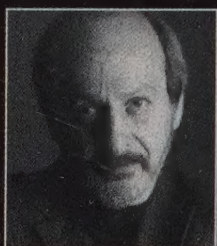
MISTRZOWIE LITERATURY



E. L. DOCTOROW



MIASTO
BOŻE



E. L. Doctorow urodził się w 1931 roku. Prozaik i profesor literatury amerykańskiej oraz angielskiej. Był redaktorem wydawnictwa New American Library, a następnie szefem Dial Press.

Działal w stowarzyszeniu twórczym Authors Guild of America oraz w amerykańskim Pen Clubie.

Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

Autór m.in.: *Witajcie w Ciężkich Czasach* (debiut 1960), *Jeziora Nurów*, *Ragtime'u*, *Billy'ego Bathgate'a* oraz *Księgi Daniela* (REBIS 1999).

Nagrodzony National Book Critics Circle Award, National Book Award i PEN/Faulkner Prize.

W swoich powieściach psychologiczno-obyczajowych opisuje przemiany społeczne w USA. Utwory Doctorowa zdradzają też rysy właściwe powieści o dorastaniu, tyle że dojrzewa w nich nie tylko bohater, ale i jego epoka.

**WITHDRAWN
FROM
STOCK**



W serii ukazały się m.in.:

José Saramago
BALTAZAR I BLIMUNDA
WSZYSTKIE IMIONA
ROK ŚMIERCI RICARDA REISA

E. L. Doctorow
KSIĘGA DANIELA

Erich Maria Remarque
PRZYSTANEK NA HORYZONCIE
GAM
DOM MARZEŃ
ŁUK TRIUMFALNY

Iris Murdoch
JEDNOROŻEC
DZWON

Salman Rushdie
WSTYD
DZIECI PÓLNOCY
ZIEMIA POD JEJ STOPAMI

• Robert Penn Warren
GUBERNATOR

Henry David Thoreau
WALDEN, CZYLI ŻYCIE W LESIE

Donald Barthelme
KRÓLEWNA ŚNIEŻKA

William Faulkner
WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK

Don DeLillo
PODZIEMIA

Truman Capote
Z ZIMNĄ KRWIĄ

Elia Kazan
UKŁAD

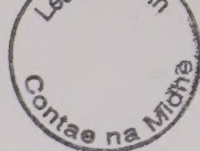
F. Scott Fitzgerald
WIELKI GATSBY

MLASTO BOŽE

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2001

5196812

Tytuł oryginału
City of God



All rights reserved under International and Pan-American
Copyright Conventions. Published in the United States by
Random House, Inc., New York, and simultaneously in Canada by
Random House of Canada Limited, Toronto

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2001

Redaktor
Grzegorz Dziamski

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Zbigniew Mielnik

Na okładce
Mannequin Métaphysique Giorgia de Chirico, 1915
© Francis G. Mayer/CORBIS

Panu Hubertowi Rogozińskiemu, mądrymu Żydowi z Łodzi, który
cierpliwie objaśniał nam judaica, dziękujemy za nieocenioną pomoc

tłumacze

Wydanie I

ISBN 83-7301-050-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74
e-mail: rebis@pol.pl
www.rebis.com.pl

Skład **zaeLS**
Gdańsk, tel./fax (0-58) 347-64-44

*dla Alison, Gabriela,
Graylena, Annabel
oraz TK*

5136812

Digitized by
the Internet Archive



UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY
130 St. George Street, 4th Floor
Toronto, Ontario M5S 1A5
Canada
416 978 2082

Copyright for the Digitization of 5136812 by the Internet Archive



Digitized by the Internet Archive
in 2024

Zatem według tej teorii wszechświat rozszerzał się wykładniczo z jednego punktu, osobliwości czasoprzestrzennej, temporalno-materialnej, z jakiegoś pierwotnego, szczególnego zdarzenia czy kwantowego w swojej naturze szczęśliwego trafu, w taki sposób, że słowo „wybuch” nie wydaje się tu adekwatne, pomimo że teoria ta zwana jest właśnie teorią Wielkiego Wybuchu. Powinniśmy bowiem pamiętać, że wszechświat nie wybuchł w istniejącej już wcześniej przestrzeni, ale że to eksplodowała sama przestrzeń, niosąc ze sobą wszystko w jednym, ogromnym, pęczniejącym rozkwicie, że w bezgłośnym błysku zaistniał, w ciągu sekund, całutki ten pędzący odśrodkowo wszechświat materii i ciemności-światła, że ów kosmiczny zgęsteczenie nicości zyskał wymiary oraz chronologię czasoprzestrzeni. Prawda?

I odtąd w historii wszechświata zachodziło coś na kształt ewolucji materii gwiazdnej, pierwiastkowego pyłu, mgławic, płonących, świecących, pulsujących, przy czym przez jakieś piętnaście ostatnich miliardów lat wszystko uciekało od wszystkiego innego.

Cóż to jednak znaczy, że owa pierwotna osobliwość czy też osobliwa pierwocina zawierająca w swojej submikroskopowej istocie całą przestrzeń, cały czas, mające raptownie a monumentalnie eksplodować w pojęcia, które możemy zrozumieć albo których możemy się

nauczyć – cóż to znaczy, że... wszechświat nie zrodził się w przestrzeni, ale że to przestrzeń, będąca właściwością wszechświata, wybuchła razem ze wszystkim innym? Co to znaczy, że właśnie przestrzeń się rozszerzyła, rozciągnęła, rozkwitła? W co? Ten wszechświat, który nawet w tej chwili rozprzestrzenia swoje galaktyki złożone z płonących słońc, umierających gwiazd, metalicznych monumentów z kamienia, obłoków kosmicznego pyłu, musi przecież wypełniać... coś. Skoro się rozszerza, to ma granice, obecnie znajdujące się daleko poza naszymi możliwościami pomiaru. Jak zatem wygląda w danym momencie sytuacja na krawędzi wszechświata? Co znajduje się tuż poza ową pędzącą granicą, zanim ona to coś przemoże? Co jest pokonywane, wypełniane, ożywiane, oświetlane? A może nie ma żadnej krawędzi, żadnej granicy, lecz jedynie nieskończony ciąg wszechświatów przechodzących jeden w drugi, istniejących jednocześnie? Tak że to, co się rozszerza daremnie samo w sobie, jest skręcającą się w nieskończoność ciemną materią jakiegoś upiornego, bezdusznego bezkresu, bez jakichkolwiek właściwości, wymiarów, bez elementarnych, zdolnych do przeobrażeń energii światła czy sił, czy pulsujących kwantów, tych wszystkich koncepcji naszej świadomości, która sama bezwymiarowa i bez innych właściwości fizycznych, jest w gruncie rzeczy wytworem równie obojętnym, zimnym i nieludzkim jak ten wszechświat naszej ułudy.

Chciałbym spotkać astronoma, z którym mógłbym porozmawiać. Myślę o tym, jak ludzie popadali w odrętwienie, żeby przetrwać obozy. Czy astronomowie też popadają w jakąś martwość wobec gwieździstego kosmosu? Mam tu na myśli stosunek do kosmosu jako zajęcie. (Nie usprawiedliwia to nas wszystkich pozostałych, którzyśmy poznali tę bolesną prawdę o ogromie wszechświata i zajęli się własnymi sprawami, jakby

tamto nie było niczym więcej niż tylko eksponatem w Muzeum Historii Naturalnej.) Czy przeciętny astronom, wykonujący swoją codzienną pracę, rozumie, że poza zjawiskami niebieskimi, które bada, poza obliczeniami radiometrycznymi, by już nie wspomnieć o obowiązkowym podziwiewie dla własnej profesji, leży prawda tak monumentalnie przerażająca – ów ostateczny kontekst naszych wysiłków, owa nienawistna konkluzja naszych historycznie ukształtowanych intelektów – że nawet zwrócenie się do Boga nie może przynieść ulgi w naszej niedoli, kiedy znajdziemy się w obliczu tak przepastnego, katastroficznego, beznadziejnego bezkresu? Oto moje pytanie. Bo jeśli Boga pochłaniają te sprawy, te podstawowe fakty, te oczywiste pojęcia, to jest On tak przerażający i nieprzystępny, że nie sięgają do Niego żadne ludzkie błagania o pocieszenie, otuchę czy odkupienie, mimo że przecież dopuścił nas do swej tajemnicy.

Przy kolacji ubiegłego wieczoru, kryptonim Moira. Po tym, jak widywałem ją w ciągu roku czy dwu i wypowiedziałem do niej ledwie kilka zdań, czując zawsze te same oznaki, potrafiłem już rozpoznać to wzmożone zainteresowanie czy ten chwilowy ucisk w klatce piersiowej, czy też jakieś, co dziwne, nieerotyczne pobudzenie, zazwyczaj po chwili ustępujące miejsca poczuciu straty, przeblyskowi mojego zapewne zmarnowanego życia, a raczej opornego charakteru samego życia, które nie pozwala mi się przeżyć tak jak powinno... Kiedy więc okazało się, że mam usiąść z nią do kolacji, zrozumiałem w końcu, dlaczego warto znosić życie towarzyskie wśród tych ludzi.

Nie maluje się, nie nosi biżuterii i tradycyjnie już pojawia się w najprostszym z wieczorowych strojów,

włosy ma upięte lub ułożone od niechcenia, jak gdyby w pośpiechu, w ostatniej minucie, przed jednym z oficjalnych przyjęć, na jakie zaciąga ją mąż.

Kiedy ją spotkałem pierwszy raz, zwróciłem uwagę na to, jaka jest cicha – zupełnie jakby myślała o czymś innym, jak gdyby tkwiąc w tym wytwornym otoczeniu, znajdowała się zarazem zupełnie gdzie indziej. Ponieważ nie domagała się uwagi i najwyraźniej nie miała żadnego zawodu, pośród tych imponujących pań mogła się wydawać całkiem przeciętna. A przecież stanowiła obiekt ich nie całkiem skrywanej admiracji.

Szczupła, smukła w stanie. Ładne kości policzkowe i ciemne, brązowe oczy. Usta wydatne, cera gładka i blada, w kolorze surowego płótna, nie skażona jakimkolwiek innym odcieniem, zdaje się rozświećlać jej twarz. Być może ta słowiańska gładkość, widoczna szczególnie na czole, pod falą ukośnie spiętych włosów, w jakiejś przynajmniej mierze tłumaczy ten królujący spokój, który wyczuwałem u niej od pierwszej chwili.

Skinęła głową, uśmiechnęła się, patrząc na mnie otwarcie, bezpośrednio, i zajęła swoje miejsce przy stole z tym spokojem, tym opanowaniem, które tak mnie u niej pociąga.

Wszystko szło dobrze. „Pozwolę sobie panią zabawić...” – wypowiadałem swoje kwestie swobodnie, bez namysłu. Reagowała, na swój cichy sposób doceniała moje starania. Przy trzecim kieliszku bordeaux pomyślałem, że pod osłoną prowadzonych wokół rozmów mogę zaryzykować. Na moje wyznanie roześmiała się, ze zrozumieniem, ale i rezerwą, dyplomatycznie. Po chwili jednak na jej policzkach pojawiły się rumieńce, przestała się śmiać i zerknęła na siedzącego przy sąsiednim stoliku męża. Sięgnęła po widelec i opuściwszy wzrok, zajęła się kolacją. Co znamienne, miała nie zapięty górny guziczek bluzki, która się przy tym odchyliła. Było oczywiste, że nie ma pod nią nic. Mimo to

nie potrafiłem sobie wyobrazić, by mogła się zdecydować na romans, spochmurniałem więc i zaczęło mi być trochę wstyd. Zastanawiałem się z goryczą, czy ma ona taki umoralniający wpływ na wszystkich otaczających ją mężczyzn.

Potem jednak, kiedy miano właśnie podać deser, poinstruowano panów, by spojrzeli na odwrotną stronę kart z nazwiskami i przenieśli się do innego stołu. Mnie posadzono obok jakiejś telewizyjnej dziennikarki, która wypowiadała się zdecydowanie na tematy polityczne podczas kolacji, chociaż przed kamerą nigdy tego nie robiła, a ja jej nie słuchałem, czułem się pijany i niešťczęśliwy, kiedy zaś odwróciłem wzrok, stwierdziłem, że... Moira... wpatruje się we mnie z usilną powagą graniczącą z gniewem.

Spotka się ze mną na lunchu w pobliżu muzeum, a potem popatrzymy sobie na Monety.

I wszystko uciekało od siebie przez jakieś piętnaście miliardów lat, ustaliły się grawitacyjne koligacje, syderalne związki, a gwiazdy powoli zaczęły krążyć wokół siebie, tworząc obracające się skupiska czy galaktyki, a na bardziej monumentalną skalę galaktyki powoli łączyły się w gromady, które to gromady, z kolei, układały się linearnie w ogromny, mierzący miliardy lat świetlnych łańcuch czy ciąg supergromad. I w całym tym majestatycznym, gigantycznym, kosmicznym pędzie dochodzi do małego, nieważnego wydarzenia, przypadkowy zestaw atomów węgla i azotu łączy się w molekularne istnienie, pojedynczą komórkę, drobinę organicznego zepsucia i, *sacre bleu*, otrzymujemy pierwszą we wszechświecie istotę obdarzoną własną wolą.

Wiadomość od Wielebnego:

Everett@earthlink.net

Cześć, odpowiedzi na Twoje pytania, kolejno: modlitewnik; komża; czerwona koszula z koloratką; kiedy zwracamy się bezpośrednio – proszę księdza, pośrednio – wielbny Takiataki (do biskupa – ekscelecncjo); według mnie to był Tillich, chociaż są tacy, co utrzymują, że Jim Pike. A skradziony krzyż był z mosiądzu, wysoki na osiem stóp. Zaczynasz mi działać na nerwy, Everett.

Niech Cię Bóg błogosławi
Pem

Kradzież

Tego samego popołudnia w Battery Park. Ciepły dzień, ludzie na dworze. Łagodny, jesienny wietrzyk dmucha mi w ucho jak kobieta.

Wszędzie pikują gołębie skalne, na ich skrzydłach pył wielkiego miasta.

Za mną, na tle nieba, sylwetka dolnego, finansowego Manhattanu, przemieniona światłem w jakąś katedrę-wyspę, w religiopekt.

No i wpadam na tego sprzedawcę zegarków, gościa z dredami na głowie i z szerokim uśmiechem. W purpurowej szacie chórzysty robi wrażenie wysokiego. Jego świątobliwemu wyglądowi nic nie ujmuje nowe sportowe obuwie Nike.

– Nie trza nakręcać, można brać pod prysznic, na wszystko odporny, ma diamenty i takie tam, zawsze pokazuje dobrą godzinę.

Na połyskującej od oleju powierzchni zatoki niczym widmo pojawia się statek: prom na Ellis Island. Statkom mogę się przyglądać bez końca. Ten zatacza łuk,

trzy pokłady ma zapchane po relingi. Z rozmachem wali trapem, typowo nowojorsko, pogardliwie przybiwszy do nabrzeża. Uff. Jęczą pale nabrzeża, trzaskają niczym strzały z broni palnej.

Jakiś facet na promenadzie myśli, że to wałą do niego, rusza biegiem.

Trapem rwą turyści. Aparaty fotograficzne, kamery VHS i przerzucone przez ramię ogłupiałe dzieciaki.

Boże, w nowojorskim nabrzeżu jest coś tak sfatygowanego, jakby zapach morza był zapachem ropy i smaru, jakby statki były autobusami, a całe niebo jednym warsztatem samochodowym obwieszonym kalendarzami ze zdjęciami pańienek, gdzie nowe miesiące przychodzą już wyświechtane i wysmarowane czarnymi paluchami.

Wróciłem jednak do handlarza w szacie chórzysty i powiedziałem, że podoba mi się jego strój. Oznajmiłem, że dam mu dolara, jeśli pozwoli mi obejrzeć metkę. Jego uśmiech spełził.

– Odbiło ci, czowieku? – Unosi tackę z zegarkami, byle dalej ode mnie. – Spływaj, nic ci do mnie. – Mówiąc to, rozgląda się w lewo i w prawo.

Byłem po cywilnemu: džinsy, skórzana kurtka, pod nią kraciasta koszula, pod nią T-shirt. Bez identyfikatora – krzyża.

A potem poszedłem dalej, przez Astor Place, gdzie oni wszyscy wykładają swój towar na chodniku; trzy z tych purpurowych szat leżały porządnie poskładane w stosik na plastikowej łazienkowej zasłonie. Podniosłem jedną, wywinąłem kołnierzyk i zobaczyłem metkę – Rękodzielnictwo Świątynne – a także znaczek pralni pana Chunga.

Sprzedawca, młody, poważny Metys, z typową czapą czarnych włosów, zażądał dziesięć dolarów. Uznałem, że to rozsądna cena.

Przyjeżdżają z Senegalu albo z Karaibów, albo z Limy, z San Salvadoru, z Oaxaki, wynajdują kawałek

chodnika i biorą się do roboty. Biedacy świata omywający nasze wybrzeża niczym rezultat globalnego ocieplenia mórz.

Pamiętam, jak w drodze do Machu Picchu zatrzymałem się w Cuzco i słuchałem ulicznych kapel. Kiedy zniknął mój aparat fotograficzny, powiedziano mi, że będę mógł go sobie odkupić następnego dnia na targowej uliczce za katedrą. Litościwie nieba, ale się wtedy wkurzyłem. A przecież paserami okazały się te uśmiechnięte wstydliwie kobiety z Cuzco, w tych swoich ręcznie tkanych, czerwonych i rdzawych ponchach. Na głowach miały czarne meloniki, a na plecach przytroczone niemowlęta... i jak przy tych wszystkich *Anglos* grzebiących w ich straganach, jakby poszukiwali tam swoich drogich zmarłych, miałem nie pomyśleć, że w tym, co mnie spotkało, jest jakaś sprawiedliwość?

Jak pomyślałem w Astor Place, w cieniu wspaniałego, krytego mansardowym dachem i obłożonego piaskowcem, potężnego gmachu college'u wzniesionego dla ludu przez Cooper Union, z tymi ptakami nadlatującymi znad skweru.

Przecznicę dalej na wschód, przy St. Marks, w tamtym sklepiku zobaczyłem świece na ołtarz, które zwędzono razem z szatami. Dwadzieścia pięć dolarów za parę. Skoro już tam byłem, kupiłem pół tuzina kryminałów w miękkiej oprawie. Żeby nauczyć się rzemiosła.

Kłamię, Panie. Po prostu czytam to cholerstwo, kiedy jestem przygnębiony. Taki detektyw z paperbacku do mnie przemawia. Ta jego spluwa i te zagrania dodają mi otuchy. A jego świat, opisany i ograniczony, jest przewidywalny, jeśli chodzi o kary, czego nie mogę powiedzieć o Twoim.

Wiem, że jesteś na tym ekranie wraz ze mną. Jeśli magister teologii Thomas Pemberton przegrywa życie, to przegrywa je tutaj, w obliczu swojego baczego Boga.

W żadnym razie nie znajduję Cię tuż za moimi plecami ani w krochmalu mojej anglikańskiej koloratki, ani w ścianach probostwa, ani w chłodzie kamienia obramowującego drzwi kaplicy, tylko w tym migającym kursorze...

Robiliśmy plany, stojąc przed jednym z tych wielkich błękitno-zielonych malowideł z liliami wodnymi. Problem w tym, że ona nie zawsze może się wyrwać. Ma dwoje małych dzieci. Owszem, jest niania, jednak wszystko zawsze przebiega zgodnie z harmonogramem. Nie dotknęliśmy się przedtem i ciągle jeszcze się nie dotknęliśmy, kiedy opuściliśmy Metropolitan Museum i szliśmy w dół po schodach ani kiedy przywoływałem taksówkę. Spojrzenie, które rzuciła mi, wsiadając, było niemal żalobne, tak wyraźnie świadczyło o zaufaniu, że odczułem je niczym cios w serce. Chciałem tego i bardzo się o to starałem, kiedy jednak się stało, natychmiast przeobraziło się w uzależnienie od niej, jak gdybym zawarł jakieś sekretne małżeństwo, którego warunki nie zostały określone. Kiedy taksówka odjechała, chciałem za nią pobiec, żeby powiedzieć, że wszystko to była pomyłka, że mnie nie zrozumiała. Później mogłem jedynie myśleć o tym, jaka jest śliczna, jak wielkie pomiędzy nami zaistniało zrozumienie, nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek odczuwał do kogoś pociąg tak silny, tak czysty, że wołałem, zamiast stanąć na krawędzi romansu, wyobrazić sobie, iż mógłbym wreszcie odnaleźć zbawienie w prawdziwym życiu z tą kobietą. Ona, ta kobieta o naturalnym wdzięku, do której nie przylgnęła żadna z prostackich współczesnych ideologii, żyje w jakimś niekłamany stanie niewiarygodnej wręcz prawości.

Kręcę się po mieście, szukając plenerów jak reżyser jakiegoś filmu. W East Village, w bok od Drugiej Alei, tuż za rogiem, idąc od mieszczącego restaurację Domu Ukraińskiego, znajduję Świętego Tymoteusza. W dawnych czasach, zanim Manhattan przeniósł się na północ, do bardziej słonecznych, otwartych przestrzeni powyżej Czternastej Ulicy, musiało tu mieszkać wystarczająco wielu WASP-ów, aby wypełnić co najmniej jeden kościół. Był więc sobie Święty Tymoteusz, episkopalny, typowy nowojorski kościół z piaskowca, brat mniejszy wspaniałego kościoła Wniebowstąpienia przy dolnej Piątej Alei. Zatem żeby usatysfakcjonować dobrego wielebnego, zmieniłem teraz i nazwę, i miejsce. (Przy Szóstej Ulicy jest autentyczna, stara ruina kościoła, tyle że w niewłaściwym kolorze, katolickiego szarego granitu, z wieżą zwieńczoną raczej kopułą niż strzeliście i z powybijanymi z okien guzłastymi krążkami szkła, i z gołęmbim łajnem niczym smugi deszczu na kamieniu. Na schodach trzech młodych mężczyzn, jeden obrzuca mnie spojrzeniem, kiedy przechodzę obok, pozostali pilnują dwóch krańców tego kwartału).

Tutaj, w sąsiedztwie Świętego Tima, mnóstwo ludzi żyje z dnia na dzień. Na rogu dziewczyna w T-shircie, bez stanika, w obcisłych džinsach z obciętymi nogawkami, drepcze w miejscu, słuchając walkmana. Siwo włosy, podstarzały przedstawiciel cyganerii, dziwak z włosami w kucyk. Niska, przysadzista Latynoska, nadmiernie otłuszczone pośladki. Zgarbiony staruszek w bamboszach, w czapce Jankesów, w brudnych, przewiązanych sznurkiem spodniach. Czarnoskóry młody człowiek przechodzi przez ulicę, nie zważając na samochody, jaskrawo ubrany, pewny siebie, demonstrujący swoje ja.

East Village wciąż ma dziewiętnastowieczną wysokość pięciu pięter. To miasto rzekomo co pięć minut jest rozbierane i budowane na nowo. Może w śródmieściu,

bo tutaj, wyłączwszy most Verrazana, cała obecna infrastruktura istniała już pod koniec lat trzydziestych. Ostatnie ważniejsze odcinki metra wybudowano w latach dwudziestych. Wszystkie mosty, tunele oraz większość dróg i obwodnic, modernizowanych czy nie modernizowanych, ukończono przed drugą wojną światową. I gdziekolwiek zwróci się wzrok, wszędzie widoczne jest dziewiętnaste stulecie – Village East i West, Lower East Side, most Brooklyński, Central Park, szeregowce Harlemu, żeliwne fasady Soho...

Układ miasta powstał w latach czterdziestych dziewiętnastego stulecia, stąd, niezależnie od wszystkiego, żyjemy tutaj zgodnie z decyzjami podjętymi przez zmarłych. Chodzimy ulicami, które wydeptywały wydeptywały wydeptywały całe pokolenia.

Jezu, a przecież wystarczy opuścić to miasto na kilka dni, żeby po powrocie przeżyć wstrząs. Syreny straży pożarnej. Zawodzenie wozów policyjnych. Rytualne już drażnienie w alejach dziur młotami pneumatycznymi. Biegający w szortach, łyżworolkarze, posłańcy. Syżące drzwi autobusów. Tłumy na chodnikach wyczekujące gwiazd przed premierą. Zarezerwowane wszystkie stoliki w restauracjach. Niemowlęta wypływające z oddziałów położniczych. Spadające na ulice fasady budynków. Pękające rury wodociągowe. Bezkarne gliny. Każdego dnia gliniarz zabija jakiegoś czarnoskórego małolata, poddusza pałą innego podejrzanego, cała ich gromada wpada do niewłaściwego mieszkania, roznosi je na strzępy, skuwa kobiety i dzieci. Szefostwo ich kryje, burmistrz wymyśla usprawiedliwienia.

Nowy Jork, Nowy Jork, stolica literatury, sztuki, towarzyskiej pretensjonalności, zamieszkanych tuneli metra. Handlarze nieruchomości na napoleońską skalę, wielkopańscy sprzedawcy konfekcji. Zadufani komentatorzy sportowi. Emerytowani mężowie stanu usuwający się do Sutton Place, żeby pisać nowszą wersję

swoich żałosnych dokonań... Nowy Jork, stolica ludzi, którzy robią ogromne pieniądze, nie kiwnąwszy palcem. Stolica ludzi, którzy całe życie pracują i kończą jako biedacy, oraz szary Nowy Jork będący stolicą dzielnic mieszkaniowych, gdzie w wielkich, ponurych czynszówkach codziennie rodzi się geniusz.

Jest on stolicą wszelkiej muzyki. Jest stolicą wycieńczonych drzew.

Migrujący nieszczęśnicy tego świata sądzą, że jeśli tylko uda im się tutaj dostać, to jakoś się zaczepią. Poprowadzą stoisko z gazetami, sklepik warzywny, zostaną taksówkarzami, domokrażcami. Dozorcami, ochroniarzami, zajmą się drobnym hazardem, handlem narkotykami, czymkolwiek. Ma się ochotę im powiedzieć, że to nie miejsce dla biedaków. Rasowa linia uskoku przebiega tu przez krainę serc, przez nasze serce. Jesteśmy grupami etnicznymi zakodowanymi wedle koloru, społecznymi enklawistami, wielokulturowo nieufnymi i werbalnie agresywnymi, jak gdyby to miasto, jako koncept, było czymś nieznośnym nawet dla jego mieszkańców.

A przecież mogę zatrzymać się na rogu dwu ruchliwych ulic i znajdą się przede mną tysiące istnień podążających we wszystkich kierunkach, ku centrum, ku przedmieściom, na wschód i na zachód, pieszo, rowerami, na łyżworolkach, w autobusach, wózkach, samochodach, ciężarówkach, metrem łaskoczącym pod moimi stopami... i jak mam nie wiedzieć, że jestem w tym momencie częścią najbardziej spektakularnego zjawiska tego nienaturalnego świata? Jest taka świadomość gatunkowa, do której nigdy się nie przyznamy. Wszechogarniający duch naczelnych. Pomimo całego znużenia lub obojętności, z jaką pokonujemy przestrzeń publiczną, by określić swą pozycję, polegamy na otaczających nas masach. Miasto może brać swój początek od targu, od placówki handlowej, zlewu wód, jednak sekretnie

wyrasta z ludzkiej potrzeby, by spacerować wśród obcych.

I tak każdy z przechodniów na tym rogu, każda parszywa, przerośnięta, niewyrośnięta, dziwaczna, tłusta czy koścista, czy to chromająca, czy mruczająca pod nosem, czy wyglądająca na obcokrajowca, czy to zielonowłosa i krocząca z majestatem punka, groźna, szalona, wściekła, niepokieszona osoba, jaką widzę, to nowojorczyk, co oznacza, że jest ona podobnie jak ja tubylcem w tej diasporze oraz częścią naszego wspaniałego, gromkiego eksperymentu ze społeczeństwem uniwersalistycznym, projektu stworzenia świata bez narodowości, gdzie każdy może być kimkolwiek i gdzie dokument tożsamości zaświadcza, iż jest się obywatelem planety.

Co nie oznacza, że nie masz pilnować torebki, paniusiu.

Mija ileś tam miliardów lat, podczas których ten jednokomórkowy organizm, ta drobina organicznego zepsucia, ten submikroskopowy wyłom w ogólnej martwocie, ewoluuje selektywnie poprzez królestwa mułu i opancerzonej tępoty, poprzez eksperymentalne królestwa wysokich na dwie stopy koni i latających jaszczurek, w triumfalne dominium futrzastych, samodoskonających się dwunogów, tych z przeciwstawnym kciukiem, które wybiegną z prehistorii, aby wysublimować ostatecznie w nastoletniego dziwaka z Bronx High School of Science, liceum o profilu matematyczno-fizycznym.

Ze wszystkich tych uczących się tam błyskotliwych chłopców, których umysły stworzone były do rozwiązywania problemów matematycznych i radosnego przedstawiania z najbardziej zawiłymi koncepcjami fizyki, sporo miało bzika. Od tamtych czasów spotkałem kil-

ku z nich, już dorosłych, i wciąż są zbzikowani. Możliwe, że umysł naukowy z natury rzeczy jest dziecinny, sprawny dzięki życiu wypełnionemu dziecięcym zadziwieniem i ekscytacją, jednak nie cechuje go autentyczna umiejętność rozróżniania, nie ma w nim smutku, zbyt łatwo więc zachwyca się własną sprawnością. Są, naturalnie, wyjątki, na przykład czytany przeze mnie fizyk Steven Weinberg, który ma tę moralną powagę, jakiej oczekujemy od naukowca. Zastanawiam się jednak, dlaczego kosmolodzy i astronomowie, jako całość, lubią nadawać takie rozkoszne nazwy zjawiskom wszechświata. Nie tylko zaczął się on dla nich od Big Bangu, Wielkiego Bum. Jeśli nie uda mu się pokonać własnej grawitacji, zapadnie się w sobie i będzie to Big Crunch, Wielkie Chrupnięcie. Jeśli natomiast okaże się, że gęstość materii jest zbyt mała, nadal będzie się rozszerzał i czeka go Big Chill, Wielki Ziąb. Wciąż nie znana nam ciemna materia, która musi istnieć, jeśli chcemy zachować galaktyczne rubieże, to albo neutrino, albo słabo oddziałujące ciężkie cząstki znane jako WIMP-y, słabeusze. A ciemne aureole wokół galaktyk to masywne zwarte obiekty halo, czyli MACHO.

Czy ci mądrale drwią sami z siebie? Czy to pewien gatunek amerykańskiego dowcipu wynikającego ze skromności, jak deprecjonowanie się Anglików podczas towarzyskich pogawędek? Czy też jest to odwaga wykazywana pod nawałą ognia, ta wystudiowana lekomyślność demonstrowana w okopach, gdy trwa metafizyczny ostrzał?

Ja uważam, że nie potrafią ogarnąć tego wszystkiego. Sądzę, że szalony analfabeta, kapłan jakiejś prehistorycznej religii, wydzierający serce żywej ofierze i trzymający je w zakrwawionych dłoniach... być może lepiej radził sobie z rozróżnieniem i osądem, co jest czym.

wtorek wieczór

Pod górę, na Lenox Hill, żeby odwiedzić swojego nieuleczalnie chorego. Karetki podjeżdżają tyłem do wejścia, trąbiąc i błyskając oślepiającymi światłami. A kiedyś wokół szpitali widziało się tablice z napisem CI-SZA. Auta lekarzy zaparkowane na drugiego, pacjenci przypięci pasami do noszy na kółkach, też zaparkowani na drugiego na chodniku, z metra wylewa się elegancka młoda siła robocza Upper East Side.

W budynkach mieszkalnych zapalają się światła. Gdybym tak jechał windą do wytwornego mieszkania z jedną sypialnią... na mój dzwonek czekałaby gibka, młoda kobieta, która wróciła do domu ze swojej ciekawej pracy... otwierałaby butelkę wina, nuciła, nie miała na sobie bielizny.

W rozjaśnionym świetlówkami hallu stoicki tłumek czekający na godzinę odwiedzin, z torbami niemowlętami wiercącymi się na podółkach. I przedstawiciele profesji związanej z zarazą naszych czasów, ochraniające, w różnych swoich próżniaczych wersjach.

Na telepiących się wahadłowych drzwiach do salki mojego nieuleczalnie chorego tabliczka z ostrzegawczym napisem ZAKAZ WSTĘPU. Pcham drzwi, cały w uśmiechach.

Masz lekarstwo, wielbny? Uzdrowisz mnie? No to spieprzaj stąd. Spieprzaj, niepotrzebne mi twoje trucie.

Ogromne oczy; to wszystko, co z niego pozostało. Kość ramienia celuje pilotem niczym rewolwerem, a tam wysoko, na ekranie, uśmiechnięta dziewczyna obraca wielkim kołem.

Po złożeniu uzdrowicielskiej, pasterskiej wizyty idę korytarzem, gdzie czeka przed separatką kilka porządnie ubranych czarnoskórych osób. W rękach trzymają podarki. Czuję pozaszpitalne zapachy... woń owocowe-

go ciasta, jeszcze nie ostygłego po wyjęciu z pieca, zup, skwierczącej pieczeni. Staję na palcach. Któż to taki? Widoczna poprzez kwiaty, jak u Gauguina, siedzi na łóżku przystojna czarnoskóra kobieta o dość jasnej karnacji. Ma królewską postawę, na głowie turban. Nie słyszę słów, ale jej melodyjny, głęboki, modlitewny głos robi wrażenie. Mężczyźni z kapeluszami w dłoniach i z pochylonymi głowami. Kobiety z białymi chusteczkami. Wychodząc, pytam siostrę oddziałową. Wolne tylko miejsca stojące, dwa razy dziennie, mówi. Mamy tutaj cały Syjon. Jedyne, co w tym dobre, to że odkąd przyjęto Siostrę, nie muszę robić zakupów na kolację. Wczoraj przyniosłam do domu pieczone schabowe kotlety. Nie do wiary, jakie były smaczne.

Inną osobą, która ma problemy z moim truciem, jest wdowa Samantha. W swoim nowym, dwupoziomowym apartamencie z widokiem na logo Pepsi-Coli po drugiej stronie rzeki czyta coś Pagelsa o wczesnym chrześcijaństwie.

W tym wszystkim chodziło o politykę, nieprawda? pyta.

Tak, odpowiadam.

I zgodnie z tym, kto zwyciężył, mamy teraz to, co mamy?

Cóż, uwzględnivszy po drodze Reformację, chyba tak.

Kładzie się ponownie. Zatem to wszystko jest sprokurowane, wszystko to wymysł.

Tak, mówię, biorąc ją w ramiona. I wiesz, przez tak niesamowicie długi czas to naprawdę funkcjonowało.

Próbowałam doprowadzić ją do śmiechu na tańcach w Brearley. Nie udawało mi się to wtedy, nie udaje i teraz. Zawsze melancholijna, ta moja Sammy. Śmierć męża jeszcze to pogłębia.

Praktycznie rzecz biorąc, tylko ona z mojego dawnego towarzystwa nie uważała, że marnuję sobie życie.

Falujące, gęste, kasztanowate włosy z przedziałkiem pośrodku. Błyszczące ciemne oczy, nieco zbyt szeroko rozstawione. Figura niewspółczesna, bez wyraźnych, wyrobionych mięśni, chwała Bogu Najwyższemu.

Z kącika ust o pełnych wargach wysuwa się język i zlizuje łzę.

A potem, Jezu, zaskakujące wyrazy żalu: jej wilgotny, słony pocałunek.

do wykorzystania w kazaniu

Zacznę sceną w szpitalu, tamtymi porządnymi i prawnymi ludźmi modlącymi się przy łożu swojego kapłana. Ich pokora, wiara promieniejąca wokół nich jak światło wywołały u mnie tęsknotę... by dzielić z nimi ich ufność.

Potem jednak zadałem sobie pytanie: Czy wiara musi być ślepa? Dlaczego musi wynikać z ludzkiej potrzeby wierzenia?

Jesteśmy wszyscy godni pożałowania, gdy pragnąc zrzucić brzemię, przyjmujemy chrześcijaństwo czy godzimy się na jakąś inną formę roszczeń, usurpacji boskiej władzy. Rozejrzyjcie się. Boski autorytet pomniejsza nas wszystkich – gdziekolwiek na tym świecie żyjemy, jakiegokolwiek są nasze tradycje – do żebraczego poddaństwa.

Gdzie zatem można znaleźć prawdę? Ekumenizm jest politycznie poprawny, ale co z argumentami? Skoro wszystkie formy wiary są jednakowo ważne, to czy wybierając Jezusa, dokonujemy jedynie wyboru estetycznego? A kiedy odpowiadacie: Nie, naturalnie, że nie, my musimy zapytać: Kimże są ci wybrani błogosławieni podążający prostą drogą ku zbawieniu...

i kimże są ci błędzący? Czy potrafimy odróżnić jednych od drugich? Czy wiemy? Uważamy, że wiemy... naturalnie, uważamy, że wiemy. Jak jednak odróżniamy naszą prawdę od czyjegoś fałszu, my, ludzie prawdziwej wiary, jeśli nie dzięki umiłowanej przez nas opowieści? Naszej opowieści o Bogu. Ale, moi przyjaciele, pytam was: Czy Bóg jest opowieścią? Czy możemy, badając każdy z nas swoją wiarę – mam na myśli jej czyste jądro, nie jej pociechy, nie związane z nią nawyki, nie rytualne sakramenty – czy możemy dalej wierzyć w głębi naszej wiary, że Bóg jest naszą o Nim opowieścią? Przyjmować, że można zawrzeć Boga w tej naszej chrześcijańskiej opowieści, zatrzymać Go, opisać Go, autora wszystkiego, co tylko możemy sobie wyobrazić, oraz wszystkiego, czego wyobrazić sobie nie potrafimy... w naszej opowieści o Nim? O Niej? O KIM? O czym, na imię Chrystusa, my tutaj mówimy?!

środowy lunch

Cóż, słyszę, że ksiądz pozwolił sobie na kolejny wybryk.

Skąd ty czerpiesz te informacje, Charley? Od mojego małego diakona? A może od kapelmistrza?

Bądźże poważny.

Mówię całkiem serio, chyba że założyłeś u Świętego Tymoteusza podsłuch. Bo, Bóg mi świadkiem, oprócz nas, niebożąt, nie ma tu nikogo. Daj mi jakąś parafię w dobrej dzielnicy, gdzie metro nie wstrząsa krokwiakami. Daj mi jedno z tych śródmiejskich Bożych pokazowych miejsc dla pobożnych zamożnych i sławnych, a ja ci pokażę, co znaczy wybryk.

Posłuchaj no, Pem, on powiada. To nie przystoi. To, co robisz i mówisz, jest... kłopotliwe.

Marszczy brwi, patrząc na swoją pieczoną rybę, jak gdyby zastanawiał się, co ona tutaj robi. Doskonale

przez niego dobrane pinot grigio stoi nietknięte, a on popija wodę.

Powiedz mi wobec tego, Charley, o czym to ja powinienem mówić, jeśli nie o tym, co sprawdza naszą wiarę. Moich pięcioro parafian to ludzie poważni, oni to zniosą.

Odkłada nóż i widelec, zbiera myśli. Zawsze byłeś samodzielny, Pem, mówi, i kiedyś podziwiałem cię skrycie za to, jak w ramach kościelnej dyscypliny potrafisz odnaleźć wolność. Wszyscyśmy cię za to podziwiali. I w pewnym sensie za to zapłaciłeś, obaj to wiemy. W kategoriach talentu i inteligencji, stylu, w jakim przeszedłeś przez Yale, to pewnie ty powinienes być moim biskupem. W innym wszakże sensie trudniej jest robić to, co ja robię, być autorytetem, który ludzie twojego pokroju nieustannie wystawiają na próbę.

Mojego pokroju?

Proszę cię, zastanów się nad tym. Wypełził z niego ów ton, duma ze swego intelektu, pewność, że coś jest nie tak.

Jego błękitne oczy patrzą rozbijającą w moje. Chłopięca grzywka, teraz już siwych włosów, opada na czoło. A potem krótki błysk jego słynnego uśmiechu, natychmiast przygaszony; grymas świadczący o chwilowym roztargnieniu chłodnego, formalistycznego umysłu.

To, co wiem o takich sprawach, Pem, wiem dobrze. Samozniszczenie nie jest pojedynczym aktem, nie jest nawet aktem jednego tylko rodzaju. Może się zacząć na maleńką skalę, robić wrażenie czegoś nieistotnego, ale kiedy nabiera przyspieszenia, to rozpada się całutki człowiek, na wszystkie strony, całe te trzysta sześćdziesiąt stopni.

Amen, Charley. Sądzisz, że jest jeszcze czas na podwójne espresso?

Och, i ta jego druga kwestia: Nie mamy najmniejszego pojęcia, co się dzieje w księdza wewnątrz. Niemniej jestem przekonany, że nie wykorzystuje ksiądz mocy, która jest mu dana.

Być to może, księżu biskupie, powinienem był rzec. Ale przynajmniej nie organizuję seansów spirytystycznych.

Tego popołudnia. Delikatne, podwójne pukanie do drzwi. Na początku było niezręcznie, oglądała moje książki, sztychy na ścianach, moją siedzibę. Piła jedynie wodę z kranu. Zniewolony jej cichością niewiele miałem do powiedzenia. Poszła do sypialni i zamknęła drzwi. Wszystko było milczeniem. Wreszcie wszedłem do środka. Leżała w łóżku z kołdrą naciągniętą pod brodę. Zachowała się płochliwie i bojaźliwie, odwracała głowę przed moimi pocałunkami. Musiała być w to dosłownie wciągana. Musiała być przymuszona do zrobienia tego, co przysła zrobić.

Potem było tak, jakbym leżał w błękitno-zielonym cieple Monetowskiego stawu, czując, jak do mojej skóry przywierają lilie.

Kradzież

piątek

Właśnie, ten stary pies tropiący Tillich, Paulus Tillichus... jak on rozbierał kazanie? Brał tekst i wyduszał z niego znaczenie. Niuchał słowa, obmacywał: Czym, skoro już chcemy być dokładni, jest demon? Powiadasz, że chcesz być z b a w i o n y? Co to znaczy? Kiedy modlisz się o życie wieczne, to o co, według cie-

bie, prosisz? Paulus, Boży filolog, ten webster doktorów teologii, ten niemiecki... owczarek. Napięcie, w jakim nas utrzymywał... kiedy doprowadzał nas na skraj materializmu, machając ramionami. Naturalnie, za każdym razem nas ratował, odciągał od tej otchłani i ostatecznie nic nam nie było, wracaliśmy do Jezusa. Aż do następnego kazania, następnej lekcji. Bo skoro Bóg ma żyć, muszą też żyć słowa naszej wiary. Te słowa muszą się odradzać.

O, jakże się wokół niego tłoczyliśmy. Na jego zajęcia zapisywały się tłumy.

Ale tamto było wtedy, a to jest teraz.

Wróciliśmy do chrześcijaństwa, Paulusie. To ludzie rodzą się na nowo, nie słowa. Możesz to sobie obejrzeć w telewizji.

sobotni ranek

Kierując się intuicją, Teologiczny Detektyw zawędrował na ulicę Bowery, poniżej Houston, do centrum wyposażenia dla restauracji, gdzie kwitnie ożywiony handel przechodzonymi podgrzewaczami do potraw, wielkimi zamrażarkami, grillami, zlewami, garnkami, wokami i koszami sztućców. Z tyłu, za Taipei Trading Company, dopiero nabyta, więc jeszcze bez kartki z ceną, stała antyczna lodówka na gaz z widocznym na drzwiach odciskiem mojej podeszwy w miejscu, gdzie je kopąłem, kiedy nie chciały się zamknąć. A w dziale z używanymi naczyniami, w jednym z koszy, drobiazgi do herbaty z naszego pokoju kredensowego, białe z zielonym szlaczkiem, dar od drogich nieżyjących pań pomocnic.

Praktycznie rzecz biorąc, Panie, wyznaczyłem własną cenę. Z dostawą gratis. Kradzież.

wieczór

Idę na Tompkins Square, na ławce widzę zaprzyjaźnionego dealera.

To się musi skończyć, mówię mu.

Rany, aleś wkurzony.

A ty byś nie był?

Nie jak wielebni, co ich znam.

Myślałem, że mamy umowę. Myślałem, że tu obowiązuje wzajemny szacunek.

Bo tak jezd. Klapnij se.

W zapadającym zmierzchu wróble obrabiają ławki.

Mówiłem ci, tracisz czas, ale i tak się rozpytuje dookoła, jak pedziałem, że zrobie. Tu nik sie nie zamachnie na Tima.

Ktoś nie stąd?

Jasne.

Jak możesz być tego pewien?

Tu sie czymamy reguł.

Trzymacie się reguł! Zabawne.

I kto tera kogo nie szanuje. Mówimy o moi parafii. Kościoła Błogi Wizji. Oni majo we mie oparcie, łapiesz, co mówie? Wszyscy znajo moje współczucie. Nik mie nie okłamuje. A ty sie zadajesz z jakimiś cudzoziemcami czy kimś takim, tyle ci powiem.

Och, do diabła. Pewnie masz rację.

Żaden problem. Otwiera skórzaną walizeczkę. Proszę, moja osobista mieszanka. Gratis. Zrelaksuj sie.

Dzięki.

Oznaka moi sympatii.

poniedziałek wieczór

Czekałem na chórze. Gdyby coś się poruszyło, naciśnąłbym guzik i mój sześciowoltowy Superpromienny Odstraszacz uderzyłby w ołtarz snopem cząstek pędzących z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę – taką samą prędkością, z jaką porusza się palec Boży.

Mające zapobiegać przestępstwom, bursztynowe światła uliczne czynią z mojego kościoła doskonałe miejsce przestępstwa. W wysklepionej wysoko przestrzeni powietrze wykazuje lekkie oznaki stęchlizny. Postaci z witraży zżółkły ze starości, ponure i trupie. Jak wiele lat ten kościół był dla mnie domem? A wystarczyło, że usiadłem na kilka godzin z tyłu, bym pojął prawdę o jego niewzruszonej obojętności. Jakże skrzypi dębowa ławka. Jakże przesuwający się gdzieś obok dźwięk policyjnej syreny o dwóch dopplerowskich wysokościach niczym kryzys kumuluje się w tych kamiennych ścianach.

A potem, przyznaję, o Panie, przysnąłem. Ojcu Brownowi nigdy by się to nie przytrafiło. Ale potem rozległ się ten łoskot, jak gdyby ktoś upuścił stos naczyń. Ponownie pokój na naczynia stołowe... myślałem, że tym razem ich celem będzie ołtarz. Popędziłem swoje cielsko schodami w dół, Odstraszac uniesiony niczym pałka. Chyba krzychałem. Jak w „Opłakuj, Boże, Tommy’ego, Anglię i Świętego Tima!” Jak długo spałem? Stałem w wejściu, zmacałem wyłącznik, a kiedy coś takiego się robi, jedynym funkcjonującym zmysłem jest węch: haszysz w tym pustym pokoju kredensowym. Zapach męskiego ciała. Ale także pikantna, krwista woń żeńskich feromonów. I coś jeszcze, coś jeszcze. Jakby zapach szminki albo lizaka.

Szafki na naczynia... strzaskane niektóre szybki, na podłodze potłuczone filiżanki i podstawki, jedna z filiżanek wciąż jeszcze się kołysze.

Otwarte drzwi na zaułek. Widzę, że rusza się tam coś dużego. Wyczuwam pod stopami metaliczne drgania. Ktoś rzuca przekleństwo. To ja, siłujący się z tą cholerną latarką. Rzuca wreszcie snop światła i widzę cień, cień o wyraźnym kształcie, coś o kątach prostych, co w mgnieniu oka znika za rogiem.

Wbiegłem z powrotem do kościoła i poświeciłem so-

bie swoim małym światłem. Z tyłu ołtarza, gdzie powinien znajdować się ten wielki mosiężny krzyż, był jedynie cień Twojego krucyfiksu, Panie, w postaci nie spłowiałej farby, którą położył jeszcze mój pozbawiony gustu poprzednik.

Jak powiedział tamten prawdziwy detektyw: Masz na to moje słowo, *Padre*. Jestem w tym komisariacie od dziesięciu lat. Zrobią skok na jakąś synagogę, żeby rąbnąć jaktosienazywa, tę torę. Bo ręcznie pisana. Bo nie produkt masowy. Dostaną za nią minimum pięć patyków. A wartość księgowa twojego krzyża, *Padre*, musi być równa zeru. *Nada*. Z całym szacunkiem, mamy ze sobą coś wspólnego, jestem katolikiem, chodzę na mszę, jednak, tak czy owak, na ulicy to tylko złom. Jezu! co za banda świrów.

wtorek

Wypowiedź dla „Timesa” była błędem. Taki sympatyczny, młody człowiek. Niczego nie rozumiałem, dopóki nie zabrali krzyża, powiedziałem mu. Myślałem, że to po prostu jacyś pomyleńcy szukający paru dolarów. Może sami nie rozumieli, co robią. Czy jestem zły? Nie. Przywykłem do tego, że mnie obrabowują. Kiedy diecezja odebrała mi mój program „jedzenie dla bezdomnych” i połączyła go z podobnym po przeciwnej stronie miasta, straciłem większość moich parafian. To dopiero była kradzież. A teraz ci ludzie, kimkolwiek są, doprowadzili nasz krzyż. Z początku mnie to męczyło. Teraz jednak zaczynam na to patrzeć inaczej. Ktokolwiek ukradł ten krzyż, musiał to zrobić. I czy to nie jest błogosławieństwo? Chrystus idący tam, gdzie jest potrzebny?

środa

Urywają się telefony. Jeden lodowato wściekły biskup. Ale także obietnice poparcia, napływające czeki. Włącznie z niektórymi ze starej paczki, teraz kumplami mojej drogiej żony, którzy uważali mój styl mówienia za osobliwy, niczym brzmienie Mozarta granego na instrumentach z epoki. Tommy zagra nam teraz kilka pobożnych kawałków na swojej violi da gamba. Doliczam się dziewięciuset plus drobne. Czyżbym wpadł przypadkiem na jakieś nowe szachrajstwo? Powiadam Ci, Panie, ci ludzie nic nie chwytają. Co niby mam zrobić, założyć ogrodzenie z drutu kolczastego? Opakować swój kościół jak Reichstag?

Wszędzie roi się od ludzi z telewizyjnych wiadomości. Łomoczą do moich drzwi. Mayday! Mayday! Uniosę okno za biurkiem, opuszczę się zgrabnie na tę pokrytą gruzem parcelę, przejdę pod oknem tych Euforycznie Namiętnych, za którym damulka o grubych łydach drepcze w tym swoim kieracie do ćwiczeń, i już mnie nie ma. Wielkie dzięki, dzieła miejski.

Świeżutka wiadomość... nieuchwytnie, niewidzialne, jak dotąd jedynie wydedukowane neutrino, ma wykrywalną masę. Jak to można zweryfikować? Wśród zajmujących się neutrinami fizyków przerodziło się to już w kult i na całym świecie, głęboko, we wnętrzach gór, pod Morzem Egejskim, na dnie jeziora Bajkał na Syberii, w tunelach pod Alpami, pod lodową czapą Antarktydy... budują oni te ogromne mroczne zbiorniki z czystą ciężką wodą, żeby zaobserwować przelatujące poprzez nie neutrina – przenikające kulę ziemską równie łatwo, jak nietoperze przelatują nam nocą koło ucha, jedynie unosząc zaskrzydłowym podmuchem kosmyk włosów – dzięki potężnym detektorom światła, które

wykrywają wywoływane przez nie mikroskopijne napięcia... Niektórzy powiadają, że to Enrico Fermi wykoncytował sobie, iż neutrino musi istnieć. Być może dał mu też tę nazwę, jednak, o czym nikt oprócz mnie nie wie, neutrino zostało odkryte w Bronx High School of Science, w sali do indywidualnej nauki, w roku 1948, kiedy ten tłusty dziwak, Seligman, pożyczył ode mnie zeszyt do algebry, żeby przepisać zadanie domowe, a w zamian zaszczyił mnie informacją, że udowodnił istnienie subatomowej cząstki, która nie ma żadnych fizycznych właściwości. Tak się tym podniecił, że dosłownie opryskał mnie słowami, co było bardzo nieprzyjemne. Z drugiej jednak strony prace domowe nas obu oceniono na pełne sto punktów.

Cóż, skoro już neutrino jest czymś, co ma masę, i czymś, co jest obecne na wielką skalę w całym wszechświecie, dlaczego... nie miałoby to wyjaśniać sprawy ciemnej materii? I czy nie sugeruje to, że przestrzeń nie jest pusta, nie jest jedynie funkcją odległości pomiędzy obiektami, ale i obdarzonym właściwościami ciałem... choć niepostrzegalnym dla naszych zmysłów, jak dźwięk gwizdka na psy, jak duchy... tak że pomimo całej tej naszej nedorzecznej pracy zaczynamy dopiero rozumieć, iż jesteśmy zaledwie na początku drogi? Chodzi mi o to, że skoro wszechświat ma taką a taką masę, to czy nieuchronnie nie przestanie się rozszerzać? Nadejdzie owa chwila spokoju, wszechświat w punkcie kwadrowego pływ, wszystko znieruchomiałe, a potem, z jękiem i skrzypnięciem, przestawi się on spokojnie na swój tryb kurczenia, następnie zaś już znacznie szybciej wessie się ponownie w siebie. A potem co? Nie jest ważne samo Wielkie Chrupnięcie, Wielki Kolaps. Co jednak pozostawi po sobie, czemu ustąpi miejsca? Niczemu? Jak może istnieć nic?! To właśnie chciał wiedzieć Leibniz. Jak, spytał, może istnieć nic? A co, jeśli neutrina w swojej niepoliczalnej mnogości ciemnej

materii, grawitacyjnie kierujące wszechświatem... są duszami zmarłych? Czy mądrale z Bronx High School of Science brali to kiedykolwiek pod uwagę?

Jezu, chyba popadam w szaleństwo.

Midrash Jazz Quartet gra standardy

ME AND MY SHADOW

*Me and My shadow,
Strolling down the avenue.
Me and my shadow
Not a soul to tell our troubles to...
And when it's twelve o'clock
We climb the stair
We never knock
For nobody's there
Just me and my shadow
All alone and feeling blue.*

Ta piosenka mówi o kimś, na kogo padł cień osamotnienia.

Śpiewający tę piosenkę może być cieniem samego siebie, Mógłby przecież śpiewać:

„Ja i to ja, które jest moim cieniem,

Jesteśmy tu w tej bezimiennej alei,

Poza nami nie widzimy nikogo,

Na pewno inni siedzą pod jabłonią,

Zostawiwszy całe to cholerne miasto mojemu cieniowi i mnie”.

On powiada, że Upadek Człowieka jest nieszczęściem:

„Nie słyszę innych kroków prócz własnych,

Aleja zaś prowadzi prosto w dół

między wysokimi budynkami,

Całe mile, a światła zmieniają się na zielone
I światła zmieniają się na czerwone,
Jakby to było ważne, jakby przeliczono
taksówki i ciężarówki i samochody i autobusy
Zderzak w zderzak, piekielny raban
Klaksonów, policjantów dmuchających w gwizdki,
Rzeka ludzi, wirujących dusz,
Aleja płynąca, jak daleko wzrok padnie,
milionami osób, a żadna nie jest mną.
Ja tego jednak nie widzę. Jestem samotny,
Rzucam cień na osłoneczniony chodnik,
Mknąc tą ulicą mojego zniewolenia,
przykuty, każdą kostką, do własnego cienia”.
A potem pieśniarz słyszy, jak zegar wybija dwunastą...
czy to południe, czy północ?
Czy to koniec czasu, koniec okresu
Jego cierpliwości?
Droga pieśniarza do nieba to otwarte wrota w przestrzeń.
Myśli: Skoro za tymi wrotami nie ma nieba...
Jeśli dla tego biednego śmiertelnika nie ma nic więcej,
dlaczego mnie tutaj sprowadzono,
Czemu służy to życie?

(słabe oklaski)

Zastanów się jednak przez chwilę, co cień zwiastuje.
Słońce jest na niebie, oto co on oznacza,
Być może nie jest to świat z twojej struny,
Ale to Boży świat, jest w nim dobroć, jest w nim grzech,
Musimy nauczyć się je rozróżniać wciąż od nowa.
Twój cień jest tym światłem Dobrego Pana, które
nie przechodzi przez ciebie,
Jesteś gęsty, nieprzezroczysty,
To cię powinno czegoś nauczyć,
na miłość Boską!
O dwunastej, kiedy mój czas się wypełni?
Wiem, że wejdę tymi schodami do nieba!

Usłyszę, gdy powiedzą: Nie musisz pukać,
bramy są otwarte!
Poczuję, jak spłynie na mnie Jego ciepłe
niebiańskie światło,
A kiedy się odwrócę, mojego cienia już nie będzie!
Posłany będzie w dół, by przyprowadzić
następną duszę!
O, szczęśliwy ten dzień, kiedy zaczniesz bić dzwon
dla wszystkich nieszczęsnych dusz tego świata...
Powiadam wam, nie będą one smutne,
Kiedy odkryją, że to do Jego chwały szły!

(entuzjastyczna owacja)

Pieśniarz mówi: „Ze wszystkich trosk, jakie znam,
Ostatnia i najgorsza jest troska, że nigdy więcej
nie będzie komu z tych trosk się zwierzyć”.
W istocie powiada on: „Byłbym wolny od trosk,
Gdybym prócz siebie miał jeszcze kogoś, kto by mnie
wysłuchał”.
To pieśń żałobna o utraconej miłości,
Wspominająca czas minionego szczęścia,
Kiedy stanowił połowę przystojnej, podążającej
sprężystym krokiem pary
cieszącej się spacerem w dniu odpoczynku,
Podczas gdy teraz ma za towarzysza jedynie własny
blady cień.
A przecież okazja jest uroczysta
wszystko barwne, żywe i śpiewne,
inne przystojne pary podążają sprężystym krokiem
podczas sabatowej pod flagami przechadzki
w ciepłe poranne słońce
Niczym wielkanocna parada mieszkańców tego miasta...
Bynajmniej. Reszta miasta pojawiła się wystrojona,
On zaś, śpiewając pieśń pogrzebową utraconego romansu,
Samotny, niezależny, jest atonalny, jest

dysonansem.

A gdy dociera do miejsca przeznaczenia
wszystkich ocienionych istot,
Tego najbardziej milczącego i tajemniczego spośród
budynków,
Nim zdąży zapukać, drzwi otwierają się na oścież
I on wstępuje w mrok
cienia rzucanego przez Boga.
I pieśniarz musi przyznać, przekraczając te drzwi:
„W Jego cieniu jestem niczym, nawet własnego cienia
już nie mam”.

(pojedyncze oklaski)

Cieniem ja,
cieniem ty,
co też cień
uczyni mi...
Wstaje o świcie,
w południe znika,
gdy wieczór przyjdzie,
przed księżycem zmyka.
Cicho przycupnie,
na cały dzień,
żałobnicy odejdą,
zniknie i cień.

...A co, jeśli niebios nie ma, jedynie jakieś drzwi?
...Ja nawet własnego cienia już nie mam...
...Nie znamy chwały, ku której podążamy...
...Znikł, cień znikł.

*Me and My shadow,
Strolling down the avenue.
Me and my shadow
Not a soul to tell our troubles to...*

(frenetyczne oklaski)

To, że wszechświat, włącznie z naszą świadomością jego istnienia, powstał jakimś fuksem, że ten mroczny wszechświat niewyobrażalnego wręcz ogromu zrodził się... jest jeszcze bardziej absurdalne niż koncepcja Stwórcy.

Einstein był fizykiem, któremu koncepcja Stwórcy nie sprawiała szczególnego kłopotu. Miał zwyczaj nazywać Boga Starcem. To było jego imię Boga, Starzec. Nie można powiedzieć, by Albert był wielkim stylistą, niemniej dobierał on słowa, starając się, żeby precyzyjnie oddawały jego myśli. Tak czy owak, Bóg jest bardzo stary... archeologowie w latach pięćdziesiątych odkryli w zachodnich Włoszech na wybrzeżu Morza Tyrreńskiego, w niegdysiejszych Bagnach Pomptyjskich, wypełnioną kośćmi świętą jaskinię neandertalczyków. Znaleźli tam czaszkę mężczyzny pochowaną w kamiennym kręgu. Górę czaszki odpiłowano i używano jako czarki do picia. Taki stary jest Bóg. Zatem Einstein ma w tej kwestii rację. Pojmował on swoją pracę w dziedzinie fizyki jako poszukiwanie śladów Boga, zupełnie jakby Bóg istniał w grawitacji albo przemieszczał się pomiędzy słabymi a mocnymi siłami jądrowymi, albo poruszał się obojętnie z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę... nie całkiem taki zatroskany Bóg, do którego modlą się czy zanoszą błagania ludzie, niemniej, do diabła, jest to już jakiś początek, jest to już coś, nawet jeśli nie wszystko, czego potrzebujemy, by pozostać sobie wierni.

Kradzież

środa

Kiedy tu dotarłem, Trish wydawała przyjęcie. Człowiek z firmy cateringowej, który mnie wpuścił, myślał, że jestem spóźnionym gościem. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam... przechodząc wtedy obok drzwi do jadalni, patrzyłem prosto przed siebie, przez jedną milisekundę, prawda? A przecież dostrzegłem wszystko: które srebra, jakie kwiaty pośrodku stołu. Danie główne – cielęcina paillard. W karafkach od Steubena château latour. Cóż za marnotrawstwo. Są dwaj absztyfikanci, francuski dyplomata z ONZ i młody geniusz zarządzający funduszem powierniczym. Francuz ma większe szanse. Pozostali to statyści. Zdziwiające, ile hałasu potrafi narobić siedzące przy stole dziesięć osób. I w tej samej milisekundzie światła świec, spojrzenie Trish znad uniesionego ku ustom kieliszka z winem, te kości policzkowe, te rozbawione błękitne oczy, sztywny kornet włosów. Ta króciutka chwila, kiedy mijałem drzwi, jej, siedzącej przy drugim końcu stołu, w zupełności wystarczyła, by zobaczyć we mnie to, co zobaczyć musiała, żeby zrozumieć, żeby wiedzieć, dlaczego wyniosłem się chyłkiem z domu. Czy to jednak nie jest okropne, że choć ze sobą skończyliśmy, te synapsy wciąż zgodnie iskrzą? Co masz do powiedzenia na ten temat, Panie? Jako że mamy z Tobą tyle problemów, nie zajęliśmy się jeszcze Twoimi drobnymi perwersyjkami. A chodzi mi o sytuacje, w których mgnienie oka wciąż jest pojemnym, żywotnym nośnikiem naszej inteligencji. I to ta sama cholerna biologia działa, kiedy, nieważne jak bardzo porusza mnie inna kobieta, opuszki moich palców rejestrują, że ona to nie Trish.

Jadalnia była w tym wszystkim drobiazgiem. Z niej do gościnnego pokoju, kiedy dziewczęta w weekendy są w domu, jest natomiast długa droga.

Korzystamy z akumulatora, Panie, bo zapomniałem zasilacza na prąd zmienny. I jestem wyczerpany... wybacz mi.

Z e-maili:

„proszę szanownego księdza jak chce ksiądz wiedzieć gdzie jego krzyż niech idzie na zach 168 ul 2531 m 2A gdzie ten kapłan od santerii umbala rozruca muszelki i podżyna kurczakom gardła”.

„Wielebny, jesteśmy dwojgiem misjonarzy Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego (Mormonów) przydzielonych do Lower East Side w Nowym Jorku...”

„Szanowny Księżu, jestem jednym spośród grupy twoich sąsiadów z pobliskiego New Jersey, którzy złożyli Świętą Przysięgę, że będą bronić tej Republiki oraz imienia Pana Naszego Jezusa Chrystusa przed obcymi, pogańskimi intruzami, gdziekolwiek zaistnieje taka potrzeba, nawet przed rządem federalnym. I to bronić w sensie dosłownym... umiejętnościami i organizacyjnym know-how, i tą jedyną rzeczą, którą ci ludzie rozumieją, Bronią, której używanie jest naszą, wolnych białych Amerykanów, prerogatywą...”

Tego popołudnia, kiedy leżymy obok siebie na plecach, Moira opowiada mi o sobie. Wychowała się w robotniczej rodzinie w Pensylwanii. Poszła na uniwersy-

tet stanowy, który po dwóch latach rzuciła, i przyjechała do Nowego Jorku. Myślała o posadzie w wydawnictwie, tymczasem jednak pracowała w głównej siedzibie pewnej korporacji, gdzie przypadkowo dostrzegł ją jej przyszły mąż, szef tej firmy. Znałem resztę historii: przeniósł ją do swego sekretariatu, wziął kilka razy do miasta, oświadczył się i zabrał do rozwiązywania swojego dwudziestoletniego małżeństwa. Dla wszystkich tych wielkich szefów życie to interes. Cechuje ich okrucieństwo w działaniu, które postrzegane jest jako przywilej. Możliwe, że w innej epoce, epoce getrów i cylindrów, pojechałby do teatryku i wybrał sobie chórzystkę. Obecnie nie jesteśmy tacy spontaniczni, mamy kulturę, na ścianach biur wiszą autentyczne dzieła sztuki, wśród gości na naszych przyjęciach bywają pisarze, filmowcy. Wiemy, kim był Wittgenstein.

Moira z kolei zerwała te wątle więzy, które jeszcze łączyły ją z rodziną, nie zapraszając jej na ślub.

I takie są przyczyny jej pogodnej pewności siebie oraz ujmującej postawy nie pozwalającej innym wywierać na niej wrażenia, którą zarówno mężczyźni, jak i kobiety z naszego towarzystwa, ze mną włącznie, uważają za niezwykle intrygującą.

Czuję się zwiedziony nie tyle przez nią, ile przez pozory – jakże realne bywają one w mojej Ameryce. Nie czuję niechęci do jej męża, prawie go nie znam. W interesach jest on ważną figurą, często cytowaną w artykułach dotyczących gospodarki. Ona mówi, że to dzieciak nieustannie domagający się od niej podziwu i pochwał. Ciągłe martwi się o swoją pozycję w świecie biznesu, a ona musi wysłuchiwać, jak z przejęciem opowiada jej o sprawach, których ona nie rozumie, oraz znosić w intymnych chwilach jego huśtawki od próżności i dumy do skamlącego braku wiary w siebie. Dręczą go nie nazwane lęki, nocne poty, często też jęczy

przerażony, że wszystko, co dla siebie zrobił, wszystko, co posiada, pewnego dnia zostanie mu odebrane. Włącznie ze mną, mówi Moira, podsumowując.

Obróciła się na bok. Uśmiechała się. Włącznie ze mną, powtórzyła szeptem i wsunęła mi do ucha koniuszek języka.

Kiedy piosenka jest standardem, można ją odtworzyć z jednej z jej składowych. Jeśli wyrecytujesz słowa, usłyszysz melodię. Zanucisz melodię, a w umyśle uformują się słowa. To niewątpliwa oznaka niezwyklej mocy samoodtworzenia... jej fizycznym ekwiwalentem byłoby odrastanie członków albo sklonowanie się całego organizmu z jednej komórki. Standardy ze wszystkich okresów życia są w mózgu krzyżowo powiązane, gotowe do przywołania w całości lub w części, czy do pojawienia się w pamięci nieproszone. Nic innego tak nagle i tak wyraźnie nie przywołuje wyglądu, dotyku, zapachu tego, co minęło. W intymności swego umysłu używamy standardów jako wyznaczników naszych działań i relacji. Mogą być tanim środkiem terapeutycznego odkrywania samego siebie. Jeśli, na przykład, jesteś bardzo zakochany i myślisz o niej, i tęsknisz do spotkania z nią, zwróć uwagę na to, jaką nucisz melodię. Czy to *Just One of Those Things*? Wkrótce zakończysz ten romans.

Kradzież

wczoraj, poniedziałek

poczta głosowa od rabina Joshui Gruena z synagogi ewolucyjnego judaizmu przy Dziewięćdziesiątej Ósmej Zachodniej: Jest w księdza interesie, żebyśmy spotkali

się jak najszybciej. Najwyraźniej nie mam do czynienia z jednym z tych dziwaków. Kiedy oddzwaniem, jest serdeczny, ale przez telefon nie chce odpowiedzieć na żadne pytanie. No i w porządku, Boże, to właśnie robią detektywi, prowadzą śledztwo. Jak na młodego człowieka mówił z powagą, jak duchowny do duchownego; strój cywilny czy koloratka? Stawiam na koloratkę.

Ta synagoga to budynek z piaskowca pomiędzy West End a Riverside Drive, do wejścia prowadzą strome granitowe stopnie. Dedukuję z tego, że składową ewolucyjnego judaizmu jest aerobik. Potwierdzi się, kiedy mnie wpuszczą. Joshua (mój nowy przyjaciel) schludny, metr siedemdziesiąt pięć, sportowa koszulka, także obuwie, džinsy. Mocny uścisk dłoni. Jakies trzydzieści dwa, trzydzieści cztery lata, mocny podbródek, ładna krzywizna czoła. Żadnej jarmułki na falujących, czarnych włosach.

W głębi przerobionego salonu Arka, na podwyższeniu stół do czytania Tory, półki z modlitewnikami i kilka rzędów połączonych krzesełek – to wszystko, to cała synagoga.

Piętro, przedstawia mnie swojej żonie, która każe poczekać telefonicznemu rozmówcy, wstaje od biurka, żeby się przywitać, Sarah Blumenthal, również rabbi, w bluzce i spodniach, ładny uśmiech, wydatne kości policzkowe, żadnego makijażu, nie ma takiej potrzeby, jasne włosy obcięte krótko, zgodnie z ostatnią modą, babcine okulary. Aż mnie zatyka z wrażenia. Jest jedną z zastępców rabbiego w Świątyni Emanuela. A co, gdyby tak Tricia włożyła koloratkę, odprawiała wraz ze mną Eucharystię? Dobra, możecie się śmiać, ale kiedy o tym myślę, nie wydaje mi się to zabawne, ani trochę.

Drugie piętro, poznaję dzieci, chłopcy, dwuletni i czteroletni, w swoim naturalnym, tubylczym środowisku, pośród pomalowanych na podstawowe kolory szafek na ścianach, pełnych wypchanych zwierząt. Przywarli do

boków gwatemalskiej niani, którą także przedstawi-
no mi jak członka rodziny.

Do ściany na podeście drugiego piętra przytwierdzo-
na jest metalowa drabina. Joshua wspina się po niej,
otwiera klapę, wychodzi na zewnątrz. Chwilę potem
jego głowa pojawia się w otworze na tle błękitnego nie-
ba. Przyzywa mnie ruchem ręki i wspinam się za nim,
zadyszany nieszczęśnik, wystraszony i zachwycony...
tak zdecydowany, aby zrobić wrażenie, że to wszystko
nie wymaga najmniejszego wysiłku, że już nie może
myśleć o niczym innym.

Stałem wreszcie na płaskim dachu, stare kamie-
nice przy West End Avenue i Riverside Drive ujmowa-
ły z dwóch stron ten kwartał udekorowanych koma-
ni domostw z piaskowca, i uśmiechając się, spróbowa-
łem odzyskać oddech. Za kamienicami jesienne słońce,
na mojej twarzy późnopołudniowa bryza od rzeki.
Stojąc na tym dachu, odczuwałem i radość, i lekki za-
wrót głowy... i jeszcze nie zacząłem myśleć, kiedy moją
uwagę ożywiło badawcze spojrzenie, szczerze pytające,
dlaczego, jak sądzę, przyprowadził mnie tutaj, dlacze-
go mnie tutaj przyprowadził. Z rękoma w kieszeniach
wskazał podbródkiem front numeru dziewięćdziesiąt
osiem, gdzie płasko, na czarnym smołowanym dachu,
z belką idealnie równoległą do frontowej ściany budyn-
ku, słupem wspartym na niskim granitowym murku,
leżał zaśnieżony, a jednak, w tym jesiennym słońcu,
błyszczący, długi na osiem stóp, pusty w środku, mo-
siężny krzyż od Świętego Tymoteusza.

Jak przypuszczam, wiedziałem, że go znalazłem, już
w tamtej chwili, kiedy pierwszy raz usłyszałem głos
rabiego. Pochyliłem się teraz, żeby lepiej mu się przyj-
rzeć. Stare otarcia i wgniecenia. Również kilka nowych.
Nie był jednolity, czego wcześniej nie wiedziałem. Ra-
miona przymocowane były do słupa na sposób mający
przypominać ciesielskie łączenie na czopy. Uniosłem go

u samego dołu. Nie był bardzo ciężki, jednak dość, by nie włączyć się z nim po stacjach kolejki miejskiej.

Skąd rabbi Joshua Gruen wiedział, że on tam jest? Anonimowy telefon. Męski głos. Halo, rabbi? Pański dach się pali.

Dach płonął?

Gdyby dzieci były wtedy w domu, wyprowadziłbym je i zadzwonił po straż pożarną. A tak to chwyciłem kuchenną gaśnicę i wyszedłem na dach. Co nie było najmańdrzejsze. Naturalnie, dach się nie palił. Choć to skromny budynek, niemniej synagoga. Miejsce modłów i studiów. I, jak widzicie, wyższe piętra zajmuje żydowska rodzina. Czy rzeczywiście ten dzwoniący się mylił?

Zagryza wargę, ciemnobrązowe oczy odwraca od krzyża. Jest dla niego symbolem nienawistnym. Wypalającym swoje znamię na synagodze. Przepalającym piętro po piętrze, niczym jakiś szablon chrześcijańskiego kościoła. Chcę mu powiedzieć, że zasiadam w Komitecie Teologii Ekumenicznej Towarzystwa Międzyreligijnego. Że jestem członkiem Narodowej Rady Żydów i Chrześcijan.

To godne pożałowania. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Ksiądz nie jest temu winien.

Wiem, mówię. To miasto z każdą chwilą jest coraz dziwniejsze.

Para rabinów poczęstowała mnie filiżanką kawy. Usiedliśmy w kuchni. Czułem się im bliski, obydwa nasze domy kultu zbezczeszczone, całe dziedzictwo żydów i chrześcijan potraktowane jak śmieć.

Ten gang już od miesięcy się na mnie czaił. I co

przyniosły im ich wysiłki, bo przecież jeden skok na pralnię dałby im więcej. Proszę posłuchać, rabbi...

Joshuo.

Joshuo. Czytujesz kryminały?

Odchrząknął, zarumienił się.

Praktycznie cały czas, powiedziała Sarah Blumenthal, uśmiechając się do niego.

No cóż, połączmy nasze umysły. Mamy tutaj do czytania z dwiema tajemnicami.

Dlaczego dwiema?

Po pierwsze, ten gang. Nie wierzę, by chcieli popełnić czyn antysemicki. Tacy jak oni żyją bez celu. Nie należą do tego świata. A jeszcze ten kawał drogi z Lower do Upper West Side. Nie, to byłby dla nich zbyt duży wysiłek.

Zatem to ktoś inny?

Na pewno. Ktoś przejął od nich krzyż... o ile nie znaleźli go w kontenerze na śmieci. I to on lub oni tego chcieli. Tylko jak go wywindowali na dach? Żeby nikt nie zobaczył, nie usłyszał?

Angelina, która zajmuje się dziećmi, któregoś ranka słyszała jakieś hałasy na dachu. Nas już nie było. To było tamtego dnia, kiedy pojechałam odwiedzić ojca, powiedziała Sarah, spoglądając na Joshuę, by potwierdził jej słowa. Jednak hałas trwał krótko i Angelina, sądząc, że to ktoś coś naprawia, nie poświęciła mu więcej uwagi. My natomiast sądzymy, że oni dotarli tam przez któryś z domów tego kwartału. Bo ich dachy stykają się ze sobą.

Przeszedłeś się po tych domach? Dzwoniłeś do ludzi?

Joshua pokręcił głową.

A co z policją?

Wymienili spojrzenia. Posłuchaj, powiedział Joshua, to nowe zgromadzenie, w gruncie rzeczy tylko grupa poświęcająca się studiom i medytacji, ledwie zaczętek.

Zielony pęd. Ostatnie, czego nam trzeba, to tego rodzaju reklama. Poza tym, mówi, tego właśnie chcą ci, co to zrobili, kimkolwiek są.

Nie godzimy się na rolę ofiary, mówi Sarah Blumenthal, patrząc mi w oczy.

I teraz powiem ci, Panie, kiedy znowu siedzę w swoim gabinecie, na tym nagim, zrujnowanym chórze, że tego wieczoru, z braku towarzystwa w rodzaju Sarah Blumenthal, wyjątkowo sam sobie współczuję. Nie jest to pożądanie, a wiesz, że bym się przyznał, gdyby tak było. Nie. Niemniej zastanawiam się nad tym, jak szybko ją polubiłem, jak przyjazną stworzyli mi atmosferę, z jaką naturalną swobodą pozwolili, bym czuł się mile widziany, nie zważając na te wszystkie kłopotliwe okoliczności. W tych ludziach... mam tu na myśli ich dwoje... jest jakaś świeżość i uczciwość, byli w tamtej sytuacji tacy przytomni, tacy opanowani, cudowna, młoda para prowadząca cichy, pełen poświęcenia żywot, jakąż rodzinną fortecę oni tworzą i... och, Boże... szczęściarz z rabina, z Joshui Gruena, że ma u boku taką piękną i pobożną niewiastę.

Najwyraźniej to Sarah skojarzyła jedno z drugim. On tam siedział, usiłując wymyślić, jak się zabrać do rzeczy, a tymczasem ona wróciła z jakiejś konferencji i kiedy jej powiedział, co jest na dachu, zaczęła się głośno zastanawiać, czy to nie ten zaginiony krzyż, o którym się dowiedziała z gazety.

Ja tego nie czytałem i potraktowałem sprawę sceptycznie.

Bo myślałeś, że to zbyt dziwne, ta lądująca na twoich kolanach gazetowa historyjka, powiedziała Sarah.

To prawda. Wiadomości prasowe dotyczą czegoś, co dzieje się gdzie indziej. A jeszcze świadomość, że wie się więcej od reportera... Odnaleźliśmy jednak ten artykuł.

Nie pozwala mi niczego wyrzucić, mówi Sarah. W tym wypadku na szczęście, mówi mąż do żony. Zupełnie jakbyśmy mieszkali w Bibliotece Kongresu. Zatem dzięki Sarah mamy prawowitego właściciela. Ona zerka na mnie, lekko się rumieni. Zdejmuje okulary, uczona, ściska nasadę nosa. Przez chwilę, nim znowu nałoży okulary, widzę jej oczy. Jest krótkowzroczna, przypomina pod tym względem dziewczynkę, w której się kochałem w szkole podstawowej.

Jestem ogromnie wdzięczny, mówię do swoich nowych przyjaciół. A poza wszystkim, to, co zrobiliście, to micwa, dobry uczynek. Mógłbym skorzystać z telefonu? Sprowadzę furgonetkę. Możemy go rozłożyć, owinąć i wynieść frontowymi drzwiami; nikt się niczego nie domyśli.

Mogę wziąć na siebie część kosztów.

Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Nie muszę wam chyba mówić, że ostatnio moje życie było piekłem. To świetna kawa, ale może macie coś mocniejszego?

Sarah idzie do kredensu. Może być szkocka?

Joshua, wdychając, prostuje kości. Sam bym się czegoś napił, mówi.

Obecna sytuacja: mój krzyż rozmontowany i niczym materiały budowlane zmagazynowany za ołtarzem. Nie zostanie złożony na powrót i zawieszony na czas, przed niedzielnym nabożeństwem. I w porządku, mogę na tym zbudować kazanie. Ten cień, cień krzyża w absydzie, wciąż tam jest. Zaniesiemy nasze modły do Boga, w imię Jego Syna bez zmyzy, Jezusa Chrystusa. Nie-źle, Pem, wciąż, jeśli zechcesz, potrafisz wyciągnąć temat z kapelusza.

Byłem niemal pewny, że to jakaś nowa sekta. Pomyślałem sobie: Cóż, będę czuwał po drugiej stronie ulicy, przyglądał się, jak cegła po cegle rozbierają Świętego Tima. Może im nawet pomogę. Postawią go gdzieś po-

nownie jako świątynię dla ludu. Jako wyraz ich prostej wiary. Być może tam wpadnę, od czasu do czasu posłucham kazania. Czegoś się nauczę...

A potem ten mój drugi pomysł, przyznać trzeba, że paranoiczny: skończy jako instalacja w Soho. Poczekam kilka miesięcy, rok i gdy zajrzę w okna galerii, zobaczę go tam, należycie upiększony, istny manifest. Ludzie będą stać wokół niego, popijając białe wino. To była zatem ta wersja laicka. Wydawało mi się, że nad wszystkim panuję. Jestem wstrząśnięty. Jak mam rozumieć tę dziwną, nocną cywilizację skradających się psycholi... tych bezmózgich złodziei rzeczy bezwartościowych, którzy idą z chichotem ulicami i niosą... co? cokolwiek! ...grząskimi dzielnicami miejskiego nihilizmu... ich inteligencja to błysk rozpoznania czegoś, co kiedyś miało znaczenie, czego, śmiejąc się, nie potrafią sobie przypomnieć. Jezu, nie ma w tym nawet świętokradztwa. Pies kradnący kość bardziej jest świadomy tego, co czyni.

Moira zmieniająca się w opowieść, kobieta przekraczająca granice klasowe. On jest trochę snobem, nieprawda? Nie jestem pewien, czy go lubię, skoro spędza całe popołudnia w Metropolitan Museum. Był zszokowany, kiedy wsunęła mu język do ucha. Raz, że to wulgarne, dwa – zupełnie mu to nie pasowało do jego wyobrażenia o niej.

Jedyny sposób, żeby sobie z tym poradzić, to podkreślić ich naturę, ująć im poczucia moralności, tyle że wtedy mamy jedynie film.

Film: Facet nawiązuje romans z niezwykle elegancją – istne trofeum – żoną bardzo ważnego biznesmena... cała trójka obraca się w wirze swobodnego nowojorskiego towarzystwa, wśród wydawców, ludzi sztuki, reklamy, mediów, Wall Street.

Odpowiednio zachęcona, okazuje się ognistą kochanką, jak najdalszą od wyrzutów sumienia czy samoobwinięcia. On nie potrafi wymyślić niczego, czego nie chciałaby spróbować. A jest pomysłowy. Ona akceptuje każdą jego perwersję, nie boczy się i nie popada w gniew.

Ogólnie rzecz biorąc, zgodnie z warunkami, jakie ustanowił, ona uczy się nie wymagać od tego związku więcej, niż on jest gotów dać. On przejmuje władzę absolutną – decyduje, kiedy się spotkają, co i jak będą robić, jakie próby obmyśli dla niej w jej palącej potrzebie samoupokorzenia. Ona chętnie się z nim spotyka, ku zadowoleniu obojga, a potem idzie do domu, aż do następnego razu.

Jednak jej całkowite podporządkowanie się jego woli i wynikająca z tego stabilność ich związku zaczynają go nudzić. Rozciąga swą władzę na jej współżycie z mężem: mówi jej, kiedy powinna powstrzymać się od seksu, a kiedy nie powinna, jakie ma nosić ubrania, jakich używać perfum, co ma gotować ich własny kucharz, w których restauracjach mają jadać, dokąd jeździć na wycieczki, nawet na jakich on powinien spać prześcieradłach, jakie mydło ma leżeć na mydelniczce. To zdalne sterowanie, za jej pośrednictwem, intymnymi szczegółami życia jej męża dodaje mu ducha, ożywia go.

Teraz widzę, że to prawdziwy świr. Dlaczego miałbym mieć z nim cokolwiek wspólnego? Któregoś razu, w wyniku jego manipulacji, ów mąż ląduje z żoną na Maui... i gdy opala się na prywatnej plaży, kochanek, w jego własnym apartamencie, ściągawszy kostium kąpielowy z jego żony, palcami, jak pincetą, wybiera ziarenka piasku, które znajduje w jej pachwinie, by je złożyć w najwrażliwszym zakątku jej ciała. Zostawia ją bez tchu, ofiarę nałogu niebezpieczeństwa, którym się dla niej stał, zagrożenia dla jej dobrobytu, szacunku dla samej siebie, dla życia wreszcie.

Ktoś tak zły jak ten facet musi być gwiazdą. Chodzi

mi o to, że gdyby był tłustym, łysym flejtuchem, wciągającym ze świstem powietrze przez zęby, wzbudzałby u publiczności odrazę, nawet oburzenie. Żądałaby zwrotu pieniędzy. Jest zatem szczupły, bardzo o siebie dba, jak ktoś głęboko niewierzący. Biega, ćwiczy z niemal religijną gorliwością, by utrzymać się w jak najlepszej formie. Pije niedużo, nie przesadza z niczym, chyba że chodzi o intrygę. Nie stara się wkraść w łaski innych, nie usiłuje dowieść w rozmowie, że ma łagodny charakter, że nikomu nie zagraża. Nigdy nie podnosi głosu. Kiedy dowcipkuje, to pogardliwie, kiedy się złości, jest groźny, ale na spokojny sposób. Jego egoizm rozkłada się tak gładko na wszystkie aspekty życia, że dla innych jest niewidoczny, wyjąwszy pewną patynę snobizmu i arogancji, która oglądana w innym świetle, okazałaby się jednoznaczną bezwzględnością. To właśnie przyciąga kobiety. To właśnie przyciągnęło ją.

Teraz uświadamiam sobie, że tę typową dla klas wyższych łatwość znajdowania kompensacji w winie, koniach, żeglowności i tym podobnych nabył w poprzedniej profesji, stratega od tajnych operacji CIA, związanej z pobytem na zagranicznych placówkach. Jak mogłoby być inaczej? Wobec zwykłych ludzi, którzy czerpią swoją wiedzę z gazet, przejawia protekcyjność człowieka, który tkwił w samym środku geopolitycznych przygód zimnej wojny.

Tak jak ona, należy on do klasy średniej, urodzony, być może, na północy stanu Nowy Jork, choć lepiej go nie osadzać w precyzyjnie określonym środowisku, jako że całe jego życie było treningiem utrzymującym go z dala od konkretnej tożsamości związanej z jakimś regionem czy rodziną. A dokładniej, jego nihilistyczne moralnie talenty, a może tylko konieczność ograniczenia filmu do dwóch godzin, nie pozwoliły na jakąkolwiek kompensatę charakteru, jakiej przydałyby mu określone cechy religijne czy etniczne.

Założył już swojej kochance podsłuch, dzięki czemu wie, o czym rozmawia z nią mąż, może poznać jego słabości, ton głosu zdradzający obawę czy winę, pożądanie czy miłość. Jej mąż ma nieco miękki podbródek, w najintymniejszych chwilach wychodzi z niego coś maminsynkowatego, jakieś pragnienie, by zyskać pochwałę i podziw żony. Żyjąc z nim, czuje się jak uwięziona. Spektakl jego życia zawodowego wisi nad nią niczym maczuga. Ona rozumie, że jego dumna atencja okazywana jej w miejscach publicznych to coś na kształt samogratulacji, podobnie jak to, że nie pójdzie on nigdzie ani nie przyjmie żadnego zaproszenia nie przydadającego mu szacunku czy nie odpowiadającego jego pozycji.

Dlaczego w ogóle odpowiedziała na zabiegi tego kochanka o mrocznym sercu, nie jest dla niej całkiem jasne, choć w istocie właśnie na coś podobnego odpowiedziała, kiedy zabiegał o nią jej mąż, dyrektor, za każdym razem z uczuciem, że unosi się na fali odpływu, która odciąga ją od swobody, jaką mogłaby sobie zapewnić. A przecież oddała się kochankowi oraz jego stylowi bycia tak samo jak niegdyś mężowi i wolność przybrała dla niej kształt poddaństwa, konceptu ziszczalnego jedynie w swych szczątkach.

I tam oto mamy w tych trzech rolach trzy życia, mniej lub bardziej nie związane z rzeczywistością i przez to ożywione. Kochanek ma wizję wspaniałego finału swojego przedsięwzięcia, finału tak niebezpiecznego, tak szalonego, że uważa on, iż całe jego dotychczasowe życie, będące zaledwie dryfowaniem w nudzie, alienacji i braku poważnych przekonań, można sobie teraz zbawczo wyobrazić na nowo jako dzieło sztuki.

Oto moje laboratorium, tutaj, w mojej czaszce. Zapewniam was, że jest skromnie umeblowane. Właści-

wie, w pewnym sensie, moja praca polegała na opróżnieniu go z całego tego wyposażenia, ze zlewek, wag, szafek, starych książek. I chociaż do pewnego stopnia mi się to udało, wciąż tu są pewne rzeczy, z którymi, jak sądzę, nie potrafię się rozstać: koncepcja, że wszechświat został zaprojektowany i że istnieje kilka prostych reguł czy praw, praw fizycznych, z których można wyprowadzić wszystkie procesy życia i nieżycia. Widzicie zatem, że nie jestem podkopującym istniejący porządek wywrotowcem, za jakiego uważali mnie naziści Hitlera.

Naturalnie, wszechświat, który znamy i widzimy od dzieciństwa, został bardzo jasno objaśniony przez wielce szanownego sir Izaaka Newtona. Ten wszechświat, ze wszystkimi gwiazdami na niebie i z planetami podążającymi po swoich orbitach, i z nocą postępującą za dniem, i z akcjami wywołującymi reakcje, i z obiektami opadającymi za sprawą grawitacji... wszystko to wydaje się całkiem rozsądne i trafne, chyba że zajmuje umysł taki jak mój, a nie jest on w tym względzie wyjątkiem. A to dlatego, że mechanistyczny model wszechświata wielce szanownego sir Izaaka Newtona opiera się na kilku założeniach, których udowodnić nie sposób. Na idei absolutnego ruchu oraz absolutnego spoczynku, na przykład, idei, że coś może się poruszać w sensie absolutnym, bez odniesienia do czegokolwiek innego. To oczywiście niemożliwe, to koncept, którego się nie da udowodnić empirycznie, przez odwołanie się do doświadczenia. Statek płynący po morzu porusza się względem lądu. Albo też, jeśli tak wolimy, względem innego statku, poruszającego się z większą lub mniejszą prędkością. Albo względem unoszącego się nad nim sterowca. Albo wieloryba pod powierzchnią wody. Albo też prądów morskich. Zawsze względem czegoś. I dotyczy to również planet. Nie sposób dowieść, że cokolwiek we wszechświecie się porusza, nie odnosząc tego do czegoś innego we wszechświecie czy też do wszechświata jako całości.

Zatem dobrze, jest to coś bardzo prostego, przy czym się będę upierał, bo na tym oparty jest cały mój wywód. Ów absolutny ruch i absolutny spoczynek są konceptami fałszywymi, których zademonstrować niepodobna. Widzicie jednakże, jak ogromne są implikacje tego mojego wybiórczego uporu, z którym utrzymuję, że mamy do czynienia z pewnymi zjawiskami jedynie o tyle, o ile możemy je udowodnić. Wykażę, jak to jest, to bardzo proste. Przeprowadzimy maleńki eksperyment myślowy...

Jeśli znajduję się w statku kosmicznym lecącym w przestrzeni kosmicznej z prędkością milionów mil na godzinę... a wy doganiacie mnie swoim statkiem kosmicznym i zwalniamie tak, żeby lecieć z tą samą prędkością obok mnie... i na każdym z naszych statków budzi się ktoś i spogląda ze swojego okna w okno tego drugiego... nie widząc przy tym śmigających lub powoli przepływających obok meteoroidów i fragmentów materii gwiazdnej, a jedynie kabinę tego drugiego... to osoby te nie będą mogły stwierdzić, czy ich statki poruszają się jednostajnie, czy nie poruszają się w ogóle. Bo w obydwu sytuacjach odczucia są takie same.

Widzicie, jakie to proste? Bo jestem w rzeczywistości człowiekiem prostym i zaczynam od pytań, które zadałoby dziecko. Na przykład byłem jeszcze praktycznie dzieckiem, kiedy zastanawiałem się, co by się stało, gdybym przemieszczał się z prędkością światła. Nic we wszechświecie nie może poruszać się szybciej od światła. Czy wiecie, co to oznacza? To oznacza, że w naszym wszechświecie nie ma procesów momentalnych, ponieważ nic nie może wydarzyć się szybciej niż prędkość światła, a światłu potrzeba czasu, by dotrzeć z jednego miejsca do drugiego. To oznacza, na przykład, że nikt nie może być jednocześnie w dwóch miejscach. Jak i to, że nie mogą istnieć duchy, tak przez nas hołubione, gdyż duchy, tak zresztą jak i ludzie, nie mogą poja-

wiać się i znikać, jak gdyby nie potrzebowały czasu na przeniesienie się z jednego miejsca na drugie. Zatem jeszcze jako dziecko uświadomiłem sobie, że gdybym przemieszczał się tak szybko jak światło, trzymając przed sobą lusterko, nie widziałbym w tym lusterku swojego odbicia, ponieważ tak szybko jak obraz mojej twarzy poruszałby się w kierunku lusterka, z taką samą szybkością oddalałoby się to lusterko. I w tym lusterku, które trzymałbym przed oczyma, nic nie mógłbym dojrzeć. A przecież wydaje się, że w tym rozumowaniu tkwi jakiś błąd. Nie czuje się, żeby tak mogło być, prawda? Ten koncept w gruncie rzeczy jest prze-rażający, skoro wynika z niego, że gdybym poruszał się z szybkością światła, to nie miałbym potwierdzenia swojego istnienia z jakiegoś obiektywnego źródła odbitego światła, jak to lusterko. Byłbym w tym wszechświecie niczym duch, nieweryfikowalny materialnie w strumieniu czasu.

Z tego prostego eksperymentu myślowego wydedukowałem co następuje: żaden obiekt, ani lusterko, ani człowiek, nawet szczuplejszy ode mnie, taki, który nie folgował sobie z tortem Sachera czy herbatką z dżemem malinowym, czy angielską bułeczką z maselkiem, nie, nawet najszczuplejszy z żyjących ludzi nie może się przemieszczać we wszechświecie z prędkością światła. Skoro zawsze jesteśmy dla siebie widoczni w naszych lustrach, a także dla siebie wzajemnie, musimy poruszać się wolniej, chociaż już samo światło porusza się odbite od naszych drogich twarzyczek i od naszych lusterek z tą samą, stałą, najwyższą chyżością. My sami jesteśmy wolniejsi. Nawet w naszych najszybszych statkach kosmicznych. Czy wiecie, co by się stało, gdybyśmy poruszali się z prędkością coraz bliższą prędkości światła, coraz to szybciej i szybciej? Czy wiecie, co by nas spotkało? Mój Boże, stalibyśmy się bardzo ciężcy, tym ciężsi, im szybciej byśmy się poruszali, aż ta nasza ogromna

masa byłaby tak wielka, że zaczęłaby zakrzywiać przestrzeń wokół nas i wsysać ją, tak że... pomimo naszej szybkości szanse na osiągnięcie prędkości światła byłyby coraz mniejsze... ponieważ im szybciej byśmy się poruszali, tym większą mielibyśmy masę, tym większy byłby opór... aż niebiosa wokół nas zakrzywiłyby się, zagięły i zwinęły wraz z nami, nie pozostawiając śladu po poprzednim stanie rzeczy.

I z tych kilku prostych myśli, być może naiwnych, wyprowadziłem prawa, prawa fizyki, które niepokoją ludzi do tego stopnia, że uznali oni, iż człowiek z ulicy nie zdoła zrozumieć, o czym mówię, zrozumieć rzekomo przeze mnie wywołanej rewolucji. Że niby jestem takim geniuszem, którego należy szanować, a nawet czcić, podczas kiedy zwykły człowiek drapie się w głowę i powiada: Niech Bóg da mu zdrowie. Popatrzcie, jaki zabawny, włosy sterczą mu na wszystkie strony, pewnie próbował z prędkością światła wlecieć w to swoje lustro. Spójrzcie na jego podkoszulek, na nie wyprasowane spodnie, nie chodzi o to, że tak mu się wygodniej pracuje, ale o to, że skoro zapomina o marynarce i krawacie, to musi być geniuszem. Kreda, którą pisze swoje tajemnicze wzory na tablicy, łamie mu się w dłoni! Tak właśnie prasa oraz radio uwolniły was od myślenia o tym, co mam do powiedzenia. To obraźliwe nie tylko dla mnie, ale i dla was, ponieważ umysł ludzki zawsze potrafi odkryć prawdę, bo niezależnie od tego, jak jest skryta, w końcu wychynie na powierzchnię. I w tym, co odkryłem, nie ma nic rewolucyjnego, bo ja widzę jedynie to, co zawsze było takie, jakie jest obecnie, i o ile mogę powiedzieć, zawsze takie będzie. Chodzi tylko o to, że nasze postrzeganie stało się bardziej... spostrzegawcze.

Tak więc w gruncie rzeczy o wszechświecie Starego z całkowitą pewnością możemy powiedzieć tylko to, że jedynie prędkość światła jest wielkością stałą.

Na temat przestrzeni z pewnością rzec możemy, że jest to coś, co mierzymy linią.

A co do czasu, możemy tylko stwierdzić, że jest czymś, co mierzymy zegarem.

Jednak błagam, nie wińcie mnie za teologiczne wizje i skowyt, i przerażenie, które to wszystko wywołuje w naszych mózgach.

Nie ma pieśni naukowych. Nikt nam nie śpiewa, że siła grawitacji dwóch ciał jest wprost proporcjonalna do iloczynu ich mas i odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości pomiędzy nimi. A przecież nauka uczy nas jednak czegoś o piosenkach. Wzory naukowe opisują prawa, zgodnie z którymi funkcjonuje wszechświat, i sugerują, że jest on w równowadze, chociaż nawet gołym okiem widać, że jest na odwrót. Tak samo jest z piosenkami. Mają one charakter kompensacyjny. Kiedy piosenkarz pyta: Dlaczego mi to zrobiłaś, dlaczego zła-małaś mi serce... przynależna temu formuła mówi, że wielkość zdrady jest proporcjonalna do elokwencji owego krzyku bóleści. Uczucia przeobrażają się równie szybko i perwersyjnie jak zdarzenia subatomowe i kiedy zaistnieje masa krytyczna, piosenka wybucha, niemniej ogólna ilość czystej energii pozostaje stała. A kiedy piosenka jest dobra, jest standardem, wiemy, że wyraża prawdę. I niczym jakiś wzór, można ją zastosować do każdego, nie tylko do tego, kto śpiewa.

Dziwny widok na molo, wspaniała czapla siwa spogląda w jednym kierunku, stojąc niemal grzbietem w grzbiet ze śnieżną czapłą białą, przepatrującą kierunek prze-

ciwny. Dla czegoś takiego każdy powinien czasami wyjechać z miasta.

Dziwi mnie, że choć korzystają z tych samych źródeł pokarmu, wcale sobie nie wadzą, lecz stoją tam, wzajemnie się nie zauważając. Nie patrzę, ale wiem, że tam jesteś. Biała zrywa się pierwsza, szyja wyciągnięta, żółty dziób wysunięty do przodu jak bagnet, piękny ptak w locie, gładki i lśniący, niczym jakiś hydroplan w stylu prerafaelickim, tyle że z bezlitosnymi oczyma... i ta czapla siwa, wyglądająca na rozczochraną z tym swoim okrągłym, czarnym znamięm na skrzydle, długie nogi, czarne łapy i dziób. Nie jest tak urodziwa jak biała, nie tak atrakcyjna, chociaż z tą ogromną rozpiętością skrzydeł, kiedy podrywa się do lotu tuż nad powierzchnią wody, dorównuje majestatem powietrznemu liniowcowi. A przecież z jej spojrzenia wyziera smutek samotnika, starego kawalera, któremu przydałaby się żeńska atencja, nieco muskania piórek, tak jak i mnie.

Kradzież

Telefon od rabina Joshui:

Jeśli mamy zabrać się do tego jak detektywi... zaczniemy od tego, co wiemy, czy nie tak właśnie zrobiłeś? Ja wiem, i od tego zaczynam, że żaden Żyd nie ukradłby twojego krucyfiks. Nie przyszłoby mu to do głowy. Nawet w jakimś narkotykowym pomieszczeniu zmysłów.

Chyba masz rację, mówię, myśląc: Dlaczego Joshua chciałby wyeliminować tę ewentualność?

Policja ci powiedziała, że na ulicy ten twój krzyż nie ma żadnej wartości. Ale skoro ktoś go chce, to znaczy, że jest dla niego coś wart.

Dla naszej grupowej wsieckiego antysemity, na przykład.

Owszem, to prawdopodobne. Ta dzielnica jest bardzo wzmiesczona, wielokulturowa. Może i są tutaj ludzie, którzy nie chętniej mieć w najbliższej okolicy synagogi. Nigdy nie dane mi tego odczuć, ale taka może zawsze również istnieć.

Zgadza się.

Zdecydowanie jest też... to położenie kryzyza na moim dachu, czy, na coś takiego, czego mógłby dokonać jakiś nierzetliwostkowy fatalizm. To też jest możliwe.

Dobry Boże!

Nie wątpię, że tak jest. Probuję jedynie rozważyć wszystkie możliwości. Są tacy, dla których to, co robi Samir i ja, nasze próby przemodelowania, przywrócenia wzmocnienia naszej ludzkości... co, w ich oczach to jest niewymagalne i apokaliptyczne.

Nie kłopotę się, mówię. To znaczy nie uważam tego za prawdopodobne. Bo może dlaczego?

A czy nie mówimy sobie, że mój dach stoi w ogniu? To w żydowskim stylu. Naturalnie, nie mam pewności, może się może rozwinąć. Ale warto o tym pomyśleć. Nigdy mi nie było pewne...

Tak...

Tam, jesteś trochę starszy, widziałeś więcej, może więcej się nad tymi sprawami zastanawiałeś. Gdziekolwiek się tam człowiek rozgrywa po świecie, Bóg należy do nas wszystkich. A mi są tacy zawzięci, tacy pewni siebie, zupełnie jakby całą ludzka wiedza od czasów Pisma nie była mówiona. Bóg jest niewidzialny! Chce przez to powiedzieć... czy masz coś więcej? Czy masz takie samo odczucie jak ja... że wszystko zdaje się toczyć do tyłu? Że cywilizacja biegnie w odwrotnym kierunku?

Och, mój drogi rabbi. Joshuo. Cóż mam ci powiedzieć? Skoro to prawda i Bóg rzeczywiście należy do atawistów, tedy taka właśnie jest wiara i takie jej owoce. A my jesteśmy w tarapatach, ty i ja.

poniedziałek

Drzwi frontowe zamknięte na kłódkę. W kuchni probostwa, na odchylonym do tyłu, wspartym na dwóch nogach krzesle siedzi i czyta magazyn „People” świeżo wynajęty, klasycznie leniwy i obojętny prywatny ochroniarz Świętego Tymoteusza.

Otuchy dodaje mi również ta kobieta z tych Euforycznie Namiętnych. Jak zwykle tam jest, przebiera w miejscu nogami, słuchawki na uszach, jej duże pośladki w czarnych trykotach przemieszczają się w górę i w dół niczym kamienie Syzyfa. Kiedy się ściemni i światło załamie się na szybie, jej postać rozplynie się w zieleniach i bladych odcieniach lawendy.

Zatem wszystko jest jak należy, świat znajduje się na swoim miejscu. Cyka ścienny zegar. Nie mam żadnych zmartwień z wyjątkiem tego, co powiedzieć biskupim kontrolerom, bo od ich opinii zależeć będzie bieg reszty mojego życia.

Na początek powiem tak: „Moi szanowni koledzy, to, co tutaj macie dzisiaj badać, to nie kryzys duchowy. Postawmy sprawę jasno. Nie załamalem się, nie pękłem, nie wypaliłem ani się nie poddałem. Prawda, moje życie osobiste to jeden chaos, mój kościół przypomina wojenną ruinę, a ponieważ nie należę do tych, którzy szukają czyjejś rady albo dołączają do grup wzajemnej pomocy, Bóg zaś, jak zwykle, zignorował wiadomości ode mnie (bez obrazy, Panie), czuję się nieco osamotniony. Przyznam nawet, że od lat nie znajduję niczego lepszego na moją chroniczną rozpacz niż chodzenie ulicami Manhattanu. Niemniej koncepcje, które zamierzam wam przedstawić, są konkretne i chociaż

niektóre z nich możecie uznać za niepokojące, prosilibym usilnie... sugerowałbym, zalecał, radził... radziłbym, żebyście wzięli pod uwagę ich meritum, nie doszukując się oznak psychicznego upadku umysłu, dla którego mieliście kiedyś nieco szacunku”.

Jak dotąd nieźle, prawda, Panie? W pewnym sensie atak uprzedzający? Być może jestem nieco przewrażliwiony. Bo w końcu co takiego mogą zamierzać? Wedle stopnia prawdopodobieństwa: jeden, ostrzeżenie; dwa, oficjalne upomnienie; trzy, naganę; cztery, jakiś miesiąc terapeutycznego ustronia, a potem genialnie odległa placówka, z której już nikt mnie nie usłyszy; pięć, przymusowa wcześniejsza emerytura ze wszystkimi przynależnymi świadczeniami; sześć, pozbawienie sukienki duchownej, siedem, ekskomunika. Acomitam!

A tak przy okazji, Panie, czym są te moje „konkretne koncepcje”? Określenie to po prostu spłynęło mi z języka. Zatem przydałaby się tutaj maleńka pomoc. Z moją ograniczoną dziś zdolnością skupiania uwagi nie potrzebuję ich dziewięćdziesięciu pięciu, wystarczą mi dwie lub trzy. Chodzi bowiem o to, że cokolwiek powiem, moje słowa ich zaniepokoją. Nie ma w Kościele nic bardziej niepewnego od jego doktryny. Dlatego strzegą jej własnym życiem, prawda? Mam tu na myśli, jeśli już wspomnamy to słowo na H, że pozostanie ona, herezja, pojęciem prawniczym. Myślę, że powinienesz być tym wstrząśnięty, tyle że heretyk nie może Cię przecież bardziej interesować niż ktoś, kogo wykopano ze spółdzielczego mieszkania za to, że grał na fortepianie po dziesiątej. Modlę się zatem, Panie, byś mi nie pozwolił wymyślić jedynie czegoś, co zasługuje na reprimendę. Niech mam porządny materiał. Przemów do mnie. Przyślij mi e-mail.

Słyszano kiedyś, jak przemawiasz,
Sam jesteś słowem, choć niektórzy twierdzą, że

niewymawialnym,
Mówi się, że jesteś Słowem, a ja nie wątpię, że
Słowem Ostatnim.
Tyś, Panie, naszym Narratorem, który stworzył tekst
z niczego, przynajmniej tak brzmi nasza opowieść
o Tobie.

Oto więc twój sługa, wielbny doktor Thomas Pemberton, niemalże już nie proboszcz Świętego Tymoteusza, kościoła episkopalnego, zwracający się stąd do Ciebie za pomocą jednego z Twoich wynalazków, jednego z Twoich intonacyjnych systemów mlaśnieć i chrząknięć, głosek zwartych i wibrujących.

Nie okazesz mu litości, tej biednej duszy cierpiącej udręki tęsknoty za Twoim Jednorodzonem Synem? Zawiódł jako detektyw, nie rozwiązał niczego.

Czy pomimo to wolno mu podążać za Tobą? Bogiem? Tajemnicą?

Aby wykazać wam dobitniej, że nie jestem żadnym geniuszem, którego koncepcje są dla większości ludzi zbyt zawile i niezrozumiałe, pozwólcie, że podam nieco informacji osobistych. Dowiedziecie się, jak zwyczajne były moje początki i jak mnie, podobnie jak wszystkich innych, zmiotła ta okropna historia mojej epoki. Przez pierwsze trzy czy cztery lata życia w ogóle nie mówiłem, a potem bełkotałem. Do dziewiątego roku życia mówiłem powoli, jak gdybym posługiwał się obcym językiem, co zresztą, jak się później okazało, robiłem. Co to zresztą ma za znaczenie... każdy język jest przekładem z jakiegoś innego, a ja żyłem, słuchając tego jakiegoś innego, siedemdziesiąt trzy lata.

Moje pierwsze wspomnienie dotyczy bruku Ulm, kamieni, po których dreptałem, czepiając się, a czasa-

mi huśtając się i polatując szaleńczo na osi swego przegubu trzymanego w silnym uścisku dłoni mojego taty. Każdy zaoblony kamień, który musnąłem stopą, nieuchronnie odpowiadał mi swoją masą. Jakże to jest, zastanawiałem się, że te kamienie są tak świetnie dopasowane, niczym bochenki chleba w piecu piekarskim? Potem odkryłem ślady dłuta, które sprawiały, że każdy kamień był inny, choć taki sam jak pozostałe. W każdym kamieniu zapisane było jego formowanie, każdy miał na sobie znak historii pracy ludzkiej, a wszystkie razem ukazywały nieskończoność decyzji, podejmowanych zgodnie z jednym planem, z intencją, by ulica nadawała się do chodzenia i była przejezdna. Jak to z ulicami bywa... jedna z nich biegła pod górę, aż nagle rozszerzała się na wszystkie strony i przeobrażała w wielki plac przed katedrą, również z kamienia. Cały świat był z kamienia. W moim polu widzenia, z ogromnym, grzmiącym łoskotem, który jakoś nie czynił mi najmniejszej krzywdy, przesuwwały się dwukółki i powozy, przed moimi oczyma przechodziły wysokie buty, wirowały kobiece spódnice, a cały ten zawzięty miejski ruch odbywał się na tych oddzielnie wyciosanych kamieniach, ułożonych obok siebie już dawno temu. I w cieniu tej wspniałej, czarnej, kamiennej katedry doświadczyłem dziecięcego objawienia, że oto stąпам po myślach nieżyjących ludzi. I tak bruk Ulm, mojego średniowiecznego miejsca urodzenia, jest pierwszym moim wspomnieniem... nie pierś matki, nie łódeczko, nie szaleńczo kochana zabawka, ale ulica, droga służąca przejściu stąd tam.

Niewielki warsztat ojca mieścił się przy placu katedralnym. Tutaj, do spółki z moim stryjem Jakubem, wytwarzał on silniki elektryczne. Słysząc tu było cudowny, furczący dźwięk, delikatny dźwięk o szczególnym tonie, język totalnej elizji, z nie rozdzielonymi słowami o ulotnym i, tym samym, niekompletnym znaczeniu.

Jedyny podobny odgłos dochodził z płynącego na tyłach naszego domu kanału, niosącego wody jednego z mniejszych dopływów rzeki Blau. Moja matka denerwowała się, widząc, jak dzieci bawią się na kamiennym brzegu, rzucają patyki i puszczają papierowe łódeczki, a potem biegną wraz z nurtem, żeby zobaczyć, dokąd on to wszystko zabierze. Ja jednak byłem dzieckiem powściągliwym, milczącym. Zupełnie jakbym wolał nie poruszać się zbyt szybko pod ciężarem mojej wielkiej głowy, stałem jedynie i słuchałem, jak woda płynie swoim korytem, odkładając czarny, tłusty osad na kamieniach, sycząc i chlapiąc niczym rozmawiający z żywieniem mieszkańcy jakiegoś innego wszechświata.

Na podstawie tych uwag możecie odnieść wrażenie, że przypisuję sobie z okresu wczesnego dzieciństwa zbyt wielkie zdolności percepcyjne. Naturalnie, że tak, wszyscy to robimy. Cofamy się i wracamy do teraźniejszości, nieustannie rewidując stan naszych umysłów. Ten cały problem jest ogromnie interesujący, a przecież zajęcie się nim wymaga nadludzkiej wręcz odwagi. Umysł roztrząsający sam siebie... drzę na samą myśl; to na- zbyt rozległe, istna bezwymiarowa przestrzeń wypełniona kosmicznymi zdarzeniami, które są nieme i niematerialne. Dla psychicznego zdrowia lepiej już poszukiwać Boga w świecie zewnętrznym.

Ulm naturalnie zostało zniszczone podczas drugiej wojny światowej. Na długo przed tą wojną ojciec i stryj przenieśli swój mały interes do Monachium, gdzie oferowali władzom gminnym dynama, lampy łukowe, transformatory i inne urządzenia elektryczne. I przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Mieszkaliśmy na przedmieściu w dużym domu, za murem kryjącym ogród z drzewami. Tutaj, w mieście, gdzie narodzili się naziści, wiosenne wieczory wypełniała woń kwiatów jabłoni. Teraz już miałem przy sobie siostrzyczkę, Marię, dwa lata ode mnie młodszą, zwaną Mają, moją nie-

odłączną towarzyszkę o pobudzających mnie do śmiechu, ogromnych brązowych oczach, dla której chwyciłem do słoika świerszcze i wyplatałem naszyjniki z kwiatów mlecza.

W tym domu, na nalegania matki, zacząłem się uczyć gry na skrzypcach. Matka była muzykiem, stanowcą i poważną pianistką. Uważała, że w wykształceniu istoty ludzkiej muzyka odgrywa główną rolę. Przyłożyłem się zatem sumiennie do instrumentu, pod kierunkiem Herr Schmieda, mężczyzny posępnego, z żółtymi od tytoniu palcami i rzadkimi, długimi na cześć Paganiniego włosami. Ile lat minęło, nim zrozumiałem, że nuty to interwały, relacje liczbowe, i że dźwięk jest wyrazem tychże relacji? Ostatecznie jednak system muzyczny stał się dla mnie jasny i jego piękno przyprawiało mnie o dreszcze, bo każdy utwór stanowił propozycję zwartej, logicznej konstrukcji. Zacząłem żarliwie ćwiczyć. Chciałem nadać ruchom smyczka maksymalną precyzję; poszukiwałem dla każdej nuty najczystsze rezonansu, traktując to jako intelektualną konieczność, a radość z wykonywania muzyki, szczególnie z innymi, odczuwałem jako formę umysłowej podróży przez kosmos, na którym można całkowicie polegać. Bach, Mozart, Schubert... oni nigdy nas nie zawiodą. Ich dzieła, wykonywane właściwie, mają charakter czegoś nieuniknionego, niczym wspaniała matematyka, która wydaje się złożona z istniejących już wcześniej prawd.

Dla kontrastu powiem wam, czego nauczyłem się w szkole. Miałem pewnego nauczyciela w Gimnazjum Luitpolda. Kiedy wchodził do klasy, wstawaliśmy, a kiedy już ujął dłońmi aksamitne wyłogi swojej togi i skiniął głową, siadaliśmy. To było czymś zwyczajnym. Ja natomiast zawsze uważałem, że dyscyplina jest ich sposobem narzucania rygoru intelektualnego i utrzymywania czujności oraz gotowości na przyjęcie nowych koncepcji. I dlatego w tej nedorzecznej szkole nie cho-

dziliśmy, ale maszerowaliśmy, wstawaliśmy i siadaliśmy unisono, recytowaliśmy łacińskie deklinacje jak jakieś plemienne zaklęcia. W mojej opinii było to ze wszech miar obraźliwe, a nawet zabójcze. Po semestrze czy dwóch chłopcy tracili wszelki polot, ciekawość wybito im pałką, osobowości zacopowano; w przerwach siadywałem zwrócony plecami do budynku gimnazjum i obserwowałem, jak biegają albo się siłują, albo kopią piłkę... nieważne, jaka to była gra... ewidentnie próbując się nawzajem pozabijać. W ich lekkomyślności i brawurze, w kurtkach mundurków ułożonych porządnie w kostkę, żeby nie doznały uszczerbku, była jakaś tłąca się wściekłość istot pozbawionych oparcia i rozproszonych wśród im podobnych towarzyszy. Widziałem to zatem i trzymałem się z daleka, wykonując swoją pracę, zresztą niezbyt absorbującą, i nie wystawiając na próbę niejasnych możliwości zaprzyjaźnienia się z którymkolwiek z nich, bo uważałem to wszystko za spuszczenie będące rezultatem, bezdyskusyjnie błędnej, zasady niemieckiego wychowania poprzez tyranię. Siedziałem w klasie, a mój umysł błądził gdzie indziej. Dostałem kiedyś od brata matki, Casara, książkę na temat geometrii euklidesowej. Przeczytałem ją tak, jak inni czytają powieści. Dla mnie była to podniecająca, warta szerokiego rozpowszechnienia lektura. I tego ranka, kiedy siedząc w klasie, uśmiechałem się do siebie, przypomniawszy sobie to cudowne twierdzenie Pitagorasa, niemal natychmiast stanął przede mną nauczyciel i uderzył wskaźnikiem w stolik, żeby odzyskać moją utraconą uwagę. Po lekcji, kiedy wraz z innymi wychodziłem z klasy, przywołał mnie do siebie. Popatrzył na mnie z katedry. Miał ów nauczyciel okrągłą, czerwoną, świecącą twarz, która przypominała mi oblane karmelem jabłko. Można by się wgryźć w taką twarz, oczekując, że po przełamaniu twardej polewy

dotrze się do mięszu. Masz zły wpływ na moją klasę, Albercie, oznajmił. Zamierzam cię stąd przenieść. Nie rozumiałem. Czyżbym postąpił niewłaściwie? spytałem. Siedzisz tam, uśmiechając się i bujając w obłokach, powiedział. Jeśli nie potrafisz skupić na sobie uwagi każdego ucznia, to jak mam zachować do siebie szacunek? Dzięki temu w jednej chwili poznałem tajemnicę wszelakiego despotyzmu.

Ten sam nauczyciel, a może jakiś inny, bo mógł to być którykolwiek, zresztą nieważne... pewnego dnia wziął do ręki, pomiędzy kciuk i palec wskazujący, zarzdewiały gwóźdź. Takim ćwiekiem przebito dłonie i stopy Chrystusa, stwierdził, patrząc wprost na mnie.

Powiem tutaj o biednym Jezusie, o tym Żydzie, i o tym systemie zbudowanym na Jego imieniu; o tym, jak potwornie zadrwiła sobie z Niego historia.

Walt Whitman zapewnia nas o transcendentnej naturze nowojorskiej krzątanimy i zgiełku, tej wspaniałości, rozbuchanej arogancji, każdej chwili życia w tym mieście. Czyżby więc zdjęcia kłamały? Te stare, srebrwo-żelatynowe odbitki... Dwukółki i powozy, tramwaje, kolejki nadziemne i statki w basenach portowych... Ruchliwe miasto, wielkie wykopy budowlane oszalowane drewnem, ulice wytyczane pod sznurek. Mężczyźni na kolanach układający bruk, wielkie, słabo oświetlone poddasza wypełnione kobietami przy maszynach do szycia, mężczyźni w melonikach i w samych koszulach stojący u wejścia do swoich sklepów, nieskończone szeregi drobnych urzędników przy wysokich pulpitych, kobiety w długich spódnicach i w bluzkach prowadzące lekcje w klasach pełnych dzieciaków, pary pozdrawiające inne pary na Piątej Alei, zakutani łyżwiarze na jeziorku w Central Parku... To jest nasze, wzniesio-

ne miasto, jego układ pokrywa się z topografią naszych dusz, ale ci ludzie nie są nami, oni zamieszkują nasze miasto, jak gdyby należało do nich, domniemanie ich prawa do niego widoczne jest w każdym geście, każdym spojrzeniu, jednak oni to nie my, są obcymi zamieszkującymi nasze miasto, choć wydają się trochę znajomi, niczym nieznajomi z naszych snów.

Odczuwam spokój, spokój wynikający ze słuchania opowieści, której zakończenie jest mi znane. Przyglądam się czasom, kiedy ludzie mieli opowieść do odegrania, a ulice, którymi chodzili, stanowiły fragmenty narracji. Cóż to za słowo „infrastruktura”? To słowo, które udowadnia, że utraciliśmy swoje miasto. Nasze ulice służą transportowi. Nasze opowieści zostały rozmontowane, przytłaczające nas drapacze chmur drwią z idei wiarygodnej kultury.

Chryste, jakimże błędem jest ukazywanie mostu Brooklyńskiego czy Soho, czy szeregów kamienic w Harlemlu jako przykładów naszej ciągłości. Wydarzyło się coś strasznego. Zupełnie jak gdyby te fotografie nie były nie-
mą ilustracją przeszłości, ale czymś upominającym, jak duchy, że przynależymy jednocześnie do wtedy i do teraz, jak gdyby przepowiadały natrętnie, że utracimy ich świat, że mamy tyle a tyle czasu na rozkwit naszych iluzji, a potem zostaniemy zesłani na swoje własne miejsca na fotografiach, by stanąć z nimi, tymi nieznajomymi z naszych snów, tyle że mniej wyraźni, z ledwie dostrzegalnymi twarzami i postaciami, o ile w ogóle widzialni.

Odzywa się do mnie Tom Pemberton i spotykamy się na drinku u Knickerbockera, róg Dziewiątej i University Place.

Nie nosi koloratki, nie pozbawiono go co prawda

księżowskiej sukienki, tyle że, z grubsza rzecz biorąc, nie ma żadnego stałego przydziału. Pracuje w hospicjum na Roosevelt Island. Zrobił się bardziej masywny, jego szeroka twarz jest bardziej poorana zmarszczkami, niż zapamiętałem, niemniej pozostała szczerą, rumiana i przystojną; jasnymi, szeroko osadzonymi oczami przepatruje nerwowo salę, jakby szukał kogoś, czyj widok ukoi jego serce.

Piszesz zupełnie dobrze, mówi, jednak żaden pisarz nie potrafi namacalnie oddać faktury toczącego się życia.

Nawet Joyce?

Powinienem mu się przyjrzeć ponownie. Niemniej teraz, odkąd zobaczyłem tę odmienność od środka, że tak powiem, uważam, że powinienem się wystrzegać literatury.

Nieźle posunięcie.

Poczułeś się dotknięty. A ja ci powiadam, że mógłbyś służyć za przykład. To komplement. Ostatecznie mogłem cię przecież spisać na straty jako nędznego pisarzynę. To czytanie o sobie z wnętrza własnego umysłu jest czymś niepokojącym. Jeszcze jeden wstrząs dla innego rodzaju wiary.

Cóż, może powinienem z tego zrezygnować.

Na miłość Boską, niepotrzebna ci moja aprobata. Zgodziłem się na to... to znaczy nie stawiam tu żadnych warunków. Nawet bym cię nie prosił, żebyś nie wspominał tam o moich dziewczętach. Naturalnie, są teraz starsze. Mają własne mieszkania.

Możesz uważać sprawę za załatwioną.

Trish wyszła powtórnie za mąż... Dlaczego nie napisałeś, kim jest jej ojciec?

To będzie potem.

On wciąż się ze mną kontaktuje. Jak zwykle z tym swoim afektowanym uśmieszkiem, z wyższego poziomu, chociaż przyznać muszę, że miło było mieć w ro-

dzinie protestującego przeciwko wojnie, hipisowatego duchownego.

Dobre dla naszego wizerunku.

Zapewne. Ale teraz mnie posłuchaj. Używasz prawdziwych imion. Powiedziałeś mi...

Wiem. Zmienię je. Po prostu na razie są najlepsze. Z drugiej strony, kiedyś były jedynymi możliwymi imionami. Zatem jest jakiś postęp.

I to nie „Times” podjął historię mojego skradzionego krzyża. To jedno z tych niezależnych pisemek.

Cóż, proszę księdza, kiedy coś komponujesz, to robisz właśnie to, tworzysz kompozycję. Naginasz czas, zmieniasz szczegóły, jedne rzeczy dokładasz, inne opuszczasz. Nie jesteś zobligowany do tego, by umieścić tam wszystko. Czy też pokazać jakieś wydarzenie tak, jak się wydarzyło. Fakty mogą być kulą u nogi. Zgodność z nimi nie ma tu nic do rzeczy. Jest nieistotna.

Nieistotna?

Robisz to, żeby trybiki się kręciły.

Ba, ale niektóre rzeczy są tam ewidentnie przeinaczone.

Ojej. Niby jakie, Pem?

Rozumiesz, że nie mówię ci, co masz pisać. Żadnego wtrącania. Ale to przecież nie kazaniem u Świętego Tima ściągnąłem sobie na kark biskupa. I to, co ty wkładasz w moje usta, też nie jest przyczyną. Bo tak naprawdę to był splot kilku okoliczności.

Powiedziałeś mi, że jedno, konkretne kazanie...

No cóż, i tak, i nie... zastanawiałem się nad tym... i sądzę, że to tamtą robotę, którą miałem na wyjeździe w Newark, mógł on uznać za ostatnią kroplę. Pewności jednak nie mam. A tak przy okazji, w tamtej diecezji jest inaczej, tam Kościół jest szeroko otwarty. Przyciąga kobiety, gejów... pozwala na argumentację z pozycji liberalnych. Moich pozycji. Nie powinno się upraszczać. Tam wszędzie są anglikanie. W istocie ludzie mojego

pokroju mają w Kościele większe pole manewru, niż mógłbyś sądzić.

Co powiedziałeś?

Co?

Ta ostatnia kropla dla twojego biskupa.

O... to było dość proste. Jedynie spytałem zgromadzenie, jak według nich ta zorganizowana rzeź Żydów w Europie odcisnęła się na chrześcijaństwie. Na naszej opowieści o Jezusie Chrystusie. To znaczy, zważywszy na skromną reakcję naszych chłopców, czy holokaust jest wyłącznie problemem dla teologów żydowskich? A poza tym poprosiłem ich... tego ranka był tłum wiernych, którzy naprawdę słuchali moich słów, czułem to, a po pustych ławkach u Świętego Tima miałem wrażenie, że jestem w wypełnionej publicznością sali Radio City... poprosiłem ich, by wyobrazili sobie... jakie to umartwienie, jaki rytuał, jakie zachowanie mogłoby stanowić współmierną do tego nieszczęścia chrześcijańską reakcję. Coś, co by nas upewniło, że nasza wiara nie jest opartym na samooszukiwaniu błogostanem. Coś, co upewniłoby nas, że nasza opowieść to święta prawda. Coś na swój sposób równie wstrząsającego jak Auschwitz i Dachau. Czymże więc mogłoby to być? Rozważyłem kilka możliwości. Masowe wygnanie? Skazanie milionów chrześcijan na dożywotnią tułaczkę po świecie? Oczyszczenie ziem i miast na tysiąc mil wokół każdego bez wyjątku obozu śmierci? Powiedziałem im, że nie wiem, jaka powinna być ta stosowna reakcja... ale że jestem przekonany, iżbym wiedział, gdybym ją tylko zobaczył.

Tak powiedziałeś?

Na początek.

Rozumiem.

Taa. W tym cały dowcip.

Najprostsze cyfrowe techniki penetracyjne pozwalają sprawdzić mężowskie rachunki maklerskie i bankowe, polisy ubezpieczeniowe i dokumentację medyczną, płatności hipoteczne, świadectwa szkolne i z miejsc pracy, możliwości kredytowe, wpłaty na partie polityczne. Wszystko to można wziąć pod lupę i ewentualnie skonfiskować. Dodatkowe usługi prawników, księgowych, doradców inwestycyjnych. Kim i gdzie są. Jak się z nimi skontaktować. Analiza pisma. Analiza głosu – łatwa do podrobienia nosowa, filadelfijska wymowa. Analiza transakcji dokonywanych za pomocą typowej miesięcznej karty kredytowej oraz rachunków telefonicznych, by odkryć jakieś sekrety z jego życia, jakąś kochankę, matkę na utrzymaniu. Nic. Żadnych podejrzanych zakupów u jubilerów, w kwiaciarniach: jej mąż to narcyz tak czysty, że aż lśni, jedyny romans, choć wszechogarniający, ma sam ze sobą.

Jakieś dziesięć czy piętnaście lat starszy od nich obojga, mąż jest kimś w rodzaju korporacyjnego geniusza, szefem firmy produkującej komputery, do którego zaleca się japoński koncern skupiający międzynarodowe holdingi zajmujące się łącznością satelitarną, elektroniką i napojami bezalkoholowymi. Kochanek rozumie, że na tym poziomie zarządzanie nie wymaga żadnej konkretnej wiedzy na temat biznesu. Poleca kochance, żeby namówiła męża do przyjęcia wyzwania – życia w innym mieście, regularnych podróży do Japonii, nowych lądów do podbicia... Tak się też staje. Potem, kiedy mąż doprowadza do końca sprawy na starym stanowisku – starając się przy tym usilnie, żeby zachować serdeczne stosunki, doradzając nawet radzie nadzorczej, kogo ma wybrać na jego następcę, gdyż istotą życia korporacyjnego jest ruchliwość, przy której nie pali się za sobą mostów – żona/kochanka udaje się na wybrzeże Pacyfiku, żeby rozpoznać teren, znaleźć nowy dom w odpowiednim sąsiedztwie i tak dalej.

Kochanek leci z nią do tego nowego miasta, wybiera dom, meble, wszystko, do najdrobniejszego szczegółu. W tym czasie ona jest już mu tak niewolniczo oddana, że wszystko, co robią, wydaje się jej naturalne i normalne.

Przywiozła ze sobą kilka zdjęć męża, poczynając od prywatnych, a na oficjalnych, firmowych kończąc. Kochanek leci do Budapesztu z fotografiami przetworzonymi cyfrowo w hologramy, przeznaczonymi dla chętnego do współpracy chirurga, znajomego z dawnych czasów, którego nie informuje, czy wciąż należy do społeczności wywiadowczej, pozwala mu się jednak domyślać, że tak, czym zapewnia sobie jego najdalej posuniętą dyskrecję. Nie różnicie się aż tak bardzo, mówi chirurg, przypatrując się uważnie hologramom. Bo tak i jest, myśli sobie kochanek. W gruncie rzeczy musiało ją we mnie pociągać to, że jesteśmy z tamtym mniej więcej tej samej szczupłej budowy, obaj zaś musieliśmy jej przypominać kogoś, kogo kochała w dzieciństwie. Niekoniecznie chodzi tu o relację typu edypalnego, wszyscy przecież doszukujemy się powtórek jakichś czystych więzi powstałych w naszej wczesnej, niezbyt świadomej młodości. Nawet w tym wczesnym, wrażliwym wieku dochodzi do przeniesienia, kiedy to jakieś modelowe osoby odciskają się w naszej psychice jako miłości na całe życie tak głęboko i tak niezatarte, że w ich obecności stajemy się heliotropiczni.

Mój nos zostanie złamany i powiększony, włosy, po przeszczepach, utworzą wdowi szpic*, nosić je będę krótko przycięte i posrebrzone na skroniach, żeby dodać sobie jakieś dziesięć lat. Żuchwa, dzięki implantom, zostanie lekko poszerzona. Będę musiał przytyć dwaście do piętnastu funtów, a w butach nosić wkładki...

* Trójkątna linia włosów schodząca nisko na czoło; dawniej wierzono, że zwiastuje rychłą śmierć (przyp. tłum.).

To jednak nie ma być opowieść o szczegółach. Nie może być uzależniona od realistycznego przedstawienia przemyślnie wypracowanych detali, mającego na celu jej uwiarygodnienie. Wszystko to można bez trudu załatwić podczas montażu. Film zaś powinien funkcjonować w królestwie abstrakcji, gdzie sprawy praktyczne ustępują miejsca niesamowitym rezonansom prawdy codziennej. Ponieważ zło, to najczęściej popełniane, pochodzi z życia, nie tylko motywację, ale i formę bierze ze struktury istniejących okoliczności, zazwyczaj nie jest wynikiem takiej wydumanej dewiacji i jego popełnienie nie wymaga tak szczegółowego, długotrwałego planowania.

W gruncie rzeczy można powiedzieć, że film zaczyna się tym, co w umyśle kochanka stanowi kulminację, a mianowicie sceną w stylu performance art, w której amerykański człowiek sukcesu, do którego nie żywi on żadnych uczuć, z antypatią włącznie, zostaje strącony w materialny i psychiczny niebyt. Podejdzie do drzwi, które uważa za własne, i żona go nie rozpozna. Zaprzeczy, jakoby w ogóle go znała. Jego sobowtór poprosi policję, żeby go stamtąd zabrała, i oskarży o napastowanie. Ochrona nie pozwoli mu wejść do własnego biura. Hotele nie zechcą przyjmować jego kart kredytowych. Starzy przyjaciele z lękiem się od niego odsuną. Prawnicy nie będą odpowiadali na jego telefony. Jego paszport, sfałszowany, zostanie skonfiskowany. Zdezorientowany i jedynie bardzo ogólnie rozumiejący, że coś mu zrobiono, wściekając się, że wyzuto go z jego miejsca na ziemi, będzie wygłaszał bombastyczne przemowy oraz skargi.

Być może, myśli kochanek, on zwariuje. Być może spróbuje mnie zabić i wyląduje w jakiejś instytucji dla szalonych przestępców. Innym smakowitym kąskiem zwiększającym napięcie jest to, w jakiej mierze zdołam zapanować nad nią, przewidywalne o tyle, o ile można

jej ufać. Jeśli zachowała jakieś resztki uczuć, czy to współczucia, czy przerażenia, mogą one sprawić, że – choć grozi jej w takim wypadku oskarżenie – wyjawí tamtemu prawdę i z hukiem obróci wniwecz całą tę piękną robotę.

Oczywiście najprawdopodobniej – i jakże mogę utrzymywać, że nie spodziewałem się tego po sobie od początku – dokonawszy tej zbrodni uzurpacji, odkryję, że nawet ona nie zapobiegła mojemu głębokiemu, chronicznemu znużeniu, z którego mógłbym się wyleczyć, chociażby chwilowo, jedynie porzucając tę kobietę, która oddała mi się tak obsesyjnie i z takim uwielbieniem, że wszystko, co jej pozostało z życia, to ów zdruzgotany, zdradzony przez nią mąż.

I tak oto mamy świecką, oświeceniową wersję historii Amfitriona. Na dodatek zaczęła się ona od tej ślicznej, pewnej siebie kobiety, obok której siedziałem podczas jakiejś kolacji. To jest moje laboratorium, tutaj, w mojej czaszce...

Wrony na molo? Zatem teraz są i tutaj. Nigdy nie słyszałem, żeby wrony leciały do słonej wody. To bardzo niedobrze. Popatrzcie tylko na nie, trzy czy cztery, zeskakują z pali na deski, dziobią z zapalem pozostawione przez mewy krabie odnóża i małże. Grupa rozpoznawcza, patrol. Jeśli spodoba im się to, co znajdują, pójdą za nimi całe stada, skrzeczące i kraczące w nadbrzeżnych drzewach, czyniące tyle rabanu i hałasu co jakiś cholerny klub motocyklistów. Jezuu. Mam tutaj wilgi śmigające wśród czarnej borówki, potrzosy, które uwielbiają balansować na koniuszkach trzcín, kiedy podniesie się wiatr, mam brunatnoskrzydłe kosy, przedrzeźniacze, drożdżiki, kardynały, strzyżyki, dzięcioły, jerzyki, mam brzytwodzioby, biegusy i pokrzywione

niczym staruszką ze zgiętą szyją czaple nocne... Wrony są większe i bystrzejsze, i hałaśliwsze, kiedy się zbierają. Przejmują teren, potrafią przepędzić wszystkie inne ptaki, to poważna sprawa, muszę je bacznie obserwować. Wracajcie do swoich podmiejskich lasów Westchester, wrony. Jesteście ptakami z głębi lądu, zbieracie się w koronach dużych klonów, skąd sfruwacie na ulice, żeby zjadać padłe wiewiórki. Nie wyglądacie dobrze na tle szerokiego nieba. Wrony na molo to wątpliwa metafora.

Rozważmy przez chwilę tamte uwagi mojego nauczyciela z Gimnazjum Luitpolda: że aby zachować szacunek dla siebie, wymaga on mojej uwagi, oraz że Jezusa ukrzyżowali tacy jak ja. Zatem były tam dwa elementy stopione w jedno – chrześcijanina autorytarnego oraz wojującego. A teraz poproszę was o rozważenie możliwości, czy owa pobożna praca umysłowa chrześcijańskich kapłanów i królów, którzy przez wieki demonizowali i oddzielali rasowo europejskich Żydów od innych ludzi, za pomocą autodafe, pogromów, ekonomicznych zakazów, prawnych ograniczeń, deportacji oraz kultury społecznie szanowanego antysemityzmu... w tym właśnie momencie, w mojej gimnazjalnej sali klasowej, osiągnęła masę krytyczną. Wyobraźmy sobie takie małe, spokojne resentymenty zapadające w umysły tysiąca, miliona dzieci mojego pokolenia. A chwilę potem: holokaust. Widzicie więc, co nie porusza się tak szybko jak światło, a przecież dostatecznie szybko, i co zebrawszy taką skupioną masę, że poruszyć jej nie sposób, staje się wciąż przyspieszającą katastrofą historii ludzkości.

Jaki zatem wniosek musimy z tego wyciągnąć, by zachować logikę? Uwzględnivszy wydarzenia europejskiej cywilizacji dwudziestego wieku, musimy stwierdzić, że nie można się już na poważnie trzymać trady-

cyjnej, religijnej koncepcji Boga. Tak więc, skoro jestem osobą poważną, w co wierzę, muszę szukać Boga gdzieś indziej niż w tekstach religijnych. Muszę podjąć próbę zrozumienia pewnych nieredukowalnych praw wszechświata jako reguł transcendentnych. W tych prawach zamanifestuje swoją obecność Bóg, ów Stary.

Ku naszemu zdumieniu, choć mamy do czynienia z zimnymi, wiecznymi, bezpostaciowymi prawdami – o tyle, o ile zaczynamy rozumieć owe wspaniałe, bezdźwięczne, przeogromne, kosmicznych rozmiarów struktury – możemy czerpać pociechę z ich piękna. Możemy się radować, że jesteśmy świadomi ich istnienia, że można je – w sposób niepojęty – pojąć!

Pamiętajmy bowiem, że teoretycznie to, co jest, mogło przybrać inną postać, istniały inne możliwości. Gdyby, na przykład – przeprowadźmy taki eksperyment myślowy – grawitacja przestała być fundamentalnym mechanizmem wszechświata, jaki byłby tego rezultat? Nasz układ słoneczny rozleciałby się na wszystkie strony, wody ziemskie wylałyby się ze swoich oceanicznych basenów i w postaci kryształów pomknęły w przestrzeń niczym bryły węgla w dół szybu, to cały ten system, ta wypełniona ciemną materią przestrzeń, a także gwiazdy, światło słoneczne, życie organiczne, mitotyzacja, jedno prowadzące do drugiego w rozwijającym się ciągu warunków niezbędnych i koniecznych... przestałby istnieć. Cóż zatem byłoby w zamian? Być może po kilku bilionach lat z owej wiecznej czarnej bezkształtności wynurzyłoby się coś organicznego, coś, czego rozmnażanie nie byłoby zależne od światła czy wilgoci – jakaś odżywiająca się nicością bezkształtna efemeryda – i życie, jeśli byłoby to życie, zostałoby zdefiniowane w sposób, którego teraz określić niepodobna. Bez wątplenia wszystko to jest dla naszej świadomości mniej kuszące niż to, co mamy obecnie, co obecnie widzimy, co próbujemy obecnie zrozumieć.

Żeby ukoić nerwy, świętujmy stałą naturę prędkości światła, chwalmy grawitację, która w istocie jest zakrzywieniem przestrzeni, i radujmy się, że nawet światło zagina się pod jej wpływem, biegnąc po tych krzywiznach ku obiektom niebieskim, jak gdyby narzucono na nie połyskującą czerwono-złotą sieć. Wpływ grawitacji na światło udowodnił mój kolega, Millikan, kilka lat po tym, jak obmyśliłem swoją teorię. Analizując widmo światła, które przeszło w pobliżu gwiazdy X, zauważył mianowicie jego przesunięcie ku czerwieni, co uznał za dowód, iż światło to zostało wcześniej grawitacyjnie zagięte. I tu, moi drodzy przyjaciele, jest dla nas sakrament, nieprawdaż? Pierwszy sakrament, zakrzywienie gwiazdowego światła. Tak. Zakrzywienie gwiazdowego światła.

Rozmowa Sarah Blumenthal z ojcem

Byłem gońcem. Moja praca polegała na przekazywaniu rodzinom do domów nowin albo poleceń rady. Albo wiadomości od jednego członka rady do drugiego. Albo na staniu na straży przy placu, u wjazdu na most, żeby ich powiadomić, czy nadjeżdża otwarty samochód osobowy, a za nim wypełniona żołnierzami półciężarówka, co oznaczało, że znowu się wydarzy coś złego. Gnałem jak wiatr bocznymi uliczkami i zaułkami, żeby zdążyć z ostrzeżeniem. Ta odpowiedzialność przerastała mój wiek. Było nas siedmiu, siedmiu chłopców, którzy byli gońcami. Nosiliśmy specjalne czapki, przypominające policyjne, z wojskowym daszkiem. I naturalnie na kurtkach mieliśmy naszyte gwiazdy, zatem wszystko to, to moje poczucie, że jestem wojskowym, było bardzo wypaczone. Czułem się uprzywilejowany, że moja gwiazda nie jest jak wszystkie inne gwiazdy, że daje pewne

świadełtwo mojej rangi, a jeszcze ta niby to wojskowa czapka i wiedza o tym, co się dzieje, większa zapewne od czyjejkolwiek wiedzy... wszystko to powodowało, że czułem się wyróżniony. Pan Barbanel, główny asystent przywódcy naszej społeczności, doktora Koeniga, powiedział, że jestem jego najlepszym gońcem. Do najważniejszych spraw wybierał mnie. Miałem zatem gwiazdę na kurtce i czapkę wojskowego fasonu i byłem gwiazdą wśród gońców, tak właśnie o sobie myślałem.

Proszę, byś pamiętała, że miałem zaledwie dziesięć lat. Żyłem w tej ułudzie, czasami nawet podziwiając skrycie mundury naszych wrogów, a zarazem wiedziałem doskonale, co się dzieje. Jakże miałbym nie wiedzieć?

Generalnie obowiązkiem rady było codzienne zapewnianie siły roboczej produkującym na potrzeby wojska fabrykom miasta. Gdyby rada o to nie zadbała, gdyby Niemcy uznali, że nie jesteśmy wystarczająco produktywni, byłby to nasz koniec. Mężczyzn oraz młodsze kobiety wyznaczono do pracy fizycznej, większość kobiet i mniej sprawnych mężczyzn miała się natomiast zajmować gettem, podtrzymywać jego funkcjonowanie, prowadzić piekarnię, szpital, pralnię i tak dalej. Zatem kobiety też musiały być sprawne fizycznie. Każda, u której wykryto ciążę, była zabierana i mordowana. A jeśli dziecko już się urodziło, mordowano i matkę, i dziecko. Stąd w całym getcie nielegalnie dawano schronienie brzemienным kobietom, starcom, bezdomnym dzieciom i osobom niezdolnym do pracy. Kiedy się dowiadrywaliśmy, że ma nastąpić przeszukanie, każdy z gońców miał do obskoczenia kilka domów. Ja biegłem do tych, które mi wyznaczono, i w umówiony sposób pukałem do drzwi. Był to sygnał, że ludzie mają się kryć. Wszystko odbywało się cicho i sprawnie, bez żadnych płaczów i wrzasków. Potem, kiedy już przebiegłem swoją trasę, mia-

łem czas na to, żeby albo wrócić do względnego bezpieczeństwa siedziby rady, albo ukryć się gdzieś na własną rękę, zazwyczaj na dachu jakiegoś pustego domu, gdzie tuliłem się do komina. W tych chwilach najwyższego przerażenia owi ukrywani rozpraszali się, szukając schronienia we wszelkich możliwych miejscach, w szafach, dołach po kartoflach, piwnicach, na poddaszach, w studniach, kryptach. A ja słyszałem, jak – co było nieuniknione – odkrywano którąś z tych kryjówek. Z różnych stron dochodził do mnie tupot żołnierskich butów albo gardłowe wrzaski, potem czyjeś krzyki, a czasami wystrzał z pistoletu. Niemcy brali ze sobą na te przeszukania policjantów z getta, których tam, na miejscu, torturowali, żeby odkryć, co wiedzą. Odnajdywano ludzi, wywlekano na ulicę, ze wszystkich stron dochodziły okropne odgłosy. Gdziekolwiek byłem, nieważne, jak bezpieczny, odczuwałem taką wściekłość... że z całych sił musiałem tłumić samobójczy impuls pchający mnie do zaatakowania tych żołnierzy, do skoku na ich grzbiety, szarpania ich palcami jak szponami, młócenia pięściami. Odczuwałem to pragnienie w szczęce, w zębach.

Kiedy przydzielono mnie na plac, na którym wartownicy zatrzymywali i sprawdzali przechodzące przez most brygady robocze, wyznaczano mi zadanie ostrzegania rady, gdyby działo się coś niezwykłego. Ci wartownicy byli w większości nierozgarniętymi, głupimi osobnikami, najgorszymi mętami niemieckiej armii, często już w średnim wieku. W mojej wojskowej czapce byłem dla nich praktycznie niewidoczny. Bez końca przemierzałem ten plac w tę i z powrotem, czasem nawet kucałem za jakimś stosem rupieci, żeby zaobserwować, co się dzieje. Jeśli, na przykład, jakiś robotnik został przyłapany wieczorem na szmuglowaniu do getta bochenka chleba albo kilku papierosów, powstawał ogromny harmider i rada musiała bez zwłoki interwe-

niować, próbując wynegocjować najniższą z możliwych kar. Gdy czasami żołnierze zatrzymywali jakąś kobietę i pod byle pretekstem przetrzymywali ją na wartowni, tym też należało się zająć. W środku dnia, kiedy mniej się działo, trzymałem się na ogół bocznych uliczek, choć zawsze na tyle blisko placu, żeby widzieć lub słyszeć, co się na nim dzieje. Byłem dzieckiem odpowiedzialnym, ale kiedy panował zbyt duży spokój i nie potrafiłem się oprzeć impulsowi, wślizgiwałem się do któregoś z pustych domów, wdrapywałem się na dach i tam pełniłem swoje strażowanie. Większość domów w getcie była zaledwie chałupinami, niektóre jednak były piętrowe, niektóre zbudowano z kamienia, były też stodoły z górką na siano, stajnie, warsztaty z płaskimi dachami, kilka budynków sklepowych. Niebezpieczeństwo tego trzymania straży na dachu, kiedy grzejąc się w słońcu, siedziałem w utworzonym przez zapadający się komin wgłębieniu, polegało na tym, że mogłem tam zasnąć i jeden z tych otwartych samochodów osobowych mógł w tym czasie przejechać przez most i minąć dołem moje stanowisko, a ja nic bym o tym nie wiedział. Na ogół byłem zbyt głodny, by zasnąć, choć często śniłem na jawie. Widziałem most na całej jego długości oraz te przymostowe ulice po drugiej stronie rzeki, gdzie kiedyś był mój dom. Żył miasta rozciągały się na wzgórze, na których widziałem kwartały domów mieszkalnych oraz budynków biurowych, a jeśli patrzyłem z odpowiedniego miejsca, mogłem dostrzec na tle wzgórz fabryki zbrojeniowe, gdzie w bezwietrzne dni z wysokich kominów unosiły się pionowo w niebo słupy dymu.

Gdy obracałem głowę na wschód, widziałem, jak teren staje się pofałdowany, tworząc najpierw pagórki, a następnie zryte wąwozami góry, wszystko to gęsto porośnięte sosnami i brzozaami. W tej okolicy było dla mnie coś magicznego, z niej bowiem operowali żydowscy partyzanci, którzy mieli broń i robili wypady na Niemców.

Wierzyłem, całkiem zresztą nierozsądnie, że wśród partyzantów znajdują się moi rodzice – walczący z bronią w ręku bohaterowie żydowskiego ruchu oporu. Wierzyłem w to, wierząc zarazem, że nie żyją. Wierzyłem w obie te rzeczy naraz. Wyjaśnię ci to, bo dzięki temu dowiesz się też, jak zostałem gońcem.

Przed niemieckim najazdem, przed wywłaszczeniem Żydów, mój ojciec, a twój dziadek, wykładał na uniwersytecie ekonomię rolnictwa. Zajmował się zbożami, produkcją rolną i tak dalej. Dlatego też został tajnym konsultantem rady, która musiała sprawować kontrolę nad rozdziałem dostarczanej przez Niemców żywności. A że naturalnie nigdy nie było jej dość, mój ojciec zaplanował, aby na dwóch pustych parcelach założyć ogród warzywny, rada zaś wystąpiła do Niemców o zatwierdzenie tego planu.

Moja matka była doktorantką anglistyki na tym samym uniwersytecie. Kiedy przeprowadziliśmy się do getta, wszystko to się skończyło. Na początku ojciec codziennie o świcie przechodził razem z brygadami roboczymi przez most i szedł pracować na linię produkcyjną w fabryce samolotów, a moja matka została nauczycielką w jednej z działających w getcie szkół. Jednak w getcie nic nie trwało długo, restrykcje następowały jedne po drugich i odbierano nam coraz więcej rzeczy, które należały do normalnego życia. I tak pewnego dnia Niemcy pozamykali nasze szkoły, a moją matkę, jak przedtem ojca, przydzielono do pracującej w mieście brygady roboczej.

Mnie ostrzeżono, żebym się nie pokazywał. Większość czasu spędzałem zatem w domu. Matka przyniosła mi kilka książek, które uratowała przed konfiskatą. Trzymałem je za luźną deską w ścianie mojego pokoju. Był to pokój na poddaszu, z małym okienkiem, przez które mogłem wyglądać jedynie na kolanach. Studiowałem te książki – wypisy z francuskiego i angielskiego, zbiory zadań matematycznych, syntezy dziejów

cywilizacji europejskiej – z wielką gorliwością. Przepadałem za podręcznikami dla wyższych klas szkolnych i sprawiało mi przyjemność, że mogę się z nich uczyć. Mama wyznaczała mi materiał do przerobienia, a nawet urządziła mi z niego sprawdziany. Uwielbiałem sprawdziany. Uwielbiałem jej głos, kiedy odczytywała moje wypracowania i je oceniała, i uwielbiałem, kiedy wieczorem, gdy już przygotowała kolację, pochylaliśmy się oboje nad podręcznikiem.

Naturalnie miałem kilkoro przyjaciół. Josepha Liebniera z klasy o rok wyższej niż moja, którego ojciec piekł chleb w piekarni getta, i chłopca o imieniu Nicoli, który dzielił się ze mną swoimi niemieckimi książkami o kowbojach, oraz blondwłosą Sarah Levin, której matka, Miriam, urodziwa nauczycielka muzyki, powiedziała mojej matce, że Sarah ma na mnie oko, co przyjąłem z udawaną obojętnością. Każdego tygodnia we wtorek szedłem dwie przecznice dalej na lekcje skrzypiec u pani Levin. Skrzypce, choć należały do mnie, zostawiałem u niej. Rzecz jasna nie mogłem ćwiczyć. Każda moja lekcja była zarazem ćwiczeniem przygotowującym do tejże lekcji. Odbывały się one w czasie pracy cieśli z warsztatu za ścianą, by panujący tam hałas zagłuszał dźwięk skrzypiec. Sarah Levin, szczupła dziewczynka z jasnymi włosami, siadywała wówczas z nami w pokoju i bacznie mnie obserwowała wielkimi oczyma, czego – jak sobie mówiłem – nie znośiłem, choć naturalnie starałem się z tego powodu grać dobrze.

Niemniej większość czasu spędzałem samotnie. Czekałem na rodziców, modląc się do Boga, żeby po dniu pracy w mieście wrócili do domu. Kiedy pojawiali się w drzwiach, wnosząc ze sobą mroźne powietrze, a niekiedy też odrobinę przeszmygłowanego jedzenia używanego drogą jakiejś wymiany od Litwinów, dziękowałem Bogu za Jego łaskawość.

W tym właśnie okresie mojego życia, obserwując

matkę i ojca, dowiedziałem się, czym jest dojrzała miłość. Tego, co udało im się zachować – ojcu męskość, matce urodę i dbałość o niego, obojgu wzajemne oddanie we wspólnym łóżku – mimo że zostali odarci ze swego życia, zniewoleni, że odebrano im wszystko, nie uważałem wówczas, a i przez wiele lat później, za godne uwagi. Jedynie rejestrowałem, co się dzieje. To ich wzajemne przyciąganie nie miało ze mną nic wspólnego. Matka nie potrafiła się powstrzymać od spoglądania na mojego ojca. Kiedy był z nią w jednym pomieszczeniu, wyglądała jak zaczarowana. Patrzyłem na jej biust, kiedy oddychała. Zauważałem, jak grube jest jego przedramię pod podwiniętym rękawem. Obserwowałem, jak ojciec staje w otwartych drzwiach i rozgląda się po ulicy, nim wyjdą z domu. Kiedy szykowali się o świcie do pracy, on pomagał matce włożyć płaszcz, po czym ona odwracała się i stawiała kołnierz jego palta. Oboje mieli z przodu i z tyłu przyszytą gwiazdę z żółtego materiału.

Pewnej nocy obudziło mnie coś, co wzięłem za wiatr gwizdzący w szparach między deskami poddasza. Nie był to jednak wiatr, lecz krzyk. Nie z pobliza, nie z mojego domu – słyszałem rodziców w pokoju na dole, słyszałem niepokój w ich głosach, kiedy myśleli, że ich nie słyszę. Ukląknęłem przy oknie. Niebo jaśniało. Moja ulica była cicha, domy ciemne, jednakże niebo za nimi zdawało się wzlatywać ku górze. Na mojej nocnej koszuli zobaczyłem jaskrawe odbicie płomienia i zawołałem do rodziców: Pali się, pali się! Niemal natychmiast matka była przy mnie i prowadziła mnie z powrotem do łóżka. Sza, powiedziała, wszystko w porządku, u nas nie ma pożaru, jesteś bezpieczny, zaśnij. Owinałem się mocno, przycisnąłem do zwiniętej poduszki i zacząłem przeciągle pomrukiwać, żeby nie słyszeć tych krzyków. Był to straszliwy dźwięk, chociaż odległy, złożony z wielu krzyczących głosów. Obserwowałem, jak blednie ogień przeświecający przez moje powieki. Zasnąłem,

wyobrażając sobie, że krzyki zamieniają się w wiatr i jak gdyby przyciągane przez Boga, wznoszą się do nieba.

Rano rozeszła się wieść, że Niemcy spalili szpital. Kiedy mówię „szpital”, nie należy sobie wyobrażać nowoczesnego, wysokiego budynku, jakie mamy tutaj. Tam była to grupka domków zaadaptowanych do tego celu po wyburzeniu części ścian i powiązaniu drewnianymi łącznikami. Mieściły się tam trzy wyposażone w piętrowe łóżka oddziały, jeden dla mężczyzn, jeden dla kobiet, jeden dla dzieci, pokoje do badań, mała, nędznie wyposażona salka operacyjna i apteka. Niemcy otoczyli ten szpital, zabili deskami drzwi i okna, po czym podłożyli ogień. Wewnątrz było sześćdziesięciu pięciu pacjentów, w tym dwadzieścioro troje dzieci. Te liczby pozostały w moim umyśle niezatarte. Sześćdziesiąt pięć. Dwadzieścia trzy. Niektórzy z pacjentów chorzy byli na tyfus i Niemcy obawiali się zarazy, obawiali się zdziesiątkowania siły roboczej. To było zatem ich rozwiązanie, spalić wszystkich żywcem, włącznie z personelem. Przez cały następny dzień nad miastem unosił się dym. Niebo było zachmurzone, temperatura nienaturalnie wysoka. Dym snuł się niczym mgła. Oczy mnie szczypały, kasłałem, żeby się go pozbyć z płuc. Wyobrażałem sobie, że wdycham ten dym ze zmarłych, co być może było prawdą. O świcie wszyscy jak zwykle musieli iść do pracy. Wieczorem, kiedy robotnicy powrócili, to choć obowiązywał zakaz zgromadzeń, kilku mężczyzn wślizgnęło się do stojącego po sąsiedzku domu rabiego, żeby odmówić kadisz za dusze pomordowanych.

Nie była to pierwsza z tych tak zwanych akcji niemieckich. Przeprowadzano je już wcześniej i czekały nas kolejne, nagłe, nie zapowiedziane przeszukania domów, po których Niemcy wywozili ludzi ciężarówkami do starego fortu nad rzeką, na wschód od miasta, żeby tam ich zamordować, gdy mieli te swoje napady skutecznego działania. Jednakże po tym konkretnym,

przerażającym wydarzeniu mój ojciec zrezygnował z funkcji, którą pełnił w radzie. Stwierdził, że dłużej już nie zniesie swojego współudziału w bezsilnym poddaństwie. Następnego dnia po pożarze odbyło się tajne zebranie rady i kiedy z niego wrócił, ja byłem na górze, udając, że już śpię, ale w rzeczywistości nie zmrużyłem oka i zachowywałem całkowitą czujność. Ojciec milczał, kiedy matka stawiała przed nim supę i kładła chleb. Odsunął talerz.

– Jutro jest comiesięczne spotkanie z Niemcami – oznajmił. – Rada złoży oficjalny protest. Wystąpi z moralną perswazją wobec tych nieposkromionych sił terroru. – Głos miał zupełnie dla siebie nietypowy, pozbawiony animuszu, bezbarwny.

– Co rada powinna, według ciebie, zrobić? – spytała matka. Mówiła bardzo cicho. Ledwie ją słyszałem.

– Nie dość, że systematycznie nas zniewalają, to jeszcze lubią nas zaskakiwać – ciągnął ojciec. Jego głos przybrał na sile. Było w nim teraz więcej gniewu. – Lubią się zabawiać. Schmitz, ten szakał, który kieruje wszystkim... – był to niemiecki dowódca, oficer SS. – Jak rada może znieść jego widok, rozmawiać z nim, jak gdyby był człowiekiem? To rytualne udawanie wspólnoty w człowieczeństwie, pod którą musimy się podpisywać, jeśli mamy ich przetrzymać! Jakbyśmy byli opiekunami szaleńców, którym za nic nie wolno powiedzieć, że są szaleni. Schmitz i ci inni będą się wspaniale bawili, udając, że prowadzą kulturalną rozmowę. Powiedzą, że toczy się wojna i choć to, co się dzieje, jest godne pożałowania, nie można tego uniknąć. A potem gładko przejdą do następnego punktu, to jest do omówienia przydziałów kartofli i maki.

– Sza, Ari, sza – uciszała go matka. – Obudzisz go.

– Nie mogę już tego znieść!

Tego krzyku rozpaczcy nie zapomnę nigdy, nie tylko dlatego, że ścisnęło mi się moje chłopięce serce, gdy się

dowiedziałem, że ojciec naprawdę nie może nas obrońić, ale i dlatego, że doznałem przeszywającego olśnienia – oto byłem, ja, fizycznie, zwierzyną łowną. Ojciec mówił dalej o tym rezultacie naszej historii: o tym, że żyliśmy wśród nich, chrześcijan, przez całe pokolenia, aż w końcu ujrzelśmy się ich oczyma – wykrzywieni i pokręcani na kształt ich nienawiści. Przeobraziliśmy się w żydów, żeby oni mogli być chrześcijanami.

Co dokładnie wydarzyło się potem, nie potrafię powiedzieć. Jakies dwa czy trzy miesiące po tamtym pożarze żyliśmy uczuciowo odrętwiali. Szok powoli ustąpił pod wpływem rutyny codziennych zajęć, tajnych spotkań czy, w wypadku osób religijnych, tajnych modłów. Ponownego powrotu nadziei, że ich przetrzymamy, że doczekamy wyzwolenia. Krążyły pogłoski o klęsce armii nazistowskiej w Afryce. W tym właśnie okresie moi rodzice nie wrócili z pracy do domu. Do dziś nie są mi znane okoliczności, w jakich do tego doszło. Pewnego dnia rano, jak zwykle, on pomógł jej włożyć płaszcz, ona postawiła mu kołnierz, by nie zmarzł, oboje ucałowali syna. Powiedzieli mi, jak zwykle, co mam tego dnia zrobić. I otworzyli drzwi, i wyszli na spotkanie mrocznego poranka, i zamknęli te drzwi za sobą, i nigdy więcej już ich nie widziałem.

Wiem natomiast, że mniej więcej w tym czasie wywieszono w getcie obwieszczenie – Niemcy wzywali setkę inteligentów do pracy przy porządkowaniu i katalogowaniu dokumentów miejskiego archiwum. Mama i tata omawiali tę sprawę. Ona nie chciała, by zgłosił się na ochotnika, argumentując, że Niemcom nie można ufać. Tata stwierdził, że ryzyko jest umiarkowane i może się zgłosić. Uważał, że przy takiej pracy mogłoby spotkać znajomych, którzy być może pomogliby mu nawiązać kontakt z ruchem oporu. Matka powiedziała, że chce, byśmy przeżyli. Ojciec odrzekł, że chociaż

każda decyzja, którą podejmą, może być ostatnia, jednego jest pewien, a mianowicie, czym to skończy się dla tych wszystkich, którzy pozostaną w getcie.

Cóż, naturalnie matka miała rację, było to jeszcze jedno ze zbrodniczych niemieckich oszustw: ci inteligenci, którzy przedstawili papiery zaświadczające, że ich umiejętności pozwalają pracować w archiwum, zostali wywiezieni ciężarówkami do starego fortu nad rzeką i rozstrzelani. Ale nawet jeśli mój ojciec znajdował się wśród nich, to co z matką, która przecież nie zgłosiłaby się do tej pracy? A może w końcu to zrobiła? To jednak byłoby zbyt nierozważne: oboje ryzykowaliby życie, a przecież mogliby osierocić małego chłopca. Być może kiedy ojciec się zgłosił, matka w jakiś sposób została w to wciągnięta i również ją zabrano. Być może zamordowano ich z innych powodów, nie mających z tą sprawą nic wspólnego. Tego nie wiedziałem.

Istniała jednak jeszcze inna możliwość – że oni żyli, że udało im się uciec i przyłączyć do partyzantów. Coś takiego powiedział mi rabin Grynspan z domu obok, tego samego wieczoru, którego rodzice nie wrócili.

– Chodź szybciotko, nie możesz tam zostać – powiedział. – Formalnie rzecz biorąc, jesteś sierotą, choć naturalnie twoi rodzice żyją sobie w lesie i wrócą po ciebie, oby Pan, niech błogosławione będzie imię Jego, wskazał im drogę.

– Przyłączyli się do ruchu oporu?

– Tak. – Słowo to wypowiedział po chwili wahania.

– Ale dlaczego nie zabrali mnie ze sobą?

– Uważali, że tutaj będziesz bezpieczniejszy. No szybko, nie gadaj już tyle. Naziści nie znoszą dzieci, które nie są pod niczyją opieką. Zajmiemy się tobą, zostaw te książki, zabierz sweter, te koszule, zawiń to wszystko w palto i chodź ze mną.

Od tamtej pory żyłem, wiedząc, że mama i tata umar-

li, a zarazem czekając, że wrócą i mnie uratują. Wiedziałem, że nie żyją, bo przecież nie uważaliby, że będę bezpieczniejszy sam w getcie niż razem z nimi. A sądziłem, że żyją, bo rabin potwierdził to, co powiedział ojciec: że chciał się skontaktować z ruchem oporu. Długo trwałem w tym chwiejnym stanie umysłu, wiedząc w głębi serca, że nie żyją, ale nieustannie podnosząc znad tego, co właśnie robiłem, wzrok, żeby sprawdzić, czy po mnie nie przyszli. A jeszcze więcej czasu minęło, nim całkiem przestałem o nich myśleć.

Jeśli Albert ma rację, z planet można czerpać pewną pociechę. Na przykład z tego, że wszystkie one są sferoidalne, że żadna nie ma kształtu kostki do gry czy też tekturek, na jakich umieszczają nam złożone po wypraniu koszule. I z myślenia o tym, jak się formowały z amorficznych wściekłych wirów kosmicznego pyłu i gazu, jak wszystko to nabierało ruchu obrotowego i schładzało się, i organizowało w funkcjonujący pod dyktando grawitacji układ słoneczny... I że najwyraźniej to samo zaszło już gdzieś indziej, że istnieją miliardy galaktyk z niepoliczalną liczbą gwiazd, tak że nawet jeżeli jedynie wokół ułamka gwiazd krążą planety, wokół których krążą z kolei księżyce... to na kilku, co najmniej, planetach może być woda niezbędna do powstania inteligentnego życia, być może cierpiącego z powodu tego samego kryzysu metafizycznego, który doprowadza nas do obłędu. Zatem przynajmniej to może nam poprawić samopoczucie.

Rozmowa Sarah Blumenthal z ojcem

Rabin zaprowadził mnie do siedziby rady. Było tam kilkoro dzieci. Niektóre płakały. Usiadłem wśród nich, na podłodze, oparłem plecy o ścianę i obserwowałem, i słuchałem. Personel rady błagał wszystkich, żeby byli cicho. Jeden z mężczyzn siedział przy biurku i pisał na maszynie. Miał maszynę do pisania, bo to była rada. Podobał mi się czysty, precyzyjny stukot czcionek. Przyśnąłem na chwilę. Kiedy się obudziłem, pozostałych dzieci już nie było, w pokoju panowała cisza, a przede mną klęczała jakaś kobieta.

– Masz teraz nowe imię – powiedziała, uśmiechając się. – I to ładne imię. Yehoshua. No dalej, powiedz je.

– Yehoshua.

– Tak jest. Yehoshua Mendelssohn. Od teraz to ty. Musisz reagować na to imię i nazwisko, a to jest zaświadczenie, które powiada, że teraz ty jesteś nim, i będziesz je nosił w kieszeni, dobrze? Na wszelki wypadek. Mieszkasz przy ulicy Demokratu. Zabiorę cię tam. Ładnie tam, widać z niej ogród warzywny.

Kobieta wzięła moje zawiniątko, ujęła moją dłoń, jak gdybym był dzidziusiem, i poprowadziła mnie przez getto. Wnętrze dłoni miała ze strachu wilgotne, ale nie puściła mojej ręki. Zatrzymała się przed drzwiami małego domku.

– Masz dziadka – poinformowała mnie i zapukała do drzwi.

Ten tak zwany dziadek był krawcem o nazwisku Srebnitsky, szczupłym, nieustannie poirytowanym mężczyzną, nieco przygarbionym, z wymykającymi się spod czapki siwymi kręconymi włosami i z wąskimi ramionami, na których luźno wisały koszula i kamizelka. Dochodziła od niego jakaś woń stęchlizny, którą brałem za charakterystyczny dla dziadków zapach. Miał bladoniebieskie, połyskujące, załzawione oczy. Najwięk-

sze jednak wrażenie wywarł na mnie dlatego, że był mi zupełnie obcy.

W domku były dwa pokoje, jeden od frontu, drugi od tyłu, oraz mała, służąca za kuchnię wneką. Miałem spać na kozetce w pokoju frontowym, gdzie krawiec prowadził swój interes.

– No, to mam wnuka – powiedział bez uśmiechu. – Tak postanowił w swojej mądrości Bóg. Czy mogę mieć nadzieję, że da mi On również córkę i zięcia? I dlaczegożby nie żonę, skoro już się do tego zabrał? – Nie mówił do mnie, ale najwyraźniej do tego, co trzymał w dłoniach, nad czym pracował, a być może do samych dłoni, które były wąskie, gładkie, zwinne i fascynujące, bo wydawały się o wiele młodsze niż on sam. Igła śmigła przez materiał, w tę i z powrotem, a doskonale równe rzędy ściegów przyrastały w zadziwiającym tempie.

Z czasem wziąłem na siebie obowiązek zmiatania z podłogi kawałków nici i resztek materiału, które się tam zbierały. Niczego się jednak nie wyrzucało, wszystko szło do skrzynki na szmaty. Ludzie przynosili do krawca wytarte płaszcze, sukienki, spodnie, które on naprawiał albo też pruł i jakoś odtwarzał za pomocą kawałków nici i szmatek z tamtej skrzynki, tak że znów można je było nosić, przynajmniej przez jakiś czas. Klienci nie płacili mu pieniędzmi, lecz wystawiali rewersy. A jeszcze częściej odwdzięczali się w naturze. Tego Niemcy nie byli w stanie kontrolować. Cieśla, któremu naprawił marynarkę, zreperował mu nie domykającą się okiennicę. Kobieta, której wszył podszewkę, przyniosła nam za to supę.

Jedyną książką w tym domu była Biblia, zacząłem ją zatem pilnie studiować. Pewne jej fragmenty wprawiały mnie w konsternację. Założywszy, że ten stary mężczyzna jest religijny, zacząłem mu zadawać pytania. W załzawionych oczach Srebnitsky'ego pojawiły się błyski triumfu. Z rozkoszą wskazywał na sprzeczności i absurdy biblijnych tekstów.

– Czytaj uważnie – mówił. – Wiele powiedzą ci daty. Kiedy się wydarzyło to, kiedy tamto. Samuel nie mógł napisać Księgi Samuela, tak samo jak Mojżesz nie mógł napisać Ksiąg Mojżeszowych. Skąd bowiem by wiedzieli, kiedy pomrą? Wszystko to bujdy, bzdury. Pobożne oszustwo. A na początku? Na początku... co? Kto mówi, do kogo? Kto tam wtedy był? Kto to mógł poświadczyć? Ludzie, którzy wymyślili te historyjki, wiedzieli jeszcze mniej niż my. Chcesz Boga? Nie patrz w Pismo, patrz wszędzie dokoła, na planety, konstelacje, wszechświat. Popatrz na żuka, na pchłę. Popatrz na wielorakie cuda stworzenia, włącznie z nazistami. Z takim właśnie Bogiem masz do czynienia.

Te uwagi dziwnie dodawały mi otuchy. Sam zawsze miałem wątpliwości co do biblijnego Boga, mam je zresztą i teraz, o czym dobrze wiesz i co, mam nadzieję, mi wybaczysz. Poza tym poglądy tego starego przypominały mi mojego ojca, który był syjonistą i człowiekiem uczonym, chociaż przestrzegał szabasu i dni świętych. Ponadto był jakiś skryty komplement w tym, jak ten stary człowiek się do mnie odnosił, skoro rozmawiał ze mną jak z kimś, kto potrafi wykorzystać możliwości swego umysłu, myśli samodzielnie i nie przyjmuje niczego na wiarę, choć byłem jedynie małym chłopcem.

Niemniej przez większość czasu Srebnitsky się nie odzywał. Godzinami siedział przy oknie pochylony nad stołem, jego piękne dłonie przemawiały do mojego umysłu czymś na kształt języka migowego. Koncentrację jego spojrzenia na niewielkim fragmencie materiału, nad którym rozprawiały jego dłonie, miałem za odrzucenie wszelkich Bożych kłamstw oraz uporczywą odmowę poddania się rozpacz, która, niczym gorączka, przetaczała się falami przez getto.

Maszynę do szycia zabrali mu już wcześniej i tę strąte przeklinał każdego dnia. Robiąc ustępstwo na rzecz jego rzemiosła, pozostawili mu nożyce i igły, i pudełka

ze szpulkami nici oraz innymi drobiazgami do szycia. A także dwie ludzkie postaci, z podstawami na kółkach, jedną męską, drugą żeńską, od pasa w górę zrobione z drutu. Te krawieckie manekiny często były obiektem mojej kontemplacji. Choć można było widzieć przez nie na wylot, ja odczuwałem ich obecność, jakby były prawdziwymi ludźmi. Zdałem sobie wówczas sprawę, jak niewiele trzeba, by coś robiło wrażenie człowieka. Czasami te manekiny były przestawiane i wzdrygałem się, wpadając na nie niespodziewanie, bo brałem je za ludzi. Fantazjowałem na temat ich obojętności i jak to nie może im wyrządzić krzywdy. Można je było powiesić, zastrzelić, można je było zmiażdżyć młotkiem w bezkształtną masę, wyciągnąć w jeden długi kawał drutu i zwinąć w kłęb, a one by tego nie odczuły, byłoby im to całkiem obojętne. Bycie obiektem nieożywionym uważałem, myśląc o nich, za stan godny zazdrości, wręcz transcendentny. A przecież nie miałem najmniejszych problemów z wyobrażeniem sobie, jak te manekiny rozmawiają. Tuż po tym, jak krawiec udawał się na spoczynek, a chwilę przed tym, nim sam kładłem się spać, lubiłem je ustawiać w pozycji konwersacyjnej. No tak, mamy wieczór, pora odpocząć, mówił mężczyzna do kobiety. Tak, odpowiadała ona, a jutro na pewno wstanie słońce i ogrzeje nas swoimi promieniami.

Uwagi Pema poczynione wobec biskupich wizytatorów

Odczuwanie Boga w sobie jest odczuwaniem pełnym, danym całej istocie, objawieniowym, natchnionym. Taka jest zazwyczaj odpowiedź udzielana indagującemu intelektowi, który samodzielnie nie potrafi uświa-

domić sobie świętej prawdy. Czy jednak tenże intelekt jest jakąś odrębną kategorią? Czyż istota bez intelektu może być kompletna? Dlaczego chwała Boża nie miałaby jaśnieć za pośrednictwem ludzkiego umysłu?

Wedle mnie prawdziwa wiara nie jest wiedzą, która wypiera inną wiedzę. Nie może ona odrzucać intelektu. Nie może odpowiadać intelektowi protekcjonalnym uśmiechem. Ja szukam tutaj pewnej równości. Nie powiem wam, że wasz dostęp do spraw niematerialnych jest iluzją, o ile wy nie oświadczyście, że mój intelekt jest nieistotny...

Opowieści biblijne, opowieści ewangeliczne stanowiły pierwotne zrozumienie rzeczy, były nauką i religią, były wszystkim, były jedyną rzeczą, jaką ludzie mieli. Nie powstały jednak same. Musimy przyznać, że zostały opowiedziane i zapisane.

Może nie we wszystkich opowieściach, ale na pewno we wszystkich opowieściach dotyczących jakiejś tajemnicy pisarz pracuje od końca. Zna zakończenie i tak konstruuje opowieść, żeby do tego zakończenia doprowadzić. Jeśli wiesz, że ludzie z różnych krajów mówią wieloma językami, masz oto zakończenie; opowieść o wieży Babel do niego cię doprowadza. Znanym zakończeniem życia jest śmierć; opowieść o Adamie i Ewie dochodzi do tego zakończenia. Dlaczego cierpimy, dlaczego musimy umrzeć? Cóż, rozumiesz, był sobie pewien Ogród...

Zakończenie opowieści sugeruje, że mogło też być inne zakończenie. To taka mała sztuczka. Zakładasz, że skoro sprawy przybrały taki a taki obrót, to równie dobrze mogły przybrać odmienny. Stwarzasz konflikt oraz napięcie tam, gdzie nic takiego nie było. Przemieniłeś los ludzki w ciągłą narrację o tym, jak do tego doszło.

Cóż, ja odczytuję to tak, że Bóg rozdał karty ze spre-

panowanej roli. Adam i Ewa nie mieli najmniejszej szansy. Historia Upadku jest przypowieścią o chwałce i wielkości ludzkiej świadomości. I jedynie tym ona jest...

Na Boga, nie ma niecierpięcego strachu rękawika nie autor opowieści. Nie dokonam tutaj poprawki: niebezpieczeństwa nie redaktor autora opowieści. Augustyn, redaktor Kościoła Rzymskiego, wyprzedził pojęcie grzechu pierwotnego. Coś za elegancko dzieło dokonstruacji... przekazywamy dzieciom naszym HIV jako doktrynę na poziomie uniwersyteckiego. Upadek stał się instrumentem społecznej kontroli. Bóg wymusza swoich agentów pełnomocnych, by utracali przepięknie lub je wstrzymywali. Nie wiem, jak to jest u was drodzy koledzy, ale tak się składa, że historia rzuca całe światło na moją wiarę. Jesteśmy rzucając i teologia, która mała obroni i poręczy chrześcijańskich. I tak, na przykład, czyż nowe narodzone dzieci, które umierają bez katolickiego chrztu, nie są skazane na śmiertelne potępienie, będący przedmiotem piekła? Chodzi o to, że... przecież wszelkie fantazje na temat kary wiecznej i grzechem pierwotnym spłodziły i wciąż ułuda pokolenia stornowawianych dzieci oraz wszelkich dorosłych i przodków katolickiej pokątności katolickim ciemniarstwem w Nowej Anglii, które przetrwały na swój własny charakter, bierowanie oraz odstawianie się na tym goście zwykłej radości i radości systemu, czego nie ma doktrynowany umysł jest naturalnym dziełem...

Jak więc, przy całej ichłej historii tego nowego, możemy wykonać naszą religijną wiarę przede wszystkim funkcjonowanie naszego racjonalnego umysłu?

Stary krawiec zwykł miłe traktować, jak gdyby był drożdżym domownikiem. Stary zaś potrzebował go a nie...

bie zatroszczyć. Niemniej kiedy zacząłem wyrastać ze swoich ubrań, podłużał je albo znajdował inne. Kiedy zacząłem kuleć, bo moje trzewiki stały się za ciasne, wymienił je na parę drewnianych chodaków. To on gotował nam kartoflankę czy kroił chleb, po czym wskazywał dłonią stół i siadaliśmy, by jeść posiłek w milczeniu. Wszystko to uważałem za najlepsze, co mogło mnie spotkać. Bo też w istocie byłem domownikiem. Starzec i ja nie byliśmy spokrewnieni, zawsze więc czułem, że ta sytuacja jest tymczasowa.

Zmuszony ukrywać, kim naprawdę jestem, nie mogłem się spotykać ze starymi przyjaciółmi czy chodzić na lekcje muzyki do pani Levin, czy widywać się z małą Sarah, która tak za mną szalała. Od czasu do czasu kobieta z rady, ta, która dała mi nowe nazwisko, przychodziła mnie odwiedzić, rozejrzeć się, czy wszystko jest w porządku. Przynosiła wtedy Srebnitsky'emu kilka papierosów albo trochę wódki w małym słoiku. Przyjmował te rzeczy jak coś, co mu się należy. Dla Jehoshuy Mendelssohna miała grzebyk albo ołówek i notesik. Jednak najlepszą rzeczą, jaką mi kiedykolwiek przyniosła, moim najcenniejszym skarbem, była zabawna amerykańska gazeta, a właściwie strona z kolorowymi komiksami z jakiegoś amerykańskiego czasopisma użytego do wyścielenia paczki, która jakimś cudownym sposobem dotarła do getta. Wyglądziłem pomarszczoną kartkę i czytałem ją w kółko, usiłując się domyślić, co znaczą angielskie słowa nad głowami postaci. Jedna historyjka była o średniowiecznym rycerzu, jadącym w pełnej zbroi na białym koniu przez sielski krajobraz. Inna ukazywała policyjnego detektywa w żółtym płaszczu, biegnącego z rewolwerem w garści po dachu wagonu kolejowego. Nie przeszkadzało mi, że nie mogę pociągnąć żadnej z tych historyjek poza te sześć czy osiem obrazków w gazecie; wystarczyło mi, że wiem o tych bohaterach i że mogę sobie wyobrażać, jakie przygody przeżywali. Przy-

wodziły one na myśl inne okresy historii, ludzi urodzonych w innych czasach, narażonych na odmienne niebezpieczeństwa. Była to mniej więcej ta sama myśl, którą przekazywał rabin dzieciom zgromadzonym w tajemnicy na Chanukę: „Przenajświętszy, niech będzie błogosławione imię Jego, dał nam Torę, dał nam współczucie, pokorę oraz siłę, by przeciwstawić się wszystkim tym, którzy chcą nam odebrać naszą wiarę. I Bóg poddaje nas próbie, jak poddawał próbie Machabeuszów, którzy odzyskali świątynię z rąk niegodziwców i zapalili lampę, w której było oleju jedynie na jeden dzień, ale która dzięki Przenajświętszemu, niech imię Jego będzie błogosławione, paliła się osiem dni. I my też wyzwolimy się z okowów i pokonamy naszych ciemężycieli, jak uczynili to Machabeusze”.

Co rano, kiedy już wstałem, spoglądałem na drugą stronę ulicy na ogród warzywny, który mój ojciec rozplanował dla naszej społeczności. Nawet gdy zrobiło się mroźno, a ziemia stała się naga, nie licząc zeschniętych łodyg, patrzyłem na bruzdy znaczące grządki i wyobrażałem sobie, jak ojciec się zastanawiał, co należy posadzić i gdzie. Popołudniami, kiedy było już dostatecznie ciemno, lubiłem tam chodzić. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Żołnierze wyznaczeni do służby wartowniczej byli mniej czujni, bardziej interesowało ich, żeby się ogrzać, niż czegokolwiek pilnować. Potem jednak nadeszły śniegi i żałobnym całunem położyły się na polach. Zniknęły wszelkie nierówności terenu, była jedynie ta płachta zimnej, błyszczącej bieli. Oślepiła mnie, nie pozwalała się przyglądać i odkąd utraciłem rodziców, pierwszy raz się rozplakałem. Z tej bieli doszła mnie okropna świadomość, że moje wspomnienia o nich... ich wygląd, ich głosy... zaczynają blednąć.

W końcu, mimo że bardzo się starałem zachować ich w pamięci, zostały mi jedynie przebląsky dotyczące ich natury moralnej, tak jak ja przywykłem o tym myśleć.

Któregoś dnia wróciłem ze swych wędrówek i zastałem Srebnitsky'ego przy pracy, przy krojeniu grubej sztuki luksusowego materiału, czarnego jak węgiel i wyjątkowo elastycznego. Skąd on się wziął? Spytałbym o to, gdybym w świadczącej o całkowitej koncentracji pozie krawca nie dostrzegał żądania ciszy. Jego wargi poruszały się, jakby mówił do siebie. Wydawał się rozgniewany. A przecież pracował szybko i precyzyjnie. Usiadłem z boku i obserwowałem jego dłonie. W końcu podniosły one wycięte kawałki materiału i osadziły je na drucianym mężczyźnie, który w tym samym momencie stał się oficerem SS w trakcie realizacji.

Cofnął się, żeby obejrzeć rezultat pracy.

– Widzisz, jaki sławny stał się twój dziadek. Wieści o mojej sztuce dotarły do Jego Ekscelencji Sturmbannführera Schmitza. Czy przyjmując taki honor, postąpiłem niewłaściwie? – spytał, wskazując na manekin.

– Musiałeś – odpowiedziałem z młodzieńczą bezpośredniością.

– Tak. Pewnie tak. Mówię też sobie, że to, iż któryś z tych łotrów potrafi być stroną w zwyczajnej transakcji, jest znakiem nadziei, pierwszym poruszeniem w ich ewolucji. – Co powiedziawszy, odsłonił napędzaną pedałami maszynę do szycia. – Tak więc znowu ją mam. I cóż? Czyżbyś coś mówił? – Pokręciłem głową, on jednak ciągnął dalej, jak gdybym z nim dyskutował. – Gdyby nie umiejętności Srebnitsky'ego, już by go tutaj nie było. Pamiętaj o tym. Te dłonie, którym zawsze z takim podziwem się przyglądasz... bo tyle o tobie wiem, choć jesteś zbyt dumny, by zostać krawcem... te jego dłonie trzymają go przy życiu. I choćbyś uważał, że to nic nie znaczy, ciebie też one utrzymały przy życiu, Yehoshua Mendelssohnie! Yehoshua Mendelssohnie – powtórzył pod nosem, wracając do pracy.

Bo, naturalnie – zdałem sobie w tym momencie sprawę – tak jak on był dla mnie kimś obcym, tak ja nie

byłem jego wnukiem. Chyba zrozumiałaś, prawda, że dano mi imię nieżyjącego wnuka krawca? Nigdy mi nie powiedział, co się wydarzyło; dowiedziałem się tego później w siedzibie rady. Zanim jeszcze powstało getto, zanim wojna przysłała do miasta, Rosjanie wycofali się na wschód. Nasi litewscy sąsiedzi wykorzystali tę sposobność, by urządzić sobie mały pogrom. Srebnitsky mieszkał z córką, zięciem i wnukiem Yehoshua w mieszkaniu przy ulicy Vytauto. Kiedy szył w swojej pracowni w innej części miasta, tłuszcza wyłamała drzwi mieszkania, wypędziła jego rodzinę na ulicę i zatłukła pałkami na śmierć. Wszędzie dokoła inni robili to samo, zabijali Żydów i rabowali z ich domów meble, dywany, naczynia, radioodbiorniki, wszystko. Srebnitsky pobiegł do domu i na chodniku znalazł ciała córki, jej męża i syna. Kiedy Niemcy zajęli miasto, wprowadzili swój porządek, eksmitując Żydów i osadzając ich w slumsach po drugiej stronie rzeki, które odtąd były naszym gettem. Oczywiście, nie zrobili tego, by nas chronić, ale by zachować nas do ciężkiej, przymusowej pracy w fabrykach zbrojeniowych. Pamiętam tamten okres, ukrywanie się w naszym mieszkaniu, szczęśliwie położonym na wysokim piętrze, z drzwiami zabarykadowanymi biurkiem. I pamiętam naszą wędrowkę, rodziców pchających wózek wypełniony rzeczami i meblami, które pozwolono nam zabrać, na drugą stronę rzeki. Pozbawiony rodziny, Srebnitsky przebył tę drogę samotnie.

Oczywiście przeżycia krawca w żadnym razie nie były wyjątkowe, jednakże lata później, kiedy myślałem o tym, co ściągnęło na niego śmierć, doszedłem do wniosku, że choć można człowieka doprowadzić do stanu, w którym nie zależy mu na życiu, to w przypadkach takich jak Srebnitsky'ego nie było to zwykle pragnienie śmierci, było to pragnienie samotranscendencji, które gdy raz się pojawi, oznacza koniec ludzkiego życia. A to coś innego, w każdym razie nie to samo. I stąd te co-

dzienne, nie do zniesienia męczarnie, których wszyscy doświadczaliśmy, były czymś wyjątkowym, a to z uwagi na sposób, w jaki odcisnęły się w każdym sercu z osobna.

Uwagi Pema poczynione wobec biskupich wizytatorów

Burkert, ten być może najwybitniejszy znawca starożytnych religii... znacie jego prace? Śledzi on źródła tego, co święte, co już samo w sobie jest zajęciem hereetyckim. Ukazuje nam jaszczurkę, która pozostawia ogon w paszczy drapieżnika. Lisa, który odgryza sobie łapę, żeby wyzwolić się z pułapki. Pytacie, co to ma wspólnego z Bogiem. W tej zaprogramowanej, biologicznej reakcji tkwi idea poświęcenia. Oddajesz część, by uratować całość. Pełno jest starożytnych mitów, w których ludziom udaje się umknąć potworom jedynie dlatego, że poświęcają część siebie, by skierować je na fałszywy trop albo opóźnić pogoń. Orestes oddaje palec, to samo czyni Odyseusz. Poświęcenie palca nie było w starożytnej Grecji drobiazgiem. Niemniej, z biegiem czasu, ofiara została zrytualizowana, nabrała charakteru symbolicznego. Człowiek nie musi się już okaleczać, w miejsce palca zostawia na ołtarzu pierścień. Ubija jagnię. Zostawia na pustyni kozła ofiarnego. Kiedy jednak w grę wchodzi los całej społeczności, wybiera się jednego człowieka, by skoczył w otchłań, żeby nie pochłonęła ona wszystkich. Jedną dziewicę oddaje się bezdennemu jezioru. Jedna osoba zostaje zrzucona z sań goniącym je wilkom. Jonasza spychają do morza, by ocalić statek i załogę. I podobnie jak stado zwierząt pasie się bezpiecznie jakiś czas po tym, jak lwy odcięły od pozostałych jedno z nich i je pożarły, tak i ludzkość czuje się bezpieczniej wobec groźby jakichś bezimiennych,

bezkształtnych koszmarów, jeśli poświęci jednego spośród siebie, jeśli dla dobra wszystkich jeden zapłaci za resztę, niczym ta pozostawiona w paści lisia łapa.

Zastanówcie się nad tym. Ta rozmowa ma charakter intelektualny. Odnajdujemy być może biologiczne źródło świętości, tego, co dla nas najświętsze, naszego wspaniałego wizerunku ucieleśnionego Boga, który umiera i umiera, od jednej niedzieli do następnej, żebyśmy my, pozostali, mogli dostać zbawienia.

Czy to wszystko jest nieistotne?...

Pagels, pracując nad zwojami odnalezionymi w roku 1945 w Nag Hammadi w Egipcie, odkrył, że wśród wczesnych chrześcijan istniał głęboki podział na tych, którzy chcieli Kościoła zgodnego z apostolską ciągłością podpartą dosłowną interpretacją Jezusowego zmartwychwstania, oraz na tych, którzy odrzucali zmartwychwstanie, traktując je wyłącznie jako duchową metaforę gnozy, osiąganą emocjonalnie, mistycznie, jako poznanie wykraczające poza zwyczajną wiedzę, jako postrzeganie tego, co pod albo ponad codzienną prawdą... Były to zatem zmagania o władzę. Gnostycy i synoptycy współzawodniczyli za pomocą swoich konkurencyjnych ewangelii. Gnostycy, którzy utrzymywali, że nie jest potrzebny żaden Kościół, kapłan czy episkopat, przegrali, co było nieuniknione, gdyż zgodnie z własnymi poglądami nie mieli żadnej organizacji. Chrześcijanie instytucjonalni natomiast, co rozumiało, aby przetrwać, zatroszczyli się o to, by ich prześladowana sekta miała odpowiednią strukturę, reguły dotyczące hierarchii i wspólną strategię przetrwania, koncepcję męczeństwa, na przykład, stworzono po to, by wydobyć z okropnych prześladowań coś pozytywnego, choć to również prawda, iż batalia o Jezusa była walką o władzę, że idea rzeczywistego zmartwychwstania, którą instytucjonaliści wysunęli na czoło, a gnostycy wyśmiewali, przy-

dała autorytetu instytucji Kościoła i że walka o zdefiniowanie Jezusa i skanonizowanie Jego słów, czy też interpretacji Jego słów dokonanej przez innych, była czystą polityką, być może równie pełną pasji co czci, i że pragnienie utrwalenia na zawsze autorytetu Jezusa... które to utrwalanie ciągnęło się jeszcze podczas Reformacji i tworzenia sekt protestanckich, w których próbowano przywrócić coś na kształt szczątkowej gnozy, by zaprotestować przeciwko tej sakramentalnej kościelnej biurokracji, którą jest obecnie chrześcijaństwo, z całą siłą, jaką ma ono jako wiara oraz bogata i złożona kultura... sprawiło, że jest ono tworem politycznym, z polityczną historią. Te konflikty wczesnego chrześcijaństwa stworzyły politycznie triumfującego Jezusa i od tam, od nawrócenia się cesarza Konstantyna w czwartym wieku, Jezus zawsze już był polityczny – w całych długich dziejach chrześcijaństwa europejskiego, tak jak je postrzegamy, jako historię Kościoła katolickiego, jego krucjat, jego Inkwizycji, jego podbojów i/lub aliansów z królami i cesarzami, a wraz z wkroczeniem Reformacji historię aktywnego udziału chrześcijaństwa, na wszelkie sposoby, w wojnach pomiędzy państwami i sprawowaniu rządów nad społeczeństwami. Jest to historia władzy...

Przepraszam. Wy macie do mnie pytania, a ja mówiłem bez końca o sprawach podstawowych, które dobrze znacie. A to dlatego, że zaczynam odczuwać ich ciężar. Ta złożona krytyka trwa już od stu pięćdziesięciu lat. Musimy ponownie przyjrzeć się temu, co mamy tuż przed oczyma. Różnica pomiędzy nami tkwi w stosunku do tych... rozterek intelektu. Wy uważacie je za nieistotne. Bardzo bym chciał, byście widzieli w nich wyzwanie. Naszą tradycję cechuje wielka swoboda. Łączą nas sakramenty, jednak różnimy się, kiedy przychodzi do problemów doktrynalnych, i myślę, że musimy je przyjąć do wiadomości. Wszystkie te zatwierdzane

przez nas cuda są dla mnie brzemieniem. A przecież myślę o sobie jako o dobrym chrześcijaninie. To jest wyznanie wiary. Mam nadzieję, że nie wykorzystacie go, by usunąć ze swoich szeregów kogoś z mojego pokolenia, za kim, jak widzicie, ciągną się jeszcze lata sześćdziesiąte. Dziękuję.

Midrash Jazz Quartet gra standardy

STAR DUST

*Sometimes I wonder why
I spend the lonely night
dreaming of a song?
The melody haunts my reverie,
And I am once again with you
When our love was new,
and each kiss an inspiration,
But that was long ago: now my consolation
is in the stardust of a song.
Beside a garden wall, when stars are bright,
you are in my arms
The nightingale tells his fairy tale
of paradise, where roses grew.
Tho' I dream in vain
In my heart it will remain:
My stardust melody,
The memory of love's refrain.*

Piosenkarz pyta, dlaczego marnuje noc,
tęskniąc za utraconą miłością,
O której śni jak o piosence. Naturalnie, on wie dlaczego...
Ma obsesję, nie potrafi się przemóc,

jest w sentymentalnym nastroju, lituje się nad sobą.
Musiała świecić dla niego niczym gwiazda,
skoro piosenka, której słucha, jest jedynie
pyłem po tamtej.

Jakie to szczególne w imię utraconej miłości przywoływać
popioły nuklearnej pożogi.

To jego problem, jego metaforyczna rozpacz.

Zastanawia jego sentymentalizm...

żeby udawać, że było się w raju,

w ogrodzie Edenu,

gdzie wszystko trwało wiecznie i róże nigdy

nie przestawały kwitnąć,

a jego ukochana śpiewała wieczorem duety

z ptaszkiem cenionym przez chińskich cesarzy...

Jak gdyby żaden z jego przodków nigdy nie zjadł owocu
ze słynnego drzewa,

Jak gdyby miłość była wieczna, życie wolne od śmierci.

(słabe oklaski)

Jeśli to, co sobie śpiewasz,

nie jest piosenką,

ale snem o tym, czym piosenka być powinna,

To naturalnie jest to całkiem do niczego,

Ta piosenka załamuje się, jak bywa ze snami,

I wszystko, o czym już sądziłeś, że wiesz,

znika,

Każda nuta jest lamentem.

Oto rzeczywisty problem serca:

Umysł w chaosie,

a nocy i dnia

odróżnić nie sposób.

Jak gdyby skonsternowany Bóg

cofnął świat do jego początków.

I miejsce, gdzie jest kochanek,

jako sen, jako piosenka, to na pewno nie Ogród.
Jest tam błyskawica, jest deszcz,
ogień niebieskie, zderzające się światy,
A piosenka o unieważnieniu miłości
stanowi muzykę sfer.

(obojętne oklaski)

Najgorzej, kiedy nocą doskwiera mu samotność,
a ona jest obok, ona nie odeszła.
On przypomina sobie czas, kiedy byli jednością,
Co jest jedynym rajem, jaki możemy
próbować osiągnąć,
Choć ulotnym,
nie trwającym tyle, ile kwitnie róża.
I teraz nie ma już ich w Ogrodzie,
Gdzie on był jedynym w tym świecie chłopcem,
a ona jedyną dziewczyną,
lecz siedzą w fotelach naprzeciw siebie w salonie
I być może on czyta gazetę albo udaje, że czyta,
a ona ma w dłoniach jakąś książkę albo biblię
i nie mają sobie nic do powiedzenia
Poza próbami uzgodnienia terminów
wizyt u swoich lekarzy.
Gdyby wziął ją teraz w ramiona,
Wzdrygnęłyby się i wyslizgnęła
Ogromnie wzburzona tym dziwacznym zachowaniem
I być może on w zadumie spogląda przez okno
I widzi przechodzące ulicą śliczne szczupłe dziewczęta,
i myśli słowami poety:
„Kiedyś znałem urodziwszą od każdej z was”.
Co jest niewielką pociechą.
Nie większą niż widok
gwiazd pośród nocy,
które świecą mocno i jasno,
a są jedynie gasnącym węglikiem

w popiołach jego letargu.

(oklaski tu i ówdzie)

Śpiewamy bluesa,
Układamy słowa,
By naśladować
Śpiewające ptaki.
W ogrodzie Dodawania
Parzystą z Nieparzystym* mieszkają
I on jej nie obłapia,
Bo Boga szukają.
Pełna gwiazd noc
W pył się obróciła
I w Raju utraconym
Straciłem cię, miła.

...Śpiewak wyśnił piosenkę
...każda jej nutka jest skargą
...kiedy tak sobie siedzimy w bawialnianych fotelach
...tutaj, w utraconym Raju.

*Sometimes I wonder why
I spend the lonely night
dreaming of a song?
The melody haunts my reverie,
And I am once again with you
When our love was new,
and each kiss an inspiration...*

(wdzięczne oklaski)

* *Even i Odd* (Parzysta i Nieparzysty) wymawia się podobnie jak *Ewa* i *Adam*, natomiast *garden of Adding* (ogród Dodawania) podobnie jak *garden of Eden* (przyp. tłum.).

Pewnego zimowego ranka, dosłownie kilka chwil po tym, jak Srebnitsky naszył na ramionach kurtki pagony oraz oblamował klapy, przed dom zajechał samochód, a przybył w nim oficer SS, który zamówił tę robotę. Był nim Sturmbannführer Schmitz, komendant oraz szafarz wszelkiego terroru. Pobiegłem do pokoiku od podwórza i wyslizgnałem się tylnym wyjściem. Ten krawiecki interes niepokoił mnie od samego początku, jako że gwałcił zasadę nakazującą, jeśli to tylko możliwe, zachować anonimowość, nie robić niczego, co by człowieka wyróżniało. Nawet jeśli umiejętność starca posługiwania się igłą czyniła go użytecznym i utrzymywała jego oraz mnie przy życiu, to przecież zarazem zwiększała prawdopodobieństwo śmierci. Logika naszego nędznego losu gwarantowała, że nie ma żadnego prostego rozwiązania, które nie obróciłoby się w swe przeciwieństwo.

Zająłem stanowisko przy płocie ogródka warzywnego, w pewnej odległości od naszego domu. Był zimny, pochmurny ranek. W monotonii zimowej scenerii i na tle nędznych domostw tej ulicy, ze smugami dymu unoszącego się z kominów, sztabowe auto komendanta wyglądało niczym jakiś budzący grozę luksus nie z tego świata. Była to czarna limuzyna marki Mercedes, z lekko kanciastą kabiną pasażerską, długą, niską pokrywą silnika i zakończoną szpiczasto chromowaną osłoną chłodnicy. Miała też ogromne srebrzyste reflektory. Błyszczała oślepiająco, najwyraźniej nie tknięta błotem, śniegiem czy sadzą. Szofer kręcił się wokół ze szmatką, wycierając najnowsze niestosowności. Po tym, jak na mnie zerkał, wiedziałem, że pozwoliliby mi podejść tak blisko, jak tylko bym zechciał, abym, żydowski chłopak, mógł zobaczyć, do czego zdolna jest niemiecka cywilizacja, ujrzeć wspaniałość tej maszyny i swobodne dostojeństwo jej kierowcy. Miał on na sobie mundur esesmana i pistolet w kaburze.

Naturalnie nie blask i nie świetność samochodu przyciągnęły mnie do niego, ale bijące od silnika ciepło. Dlatego też miałem potem niczym nie osłonięty widok na to, co się wydarzyło. Kiedy Sturmbannführer Schmitz wyszedł na ulicę, był w swoim nowym, szytym na miarę mundurze, włącznie z zawadiacko przekrzywioną czapką. Za korpulentnym, szerokim w biodrach oficerem szedł Srebnitsky, niosąc przerzucony przez ramię stary mundur esesmana. Kierowca podskoczył, żeby odebrać go od niego. Otworzył dla komendanta tylne drzwi mercedesa, a potem otworzył drzwi przednie i przez kilka chwil układał pieczołowicie ten stary mundur na siedzeniu. Schmitz stał wyprostowany, jak gdyby pozując w tym swoim nowym mundurze i w czarnych, wysokich butach, z rękoma na biodrach i z pogardliwym uśmieszkiem na twarzy.

– Ale czy pan nie zechce zapłacić? – spytał Srebnitsky bojaźliwym głosem.

Oficer roześmiał się.

– Ani feniga za piękną robotę Srebnitsky’ego – ciągnął krawiec – włącznie z podszewką w rękawach i wszystko podwójnie stebnowane? – I zaczął się śmiać. – Nawet papierosa dla starego krawca, który tak ciężko pracował, artysty, który wykonał ten mundur dla przystojnego oficera Trzeciej Rzeszy?

Obaj zaśmiewali się teraz serdecznie z tego dowcipu, z Żyda oczekującego zapłaty. Nagle Srebnitsky zmarszczył brwi, skulił ramiona, przyglądając się bacznie czemuś na nowym mundurze. W ręku wciąż trzymał nożyce.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo, kawałek nitki, jedną chwileczkę. – I przyłożywszy dłoń płasko do piersi komendanta, który tymczasem spoglądał w niebo, żeby znieść jakoś to ostatnie, wiodące do perfekcji cięcie, szarpnął gwałtownie za klapę i przejechał czubkiem nożyc z góry w dół, ruchem tak nagłym,

że, w jednej dosłownie chwili, wielka połać zniszczonej kurtki zwiśla oficerowi do kolan. – No to zszyj to sobie sam, złodzieju! – wrzasnął krawiec. – Bo jesteś złodziejem, tylko złodziejem! Wy wszyscy jesteście złodziejami, złodziejami naszej pracy, złodziejami naszego życia!

Sturmbannführer stał osłupiały, zdaje się, że nawet krzyknął ze strachu. Jednak jego szofer skoczył na starca i zwałił go na ziemię uderzeniem kolby pistoletu. Potem zaczął go kopać.

– Masz czelność napadać na niemieckiego oficera?! – wrzeszczał. – Ośmielasz się podnosić rękę?! – Wycelował pistolet w powalonego krawca i zastrzeliłby starego na miejscu, gdyby Sturmbannführer go nie powstrzymał. Przyciskając rozciętą kurtkę do klatki piersiowej, Schmitz przypominał zakrywającą goły biust kobietę. Rozejrzał się, żeby zobaczyć, kto był świadkiem jego upokorzenia, i dzięki Bogu, że nie zobaczył mojej twarzy, bo tymczasem odwróciłem się już do tej sceny plecami i znikąłem w zaułku pomiędzy dwoma domami. Chwilę później, z tego dogodnego, ocienionego punktu obserwacyjnego, zobaczyłem, jak auto śmiga ulicą. Słuchałem oddalającego się dźwięku silnika, a gdy ucichł, pobiegłem z powrotem do Srebnitsky'ego, który leżał na śniegu tam, gdzie upadł. Głowa mu krwawiła, kasłał, chwycił się za gardło i usiłował coś powiedzieć. Ukląknęłam przy nim. Zaczął kręcić głową i próbował się uśmiechnąć, a potem już tylko kasłał i charczał, i znów kasłał, i na moment oczy uciekły mu w tył głowy. Nagle któryś z sąsiadów postawił mnie na nogi.

– Nie wiesz, co robić? On już jest skończony, ten twój staruszek. Ruszaj się, biegiem, znikaj stąd! – Po czym sam popędził do swojego domu i zatrzasnął drzwi.

Temu sąsiadowi chodziło o to, że jeśli głowa rodziny popełniła zbrodnię czy z jakiegoś innego powodu została wyznaczona do egzekucji, Niemcy z zasady zabijali też

resztę rodziny. Dlatego właśnie, kiedy moi rodzice nie wrócili do domu, zabrano mnie szybko do biura rady i wyposażono w nowe dokumenty. Zatem pobiegłem i teraz do rady, tym razem już sam.

Moje przybycie natychmiast uciszyło wszystkich znajdujących się w tym ruchliwym i gwarnym miejscu: blada, przerażona twarz dziecka była sygnałem ostrzegawczym, który znali aż nazbyt dobrze. To, co im powiedziałem, zaalarmowało ich. Przywołano kilku chłopców i rozesłano po domach i sklepach z wiadomością, że ludzie, których Niemcy nie znają, mają się ukryć. Siedziałem odrętwiały, podczas kiedy chłopcy, do których miałem dołączyć, rozbiegli się na wszystkie strony. Dosłownie w kilka minut wszyscy w getcie wiedzieli, co zrobił krawiec. Wkrótce nadeszła wiadomość, że został zatrzymany i zabrany do siedziby Gestapo. Teraz problem polegał na tym, jak Niemcy osądzą jego zbrodnię. Na ulicy przed biurem rady zaczęli się zbierać ludzie. Huczało od pogłosek – cena za postępek Srebnitsky’ego wyniesie trzydziestu, pięćdziesięciu, wreszcie stu martwych Żydów. Kilkakrotnie pan Barbanel, szef personelu, musiał wychodzić na zewnątrz i nakazywać zgromadzonemu, żeby się rozeszli i wrócili do swoich zajęć.

W przeciwieństwie do tłumu, który stawał się coraz bardziej podekscytowany, członkowie rady pozostali spokojni. Najspokojniejszym ze wszystkich, być może nawet źródłem spokoju, okazał się przewodniczący rady, doktor Sigmund Koenig, przystojny mężczyzna po sześćdziesiątce, człowiek wielkiej godności, wysoki na ponad metr osiemdziesiąt. W końcu wyszedł on na zewnątrz i samo jego pojawienie się uspokoiło tłum. Powiedział, że czeka na telefon od komendanta getta z informacją, co dokładnie ma być zrobione, ale że wątpi, aby było bezpośrednie niebezpieczeństwo jakiejś większej akcji. Przemawiał niemal szeptem. Stojąc za nim w wejściu,

ledwie słyszałem, co mówi. Nie miał na sobie ani płaszcza, ani kapelusza. Zimno zdawało mu się nie przeszkadzać. Ubrany był porządnie, w szary, dwurzędowy garnitur i czystą koszulę z krawatem. Zorientowałem się, że to jego jedyne ubranie. Było już dość wytarte, miałem w tych sprawach zupełnie krawieckie oko, i wisiało na nim, wyraźnie dowodząc, że i on jest fizycznie w złym stanie. Kołnierzyk koszuli odstawał od szyi. Czarne buty były również mocno znoszone, zauważyłem poza tym, że prawe szkieleto jego okularów jest pęknięte, tak że oko wydawało się przepołowione. Niemniej wszystko, co go dotyczyło, było bez zarzutu. Był gładko ogolony, a jego gęste srebrzyste włosy zaczesane do tyłu jedną długą falą przykuły moją uwagę jako coś poetyckiego, przywodzącego na myśl proporzec średniowiecznego rycerza powiewający mu nad głową, gdy na galopującym koniu pędzi w bój. Wrócił do swojego gabinetu, w ogóle mnie nie zauważywszy. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego po człowieku tak znamienitym.

Po południu przyjechał na motocyklu żołnierz niemiecki z pisemnym rozkazem, by rada natychmiast dostarczyła cieśli, którzy na prowadzącym ku mostowi miejskim placu zbudują szubienicę. Wkrótce potem doktorowi Koenigowi udało się dodzwonić do komendanta. Usłyszał, że wszyscy Żydzi mają się o świcie stawić na placu, aby być świadkami powieszenia krawca Srebnitsky'ego. Wyglądało na to, że wszyscy poza mną odczuli ogromną ulgę. Teraz, kiedy mój udawany dziadek był już skończony, członkowie rady rozważali spokojnie, co dalej ze mną począć. Przeszukawszy akta, stwierdzili, że nie ma już żadnej rodziny z nieżyjącym dzieckiem, którego tożsamość mógłbym przyjąć.

Pan Barbanel, drugi pod względem starszeństwa w radzie, człowiek, którego z czasem zacząłem darzyć wielkim szacunkiem, podszedł do ławki, na której siedziałem, i przykucnął przede mną. Musiał mieć wów-

czas jakieś trzydzieści pięć lat, co go czyniło najmłodszym członkiem rady, o wiele młodszym niż inni. Był krępy męczyzną o szczerej twarzy, strzesze czarnych włosów i ciemnych oczach pod gęstymi, czarnymi brwiami, miał szerokie usta i słowiański zadarty nos robiący wrażenie, jakby uformowano go jednym uderzeniem pięści. Barbanel, ten to dopiero potrafił dowcipkować. Umiał rozmawiać z dzieckiem.

– A więc, Yehoshua X, tajemniczy człowieku, tajny agencie, czy jesteś gotów do następnego zadania? – W dłoniach trzymał niby to wojskową czapkę, taką samą, jakie widziałem u roznoszących wiadomości chłopców. I bez żadnych ceregieli włożył mi tę czapkę na głowę, i tym samym wziął pod skrzydła rady jako jej mianowanego gońca, znanego wszystkim jako Yehoshua, choć bez nazwiska, bez Mendelssohna i bez mojego własnego, pozbawionego dającej jakąś tam ochronę karty identyfikacyjnej, wyposażonego natomiast w przypominającą wojskową czapkę z żółtym otokiem, który pasował kolorystycznie do żółtej gwiazdy na mojej kurtce.

Podejrzewam, że po to, abym nie miał czasu rozmyślać, kazano mi bez zwłoki zabrać się do wykonywania zadań oficjalnego gońca, które tego wieczoru zaczęły się od towarzyszenia Micahowi, starszemu, chudemu jak tyka chłopcu, w jego rundach, podczas których informował on swoich „klientów”, jak ich zwał, że o świcie mają być na placu. Po jakimś czasie Micah zachęcił mnie, żebym sam przekazywał wezwanie. Poradziłem sobie z tym bez trudu. Starego krawca mieli powiesić, a ja teraz krążyłem po mieście, mówiąc wszystkim, żeby przyszli na plac zobaczyć, jak go wieszają. Czułem się dziwnie i niesamowicie, miałem zawroty głowy, jakby obracano mnie w kółko. Nie byłem już udawanym wnukiem tamtego, ale udawanym kimś innym – bezimennym, publicznym podopiecznym? gońcem rady? nie miałem pojęcia – w każdym razie chłopcem, który wie-

dział, jak się ukryć, kiedy ktoś wpadł w tarapaty, czy jak powiadomić wszystkich, żeby przyszli i zobaczyli, w jakie to tarapaty wpadł ten ktoś.

Pierwsze noce spędziłem na pięterku nad biurami rady, w noclegowni dla gońców, w szponach lodowatego przerażenia. Jakże ścisnął za serce widok powalonego i kopanego starego człowieka. A potem leżącego na śniegu z oczami ukazującymi białka. Powinienem był mu wtedy pomóc, zamiast uciekać. Mogłem zostać przy nim jakiś czas, chociażby po to, żeby zaprowadzić go do domu.

Nocą, w ciemności, widzi się prawdę. A ja nie oczyszczałem się z winy, gdyż byłem dzieckiem.

Inna rzecz, że nigdy wcześniej nie znalazłem się tak blisko spraw związanych z zarządzaniem gettem, choć naturalnie słyszałem krytyczne uwagi ojca na temat rady. I teraz, kiedy nie mogłem zasnąć i leżałem tam całą tę okropną noc, myślałem o tym, co widziałem w biurze, i miałem w związku z tym mieszane uczucia. Potraktowano mnie życzliwie, nie to mnie zatem niepokoiło. Chodziło o to, że wszyscy są tu tacy spokojni, jednolicie spokojni ludzie, którzy są w centrum wydarzeń, widzą cały obraz. Co niewątpliwie było konieczne, jeśli w ogóle mieli coś zdziałać. Jednak w pewnym sensie w moich młodych oczach ten ich spokój, efekt, jaki on na mnie wywierał, sugerował, że to, co się dzieje, jest zwykłą rutyną, zupełnie jakby ta straszna władza, którą mieli nad nami Niemcy, była czymś normalnym.

Ten doktor Koenig, tak obciążony odpowiedzialnością... mnie mogło się wydawać, że działa on na poziomie Niemców i że jest im równy. Przy tej jego nienaruszalnej godności Niemcy mogli odnosić podobne wrażenie i być może, żeby nie przyznawać się przed sobą, że tak jest, nadali mu, jak się wkrótce dowiedziałem, ironiczny tytuł „głównego Żyda”, co miało być dowcipem pokazującym mu, gdzie jego miejsce. Naturalnie

on nie był głupcem, nie trzeba mu było nic wyjaśniać. Rozumiał wszystko. Nie udawał też ani przed sobą, ani przed innymi członkami rady... co być może kusiło ich wszystkich... że ich role nie są moralnie dwuznaczne. Za każdą dodatkową rączę żywności, o którą się wykłócili, za każde poluzowanie reguł płacili jakimś ustępstwem. Były to brutalne kalkulacje dotyczące ciał i pracy, i żywności, i opału, i zdrowia, i choroby. Nie zamierzam tutaj podawać w wątpliwość honoru, wytrwałości, szlachetności doktora Koeniga. Został zmuszony do objęcia przywództwa ze względu na najwyższy szacunek, jakim darzyła go cała społeczność. Postępował odważnie, nawet w najbardziej niebezpiecznych okolicznościach, o czym dowiedziałem się szczegółowo dopiero później. W tym czasie nie zrobił jednak niczego dla krawca, który znajdował się w samym środku tego kryzysu. Nie, żeby mógł cokolwiek zmienić, niemniej mojemu dziesięcioletniemu sercu, rozrywanemu poczuciem winy, wydawało się, że on i wszyscy inni całkiem chętnie pogodziliby się z nieszczęściem, które dotknęło pana Srebnitsky'ego, i pozwolili temu wszystkiemu toczyć się swoim trybem. Wiele o tym myślałem. Ten spokój, który tak mnie jako dzieciaka intrygował, przede wszystkim cechuje lekarzy, którzy przywykli do śmierci i stąd zachowują opanowanie w jej obliczu. W końcu sam Sigmund Koenig też był lekarzem. Poza tym ów spokój bierze się ze zdolności reagowania pragmatycznie na doświadczenia surrealistyczne, która dana jest dorosłym, rzadko natomiast dzieciom. I tu właśnie zachodzi ta dwuznaczność.

Naturalnie później, kiedy sam zostałem związany z tą administracją jako jej goniec i kiedy pochłonał mnie dramatyzm moich obowiązków, wszystkie te subtelności myśli miały zniknąć.

O świcie Niemcy oświecili plac reflektorami z wartowni i ciężarówek. Zebrało się dość mieszkańców, być

może tysiąc, być może półtora, by zapełnić plac i zadowolić władze. Panowała absolutna cisza; słyszeć było jedynie pracujące na jałowym biegu silniki ciężarówek. Obecni byli Schmitz oraz jego sztab, wyżsi funkcjonariusze litewskiej policji, burmistrz, żołnierze z różnych jednostek i tak dalej. Pan Barbanel zasugerował, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym pozostał w noclegowni, dopóki cała sprawa się nie zakończy, ja jednak zdecydowałem inaczej. Co więcej, przepchnąłem się przez tłum i stanąłem całkiem blisko szubienicy, z boku podestu.

Kiedy dwóch żydowskich policjantów wyprowadzało krawca, ten, już na pół żywy, wisiał bezwładnie na ich ramionach. Jego stopy ciągnęły się po ziemi. Nie mógł iść, wyglądało mi na to, że nogi ma połamane. Ponieśli go po schodkach na podest i trzymali pod pachami w pozycji wyprostowanej, podczas gdy inny policjant krępował mu ręce z tyłu i zakładał stryczek na szyję. Jego dłonie, te szczupłe, zręczne instrumenty, które tak podziwiałem, były teraz zniekształconymi, pokrytymi zaschlą krwią kikutami. W ostatniej chwili, nim wykopnęli mu stólek spod stóp, wydawało się, że pan Srebnitsky ocknął się z odrętwienia. Uniósł głowę i, jestem tego pewny, wyraźnie zobaczył scenerię, jaką miał przed oczami, a w rozmiarach zgromadzonego tłumu ujrzał własną chwałę. Spytaście, skąd mogłem to wiedzieć: widziałem już, wszyscy widzieliśmy, zwęglone szczątki ofiar spalonego szpitala, znaleźliśmy celową anonimowość ciał masowo powalanych seriami z broni maszynowej w forcie. Uważam, że tuż przed tym, jak wykopnięto spod niego stólek, a jego wątłe ciało zakłótyło się na powrozie, w oku krawca rozbłysło jakieś szalone, triumfujące światło. Nie wykonał żadnego ruchu, nie szarpał się, życie uszło z niego praktycznie w jednej chwili. Oficjele z miasta wsiedli do samochodów i odjechali, żołnierze się rozeszli, brygady robocze

ustawiły się w kolumny, przeszły przez bramę i pomaszerowały mostem. Jakiś esesman zawiesił na szyi trupa tabliczkę z nabazgranym krzywymi literami napisem: „Ten Żyd ośmielił się podnieść rękę na niemieckiego oficera”.

Na niebie zaczęło się wreszcie pojawiać pierwsze światło. Nie opuszczałem jeszcze placu. Chciałem, żeby pan Srebnitsky mnie zobaczył, żeby wiedział, że go nie zapomniałem. Przysiadłem na chwilę, opierając się plecami o drewniany pomost.

Było w jego mocy, skoro już miał te nożyce, zadźgać komendanta. Przez chwilę myślałem nawet, że to zrobi, tak był wściekły. Od tamtego czasu zrozumiałem jednak, że przecież musiał wiedzieć, jaki kataklizm spadłby na getto, gdyby zabił tego człowieka. Widzicie więc, to, co osiągnął, miało charakter szczególnej ofiary i samopoświęcenia, było kontrolowanym wyzwaniem, równie zręcznym i precyzyjnym jak jego krawiectwo.

Jednak przez te wszystkie lata, po tym swarliwym starcu, tym obrazoburcy, po tej zgorzkniałej duszy pozostało w mojej pamięci to, jak przerabiał moje ubrania, kiedy z nich wyrastałem, i jak pilnował, żebym miał nową parę obuwia, kiedy stare robiło się za małe.

I jeszcze jedno: Niemcy nakazali, by ciało wisiało na widoku publicznym przez dwadzieścia cztery godziny. Jeden z ortodoksyjnych rabinów uznał to za niemożliwy do zniesienia akt bezbożności. Przyszedł do biura rady i zażądał, żeby coś w tej sprawie zrobiono. Pan Barbanel stracił cierpliwość.

– Bezbożność! – wrzasnął. – Powiedz mi, co nie jest bezbożnością! Zamordowanie go, czymże to było... masz na to inne słowo?

Rabin odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju. Z jeszcze jednym mężczyzną, pomocnikiem, który niósł białe

całun, poszedł na plac. Wspięli się na pomost i właśnie odcinali ciało, kiedy niemiecki wartownik podniósł do ramienia karabin i zastrzelił ich obu.

Ziemia pobłogosławiona została ogromem wody, przelewającymi się słonymi morzami i oceanami, czystymi, błękitnymi jeziorami i drgającymi od ryb rzekami, strumieniami, potokami oraz pulsującymi źródłami, górskimi kaskadami, deszczem, mgłami, oparami i huraganami. Podczas swych narodzin miliardy lat temu, oderwani od gwiazdy, gorąca, bezkształtna masa, przeobraziliśmy się aż do samego wnętrza, tworząc gęste jądro z żelaza i niklu, ciekłe na obrzeżach, a na nim płaszcz z magmy i skalną skorupę. Natychmiast zaczęliśmy stygnąć, tworząc przy tym przeogromne chmury pary wodnej, które spadały deszczem w wielkie kratery i skalne niecki, aż wypełniły je morzami. Skała rozsypała się w glebę, rozdrobniła się na dnie mórz, a z tych dennych drobin woda wyciągnęła sole i stworzyła pierwsze bulgoczące, przesiąknięte azotem i tlenem szanse na ślepe, bezmogie życie. Martwa materia komórkowa, wyrzucana z mórz, użyźniła skalną glebę. Stanowimy błękitną oazę w czerni kosmosu, otuloną kokonem życiodajnych gazów. Wyglądamy spokojnie, jednak spokojni nie jesteśmy. Jesteśmy planetą z wody i skały, z mułu i gleby. Płyty tektoniczne poruszają się i przesuwają, co niegdyś doprowadziło do rozbicia zwartej masy lądowej na kontynenty, które od niezliczonych wieków przemieszczają się i zmieniają kształty. Płyty te zderzają się ze sobą, wjeżdżają jedne na drugie, pękają, a pęczniejące dno morskie wypiętrza się w pasma górskie, ogromne denne wulkany tworzą wyspy, które pojawiają się na powierzchni oceanów, trzęsie się ziemska skorupa, jej drgania układają nas w różne kształty, zapadamy się

i pękamy, burze wypełniają nasze niebo, góry strząsają w doliny huczące śnieżne lawiny, nasza arktyczna i antarktyczna kra pęka niczym Boże kości, pustynne wydmy niesione wiatrem rosną, żeby nas pogrzebać, szalone tornada ciskają nami i walą o ziemię jak szmacianymi lalkami, wielkie strumienie lepkiej, płonącej lawy zalewają nasze wioski i w całej tej furii planetarnego samospełnienia wirujemy wokół swej osi i krążymy dookoła Słońca, a nasze oceany unoszą się i opadają w wyniku przyciągania Księżyca, po naszych oceanach toczą się fale, pozostawiając za sobą wodę, przez którą się przemieszczają, nasza atmosfera przeszywana jest elektromagnetycznymi falami różnych częstotliwości, a my tkwimy na otwartej przestrzeni, na wskroś przeniknięci magnetycznym oddziaływaniem naszego żelaznego jądra, pod nocnym niebem, na którym kręcą się asteroidy i rozbłyskują cząstki wiatru słonecznego, płonące jak oczy tygrysa szablastozębego obchodzącego w mroku krąg światła z naszego ogniska.

Cóż za wesoła planeta, uwzględniając to wszystko. Bo czy w końcu nie nadaje się ona do życia?

...zimorodek obroźny, mały nurkujący ptaszek z przesadnie dużą, pewnie opuchniętą, głową i o absurdalnie królewskiej postawie, którą przybiera dumny z czarnej wstęgi na szyi, trzyma w dziobie młodziutką makrelę i wali nią kilkakrotnie o drewniany słupek. Łup łup. Zabija ją na śmierć. Ciska w powietrze i chwytą, kiedy ryba jest w pozycji pionowej, tak by gładko prześlizgnęła mu się przez przełyk. Przy takim profesjonalizmie mały zimorodek ma prawo do zarozumiałstwa. Na pewno nie zwykł czynić uwłaczających mu porównań z pięć razy większymi od niego ptakami nurkującymi, dajmy na to z takim rybołowem, który potrafi

zawisnąć wysoko, utrzymując się biciem skrzydłami w miejscu, a spostrzegłszy cień w wodzie, spaść z nieba niczym kamień.

Oczywiście nie ma mowy o jakimś laickim Amfitrionie. Uwiarygodnić wcielenie się w jej męża może jedynie tego rodzaju magia, jaką obdarzony jest jakiś złośliwy, napalony bóg, taki jak Zeus. Przypisanie takiego ambitnego zamiaru człowiekowi, nawet tak złośliwemu i uzdolnionemu jak cały ten kochanek, przeciera drogę opowieści niczym czołg, ociążały od uzbrojenia i posuwający się z klekotem do przodu na gąsienicach swojego wątku. Dlatego właśnie mówimy o filmie. Kończy się on mniej więcej tak: Nasz uwodziciel-uzurpator część swojego życia, pełnego niejasnych przygód, spędził z plemieniem Jivaro, łowcami głów z górnej Amazonii, w pobliżu granicy peruwiańsko-ekwadorskiej i od jednego ze starszych plemienia przejął jego zwyczaje. Teraz zaś temu wysadzonemu z siodła mężowi, źródłu nieustannej irytacji, mściwemu bojownikowi, który nie chce się pogodzić z porażką, między innymi udaje się kupić używaną furgonetkę, w której mieszka na ulicy przed posiadłością tamtej bezlitosnej pary, oraz z powodzeniem zaprezentować się w sądzie jako obywatel mający prawo parkowania w dzień na publicznej ulicy, po czym dowodzi swego prawa do pikietowania przed tym domem z plakatami i z ulotkami wyjaśniającymi, jaka to go spotkała niesprawiedliwość, i w ogóle na wszelkie sposoby dostarcza dalszego ciągu tej historii, doprowadzając nawet do wydrukowania w lokalnej podmiejskiej gazecie reportażu o sobie jako interesującym ekscentryku... czym prowokuje tamtego, udającego męża, do zemsty, która byłaby nie do pomyślenia u kogoś, kto nie spędził choć trochę czasu z dala od cywilizacji.

Szczodry uzurpator zaprasza skrzywdzonego, zrujnowanego menedżera do wspaniałego domu i bez żadnych ceregieli go zabija. Odcina głowę i pozbywa się ciała. Darujmy sobie te szczegóły. Bardziej interesujące są szczegóły tego, co robi z głową.

Czaszka jest naturalnie niepotrzebna. Przeciąga się zatem nożem od karku do czubka głowy i ściąga twarz oraz resztę skóry wraz z owłosieniem, co jest bardzo czasochłonne, jeśli chce się to zrobić prawidłowo, nie zniekształcając rysów. Kiedy już wyrzuci się czaszkę, włącznie z zębami i oczyma, zostaje materiał podstawowy.

Nicuje się skórę twarzy, zszywa powieki, a potem wargi i wreszcie, wywróciwszy skórę, właściwą stroną na zewnątrz, zaszywa się nacięcie zrobione z tyłu głowy, w wyniku czego uzyskuje się „torbę” wielkości pierwotnej głowy. Wrzuca się ją do wrzącej wody, do której, żeby powstrzymać wypadanie włosów, dodaje się kilka ziół, których nazw nie mogę tutaj podać, jeśli nie ma to być podręcznik dla jakiegoś idioty... Po kilku godzinach „torba” ta ma w przybliżeniu jedną trzecią swoich poprzednich rozmiarów.

W tej skurczonej postaci ów doprowadzony do nędzy biznesmen zostaje zaprezentowany jako trofeum, na otwartej dłoni, jego skradzionej i zniewolonej żonie, która tuż przed popełnieniem samobójstwa dzwoni na policję, aby donieść, że jej mąż zamordował włóczęgę biwakującego przed ich domem i że wszelkie dowody, jakich tylko trzeba, wiszą na jej szyi, na sznurze paciorków. Jak na ironię, ta pokurczona głowa przypomina teraz tego bezwzględnego oszusta, tak jak wyglądał on przed operacją plastyczną, bardziej niż jej męża przed pomniejszeniem mu głowy, zatem jest zupełnie tak, jak gdyby Bóg był mieczem ironii, skoro najcelniejsze pchnięcie zadane zostaje z za grobu impostorowi, który oficjalnie zaginiony od czasu operacji plastycz-

nej, teraz staje przed sądem za zamordowanie samego siebie.

I tak to, co miało być subtelnym egzystencjalnym horrorem, okazuje się ostatecznie prostym dramatem figur woskowych, w którym autor, podobnie jak jego czarny charakter, otrzymuje to, na co zasłużył. I jeśli to prawda, że socjopata nie potrafi się powściągnąć i musi brnąć coraz to dalej i dalej, powiększając zadawane zło, aż zostanie unicestwiony, to podobnie autor musi uszanować charakter swej koncepcji i pozwolić jej, by znalazła własny wyraz w całym swym nędznym niedostatku, aż osiągnie ona swój żałosny koniec.

1. Numeruję swoje myśli dla jasności, aby każda dzwoniła czysto i swoim charakterystycznym tonem, jak dzwon.

1.01. Innymi słowy, proponuję, by myśleć jedynie o faktach. (Co, samo w sobie, nie jest faktem.)

2. Nazywam się Ludwig Wittgenstein.

3. Ludwig to pospolite niemieckie imię.

4. Ja jednak sądzę, że nadano mi je na cześć Ludwiga van Beethovena.

5. Chociaż prawdy 4. zweryfikować się nie da, to moja wiara, że jest ona prawdą, jest faktem.

5.01. Moja wiara opiera się na sensownym wniosku wywiedzionym z faktu, że moja matka była pianistką i że to, iż muzyka jest w życiu niezbędna, uważała za fakt...

5.11. ...i że mój starszy brat Paul został pianistą i koncertował...

5.21. ...i że mój starszy, mający skłonności samobójcze brat Hans był muzycznym fenomenem...

5.31. ...i że moje siostry Hermina, Helena oraz Margareta były utalentowane i wykształcone muzycznie...

5.41. ...i że Brahms oraz Mahler byli przyjaciółmi moich rodziców i przychodzili do naszego domu, żeby grać muzykę.

5.51. Brahms, Mahler, moi rodzice i wszyscy, których znałem, uważali za fakt to, że Beethoven był największym spośród muzycznych geniuszy.

5.61. Wierzyłem, że otrzymawszy imię geniusza, sam zostałem na geniusza pasowany.

6. Faktem jest, że moi rodzice oraz rodzeństwo nie dzielali tego przekonania.

6.01. Do takiego wniosku skłonił ich fakt, że przed ukończeniem czterech lat w ogóle nie mówiłem.

7. Mogłem mówić już dużo wcześniej, ale świat, w którym przyszło mi żyć, tak mnie przerażał, że wybrałem milczenie.

7.01. Od tamtego czasu, w całej tworzonej przeze mnie filozofii, rozróżniałem prawdy, które można wyartykułować, od tych, które istnieją jedynie w ciszy.

7.02. Od tamtego czasu, w całej tworzonej przeze mnie filozofii, utrzymywałem, że po wyartykułowaniu prawdy niewyrażalne przestają być prawdami.

8. Moim pierwszym wspomnieniem są wspaniałe, ogromne schody w moim domu przy Alleegasse w Wiedniu.

8.01. Miały trzydzieści cztery marmurowe stopnie, szerokie na dziesięć stóp.

8.02. Pokrywał je zbytkowny czerwono-zielono-biały dywan – w barwach cesarstwa austro-węgierskiego.

8.03. Dywan ten przyciśnięty był do podstawy każdego stopnia błyszczącym, mosiężnym prętem.

8.1. Na każdym podeście były balustrady z alabastrowymi tralkami w kształcie smukłych waz.

8.12. W bocznych ścianach z kararyjskiego marmu-

ru odbijały się, aż do nieskończoności, osoby schodzące do wielkiego holu.

8.2. Stropy obramowane były złożoną sztukaterią.

8.21. Sufit pokrywały polichromie w perskim stylu.

8.3. U szczytu schodów wisiał ogromny gobelin przedstawiający dżentelmenów w jedwabnych pończochach oraz damy w kapeluszach z szerokimi rondami, w krynolinach i z parasolkami, pozujących na tle gaju; a nad nimi wisiały gęste różowe obłoki oraz bladobłękitne niebo.

8.4. Przed gobelinem, na postumencie, stała duża drezdeńska waza z kwiatami, które zmieniano każdego ranka.

8.5. Po obu stronach wazy czaiły się do skoku chińskie mosiężne psy.

9. Barokowy przepych tego pałacowego domu przygotował mnie wówczas o mdłości, a i teraz jeszcze przygotowuje mnie o mdłości sama o nim myśl.

9.01. Mdłości katalogują nie dającą się strawić zawartość żołądka, która zamierza wydostać się na zewnątrz.

9.02. Przyprawiająca o mdłości pamięć kataloguje zawartość umysłu, której wydostać na zewnątrz się nie da.

9.03. Po tym kryzysie perystaltycznym cały organizm czuje się chory lub słaby.

9.04. Wspomnienie tych wspaniałych schodów pałacowego domu przy Alleegasse wywołuje u mnie ogólne uczucie rozpaczli związane z findesieclową kulturą mojej młodości.

10. Moi rodzice oddali swoje życie wspinaniu się po takich schodach.

10.01. Ich dziadkowie byli żydami, którzy przeszli na katolicyzm.

10.02. W szkole technicznej, do której mnie posłano, dwie klasy niżej ode mnie uczył się Adolf Hitler.

11. Kiedy wróciłem do domu z Wielkiej Wojny, na-

tychmiast przepisałem na swoje rodzeństwo ogromny majątek, który przypadł mi w spadku.

12. Dla siostry, o której duszę się obawiałem, zaprojektowałem sześcienne, surowy w swojej prostocie, niczym nie upiękaszony, nie ozdobiony dom przy Kundmannngasse.

13. Odszedłem na wieś, by żyć w ubóstwie i pracować własnymi rękoma.

13.01. Uczyłem dzieci chłopskie arytmetyki w szkole elementarnej.

14. Pociągnęła mnie filozofia.

14.01. Uświadomiłem sobie, że język zachodniej myśli filozoficznej dusi się od pretensjonalnych barokowych ozdóbek, niczym dom moich przodków przy Alleegasse.

15. Kupiłem zeszyt w linie.

16. Zamieszkałem w chacie nad norweskim fiordem i byłem tam bardziej samotny, niż mogłem znieść.

17. Płakałem, aby usłyszeć tylko jakiś ludzki dźwięk.

18. Spoglądałem w bezkresną norweską noc i rozmyślałem nad nową fizyką Einsteina.

19. Zapisałem w swoim zeszycie, że nawet gdyby rozwiązano wszelkie możliwe zagadnienia naukowe, to nasz problem nie zostałby nawet tknięty.

Z Pemem u Knickerbockera:

Włączyłem magnetofon, w porządku?

Może być.

Wydarzyło się coś jeszcze?

Chodzi ci o to, czy wciąż przynależę? Wiszę na włosku. Jeśli chodzi o nich, to niby dlaczego nie mieliby okazać miłosierdzia komuś z własnego grona, a przynajmniej komuś, kto kiedyś do tego grona należał? A ja

się nie wycofam, boję się wycofać. Moją posługę, nieważne jak mało znaczącą, uważam za sposób na oddalenie od siebie możliwości ostatecznego zaniedbania obowiązków. Ten krucyfiks na mojej szyi chroni mnie przed sobą samym.

Daj spokój...

Nie śmieję się. Nawet kiedy miałem rodzinę i mieszkałem przy Park Avenue, nigdy nie posunąłem się tak daleko. Kładzie się na mnie cieniem moja włóczęgowska natura. Zawsze tak było. Moim prawdziwym domem były ulice miasta. Przemierzam je. W tych ulicach jest coś dla mnie, jakaś tajemnica, niekoniecznie dla mnie dobra... Jeszcze jednym powodem, dla którego się nie wycofam, jest to, że wciąż się modlę. Wciąż to robię. A ty się modlisz?

Nie.

Powinieneś spróbować. Modlitwy jako aktu samodramatyzacji nic nie pobije. Związane z nią mruczando, rozbrzmiewające mruczando świadczy o możliwościach twego arcyważnego głosu. Jak wtedy, gdy śpiewasz pod prysznicem. [śmieje się] Nie powinienem mówić takich rzeczy. Dlaczego każde uczucie, jakie mnie najdzie, muszę zaraz zafajdać? A prawda jest taka, że wciąż mam jeszcze nadzieję... nikłą nadzieję, że nawrócę się na zinstytucjonalizowane przekonania. Powiedzmy katolicyzm albo luteranizm. Jak ten wspaniały biskup Pike, który się tyle naobracał, bo przecież był katolikiem, potem protestantem, wreszcie amatorem spirytyzmu... No cóż, może ten jeszcze jeden zmarnowany świetny umysł to nie najlepszy przykład.

A co z tym wielkim krzyżem, Pem, tym od Świętego Tima?

A co ma z nim być?

Ostatnio zrobiłeś aluzję do jakiegoś innego wyjaśnienia. Czegoś, co przegapiłem w rozdziale „Kradzież”.

Powiedziałem coś takiego?

Owszem.

Cóż, pewnie gdzieś to masz, tylko o tym nie wiesz.
Proszę cię, Pem, to ważne.

[niesłyszalne] Pozwól, że ja tym razem zapłacę za obiad.

Dlaczego?

Nie jestem bez środków do życia. Poza tym tak tanio nie można mnie kupić. Wart jestem więcej.

Uważasz, że wykorzystuję sytuację?

Nie, nie, wiesz przecież, że nie o to chodzi. Już to przerabialiśmy. Powiedziałem, że nie chcę honorarium i tak dalej. To wszystko się nie zmienia. Niemniej zaczynam się denerwować. To są w moim życiu istotne sprawy.

Słucham panów?

Co pijemy?

Absolut z lodem.

Dla mnie stoli cristall...

A więc?

Może powinienem napisać własną książkę. [śmieje się] Patrzcie, on błędnie.

Nie, skądże, powinienieś.

Nie taką jak ty. Literaturę faktu. Literaturę faktu na temat fikcji. Przeciwnieństwo tego, co ty robisz.

Tak sądzisz? Przekażę ci wyniki moich badań.

[śmiech]

Przyznam, że bardzo lubię budzić zainteresowanie. Jeśli zakończysz swoją pracę, będą mnie mocno naciskać, żebym napisał własną wersję. No wiesz, z pierwszej ręki i tak dalej. Duża zaliczka od wydawcy. Wybornie.

Zatem bierzmy się do roboty. Wypijemy?

Stoli dla ciebie, absolut...

L'chaim... Chodzi o to, że ci, którzy podprowadzili ten krzyż, nie byli być może bezmyślnymi łachudrami. I być może to nie antysemita i nie żydowski ultrasi wy-

nieśli go na dach synagogi ewolucyjnego judaizmu. Biedny Joshua też już tak zaczynał myśleć.

Więc kto? Nie rozumiem. Tak czy owak, niezależnie od tego, kto go tam umieścił, to był afront.

Może tak, może nie.

A co innego mogło to być?

To opinia Sarah. Ona wciąż jest genialną racjonalistką.

Cóż, jestem po jej stronie. Czy wy, ludzie, nie nauczacie, że chrześcijaństwo to religia sukcesyjna? W co zatem wyewoluowałby judaizm ewolucyjny, zgodnie z przekonaniem wojującego chrześcijanina, jeśli nie w krzyż? I dokądże to zmierzała ta mała, błędząca synagoga, zgodnie z przekonaniem ultraortodoksyjnego żyda, jeśli nie do apostazji? W tę czy we w tę, było to występne i przewrotne.

Przypominam ci, że późny Wittgenstein powiada, iż mimo wszystko w zadaniach, których sensowności zwyfikować się nie da, sens istnieje.

Wittgenstein? A co on ma z tym wspólnego?

Wiesz, naturalnie, że chrześcijaństwo wyrosło z żydowskiej sekty. Każdy to wie.

No tak. Co to ma jednak wspólnego...

Proszę cię. Jestem w końcu czy nie jestem Teologicznym Detektywem?

Dobrze, już dobrze.

Okaz mi tylko nieco cierpliwości. Paweł... no wiesz, Paweł. Facet, który miał udar na drodze do Damaszku?

Udar? [śmieje się]

Czemu nie? Chodzi o to, że zważyło go to z nóg, odebrało siły i zupełnie wytrąciło z równowagi. Udar pod wpływem wizji. Nie miewamy już takich. Te dzisiejsze udary... ludzie jedynie tracą po nich sprawność. A tamten go odmienił. Przedtem był dość pogardliwy wobec Jezusa. Chwytasz, co mówię?

Staram się.

Paweł był żarliwy, odnalazł swojego Mesjasza. Tego właśnie nauczał. Większość tego nie kupowała. Tymczasem z tyłu słuchali ci nieżydzi. I oni odbierali go lepiej. Jednak ci nieżydzi lękali się obrzezania, kto zresztą miałby winić o takie obawy dorosłego mężczyznę. Wobec tego powiedział im, że nie muszą być obrzezani, że i bez tego mogą zostać żydami. Wiedziałaś o tym? To było to, właśnie tam.

To było co?

[niesłyszalne] ...i zebrawszy manatki, wyruszył w drogę. A ci nieżydzi wraz z nim. Zaznaczam, że istniały określone okoliczności, historyczne okoliczności. Bo można mieć objawienie i świetnie, ale co potem? Tym razem nowa religia. Za każdym razem. Nowe wizje wyłaniają się ze starych, sekty oddzielają się od Kościołów i same stają się Kościołami, idee dotyczące Boga mnożą się niczym wirusy. Nieustannie... [niesłyszalne] ...odpowiadają na historyczne ujmowanie Boga, mówiąc: Nie, to nie to, to nie to. Ponieważ Bóg historyczny nie jest. Jest ahistoryczny. W istocie pojęcia Boga i religii nie przystają do siebie.

Bóg biblijny działa w ramach historycznych.

Pewnie, że tak.

Zaprzeczasz słuszności i wadze objawienia?

Każde objawienie może zostać unieważnione. Pozwól, że cię spytam: Czy wierzysz, że Bóg dał Mojżeszowi Dekalog, Dziesięcioro Przykazań, na górze Synaj?

Cóż, to wspinała opowieść. W sprawach opowieści uważam się za arbitra, a to, według mnie, jest wspinała opowieść.

To wszystko są wspinałe opowieści. Strukturalnie rzecz ujmując, Dekalog jest wzorowany na starożytnych mezopotamskich umowach zawieranych pomiędzy panem a jego poddanym. Wiedziałaś o tym?

Nie.

Czy wierzysz, że Jezus był Synem Bożym i że zmar-

twychwstał? Czy wiesz, że żył w epoce, w której dominowała kultura grecka? Że na terenie cesarstwa rzymskiego najbardziej rozpowszechnionym językiem była greka? Ile zatem tajemnych greckich kultów mówiło o zmartwychwstaniu?

Miałbym kłopot z przypomnieniem sobie greckich mitów.

Całe dziesiątki. Ewangelisci byli pisarzami. Jak to ująłeś? Niby co robią pisarze? Tworzą literackie opracowania? Jedno dodają, drugie opuszczają. Dla człowieka świeckiego, jak ty, to zapewne żadna nowina, nawet nie zła nowina. Jednak kiedy jesteś facetem religijnym, jak ja, ale nie fundamentalistą, to masz problem. Czy przemieniasz prawdy swojej wiary w coś w rodzaju budującej poezji? Bo wtedy jesteś religijnym schizolem, twoja prawa półkula mózgowa wierzy, lewa zaś może się jedynie rozkoszować odczuwaniem wiary. A Jezus jako wybrany Syn nie jest bardziej przekonujący niż Żydzi jako naród wybrany. I co w tym wszystkim stało się z Bogiem?

Uważasz, że myśl ludzka biegła wówczas inną drogą?

U kosmologów była wtedy równie błyskotliwa jak teraz. Była wyrafinowana i politycznie wnikliwa, bo tworzyła porządek. Powstrzymywała terror. Inna droga? Nie wiem. Wykorzystywali to, co mieli. Wizje. Halucynacje. Podobnie jak nauka wykorzystuje to, co ma. I to wszystko. Powiedziałem ci wszystko. Wypijmy jeszcze po jednym. Panienko? Możemy prosić o powtórkę?

Chwileczkę, Pem.

Cóż, powiedziałem ci wszystko, co możesz kupić.

Przedtem nic z tego nie wiedziałaś?

Zawsze wiedziałem to wszystko. Wszyscy to wiemy. Studenci teologii czytają Nietzschego, żeby się uodpornić. Co prawda większość z nas podejmuje jakąś decyzję i tej decyzji się trzyma... Jeśli jednak życzysz sobie mówić o modalnościach, to powiem ci, co zatrzymałem

dla siebie. Co do czego i moje serce, i umysł są zgodne, że jest najbliższe mojemu własnemu objawieniu. Na szczęście, dzięki Bogu, zachowałem jeden aspekt starożytnej percepcji. Potrafię rozpoznać znak, kiedy go zobaczę.

Co to oznacza?

Nie jest to znak stopu, mój pocziwy, świecki kolego.

Aa... oo... Twierdzisz, że po tym wszystkim, co tutaj powiedziałeś...

Wiem, że to niełatwe.

...niczym żydzi wobec Jezusa? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

Everett, do cholery, nie wkurzaj... To nie żydzi wobec Jezusa czy cokolwiek z tych pieprzonych, bezna dziejnych bzdur, jakie możesz sobie wymyślić! Po co ja to w ogóle poruszyłem! Mówienie o tym jest niszczące, obraca to w łajno, podobnie jak wszystko inne.

Cóż, ja nie potrafię... [niesłyszalne]

Posłuchaj: nieważne, jacy maniacy go tam umieścili albo dlaczego, nie pojmujesz tego? Znak to znak. I jeśli wiesz, że chodzi o znak, całkowicie ci to wystarcza. Stąd właśnie wiesz, że to znak. To nie jest coś, co dociera do ciebie natychmiast. Nie zapala się jak neon na Broadwayu. I nie jest to coś, czego szukasz, to musi samo przyjść do ciebie. Bo tak właśnie jest ze znakami: to one ciebie znajdują. Przychodzi taka chwila w tym wszystkim, kiedy wiesz, że coś... w końcu się wydarzyło. To ogłuszająco cicha chwila. Źle zrobiłem, że w ogóle o tym wspomniałem.

Mam ci opowiedzieć o naszych specjalnych wydaniach?

Nie teraz, mój drogi, mamy tu coś do wypicia... ja nie powinienem o tym mówić i ty zresztą też nie powinienś. Zapomnijmy o całej sprawie...

Niech ksiądz da spokój.

Posłuchaj, powiem ci tylko jedno. Jak kładziesz wiel-

ki mosiężny krzyż na dachu synagogi, to co niby robisz? Cóż, być może jednym błyskotliwym posunięciem robisz to wszystko, co ja przekładałem dla ciebie na słowa.

Joel, najmniejszy z gońców... Isaiah, Dov, Micah, którzy w końcu poszli do pracy w mieście. Bo rozumiesz, kiedy chłopiec zbyt wyrósł i głos mu się zmienił, i wyraźnie już nadawał się do pracy w fabryce, znajdowano dla niego inną tożsamość i odsyłano. Daniel, Solomon... Być może niektórzy dostali te imiona po innych chłopcach, tak jak ja swoje, Yehoshua. Nie wiem. Wszyscy oni jednak byli nadzieją swych żydowskich rodziców, którzy osierocili to towarzystwo królów i proroków czekających tam na poddaszu na swoje zadania.

Nie było wśród nas wielkiego koleżeństwa. Każdy przeżył ciężką stratę, co wyjaławiało duchowo. Poza tym nieustannie cierpieliśmy głód. Jak na rosnących chłopców nie mieliśmy dość jedzenia, byliśmy więc ospali. Kiedy nie mieliśmy zajęć, po prostu spaliliśmy. Nigdy więc nie hałasowaliśmy, nie wyprawialiśmy, jak normalni chłopcy, żadnych dzikich brewerii. Siedzieliśmy cicho i trzymaliśmy buzie na kłódkę. A przecież każdy z nas wiedział o różnych tajnych sprawach, o których kazano nam milczeć i nie wspominać nawet między sobą, takich jak to, dokąd chodziliśmy czy co musieliśmy zrobić.

W tych okolicznościach staliśmy się stoikami, chłopcami nienaturalnie jak na nasz wiek cierpliwymi. Do tego stopnia, że nawet teraz, w dorosłym życiu i z wszelkimi błogosławieństwami, jakie dla siebie zebrałem... mam tu na myśli twoją nieżyjącą już matkę i ciebie, moje wielkie dobrodziejstwa oraz pociechę... nawet w tym uświęconym błogostanie, w który wprawia mnie chodzenie amerykańskimi ulicami jako wolny człowiek,

mam stałego towarzysza, cień mojej nieprzeżytej przeszłości, tamtego chłopca o innym imieniu z mojej utraconej historii.

Kiedy znowu zakwitł ogród warzywny mojego ojca, zaczęły się pojawiać długie szeregi wygnańców, ciągnących nogą za nogą przez most, z torbami i walizkami, jako że Niemcy chcieli odnowić zasoby siły roboczej dla swoich zakładów zbrojeniowych. Przybysze biwakowali na placu, podczas kiedy SS przesłuchiwało ich i przekazywało personelowi rady, by wyznaczyła dla nich kwatery. Gońcom nakazano, żeby wpieryw prowadzili ich do odwyszawialni. Wszy były w getcie stałym problemem, sam je miałem. Naturalnie były niebezpieczne, gdyż przenosiły choroby, takie jak tyfus.

Co jakiś czas ci, których z jakiegoś powodu odrzucono, wspinali się na odkrytą platformę ciężarówki, a kiedy była już pełna, przejeżdżała z powrotem przez most. Nie mogłem patrzeć na tych ludzi.

Do lata zaludnienie getta zwiększyło się do sześciu czy siedmiu tysięcy. Coraz trudniej było racjonować żywność. Bardziej palącym problemem stały się sprawy sanitarne. Przyjęto więcej ludzi do pracy w radzie, przybyło urzędników niemieckiej administracji. Coraz częściej musiałem gnać jak wiatr z mojego stanowiska obserwacyjnego na placu, by powiadomić radę, że samochód sztabowy z nazistowskim proporcem powiewającym na zderzaku przejeżdża przez most. I byli jeszcze wszyscy ci nowi ludzie, których należało zarejestrować, pod ich własnymi nazwiskami albo jakimiś innymi, i ich zeznania, które pan Barbanel spisywał w sekrecie. Wielu spośród tych uchodźców przynosiło informacje o losie innych społeczności. Pod Kownem zwieziono ludzi na pole, na którym wykopane były ogromne doły, zagnano ich do tych dołów i z góry otworzono do nich ogień, po czym zepchnięto na trupy następnych i także zastrzelono z broni maszynowej, i w taki sposób, przy

jękach konania mężczyzn, kobiet i dzieci, mordowanych, krwawiących i zakopywanych żywcem, w niecały dzień zginęło dziesięć tysięcy ludzi. Kilku świadków potwierdziło tę liczbę.

Pan Barbanel albo zapisywał dosłownie, co mówił świadek, albo prosił go, by sam spisał zeznanie. Prowadził dziennik, w którym notował wszystko, co się wydarzyło, do którego dołączał istotną dokumentację, najnowsze przepisy, rozkazy dotyczące egzekucji, listy zmarłych i zabitych, protokoły z zebrań rady, rozkazy podpisywane przez nikczemnego komendanta Schmitza, proskrypcje, rozporządzenia, dowody tożsamości dla członków brygad roboczych – każda sprawa, jaką tylko można sobie wyobrazić, znajdowała miejsce w tej jego historii. Często widywałem go przy pisaniu. Używał takiego papieru, jaki znalazł pod ręką – na przykład nie wykorzystane do końca uczniowskie zeszyty. Nawet teraz wystarczy, że zamknę oczy, bym ujrzał pismo Barbanela, staranne zapiski w jidysz, niczym wszyte w kartkę ściąg, literki malutkie, słowa spływające z pióra linijka za linijką z pasją popychającą do tego, żeby oznajmić, co wydarzyło się każdego dnia, w każdej chwili naszego zniewolonego życia, w tym plastycznym, dynamicznym piśmie widoczna przemożna chęć, żeby to wszystko zanotować, zapisać tak, by przetrwało wieki, gdyż ma to ogromną, z ludzkiego punktu widzenia, wagę. Którą zresztą miało. I zawsze mieć będzie. Rzecz jasna robił to całkowicie nielegalnie. Niemcy byli świadomi swojej winy i zakazali robienia jakichkolwiek zapisków czy zdjęć, chyba że na ich polecenie. Skonfiskowali wszystkie aparaty fotograficzne. Jednak Barbanel, jako główny asystent doktora Koeniga, zawsze musiał coś zapisywać i stąd było mu względnie łatwo ukryć tę swoją działalność pod przykrywką oficjalnych obowiązków.

Z czasem, stopniowo, przesiadując na ławce w jego biurze, podczas gdy on rozmawiał z jakąś przybyłą wła-

śnie osobą, albo też obserwując, jak upycha do teczki ubiegłotygodniowe rozkazy z niemieckiej komendantury, zrozumiałem, co robi, i pewnego dnia spytałem go, czy jest z zawodu historykiem. Przez moment wyglądał na zaskoczonego, potem jednak uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Bystry z ciebie chłopiec, Yehoshua – powiedział. – Owszem, jestem historykiem, z konieczności. Ty jednak o tym nikomu nie powiesz, prawda? – Było to stwierdzenie, nie pytanie. Przysiągłem, że tego nie zrobię, i aby to poświadczyć, uścisnęliśmy sobie dłonie.

Przed wojną Barbanel handlował drewnem. Pewnie dlatego, że był młodszy, w dyskusjach rady zawsze zajmował bardziej nieprzejednane stanowisko niż doktor Koenig. Nas, chłopców, podnosiło to na duchu, że dowcipkuje sobie z naszych wrogów, stroi żarty z niektórych ich zachowań, zupełnie jakby ich cechą charakterystyczną nie była władza, jaką nad nami mieli, ale głupota. Do Niemców nie odnosił się uniżenie, ale rzeczowo. Nie starał się ukryć, że nimi gardzi, lecz z jakiegoś powodu oni to tolerowali.

Teraz, kiedy już wiedziałem o archiwum Barbanela, obdarzył mnie on większym zaufaniem. Mniej więcej raz na tydzień wciskał mi w ręce pakiet owinięty w ceratę i przewiązany sznurkiem. „Dla panny Margolin... – mówił – i bądź ostrożny”. Wsuwałem paczuszkę pod koszulę i biegłem z nią do pielęgniarki ze szpitala, Grety Margolin, która była jego przyjaciółką oraz, co uświadomiłem sobie, kiedy byłem starszy, kochanką.

Panna Margolin była równie odważna jak on. Nie tylko przechowywała ten dziennik, ale i brała udział w bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciu, jakim było przemycanie kobiet w ciąży poza getto, a przynajmniej raz przyjęła poród kobiety, której zaawansowany stan uszedł jakoś uwagi Niemców, i przerzuciła ją oraz noworodka za mury, jak i gdzie, nie miałem pojęcia. Była

pielęgniarką z krwi i kości, jedyną tu zresztą prawdziwą pielęgniarką. Miała pewnie trzydzieści kilka lat. Naturalnie byłem w niej zakochany. Czekałem z niecierpliwością na te zlecenia od Barbanela, mimo że były prawdopodobnie najniebezpieczniejsze ze wszystkich, jakie otrzymywałem. Jeśli zaś chodzi o Gretę, nie tyle chodziło o jej urodę, mimo że z tymi wystającymi kośćmi policzkowymi, zdecydowanie zarysowanym podbródkiem oraz prostymi włosami barwy słomy, które wiązała z tyłu, była całkiem ładna... ile o to, jak się uśmiechała i jak rozbłyskiwały jej oczy na mój widok. Miała śliczny, uzdrowicielski uśmiech, który pojawiał się zupełnie spontanicznie, i było w nim takie uczucie, że wydawało się, iż nic nie może przeszkodzić w tym, co się dzieje między nami, bliskimi sobie istotami ludzkimi, była w nim ta nie sprofanowana, szczerą i naturalną ludzką miłość. „Yehoshua, mój przyjacielu, gdzie się podziewałeś tyle czasu?”

Pana Barbanela podziwiałem, ufałem mu, a nawet go szanowałem, choć niezupełnie świadomie, niemniej w jego zachowaniu zawsze wyczuwało się jakieś ponagające napięcie, konieczność zrobienia lub rozwiązania czegoś. U Greta Margolin, zawsze w lśniącym czystością białym pielęgniarskim fartuchu, odnajdywałem pełen godności styl bycia, spokój oraz opanowanie, które moje chłopięce serce brało za atrakcyjność fizyczną. W moich oczach była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Obserwowałem jej dłonie, kiedy odbierała ode mnie paczuszkę z rękopisem, czasami dotykały one moich dłoni. Traciłem wtedy głowę i bez pożegnania uciekałem, słysząc za sobą jej cichy śmiech.

Przechowywała gdzieś te rękopisy Barbanela, nie mam pojęcia gdzie, choć rozumiałem, że jej funkcja pielęgniarki zapewnia im względne bezpieczeństwo, dopóki nie zostaną przeschumlowane poza getto, na dru-

gą stronę mostu, do jakiegoś schowka w mieście albo, być może, gdzieś na wsi.

Do czasu, kiedy się o nim dowiedziałem, ten Barbanelowy dziennik musiał się już rozrosnąć w tysiące stron, w wiele tomów, w cały kufer materiałów. A skoro ani Barbanel, ani Greta nie mieli przetrwać zagłady getta, do dziś te papiery ukryte są tam, w ziemi Europy Wschodniej, w jej gruzach, rumowiskach i zgłiszczach, i w prochach jej chrześcijańskiej tradycji.

Nie jestem pisarzem, nie potrafię ci więc ukazać powierzchowności tej pary, żywo oddać ich wyglądu, śpiesznych oddechów, wielkości ich istnienia. Myślę o nich z czcią, ale moja pamięć ukrywa prawdę, że byli zwykłymi ludźmi, którzy w normalnych czasach żyliby jak wielu innych. Bez dwóch zdań nie byli jacyś wyjątkowi, ten Josef Barbanel i Greta Margolin, nie bardziej niż moi rodzice, nie bardziej niż którekolwiek z nas.

Myślę sobie teraz, że chociaż doktor Koenig wiedział, iż Barbanel kompletuje to tajne archiwum, i aprobował jego działalność, to nie wiedział, lub udawał, że nie wie, o Barbanelowym radiu na fale krótkie, przechowywanym w ścianie naszej noclegowni nad biurami rady. Dwa lub trzy razy na tydzień Barbanel wspinał się po drabinie do naszej kwatery, a my pomagaliśmy mu wyciągnąć jedną z desek, żeby mógł się dostać do radia i podłączyć je do gniazdka dostarczającego prąd do stanowiącej nasze jedyne oświetlenie lampki. Kilkakrotnie przeciwiczyliśmy szybkie pozbywanie się radia, a jeden z chłopców zawsze stał na czatach przy oknie, inny zaś tuż przy drzwiach, skąd nasłuchiwał wszelkich dochodzących z dołu dźwięków.

To tajne radio miało ogromny pozytywny wpływ na nasze morale, co, jak sądzę, Barbanel świetnie rozumiał. Siadał ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, nakładał słuchawki na uszy i słuchał z zamkniętymi

oczyma nocnych wiadomości z Londynu. My natomiast bacznie obserwowaliśmy jego twarz, żeby z jej wyrazu dowiedzieć się, czy wiadomości te są dobre, czy złe, patrzyliśmy, jak kiwa albo kręci głową, albo jak w milczeniu unosi pięść, i tak siedzieliśmy przez cały kwadrans tego spektaklu w całkowitym skupieniu, wyzbyci wszelkiego lęku, a nade wszystko – w duchowej łączności z resztą świata.

Radio to było mocno podniszczonym aparatem pokojowym niemieckiej marki Grundig, o zaokrąglonych kształtach, z głośnikiem pokrytym kawałkiem materiału oraz pokręteł, którym podnosiło się i opuszczało wskaźnik na podświetlonej skali częstotliwości. Czułem, że mógłbym wejrzeć w to jarzące się radio niczym w kosmos. Byłem poruszony tym, że nachodzą mnie takie filozoficzne myśli. Dlaczego ta skala z liczbami na nazistowskim aparacie jest zrozumiała dla mnie, dla żydowskiego chłopca? – zastanawiałem się. Bo liczby są niezmiennie. Ich porządek jest stały, uniwersalnie prawdziwy. Nawet naziści muszą postępować zgodnie z nim. Jeśli zatem liczby są tym samym dla wszystkich, wszędzie we wszechświecie, czy nie oznacza to, że zostały wprowadzone do naszych mózgów przez Boga? A skoro tak, to po co... jeśli nie po to, by uczyć wszystkich natury prawdy? Było i jest na przykład prawdą, że dwa plus dwa czegokolwiek bądź równa się cztery. Nieważne, do czego je zastosować, liczby, będące stale i wiecznie tym, czym są i niczym innym, stanowią skrócone ujęcie prawdy,

Nie chciałbym wtedy wspomnieć o tej mojej koncepcji ojcu czy krawcowi Srebnitsky'emu. Niemniej, w ciemności naszego poddasza, wpatrywałem się w rozświetlony kosmos radiowych częstotliwości i hołubiłem tę ideę, wedle której liczby były prawdziwym, niezniszczalnym dziełem Boga. (Nie, żeby było to kiedykolwiek wiadome nazistom.) I że nie bez powodu dał nam On

zdolność postrzegania swego prawdziwego, niezniszczalnego dzieła. A chodziło mu o to, żebyśmy, kiedy nadejdzie Mesjasz, przynosząc powszechnie uznawaną, wieczną i dobroczynną Bożą prawdę każdemu i wszystkiemu na tym świecie po wsze czasy, mogli go rozpoznać z taką pewnością jak to, że dwa i dwa jest cztery. Takie były myśli dziecka w ciemnościach rozjaśnionych jedynie podświetloną skalą radioodbiornika Grundig.

Przez to, że Sarah sobie radzi, chcę powiedzieć, że wychowuje ich dzieci, prowadzi dom. Odeszła ze Świątyni Emanuela i zajmuje się teraz jedynie resztkami ich niewielkiego zgromadzenia. Niemniej jest w najgłębszej żałobie. Powiem ci coś – prosimy o jeszcze jedną kolejkę! – powiem ci coś, ta kobieta... Nie, żeby była anielsko, nadludzko doskonała... jednak jest w niej taka powaga ducha, takie ogromne wrodzone, bo ja wiem, dostojeństwo. Nie mówię tu o zwykłej pobożności, a już na pewno nie o świętości, bo tego słowa nie znoszę, jest to raczej tak, jakby została obdarzona przez naturę jakimś oszczędnym, wielkomiejskim wdziękiem... jakby mieszkała tutaj, w Nowym Jorku, ale także w Tillichowej krainie najgłębszego zatroskania. Mówię całkiem bez związku?

Nie, wydaje mi się, że cię rozumiem.

Miałeś rację, ona mnie pociąga. Dobrze to odczytałeś. Bo nie przypominam sobie, żebym to jasno wyraził. Chryste, jestem w niej zakochany, chcę z nią być. Zmieniłbym wiarę, gdyby to coś dało. Ale nie wykonuję żadnego ruchu. Mam wrażenie, że strywalizowałoby mnie to w jej oczach, że w pewien sposób, co ona natychmiast by mi wybaczyła, okazałbym niezrozumienie dla jej poważnego, pogodnego, nieodwołalnego... wdowieństwa.

I wierz mi lub nie, ja też go oplakuję. Bo z taką odwagą stawić czoło niewiarygodnemu atakowi na Boga, przeprowadzanemu przez nowoczesność, przez to stulecie, przez samych wiernych... Poszukiwanie Boga, w którego można by wierzyć... Chryste, jak ja to dobrze rozumiem. Joshua, ten szczupły, żyłasty, drobny facet, ani grama tłuszczu, zbudowany jak długodystansowiec, naprawdę inteligentny, a przy tym niezwykle skromny, tak charakterystycznie marszczył brwi – czy to była samoocena? nie wiem – poważny, delikatny, intelektualny skrupulant, z bardzo naturalnym, poważnym, precyzyjnym umysłem... i to właśnie ona w nim kochała, w swoim partnerze i ojcu jej dzieci. Mówię, oboje mnie zdumiewali. Czy to nie rzadkość? Bo gdzie teraz znaleźć ludzi wielkiej pobożności, z którymi chciałoby się przestawać?

W tym czasie w kilku domach z południowego krańca getta urządzono nowy szpital, mały, na jakieś trzydzieści albo czterdzieści łóżek, i ci sami Niemcy, którzy spalili stary szpital, zdecydowali, że cierpiący na choroby zakaźne muszą być mimo wszystko dalej izolowani, identyfikowani, a potem należy zrobić z nimi porządek w bardziej precyzyjny i być może mniej marnotrawny sposób. Naturalnie doktor Koenig postanowił nie hospitalizować już ani jednego pacjenta z tyfusem czy jakąś inną chorobą zakaźną. Ogromnie ryzykując, leczył takiego chorego w domu, a na karcie wypisywał fałszywą diagnozę. Mówiłem ci o jego odwadze, a to tylko jeden z jej dowodów. Zresztą to nie wszystko. Przy pomocy jeszcze innego żydowskiego lekarza oraz panny Margolin przyjmował niekiedy do szpitala zdrowych ludzi, którym groziło zdemaskowanie i egzekucja. Była też sprawa nielegalnych porodów. Z wszyst-

kich tych powodów szpital był szczególnie zagrożony, toteż rada nieustannie czuwała nad jego bezpieczeństwem.

I tak pewnego ranka wszedłem do tego szpitalika z pakietem zapisków pana Barbanela za pazuchą i zastałem pannę Margolin w izbie przyjęć z jakimś mężczyzną, który zdawał się jej sprawiać kłopoty. Zerknęła na mnie przez ramię i niemal niezauważalnie pokręciła głową, z czego wywnioskowałem, że nie jest to odpowiednia pora, by załatwiać nasze sprawy. Oparłem się o ścianę przy drzwiach.

– Nie jesteś chory – mówiła do tego mężczyzny. – Nic ci nie dolega.

– Skąd możesz być taka pewna? – Odwrócił się w moją stronę, szeroko uśmiechnięty, ale też uważnie zmierzył mnie wzrokiem od tej mojej czapki gońca do stóp. – Jak pielęgniarka może widzieć, że nie jestem chory, skoro mnie nie zbadała?

Był brzydki, miał końską twarz, połamane i szerniałe zęby. Mówił w jidysz jakoś dziwnie, niezdarnie. Miał na sobie chłopskie ubranie i zabłocone, wysokie buty. A także czapkę na głowie, której nie zdjął, mimo że był pod dachem i w obecności kobiety.

– Musisz mnie zbadać, jak mówię, że jestem chory – powiedział do panny Margolin.

– Zbadać to trzeba twoją głowę – odparła. – Wracaj do pracy, a jeśli przyjdiesz tu jeszcze raz, doniosę na ciebie.

Otworzyła drzwi, przed którymi stała, i obrzuciwszy mężczyznę zimnym spojrzeniem, wycofała się za nie. Drzwi się zamknęły i usłyszałem zgrzyt zasuw.

– Wiesz, co mi dolega! – zawołał mężczyzna. – Jestem chory z miłości do ciebie! – Odwrócił się do mnie, już bez uśmiechu. – Na co się gapisz? – spytał.

Bezczelnie wszedł za kontuar i zaczął przeglądać leżące tam papiery, wiszące na ścianie ogłoszenia i wszyst-

ko inne, do czego nie miał prawa. Stałem bez ruchu. Czułem na skórze dotyk pakietu od Barbanela. Bałem się tego człowieka, ale byłem też wściekły i chciałem chronić pannę Margolin. Powinienem był stamtąd wyjść, miałem jednak nadzieję, że jeśli ktoś, chociażby chłopiec, będzie go obserwował, poczuje się zmuszony odejść. Chwilę potem, gwizdząc nonszalancko, minął mnie i naciągnawszy mi czapkę na oczy, wyszedł na ulicę.

We wszystkich powieściach i filmach szpiegdy są przebiegli oraz subtelni i zdemaskowanie ich zajmuje całą fabułę. W getcie nie było w nich niczego subtelnego. Mimo że nie byli Niemcami, śmierdziało od nich nimi z daleka.

Chyba tego samego wieczoru, a może następnego dnia, pan Barbanel usiadł ze mną na stronie i powiedział, że cała ta dokumentacja, którą on z takim wysiłkiem zebrał, a którą Greta Margolin ukrywała, nie jest już w getcie bezpieczna.

– Należy to przenieść – oznajmił. – Od teraz sprawy muszą być już załatwiane inaczej. Rozumiesz, jakie to ważne?

Skinąłem głową. Rozumiałem. I zrozumiałem również natychmiast, bez zbędnych pytań, dlaczego Barbanel zwierzył się z tego właśnie mnie – czyż nie byłem jego najlepszym gońcem?

Mój uśpiony mózdzek ożywił się, gdy z podnieceniem pomyślałem, co mi grozi w związku z czekającym mnie zadaniem. Byłem niezdrowo rozgorączkowany, jak po narkotyku, amfetaminie, bo tak podziałało niebezpieczeństwo grożące chłopcu, który wiedział, że jeśli go złapią, zostanie poddany torturom i rozstrzelany.

A przecież w gruncie rzeczy, jak należało przypuszczać, znając Barbanela, moje wyprawy były w miarę bezpieczne. Najważniejszą część archiwum przerzucano już przez most do miasta, czy to podstępem, czy przekupując kogo trzeba, tego mi nie powiedziano. Mnie

pozostawało przemycać bieżące materiały owinięte w ceratę i przyklejone kawałkami cennego plastra do mojej klatki piersiowej oraz pleców. Od późnego lata do jesieni odbyłem chyba z siedem, a może i osiem takich wypraw. Gdy zrobiło się zimniej, poczułem się bezpieczniejszy, bo mogłem włożyć na siebie nie tylko koszulę, która przykrywała tę moją kontrabandę, ale i sweter, a na niego marynarkę.

Cóż, być może się na to uśmiechniesz, ale gdy twój ojciec był chłopcem, miał gęstą czuprynę. Musisz mi uwierzyć na słowo. Przycinali ją bardzo krótko, a poza tym farbowali na kolor, który choć nie całkiem blond, był jednak znacznie jaśniejszy od mojego naturalnego. Nie były to jedyne starania, jakie podejmowali, bym w mieście jak najmniej rzucał się w oczy. Znaleźli dla mnie ubranie odpowiedniego rozmiaru, bo moje było przyciasne. Naturalnie nie nosiłem wtedy ani gwiazdy, ani wojskowej czapki. I dali mi też całkiem przyzwoite obuwie. Trzewiki te, związane sznurowadłami, niosłem na szyi, kiedy wychodziłem z getta zapomnianym tunelem, tak starym, że Niemcy nic o nim nie wiedzieli. Dostać się do tego tunelu, a ściślej mówiąc rury, można było, sporadycznie, przez zbiornik mieszczący się w kamiennym młynie. Nie było mi zbyt wygodnie chodzić tamtędy zgięty jak jeden z żyjących tam szczurów, próbując bez powodzenia wstrzymać oddech ze względu na zgniły odór żelastwa, ziemi i zwierzęcych odchodów. W rzeczywistości nie była to jednak długa droga. Tunel kończył się pośród głazów i kamieni na brzegu rzeki, jakieś pół mili w górę jej biegu, licząc od drutu kolczastego otaczającego całe getto. Rzeka była tu płytka i kamienista, a ponieważ w tym samym miejscu również zakręcała, można było, pod osłoną rosnących na obu brzegach drzew oraz krzaków, przejść ją niepostrzeżenie.

W mojej opowieści wydaje się to znacznie trudniej-

sze, niż było naprawdę. Po krótkim spacerze ścieżką docierałem do słabo zaludnionej okolicy na przedmieściach. Tam, na rogu, czekałem po prostu na tramwaj. Wyposażono mnie w pieniądze, tornister pełen podręczników, poza tym znałem litewski i miałem podrobione papiery na jeszcze inne nazwisko. Ani razu podczas tych wszystkich wypraw nie byłem bliski zdemaskowania. Co najwyżej spojrział na mnie przelotnie jakiś policjant albo niemiecki żołnierz, chociaż kobiety w wieku macierzyńskim, kiedy już dotarłem do śródmieścia, przyglądały mi się z ciekawością, a czasem nawet nieco podejrzliwie. Uśmiechałem się wówczas do nich, a nawet uchylałem czapki, życząc im miłego dnia.

Taki był zatem Yehoshua X, Tajny Agent Tajemniczy Chłopiec, w akcji. Moje eskapady planowano tak, żebym znalazł się w śródmieściu późnym popołudniem, kiedy na ulicach był duży ruch. Za każdym razem, kiedy tam docierałem, czekało mnie jakieś druzgocące odkrycie. To prawda, że było to miasto okupowane, czasu wojny, z wojskowymi transporterami pędzącymi po ulicach, z nazistowskimi flagami zwisającymi z ratusza, ze skąpo zaopatrzonymi w żywność oraz inne towary sklepami i sklepikami, z niedożywionymi i niezadowolonymi ludźmi wydeptującymi swoje sprawy... niemniej widok gęsto zabudowanej przestrzeni wokół mnie, obrazy i dźwięki miasta, w którym kiedyś się urodziłem i chodziłem do szkoły, ulice ujęte w szeregi kamienic z podwórkami, napowietrzne linie elektryczne, tory tramwajowe, znaki drogowe świadczące o rozległości miasta... to oblicze normalnej, historycznie ugruntowanej cywilizacji, nieważne jak nędznej i antysemitkiej, i nieuchronne porównywanie jej z tym naszym nędznym obozem niewolników, z tymi naszymi wiejskimi rudekami, w których żyliśmy ogrodzeni niczym zwierzęta i odizolowani, wysiedleni i przywykający do strachu, że żadnego dnia nie wiemy, czy pozwolą nam dożyć na-

stępnego... wbijanie takiej lekcji do głowy byłoby nie-
szczęściem dla każdego, cóż dopiero dla dzieciaka. Chcę
przez to powiedzieć, że gdybym nie prznosił Barbane-
lowej dokumentacji, nie odczuwałbym tak mocno tego
strasznego ciosu, który nam zadano, ani nie rozumiał
w pełni tej nie kończącej się katastrofy...

Moim celem był mały kościół katolicki w dzielnicy
robotniczej, niedaleko dworca kolejowego, kamienny,
z niewielkim cmentarzem od frontu. Niestety nie pamię-
tam, pod jakim był wezwaniem. Rozmianami i wspa-
niałością nie mógł się mierzyć z katedrą na głównym
placu, mnie jednak wydawał się ogromny i groźny, tak
że kiedy przechodziłem przez jego dębowe drzwi, była
to najbardziej niepokojąca chwila w mojej wędrówce.
Było tam mroczno, stały całe rzędy migotliwych świec
wotywnych przypominających mi jahrzeity, czyli świe-
ce pamięci, które, jeśli tylko je mieliśmy, zapalaliśmy
w getcie za naszych zmarłych. Nie rozumiałem, po co
była ta krata, niczym więzienna, oddzielająca ołtarz od
modlących się w ławkach ludzi, wśród których czasem
widywałem jednego lub dwu niemieckich żołnierzy,
choć zazwyczaj były tam tylko kobiety, starsze niewia-
sty w chustkach na głowach. Te kobiety i te świece
wydawały mi się bardzo żydowskie, choć to nieco ab-
surdalne, jeśli wziąć pod uwagę, że w absydzie wisiał
na krzyżu bardzo realistyczny gipsowy Chrystus, któ-
remu z czoła i dłoni, i stóp kapłała krew.

Wyuczono mnie procedury, która wymagała, bym
ukłakł i przeżegnał się, a potem wszedł do jednego ze
stojących z boku nawy konfesjonałów. Miałem w nim
czekać kilka chwil, dopóki ksiądz, niejaki ojciec Petrau-
skas, upewniwszy się, że jest bezpiecznie, nie otworzy
drzwi i nie zaprowadzi mnie na plebanię.

Ten ksiądz był miłym człowiekiem; kiedy się ze mną
witał, kiwał głową i uśmiechał się do mnie naprawdę
przyjaźnie. Brakowało mu kilku zębów. Głowę miał

ogoloną, a twarz pooraną głębokimi bruzdami, pofałdowaną i pokrytą siecią zmarszczek, oczy zaś jak szparaki. Czarny garnitur był na niego za ciasny i bardzo już wyswiecony. Zdejmowałem koszulę, a on usuwał plasty bardzo ostrożnie, kiedy musiał mi je oderwać od skóry, i zabierał paczki z zapiskami Barbanela, a kiedy zapiąłem guziki, dawał mi coś do zjedzenia, kromkę chleba z dżemem albo trochę zupy, i siedział po drugiej stronie stołu, obserwując, jak jem. Nie chcę zniesławiać Kościoła katolickiego, ale w minionych latach nachodziła mnie od czasu do czasu myśl, że ten ksiądz mógł być nawróconym na katolicyzm żydem. Nie wiem, skąd to wrażenie, nie mam na to żadnych dowodów. W jakiejś mierze był on zaufanym przyjacielem Barbanela i ryzykował dla czegoś, co w tamtych czasach mogło się wydawać niemalże abstrakcyjne, dla zapisków historycznych, sprawy beznadziejnej, nie służącej ukróceniu zbrodni, lecz jedynie ich upamiętnieniu.

Odchodziłem zazwyczaj o zmroku i wracałem tą samą drogą, którą przybyłem, jechałem tramwajem na peryferie, wysiadałem przystanek przed lub za moim rogiem i szedłem ścieżką do brodu. Zdejmowałem trzewiki litewskiego chłopca i przebrnąwszy rzekę, przeczołgiwałem się rurą z powrotem na teren getta. Wracałem ożywiony i rozradowany, odnajdywałem pana Barbanela, żeby mu złożyć sprawozdanie z udanej wyprawy, a potem przebierałem się we własne ubranie, niczym aktor po spektaklu, mocno wciskając na głowę moją czapkę gońca.

Żeby poobserwować ptaki podczas krótkiego lata w kanadyjskiej Arktyce, możesz wsiąść w Yellowknife do DC-3, który polecie tuż nad ziemią, płosząc stada karibu, do Bathurst. Tam, w niezdobytej tundrze, zakła-

dasz obóz na wzniesieniu i wraz z Innuitymi, którzy tam żyją, wsiadasz do ich łodzi z silnikami przyczepnymi. Po letnich roztopach nizinne partie Arktyki przypominają morze, a oni zabierają cię w swoich otwartych łodziach na wyspę, o której wiedzą, że zamieszkuje ją jakiś orzeł albo lęgną się na niej płatkonogi, albo gniazduje białozór. Zwierząt w Arktyce jest niewiele, ale widać wszystko, co żyje.

Nieklamane zadowolenie na twarzy siedzącego u steru przewodnika, kiedy wskazywał nam dłonią przelatującego obok żółtodziobego nura, uznałem za wyraz koleżeńskiej satysfakcji. Niektóre z tych wysepek, przy których się zatrzymywaliśmy, wydają się utworzone ze skorupki jaj, piór i guana. Jeszcze jedno królestwo życia, które z nami nie ma nic wspólnego. Ci Innuici, którzy nie przenieśli się do miast i wiedzą żywot przodków – naturalnie zmodyfikowany, zimą wybierają się na wilki skuterami śnieżnymi – polują i łowią ryby, i żeglują po tych wodach, ustalając swą pozycję względem pewnej odległej góry, która przypomina spoglądającą w niebo twarz. Twarz jest indiańska, szczyt góry wygląda jak nos i stąd ci Innuici znani są jako Lud Nosa.

Spędziłem pół dnia pod gniazdem białozora i wreszcie ją zobaczyłem, matkę tych piskląt, lecącą nad doliną z zaskakująco wielkim łupem w szponach, susłem, którego, z głośnym łopotem bijących w miejscu skrzydeł, złożyła w wybudowanym na skalnej półce gnieździe. Niebo było lodowato błękitne. Miała szeroką pierś, nie była tak rosła jak orzeł. Pisklęta skrzeczały, moi towarzysze cykali aparatami fotograficznymi, a ja czułem radosny napływ adrenaliny na widok tego pięknego, drapieżnego stworzenia, któremu kiedyś przypatrywał się Yeats i które kazało mi się zastanowić, co może być lepszego w życiu od pływania łodzią po arktycznych wodach, żeby poobserwować ptaki.

Przyciąganie obiegającego Ziemię Księżyca powoduje, że wody naszej planety unoszą się cyklicznie na całym jej obwodzie, wypuczając się jak rogówka dalekowzrocznego oka. Zarazem rotacja Ziemi wywołuje ruch morskich wód, które przy równiku krążą w kierunkach przeciwnych, zachodnim na półkuli północnej, wschodnim na południowej, tak że gdyby potrafiły się splatać, okręciłyby Ziemię długim błękitnozielonym warkoczem. Gdyby też, z jakiegoś powodu, nasza planeta zaczęła wirować znacznie szybciej, ziemskie wody oderwałyby się od niej i skrzystalizowały w błękitny, lodowy pierścień, który w końcu by się rozkruszył i odleciał w kosmos z całutkim jej planktonem, z krabami, rybami, skorupiakami, wielorybami, meduzami i zamrożonymi na całą wieczność wrakami statków. Pozostałby rdzeń planety, złożony ze skał i magmy, który świeciłby przez chwilę jak nie dopalony węgielek albo fragment zębiastej szczęki jakiegoś jarzącego się stworzenia, nim uderzyłby w Księżyc, przemieniając siebie i swego satelitę w ogromną, płonącą, dymiącą chmurę skalnych okrucichów, którą wkrótce elegancko wessałoby Słońce, niczym węgorz połykający kryla. Bądźcie zatem wdzięczni Bogu, że ten system wzajemnej kontroli i równowagi na skalę kosmiczną, nieważne jak dziwaczny, zdaje się funkcjonować. I tak jak ku słońcu wznoszą się Alpy i Himalaje, i Andy, i Góry Skaliste, tak pod wodą piętrzą się jeszcze rozleglejsze pasma górskie. I tak jak ziemię pod stopami przecinają nam toczące wodę kanyon, tak dno morskie zryte jest głębokimi rowami. I jak my mamy nasze stepy i pustynie, tak ocean ma ciągnące się setkami mil otchłanne równiny. I tak jak nasze kozice stoją nieruchomo na poszarpanych krawędziach najwyższych gór, z pyskami zwróconymi pod wiatr, tak na pozbawionym światła i powietrza oce-

anicznym dnie żyją wieloszczety i żabnice, węzowidła, strzykwy oraz falujące liliowce, które w mule bezgłośnej czerni czekają z rozwartymi pyskami i uniesionymi ramionami na kosmyki martwej materii opadającej niczym śnieg z błękitnoszmaragdowego oceanu. Beziemienne stworzenia złożone z macek z przyssawkami na końcach, łodygi wyposażone w pyski albo robaki z napędem odrzutowym i trującymi żądłami oraz mechanizmami do wyrzucania atramentowych obłoków otrzymują w darze od Boga nieustający deszcz śmierci, który utrzymuje je przy życiu, podczas kiedy kręcą się i wiercą zajęte swoimi sprawami. Wszystko to stanowi część Planu Uniwersalnego. Dowodzi nam, że życie nie wymaga powietrza, światła czy ciepła. Dowodzi nam, że niezależnie od tego, jakie warunki stworzy Bóg, jakaś istota wymyśli sobie taką, by mogła w nich żyć. Nie ma jakiejś ustalonej morfologii dla istot żywych. Czy też niezbędnych dla życia warunków. Tysiące nieznanых istot roślinnych i zwierzęcych żyje w najgłębszych kanionach czarnej, lodowatej wody i mają tam one swój własny świat. Biomasa znacznie przewyższa naszą własną, skąpane w słońcu i oddychające powietrzem życie roślinne i zwierzęce. Szczeliny w dnie morza buchają siarkowodorem, w którym radośnie bytują bakterie. A nimi z kolei odżywiają się skorupiaki, kleiste, galaretowate meduzy oraz węgorze, które mają zdumiewającą umiejętność świecenia, wykorzystywaną, kiedy są atakowane albo chcą oświetlić swoją ofiarę. Bóg widzi cel istnienia tego wszystkiego. Jest taka ryba z wyłupiastymi oczami na rogatej głowie, kryjąca się w najgłębszym mroku, która potrafi zaprząć elektryczność do oświetlenia swojego odbytu, żeby oślepić podkradających się z tyłu drapieżników. Jednak ten elektryczny anus nie jest jej cechą wrodzoną. Zawdzięcza go ona kolonii świecących bakterii, które żyją, na zasadzie symbiozy, w jej odbycie. Również w tym jest Cel,

tylę że my go jeszcze nie poznaliśmy. Jednak skoro wierzymy w Boży osąd i sprawiedliwość oraz aprobujemy reinkarnację, mamy sensowne podstawy, by założyć, że pewna bakteria żyjąca w odbycie jakiejś szczególnie starej ryby tego głębinowego gatunku jest podlegającą cyklicznej przeróbce w pełni świadomą duszą Adolfa Hitlera, przeświecającego marnie poprzez kloaczny gnój, którym co jakiś czas jest omywany i odżywiany.

Kręcą po całym Nowym Jorku, a teraz nawet filmują jakąś scenę w moim kwartale. Musiało do tego dojść. Powietrze wypełnia zgiełkliwa aura pewności siebie i zarozumiałstwa. Policyjne barierki wstrzymują ruch. Kable, platformy, podnośniki do kamer, reflektory. Gwiazdy ukrywające się w swoich przyczepach. Tłumy czekające na ważną filmową decyzję, na zaakceptowanie mojej ulicy.

Teraz sobie przypominam. Wracając z porannej przebieżki, wpadłem na dwóch mężczyzn robiących całkiem na serio zdjęcia okolicy. Było to parę miesięcy temu. Myślałem, że to jacyś Europejczycy. Bo Europejczycy uwielbiają te wąskie uliczki Soho, za ciasne dla kawalerii, ten dziewiętnastowieczny bruk.

Jeden z mężczyzn robił zdjęcia, drugi wkładał filmy do aparatów i dźwigał torby. Poczulem się jak właściciel. Czy sfotografują ten stareńki garaż, z którego nigdy nie wyjeżdża żaden samochód? Czy uchwycą chińską prostytutkę? Czy spodobają im się te dwa wycieńczone drzewa? Czy wyczują ten wielkomiejski pył w duszach nas wszystkich, którzy tutaj mieszkamy, obecny nawet w najczystszy z wiosennych ranków, kiedy to nad spryskiwanymi przez polewaczki ulicami unoszą się tęcze?

Było tuż po świtanie i padające pod ostrym kątem

słońce wydobyło masywną geometryczną bryłowatość żeliwnych prefabrykowanych frontonów, cofniętych głęboko wejść i szerokich parapetów.

Fotografowie wrócili późnym popołudniem. Ulica wygląda o tej porze inaczej. Światło słoneczne wiąże się z cząstkami materii wzbitymi w powietrze przez całodzienny ruch uliczny, które opadają teraz wirującym świetlistym deszczem w wąskim korytarzu między stojącymi okno w okno budynkami, osypują się przez ażurowe schodki przeciwpożarowe, matowią nieprzejrzyście szyby dużych mansardowych okien, rozświetlają belgijskie płyty chodnika i robią wrażenie, jakby chowając się przed wieczorem, spływały w czerń tamtego starego garażu i pod narożne pokrywy kanałów ściekowych.

A więc tym byli ci dwaj. Zwiadem filmowym. A teraz popatrzcie, cała biwakująca armia. Furgonetka firmy cateringowej. Generatory. Przenośne toalety. Wszystko, czego trzeba żołnierzom w polu. Samowystarczalność w kraju, którego nie zamieszkują, ale który od czasu do czasu okupują.

Ni stąd, ni zowąd ulica jest jasna i czysta. Zdaje sobie sprawę, że obmywa ją światło reflektorów. Zwyczajnie wyglądający ludzie zajmują się swoimi sprawami. Podjeżdża taksówka, wyskakuje jakiś mężczyzna i chwyta za ramię kobietę, która przechodzi właśnie obok wejścia do budynku, i obraca ją twarzą do siebie. Robi to zdecydowanie agresywnie, choć wedle standardów filmowych dość łagodnie. Rozmawiają, z wysokości trzech pięter dostrzegam opór tej zatrzymanej kobiety, widzę go w całej jej postawie. Wszystko to film, potem jednak oboje odchodzą, całkiem zwyczajnie, w przeciwnych kierunkach, jakby nic z tego, co sobie powiedzieli, nie miało najmniejszego znaczenia, i zdaje sobie sprawę, że nim się zorientowałem, ta scena do-

biegła końca i że gasną już światła, a taksówka cofa się tą samą drogą, którą przyjechała.

Teraz wszędzie widać ludzi z walkie-talkie. Brygada robotników rozmieszcza na ulicy śmieci. Na całe mile dokoła ciągnie się nie filmowane, nieświadome swojej błahości miasto.

Ponownie cisza, zapalają się reflektory. Taksówka zatrzymuje się z piskiem, drzwi otwierają się szeroko, wyskakuje mężczyzna i chwyta kobietę za ramię.

Filmy żerują na miastach, terenach wiejskich, morzach i górach. Któregoś dnia zostanie sfilmowany ostatni cal świata. Planeta spłaszczy się w ogromną rolkę. Nocne niebo stanie się ekranem. Taśma filmowa rozwinie się i popęźnie, falując i skręcając się niczym Möbiusowa wstęga przez utkany galaktykami wszechświat. Życie nie będzie się toczyło jednocześnie, lecz sekwencyjnie, jedna opowieść będzie następować po drugiej, opowieść za opowieścią, jakby całe DNA wszelkich istot żywych zostało rozciągnięte w jedno pasmo, bajt po bajcie, w nieskończoność.

...wersja filmowa: facet wraca z porannego joggingu, widzi ekipę filmową instalującą się na jego ulicy. Scena, która kręcą – kobieta wychodzi z budynku, podjeżdża taksówka, wyskakuje z niej mężczyzna, agresywnie chwyta kobietę za ramię, ona cofa się, opiera, on jest wściekły... – robi na nim wrażenie czegoś znajomego, sceny z własnego życia.

Przez cały ranek kręcą ją w kółko. On obserwuje to z okna. Staje się dla niego coraz bardziej oczywiste, że ta filmowana scena jest... taka jak trzeba. Inaczej nie sposób jej przedstawić. Z nim było tak samo, wracając skądś, natknął się na żonę opuszczającą ich dom. Grający go aktor jest wyższy, ma gęstsza czuprynę, ale ogólnie jest tak samo zbudowany i również ma podłużną twarz z wysuniętą szczęką. Aktorka zaś to istny sobowtór – blond, śliczna, drobna, giętka w biodrach.

Nie ma pojęcia, co się dzieje, kto robi ten film, na podstawie czyjego scenariusza. Czyżby to ona go napisała? Ale jak? Przy tym jej bogatym życiu, przepełnionym impulsywną, zwierzęcą prawością? I tej nierozsądnej bezkompromisowej pogardzie dla własnych korzyści? Napisałaby o nim, o ich związku, ich nieudanym związku? Kiedy? I dlaczego miałaby zaprzętać sobie tym głowę?

Jego mansardę, z dużymi oknami bez rolet czy zasłon, umeblowała pod wpływem impulsu, bez najmniejszego wysiłku. Nawet i teraz widoczna wszędzie nie dbała perfekcja sprawia, że on nie ma chęci cegokolwiek zmieniać. Ta nieodwołalność wystroju wnętrza stwarza iluzję jej obecności, kontynuacji wspólnego życia. To ona znalazła tę mansardę, mieszkała w niej sama, a dopiero potem wprowadził się on. Była jej, wciąż jest jej, to mieszkanie, ta ulica, sąsiedztwo, chociaż jej tu już nie ma.

Zastanawia się, dlaczego tutaj został, dlaczego podejmuje to ryzyko.

Ekipa na dole kończy pracę, pakuje się, i pod wieczór ulica świeci pustkami. Myśli, że jest chyba przemęczony i zbyt dużo przypisuje tej zapewne przypadkowo znajomej scenie, nie potrafi jednak o niej zapomnieć, przez kilka dni sprawdza, czy jednak nie filmują właśnie jego, albo ich wspólnego, życia. Ku swemu zdumieniu potrafi odnaleźć ekipę filmową w różnych częściach miasta, powiedziawszy sobie, że wie, które miejsca muszą wybrać. Odnajduje ich na wydziale dziennikarstwa Columbia University, gdzie ona zrobiła magisterium, widzi ich we włoskiej restauracji przy Dziewiątej Alei, w której przywrócili wystrój z czasów poprzedniego właściciela. Korzystają nawet z właściwego stolika, tamtego w rogu, pod kinkietem z przepalonym abażurkiem.

Jego próby zbliżenia się do filmowców łatwo torpedują uzbrojeni w walkie-talkie asystenci reżysera

i ochroniarze. Nie, żeby mu zależało na ujawnieniu, kim jest. Kilkakrotnie widzi w przelocie tamtą aktorkę, która z każdą sceną staje się coraz bardziej podobna do jego żony. Nie wie, co robić. Kręcą plenery na lotnisku Kennedy'ego, w Lincoln Center, w Battery Park. W końcu przestaje chodzić za nimi i wycofuje się na swoje poddasze. Czeką. I tak jak przewidział, pukają wcześniej rano do jego drzwi i pakuja się do środka, z kablami, kamerami, reflektorami. Nie próbuje ich powstrzymać. Ustawiają krzesła dla reżysera, script girl, aktorów. Wszyscy zdają się widzieć w nim główną postać. Robią mu makijaż, a kiedy kamera zaczyna pracować, on wchodzi w swoją rolę: Pukanie do drzwi. Otwiera je i widzi dwóch detektywów. Przedstawiają się i mówią, że chcieliby zadać mu kilka pytań. Czy mogą wejść?

– Pomyślicie, że to szaleństwo, a może nawet, że ja jestem szalony – mówi później na planie w areszcie, gdzie siedzi z dwoma aktorami, którzy grają drobnych przestępców czekających, aż wyciągną ich stąd adwokaci. Zdaje sobie sprawę, że to kompulsywne, jednak nie potrafi się powstrzymać od mówienia. – Może i jestem szalony, ale przysięgam wam, że coś się dzieje z filmami, i to takiego, że nawet filmowcy tego nie rozumieją. Mówię wam, z filmami stało się coś niesamowitego, tak że jestem przekonany, iż ludzie, którzy rzekomo je kręcą, są zaledwie ich narzędziami, sługami, totumfackimi, a cały ten proces, od znalezienia pomysłu, pieniędzy i gwiazdy, cała ta operacja, pozornie zależna od reżyserów, producentów, dystrybutorów i tak dalej, włącznie z wszelkimi animozjami pomiędzy nimi, z tą walką o władzę, wtrącaniem się szefów studiów i uczonymi wypowiedziami krytyków, w istocie cała ta doskonalnie prosperująca filmowa kultura... jest złudzeniem, jakim powinien być każdy film, rzeczywistością scenariuszową, i że to same filmy sprawują nad tym władzę, rozstrzygając z góry o wszystkim i tworząc się same, ni-

czym jakiś gatunek z własnym DNA. Ludzie, którzy je realizują, są czynnikiem pomocniczym, owady w ogrodzie, istniejące po to, by zapylać kwiaty, albo tamte ptaki, które żyją, by jeździć na grzbietach afrykańskich nosorożców i wyjadać ich pasożyty.

Obecnie jest więcej filmów niż kiedykolwiek, przynajmniej z tym musicie się zgodzić, trwa właśnie ich ekspansja, w kinach, w telewizji, w kablówkach, na taśmach, na płytach, są wszędzie, nie można przed nimi uciec, bo te filmy, te niewiarygodnie przebiegłe i złożone istoty, którym udało się nas przekonać, że są przejawami naszej własnej kultury, mają co prawda indywidualne tożsamości, ale działają w ramach gatunku, podobnie jak my jesteśmy jednostkami w etnicznych ramach. Myślicie, że świruję, ale tak mogło być, powinniście rozważyć możliwość, że filmy są złośliwą formą życia, która przybyła na Ziemię jakieś sto lat temu i stopniowo opanowała nie tylko nasze uczucia, ale i nasze intelekty. To pasożyty, które zmusiły nas, byśmy je wynaleźli i zapewnili im materialne podstawy egzystencji, to znaczy taśmę filmową czy, ostatnio, cyfrową. Być może lepiej byście zrozumieli, co mówię, gdybyście pomyśleli, że one tak samo pragną wessać nas w siebie jak tasieniec, bo to taki jeden globalny tasieniec żyjący w trzewiach Ziemi, żerujący na miastach, terenach wiejskich, morzach i górach.

Nie oczekuję, że mi przyznacie rację, wiem, co myślicie, i nawet gdybym przypomniał wam tamte pseudonaukowe filmy grozy, w których jedna osoba, być może uczony, dostrzega jakieś ogromne zagrożenie dla ludzkości – czy to gigantycznego robala, zarazę, czy obcy gatunek z kosmosu, a ja wam przecież opisuję King Konga wśród katastrof – o którego istnieniu nie potrafi tejże ludzkości przekonać, aż jest już niemal za późno, to choćbyście znali tę konwencję i wielokrotnie oglądali filmy w różnych jej wersjach, nie dacie wiary mo-

jej naukowej analizie – ta straszliwa wiedza dana jest jedynie samotnemu bohaterowi, a być może i wiernej mu dziewczynie, zresztą córce znakomitego uczonego, który zginie na ekranie – bo uważacie, że obejrzałem zbyt wiele filmów!

Ja jednak przedstawiam wam jako dowód własne życie, które w jakiś sposób przyciągnęło uwagę tych filmowych stworów, które was też już najwyraźniej dopadły, i patrzą na mnie, jak siedzę tu z wami na planie, a wy sobie myślicie, że jestem aktorem odczytującym swoją kwestię, taką rolę macie właśnie odgrywać, jednak czy jestem nim, czy nie, mogę stwierdzić, że tracę wielowymiarowość, tracę materię moralną, złożoność, staję się płaski, przemieniam się w cień, a to straszne uczucie, bo sugeruje, że nawet najbardziej intymne, namiętne emocje człowieka są, jak podejrzewa, słowami na kartce, napisanymi po to, by je odegrał.

I nie wiem już, czy mówię to po raz pierwszy, drugi czy setny. A wy wiecie? Czy istnieję naprawdę, czy jestem filmowym obrazem? A wy? Po prostu nie wiem. I nawet kiedy już skończę ten monolog i reżyser zawoła: „Cięcie!”, nadal nie będę wiedział, ponieważ on także może być jedynie obrazem, cieniem, układem zapisanych na jakimś nośniku zer i jedynek.

Cięcie! – rozlega się głos z ciemności. A on słyszy okrzyki brawo! i pojedyncze oklaski widzów, co może być, albo i nie, ścieżką dźwiękową.

Midrash Jazz Quartet gra standardy

GOOD NIGHT SWEETHEART

*Good night sweetheart,
Till we meet tomorrow,*

(brawa)

*Good night sweetheart,
Sleep will banish sorrow,
Tears and parting may make us forlorn
But with the dawn, a new day is born.
So I'll say...
Good night sweetheart
Tho I'm not beside you
Good night sweetheart
Still my love will guide you
Dreams enfold you, in each one I'll hold you
Good night sweetheart, good night.*

Dobranoc, moja słodka, dobranoc, mała pani.
Nie uwierzę, że sypiasz sama, cokolwiek byś
skłamała.
Zatem dobranoc dla tego, kto u twego boku,
Z nadzieją, że da ci zapaść w ten sen,
jaki bym chciał, żebyś o mnie śniła,
Bo czekam na ciebie rankiem, kiedy wstanie
różowy nowy dzień,
Będziemy sobie leżeć upozowani,
Nie powiem, co z tobą robiłem nocą w pijanym
majaczeniu,
jeśli ty mi nie powiesz, czego nie robiłaś, że masz
taki zadyszany głos i promienieją ci oczy,
i serce bije szczęściem.
Zatem dobranoc, mała pani,
Dobranoc, tak słodko ranisz,
Serce mi wali, dobranoc.

(brawa)

Hej, jesteś tylko ty; wiesz, jakiś czas objam się
po świetle,
ale to coś nowego wstrzymywać się przed tym nocą,
czekając jasności dnia,
a potem sugerować to wszelkimi wersjami gry słów,

kiedy dokoła zamiast gęstej fioletowej mgły
Kuchnia, białe kafelki i grzanki, i sok pomarańczowy...
dowcipna jesteś, skarbie, uwielbiam twoje gierki,
Uwielbiam cię obejmować, kiedy masz mokre włosy,
szeroko rozchylony aksamitny szlafrok i kropelki wody
na piersiach, uwielbiam twoje wymagania,
żebyśmy byli czyści i wypoczęci, by już nie wspomnieć,
że trzeźwi, kiedy się kochamy,
i że to można robić jedynie w królestwie tego domu.
Cóż, zatem dobranoc, moja droga, urocza,
zabawna bużko,
Przebudzę cię z twoich snów o brzasku,
porozmawiamy wtedy przyzwoicie i wyrozumiale,
zanim rozejdziemy się do obowiązków dnia,
żeby zarobić trochę pieniędzy, każde tak jak potrafi,
na miesięczne świadczenia za ten dom,
nową warstwę farby
i urządzenie pokoiku dla dziecka...
Och dziecino,
wiesz, że po prostu muszę mieć drugiego takiego
skarba jak ty,
któremu mówiłbym dobranoc,
prawda, skarbie?
Dobranoc!

(śmiech, brawa)

Na kolana padam przed Bogiem,
Bóg jest moim skarbem
Jednak On mówi dobranoc,
Mój skarb odchodzi,
Każe mi zasnąć,
Kładzie mnie na niegościnnych pastwiskach.
Niepocieszony to zbyt słabe słowo, by wyrazić moją
przerażającą boleść,
Wstrząsające mną łkanie, załzawione, palące oczy,
Udręczony umysł, Boże, jestem smutny,

Czy muszę być smutny już zawsze?
Słońce jest deszczem, bliskość dalekością,
wysokość niskością,
dzień nocą,
Nic nie jest jak trzeba, nic nie jest jak trzeba...
Kimże jest ten słodko przemawiający Bóg,
co On zamierza?
On przecież wie, że sen nie oddali cierpienia,
tylko nieustannie przetrawia je od nowa
w drzemającym umyśle,
wyszukując obrazy, pożywkę dla bólu.
I co się stanie, kiedy zaświta jutro,
skoro światło dnia następnego nigdy nie przynosi
niczego innego?
Czy poprowadzi mnie twoja miłość, ogarną twoje sny?
Po tym, jak odejdziesz i pozostawisz mi, Boże,
Jako przewodnika jedynie Twe puste obietnice?

(pełna zakłopotania cisza)

Odeszła. Stało się.
Nie masz nikogo.
Choć sen pociesza,
Marzenia zwodzą,
O świetle nie znajdziesz
U boku nikogo.
Odeszła, stało się,
Jesteś zupełnie sam.
Smutek i żal jest twój.
Odeszła. Stało się.

(pomruki)

...Dobranoc, tak słodko ranisz, serce mi wali, dobranoc.
...Dobranoc, moja droga, urocza, zabawna bużko.
...Czy poprowadzi mnie twoja miłość, ogarną twoje sny?
...Odeszła. Stało się. Jesteś zupełnie sam.

*Good night sweetheart,
Till we meet tomorrow
Good night sweetheart,
Sleep will banish sorrow...*

(publiczność wychodzi)

Pem zaczął zbierać włosy w kitkę. W piątki wieczorem chodzę z nim na Osiemdziesiątą Dziewiątą Ulicę, gdzie Sarah Blumenthal prowadzi modły w synagodze ewolucyjnego judaizmu. Zazwyczaj jest tu nie więcej jak dziesięć, dwanaście osób, czyli mniej niż połowa tych, którzy gromadzili się tam, kiedy rabinem prowadzącym był Joshua Gruen.

W wyniku studiów oraz dyskusji toczonych przez członków zgromadzenia nabożeństwa szabasowe są zmieniane tak, by zawierały najbardziej podstawowe i nie podlegające dyskusji elementy, takie jak szema, która zawiera stwierdzenie, że Bóg jest jeden, będące podstawą abstrakcyjnego monoteizmu... kadisz, rytualna modlitwa za zmarłych, bo niesie on pociechę osieroconym, odnawia pamięć o nich i przywraca wdzięczność... uznanie idei szabasu zarówno przez jego umiejscowienie w czasie, jak i jako okazji do nie zakłóconej refleksji... i, poza tym, poświęcenie się studiowaniu Tory, aby wydobyć z niej te zalecenia, które pozwoliłyby dokończyć modyfikację obrządku i doprowadziły do położenia teoretycznych podwalin dla zewoluowanej wiary.

Pem uwielbia te wieczory, a ja jestem zaskoczony, że i dla mnie są one takie fascynujące. Do zgromadzenia należy profesor religioznawstwa porównawczego z Columbii, sędzia Stanowego Sądu Najwyższego, młoda kobieta ucząca się w Actors Studio, małżeństwo le-

karzy, student trzeciego roku z Barnard College i, co najbardziej wzruszające, starszy, siwowłosy mężczyzna, którego syn wnosi tu po kamiennych schodkach i odbiera pod koniec wieczoru.

Pem zna wiele tych problemów z czasów, kiedy studiował teologię. Ze mną jest zupełnie inaczej: z pewnymi rzeczami spotykam się pierwszy raz w życiu. Stopniowo, krok po kroku, pierwsze pięć ksiąg Biblii, Tora, po przeanalizowaniu przez tę grupę okazuje się tekstami zebranymi z różnych źródeł, J, E, P i D. Doktorant z Harvardu pewnego wieczoru omówił pracę znakomitego nauczyciela, J. L. Kugla, który zajął się szczegółowo oddzielaniem tekstów oryginalnych od wstawek interpretatorów naniesionych w ciągu trzystu lat przed naszą erą i w pierwszych stu latach naszej ery, która stworzyła tę Biblię, dzisiaj przez nas czytaną ze złudnym przekonaniem, że obcujemy z oryginalnym Pismem. Od wieków teksty biblijne uważane były za enigmatyczne i niby czemu nie, skoro napisano je w języku, w którym nie ma samogłosek czy interpunkcji. A skoro ich źródło miało być boskie, musiały być nadprzyrodzenie doskonałe, więc starożytni uczeni, kapłani oraz mędracy uznali za konieczne bronić wszelkich sprzeczności, całkiem nie Bożych sądów, niesmacznych fragmentów oraz niezbyt szlachetnych uczynków szlachetnych osobistości z różnych opowieści, oraz wszelkich niesprawiedliwości... interpretując to metaforycznie, symbolicznie lub alegorycznie, albo zmieniając znaczenie poprzez dodanie znaków interpunkcyjnych, albo oportunistycznie rozkładając akcenty składniowe, albo w jakiś inny sposób prezentując na nowo to, co wedle nich wymagało poprawy, gdyż musiało być teologicznie poprawne. Bardzo byłem tamtego wieczoru zadowolony, że udało mi się poznać to szacowne źródło hermeneutyki. Bo poza tym, jako pisarza, fascynuje mnie jedynie siła oddziaływania tej gmatwaniny kro-

nik, poematów, pieśni, relacji, kosmicznych praw, grzechów i dni rozliczeń... ten rezultat cięcia i klejenia, który w pierwotnej formie jest taki lapidarny, dosadny, niekonsekwentny, przeczący zdrowemu rozsądkowi oraz tak dyskretnie niezgodny ze zwyczajowymi prawami narracji, że może być przypisywany jakiemuś boskiemu autorowi.

Mój Boże. Co robiłem nie tak przez te wszystkie lata?

Jednak ten gość od religioznawstwa porównawczego ma do tego następujące podejście: powiada, że interpretatorzy wiedzieli, co robią, nie usiłując wymazać owych niekonsekwencji i uporządkować innych spraw. Kapłani oraz redaktorzy pozostawili materiały wcześniejszych majstrów od konfabulacji. Nie zbliżamy się nigdy do Boga, możemy mieć tylko nadzieję, że nieco rozjaśni nam się w głowie. Owe sprzeczności zaś i opowieści żyjące obok swoich nowszych wersji są oznaką tego samego wysiłku, który został opisany w fabułach – by zrozumieć i zaakceptować budzącą zdumienie i grozę wszechogarniającą doskonałość twórczą Bezimiennego.

Po tych sesjach zwykle jadamy z Pemem kolację w restauracji Amarillo na Broadwayu. Niekiedy dołącza do nas Sarah B. Nie chodzi tu o to, co wypada, a co nie wypada rabinowi (bo kaszrut* należy do kategorii spraw nieistotnych)... po prostu niepokoi ją to, że zostawia dzieci jedynie z Angeliną, jak niepokoiłoby ją, gdyby zostawiała dzieci same, bez Angeliny. Tak jakby się bała, że straciwszy męża, może utracić kogoś jeszcze.

Kiedy jednak Sarah zgadza się do nas dołączyć, czuję się jak przyzwoitka. Czy czułbym się tak, gdyby nie rozwijało się tu coś w rodzaju zalotów? W blasku świec i nad kieliszkami czerwonego wina spoglądają na siebie z uwagą, której zupełnie nie są świadomi. Kiedy zaś

* Reguły dotyczące koszerności (przyp. tłum.).

ja mam coś do powiedzenia, przez promienną uwagę, jaką mnie unisono obdarzają, wyraźnie przebija świadomy wysiłek. A przecież nawet nie chcą słyszeć, bym zostawił ich samych. Obawiają się tego oboje, Pem dlatego, że nie chce się zniżyć do wykorzystywania sposobności, a ona, ponieważ nie potrafi ani na chwilę zapomnieć o mężu, Joshui. Jej żaloba winna trwać, formalnie rzecz biorąc, rok, ale wedle ewolucyjnego judaizmu to sprawa nieistotna, gdyż zgodnie z teorią to, dzięki czemu pamiętamy i zapamiętujemy naszych zmarłych, musi najzupełniej naturalnie wypływać z serca. Tak czy owak, te sprawy muszą, z psychologiczną nieuchronnością, rozwiązać się same; taka jest niby ta myśl. Możliwe jednak, że Sarah w tej sprawie się myli, ten obyczaj bowiem, jak się zdaje, jest podtrzymywany bardziej ze względu na żywych niż na zmarłych. Stanowi on pewne zamknięcie. Żeby mogli trwać. Minał już przeszło rok, jak utraciła męża.

Niemniej widzę, że się zbliżają do siebie, nieważne jak powoli. A ponieważ zarówno ona, jak i Pem żyją naznaczeni uderzającą moralną powagą – to chyba najbardziej abstrakcyjna konstrukcja, jaką to mogę wyrazić – musi dojść między nimi do zbliżenia także na innej niż tylko osobista płaszczyźnie. W ubiegły piątek studiowali Księgę Wyjścia, ustęp dotyczący przekazania Mojżeszowi Dekalogu. Tego wieczoru Sarah prowadziła dyskusję z wielkim ożywieniem, głos miała silny, rozważanie tego kluczowego epizodu zdawało się dodawać jej ducha, nie przeorywała z wysiłkiem poszczególnych fragmentów ze swoim zwyczajowym już sceptycyzmem oraz szacunkiem, ale z niemal seksualną pewnością siebie. Uniosła głowę, przeczesła włosy palcami, a jej twarz przeobraził, niczym promień słońca, aż jej rozbłysły oczy, piękny uśmiech; jeden z tych kruchych jak porcelana, zagadkowych uśmiechów, które mogą zapowiadać rychłą kaskadę łez. Cytuję ją z pamięci:

– To, co do mnie dociera, świadczy, że tamci pisarze posiadli zrozumienie moralne wielkości ludzkiego życia. Czy to dostrzegacie? Zaplanowali oni etyczny kształt ludzkiej egzystencji. Kto przed nimi zrobił to w taki sposób? Te przykazania obmyślił ludzki, biblijny geniusz... I wtedy, w napisanej po człowieczemu Biblii, znalazło się miejsce dla Boga, Pana, niech będzie błogosławione imię Jego, jak mawiają moi ortodoksyjni koledzy [uśmiecha się]... który jest tym, co skłania nas do uporczywego szukania historycznej i teologicznej wiedzy. Biblijne umysły twórców Dziesięciorga Przykazań, na których zbudowano cywilizację, świadomość, że to, jak żyjemy, ma skutki moralne, musi pewnego dnia przybliżyć nas do wspólnej z Twórcą jedności pojmowania. Cóż to za dar, wspaniały i głęboki... i jakże godny czci!

Gdy zostaliśmy już sami z Pemem, powiedziałem mu, że oboje zaczynają wyglądać, jakby należeli do siebie.

– Naprawdę? – spytał. – Naprawdę? Po czym to poznajesz? – Jego twarz zrobiła się bardziej rumiana niż zwykle. Nic, co mógłbym powiedzieć, bardziej by go nie uszczęśliwiło. Potem, po jeszcze jednym czy dwu kieliskach wina, spochmurniał. – Nigdy mnie nie zechce – oznajmił. – Chłopcy za mną nie przepadają.

– Skąd wiesz?

– Przynoszę im różne gry, zabawki, bawię się z nimi, siadam na podłodze. Widzą we mnie tego, kim jestem... nie własnego ojca.

– Nie wiedziałem, że to zaszło tak daleko.

– Co znaczy „tak daleko”? Musiała w jakiejś sprawie zabrać Angelinę do urzędu imigracyjnego. No to siedziałem z nimi. Co znaczy „tak daleko”? Zignorowały cię kiedyś dzieciaki? Siedzisz na podłodze jak idiota, a one oglądają sobie telewizję, jakby cię tam w ogóle nie było. A już mi się wydawało, że doznałem w życiu

wszelkich możliwych upokorzeń. Sądziłem, że najgorsze, co mnie może spotkać, to wygłaszanie kazania dla trzech osób.

Pytałaś o to i pytałaś, i pytałaś przez wszystkie te lata dorastania, a ja nigdy ci nie powiedziałem, najpierw dlatego, że byłaś za młoda, a ja zawsze chciałem... nieważne jak niemądre było to ojcowskie pragnienie... żebyś miała własne życie i żeby nie ciągnęły się za tobą widma przeszłości, a w ostatnich latach z zupełnie innego powodu, chciałem bowiem odzyskać ten dziennik, to archiwum pana Barbanela, po prostu je znaleźć i pozwolić, żeby ono przemówiło za mnie.

Życie jednak staje na drodze naszym planom. I ostatecznie mówię ci, co mogę powiedzieć... Nadszedł taki czas, że choć nic konkretnego się nie zmieniło, niewytłumaczalnie sposępniliśmy, a przez getto powiało przeczcuciem zagłady. Opadła nas rezygnacja, osłabła wiara, że możemy przetrwać. Nasze credo – przetrwać, zwyciężyć – nie wydawało się już takie niewzruszone. Kiedy Niemcy znaleźli się na drodze prowadzącej do klęski, wzrosło napięcie, bo zaostrzyła się ich beznamietna perfidia. Wiem, że to brzmi paradoksalnie, jednak front wschodni się załamywał, cofał się w naszym kierunku i oni tracili licencję na bezkarne mordowanie. Wyznaczono brygady robocze do fortu. Mieliśmy nie wiedzieć, co się dzieje, ale i tak dotarło do nas, że kopią tam groby i palą ludzkie szczątki. Czasami, kiedy zawiąło od zachodu, wydawało mi się, że mogę wyczuć, co się tam dzieje. I naturalnie, robotników wyznaczonych do pracy w forcie nigdy już nie zobaczyliśmy.

Wolność, dla której żyliśmy, dla której staraliśmy się przetrwać, wydawała się teraz niebezpieczną perspek-

tywą. Skoro zmarli byli świadectwem ich zbrodni, to co dopiero żywi?

A potem, pewnej nocy, mieliśmy tajną wizytę żydowskich partyzantów. Spotkanie odbyło się w chacie, w której trzymano farby, skrzynie na piasek, narzędzia ciesielskie i tym podobne. Nie była ona odległa nawet o jedną przecznicę od granicy getta. W jakiś sposób dowiedziałem się o tym spotkaniu i Barbanel uznał, że bezpiecznie będzie, jeśli i ja tam się znajdę, na zasadzie, że powaga sytuacji nie pozwoli mi puścić pary z ust. Siedzieliśmy i czekaliśmy, i zdążyłem już kilkakrotnie się zdrzemnąć, aż wreszcie w ciszy, wcześniej rano, rozległo się cichutkie pukanie, raz, a po chwili ponownie. Przetawiono stół, uniosła się klapa w podłodze i wynurzyli się tamci, przynosząc ze sobą ziąb i mrok; było ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta. Przypominało to poród, kilka tygodni wcześniej byłem przy narodzinach dziecka i tak to właśnie wyglądało, najpierw głowa, a następnie ramiona. Tyle że teraz następny był karabin.

Gestem odmówili przyjęcia jakiejkolwiek pomocy. Po kolei podciągali się na rękach, siadali na podłodze i stawali przodem do nas. Twarze i dłonie mieli uczernione ziemią. Ich karabiny przypominały te, które nosili wartownicy na moście, co dla mnie było ekscytujące, wiedziałem bowiem, że każdą sztukę broni musieli odebrać Niemcom. A zarazem byłem przerażony. Ci ludzie od nikogo nie oczekiwali pomocy, do nikogo nie kierowali modłów. Każdy ich gest wyrażał pogardę. Oczy mieli lodowate, niecierpliwe, nawet ta kobieta.

To były dzieciaki, ci partyzanci. Skoro ja, tak młody, mogłem to dostrzec, to być może dostrzegłem też łączącą nas więź, szczególnie że ta kobieta była drobnym, szczupłym stworzeniem o oczach od dawna już niezdolnych wyrazić bólu. Kiedy mnie zauważyła, wyczytałem w nich współczucie starszej siostry, chwilową zdradę

tamtej twardej postawy, być może nieświadomą troskę o dziecko, które znalazło się w tym miejscu, pod komendą starych mężczyzn. Bo w końcu była to sprawa pokoleniowa; tych dwóch towarzyszących jej mężczyzn nie mogło mieć więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, w moich oczach byli dorośli – mieli odpowiedni wzrost, siłę i ciemne brody – choć młodzieńczo tyczkowaci i z młodzieńczo gęstymi czarnymi włosami, a ich dowódca nosił okulary o okrągłych szklach, które nadały mu zupełnie niestosowny wygląd studenta jesziwy, ten drugi zaś, z szeroką słowiańską twarzą, rozróżniony w barach, był typem, od jakiego w dawnych, szkolnych latach na pewno trzymałbym się z daleka.

Nie wiedziałem dokładnie dlaczego, ale wrażenie, jakie na mnie wywarli, nie było takie, jakiego oczekiwałem; nie przypominali moich rodziców, należeli do innej kategorii, i kiedy już ich poobserwowałem i posłuchałem, zrozumiałem... choć naturalnie zawsze o tym wiedziałem... że mojej matki i mojego ojca nigdy wśród nich nie było.

Nikt nie znał tej trójki poza doktorem Koenigiem, którego praktyka zaprowadziła kiedyś niemal do każdej dziury w tym mieście i okolicach. Być może przyjął na świat tego ich młodego dowódcę, Benna... w którego okularach błyskało światło świec, kiedy poruszał głową... bo pozwolił się doktorowi objąć na powitanie.

– Patrzcie no, jaka siła! – mruknął doktor Koenig przy pierwszej i ostatniej tego wieczoru wymianie uprzejmości.

Pozostali zajęli pozycje przy oknach i wyjrzeli przez zaciągnięte, zrobione z worków zasłony, po czym odwrócili twarze ku pomieszczeniu. Benno usiadł na stole i niedbale trzymając karabin na kolanach, zwrócił się do nas w przyciszonym, płynnym jidysz, co dla mnie zabrzmiało jak szmer płynącego po kamieniach strumienia. Armia rosyjska jest o sto dwadzieścia mil, po-

wiedział. Ponieważ front przesuwa się na zachód, wasze getto zostanie zlikwidowane, a wy wraz z nim. Sami wykopiecie groby, w których spoczniecie. To tylko kwestia czasu.

Może i tak. Jednak tamci już niszczą dowody swoich zbrodni, powiedział doktor Koenig. Boją się, że po wojnie pójdą za to pod sąd.

Ludzie się. Jeśli nie zaszlachtują was na miejscu, to przewiozą gdzieś indziej i tam zarzną.

Partyzanci zaproponowali wyprowadzenie ludzi z getta... tylu, ilu tylko zechce pójść. Mogliby przerzucić trzydziestu do czterdziestu jednej nocy, oznajmił Benno. Trzy oddziały partyzanckie, jeden żydowski, dwa rosyjskie, zajmowały wolny od Niemców teren tuż za ich liniami. Jego oddział liczył sto pięćdziesiąt uzbrojonych Żydów oraz Żydówek i miał pod opieką dwieście osób.

Na spotkanie przyszedł jeszcze trzeci członek rady, rabbi Pomeranz, bardzo szczupły, drobny mężczyzna w średnim wieku, choć z całkiem już posiwiałą brodą, który nosił stary, zniszczony melonik. Siedział na krześle pod ścianą i trzymał na kolanach zamknięty modlitewnik, z palcem, niczym zakładką, między kartkami. Słuchając rozmowy, bezgłośnie, kiwając głową i poruszając wargami, recytował do siebie modlitwy, które znał tak dobrze, że nie musiał w ogóle zaglądać do tego modlitewnika, oczu jednak ani na chwilę nie spuszczał z mówiącego partyzanta.

I rabbi odezwał się: Być może partyzanci nie wiedzą, co Niemcy robią z uciekinierami... ludzie złapani na próbie ucieczki są zabijani.

No cóż, rabbi, powiedział Benno, popatrz tylko na mnie, jesteśmy tutaj i do ciebie mówimy, prawda? Nie sądzisz, że wiemy, co robimy?

Partyzanci Benna obozowali w lasach. Żywili się tym, co zarekwirowali w gospodarstwach. Atakowali

i likwidowali rozrzucone po wsiach niemieckie garnizony, a potem płacili za cukier, mąkę i inne niezbędne produkty, czerpiąc z niemieckich kasetek. Mogli się swobodnie poruszać po terenach wiejskich dzięki swojej reputacji, na którą sobie zasłużyli, mszcząc się na ludziach, którzy donieśli na nich Niemcom, wracali bowiem i dokonywali na tych osobach egzekucji, palili ich domy oraz budynki gospodarcze, tak że teraz nikt się już na to nie ważył. Ich grupy bojowe dokonywały aktów sabotażu, niszcząc tory kolejowe, przecinając linie telefoniczne. Organizowali zasadzki na wojskowe ekipy, które przyjeżdżały, żeby naprawić szkody.

Wszystko to ładnie, pięknie i niech Bóg da, żebyście to mogli robić nadal, powiedział rabbi. Ale nadchodzi zima. Czy starsi ludzie wytrzymają takie życie, w tak ciężkich warunkach, pod gołym niebem?

Jeśli nie wytrzymają, to przynajmniej umrą wolni, odparł Benno.

Doktor Koenig powiedział, że obawia się o tych, którzy będą chcieli zostać w getcie... kiedy Niemcom znacznie brakować robotników, natychmiast, jak to oni, wezmą zakładników i w końcu ich zabiją.

Benno odrzekł na to, że Niemcy zrobią to tak czy owak, kiedy żydowscy partyzanci zbliżą się do miasta i garnizon zacznie odczuwać ich nacisk.

To niełatwa decyzja, powiedział im Koenig. Wielu z tych ludzi pochodzi z miasta. Nie mieliby pojęcia, co tam u was robić. Tutaj dostają te swoje kilka kalorii i przeżywają jeszcze jeden dzień.

Uważacie, że niepotrzebnie stwarzamy wam problem, nieprawda? powiedział Benno. Tak długo żyliście jako niewolnicy, że nie potraficie sobie wyobrazić innego życia.

Barbanel, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, zerwał się na równe nogi i chwycił młodego człowieka za kołnierz. To niegodziwość, powiedział. Okaż

cie nam nieco szacunku. Walczyliśmy równie ciężko jak wy. Gównu o nas wiecie.

Benno odtrącił jego dłoń i dał znak pozostałym. Przekazali, co mieli przekazać. Szykowali się do odejścia.

Niezależnie od tego, co myślisz, odezwała się młoda kobieta do Barbanela, masz moralny obowiązek poinformowania ludzi, że możemy ich wyprowadzić. Nie możesz decydować za nich. Nawet za tego tu chłopca. Są wśród nas dzieci, które potrafią strzelać. Ludzie muszą wybierać sami. I jeśli wykorzystasz w tej sprawie swój autorytet, będziesz równie podły jak naziści.

O, moja Sarah, pamiętam te słowa, jakby padły wczoraj. Unieśli klapę. Ten barczysty, który nie odezwał się ani słowem, oraz kobieta opuścili się na dół i zniknęli. Benno został jeszcze chwilę, wziął doktora Koeniga na bok i, tak przypuszczam, poinformował go, jak następnym razem nawiązać z nimi kontakt. A zanim opuścił się pod podłogę, zwrócił się do rabbiego Pomeranza: Skoro twoje modły są takie skuteczne i już przyniosły tyle dobra, to jak podejrzewam, zostaniesz tu i będziesz się modlił do swojego Boga, żeby uratował twój lud.

Kiedy odszedł, a stół ustawiono znów nad klapą, rabbi wstał i przygotowując się do wyjścia, mocno wcisnął swój zniszczony melonik na głowę. Nie dlatego modłę się do Boga, niech będzie błogosławione imię Jego, oznajmił, nie zwracając się do nikogo konkretnego, modłę się, żeby powołać Go do istnienia.

Naturalnie, kiedy już rada zebrała się w pełnym składzie, okazało się, że nie ma wyboru i musi poinformować ludzi o możliwości ucieczki z getta. Wieść tę jednak należało rozpowszechnić niezwykle ostrożnie, nie tylko z uwagi na oczywiste zagrożenie ze strony samych Niemców, ale także umieszczonych wśród nas szpiclów, którzy albo udawali Żydów, albo po prostu byli zwyczajnymi zdrajcami, jak niektórzy policjanci. Przebiegało to zatem bardzo mozolnie, człowiek za człowiekiem,

zaczynając od tych, których członkowie rady znali osobiście. Możliwe, że gdyby cała ta procedura nie była taka żmudna, udałooby się uwolnić więcej osób. Otrzymałem nowe zadanie: gwiazda wśród gońców, w swojej niby to wojskowej czapce, miała odnajdywać wybrane osoby w godzinach, kiedy można się było do nich bezpiecznie zbliżyć, i wzywać je dyskretnie do biura rady. Wkrótce ruszyła ta podziemna kolejka, jeśli wolno mi to tak nazwać. Partyzanci bez trudu przeniknęli do miasta. Jak powiedział wtedy ten Benno, oni rzeczywiście wiedzieli, co robią. Odbywało się to zaskakująco sprawnie. Nie wiem, jak tego dokonywano, jaka była konkretna procedura ucieczki. Być może zmieniała się z nocy na noc. W mojej ocenie, nim wszystko to dobiegło końca, z getta wydostało się jakieś dwieście pięćdziesiąt osób.

Rada dała pierwszeństwo tym, którzy zdawali się mieć największe szanse przetrwania pod gołym niebem. I kiedy odchodzili, ich kartoteki oraz karty pracy przydzielano osobom w tym samym wieku i tej samej płci, którzy ich nie mieli. Dawało to pewną nadzieję, że Niemcy nie zauważą, iż nas ubywa.

Którejś nocy Barbanel zwrócił się do nas, chłopców z noclegowni na poddaszu. Ani ja, ani nikt inny nie powie wam, co macie zrobić, oznajmił. Czy zostać tutaj, czy odejść. Nie wiemy, co lepsze, a co gorsze. Mogę wam tylko powiedzieć, żebyście decydowali sami za siebie. Okoliczności uczyniły z was dorosłych, mimo że wciąż jesteście dziećmi. Musicie wziąć odpowiedzialność za własne życie.

Jak się okazało, z sześciu chłopców jedynie dwóch chciało pójść do lasu z partyzantami. Mam nadzieję, że dokonali właściwego wyboru. Jeśli chodzi o mnie, to uświadomiłem sobie, że podczas tych wszystkich moich potajemnych wypraw do miasta ani razu nie przyszło mi do głowy, że mógłbym nie wrócić do getta. Praw-

dopodobnie znalazłbym jakąś kryjówkę, być może z pomocą tamtego księdza, jakąś rodzinę, która by mnie przygarnęła i oszczędziła mi losu żydowskiego dziecka. Nigdy jednak taka myśl nie powstała mi w głowie. Zauważyłem również, że z oczywistych powodów, doktor Koenig też nie może odejść. Dotyczyło to także Barbanela. Członkowie rady musieli tu zostać i dopilnować, żeby getto funkcjonowało dalej. I tak jak oni nie pomyśleliby w ogóle, że mogą odejść, tak samo nie brała tego pod uwagę Greta Margolin. Nie opuściłaby zresztą Barbanela, a co dopiero swych małych podopiecznych. Tych najmłodszych nie mogłaby narazić na niebezpieczeństwo życia wśród partyzantów, w tak surowych warunkach. A ja, mimo ambicji, by nauczyć się strzelać, zabijać Niemców, być jak tamci partyzanczy bohaterowie... nie potrafiłbym pozostawić za sobą unoszącego się w powietrzu, ujmującego, łagodnego usposobienia mojej matki, przypominającego, z tego co pamiętałem, charakter panny Margolin, ani tego przelotnego wrażenia, że mój zmarły ojciec miał w sobie coś z owej nieposkromionej, szorstkiej życiowej odwagi, jaka cechowała Josefa Barbanela.

Taką zatem podjąłem decyzję. I teraz z każdym dniem, z którym zbliżał się front, życie wydawało się coraz bardziej kruche, Niemcy coraz widoczniej roztrzęsieni, zalęknieni i coraz bardziej niebezpieczni. Pewnej nocy, leżąc na swoim pościeli, usłyszałem coś, co wzięłem za daleki grzmot. Wyjrzałem przez okienko i zobaczyłem słabe rozbłyski światła, od których co chwila czarne niebo przybierało szarą barwę. Rano Barbanel powiedział mi, że słyszałem strzały z dział, odległych o jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt mil.

W tym czasie Niemcy przestali się domagać siły roboczej i nie prowadzono już ludzi przez most do miasta. Z kominów zakładów zbrojeniowych przestał unosić się dym. Wokół całego getta rozstawiono strażę.

I ucieczki organizowane przez partyzantów stały się niemożliwe.

Rzecz jasna w takich warunkach moje wyprawy przez tamtą starą rurę były wykluczone. Któregoś popołudnia byłem już nawet gotów do drogi, kiedy to, stojąc z Barbanelem nad uniesioną pokrywą zbiornika w starym kamiennym młynie, z głębi rury usłyszałem dalekie niemieckie głosy. Cóż, z tym już koniec, oznajmił Barbanel i opuścił pokrywę zbiornika.

Wszyscy wiedzieliśmy, że wydarzy się coś strasznego. I rzeczywiście, niebawem nadszedł ten dzień. Ni stąd, ni zowąd wypełnione żołnierzami ciężarówki wjechały od strony miasta na most. Pobiegłem co sił w nogach, żeby zawiadomić radę. Wtedy to ostatni raz wypełniłem obowiązek gońca. Zresztą zupełnie niepotrzebnie. Wieści, podawane tym ich okropnym, biurokratycznym językiem, wydobywały się bowiem z rykiem z potężnych głośników. Dano nam piętnaście minut na spakowanie dobytku. Żołnierze przebiegali ulice, wpadali do domów, walili kolbami tych, którzy nie zbierali się dość szybko. Podpalali budynki. Wszystko to pod dowództwem kometanta Schmitza. Słyszałem znacznie więcej, niż widziałem. Ludzie wrzeszczeli, płakali, rozlegały się strzały. Zagoniono nas na plac. Panna Margolin trzymała w ramionach dwoje niemowląt, okutanych włącznie z główkami. Ludzie czepiali się Koeniga, prosząc go, żeby coś zrobił. Biedny doktor trzymał głowę wysoko, jego srebrne włosy powiewały na wietrze, ale stał tam równie bezsilny jak cała reszta. Nie widziałem nigdzie pana Barbanela, zobaczyłem go dopiero po chwili: prowadził jakiegoś starszego mężczyznę, obejmując go ramieniem.

Wszystkich nas pogoniono przez most, przez miasto, na stację kolejową. Litwini przyglądali się nam z chodników. Niektórzy się śmiali, niektórzy drwili. Inni po prostu zajmowali się własnymi sprawami, jak gdyby był to zupełnie zwyczajny dzień. W całym tym zamiesza-

niu i wrzasku, czy to na ulicy, kiedy uchylałem się przed uderzeniem kolbą, czy to na stacji, kiedy wspinałem się do wagonu towarowego, zgubiłem tę swoją czapkę gońca z wojskowym otokiem. Uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, kiedy zamknięto drzwi, zasunięto zasuwę i znaleźliśmy się w ciemnościach. Byłem wściekły, że nie mogę podnieść rąk, żeby sprawdzić, czy wciąż mam tę czapkę na głowie, choć przecież wiedziałem, że jej tam nie ma. Dostrzegłem kilka znajomych osób wspinających się do tego samego wagonu, nie zauważyłem jednak, gdzie jest pan Barbanel, czy też jest w tym wagonie albo czy jest w nim Greta Margolin, albo doktor Koenig, albo któryś z chłopców. Wagon szarpnął i zaczął się toczyć. Ludzie zawodzili w ciemności, wykrzykiwali do siebie: Gdzie jesteś?! – chcieli koniecznie wiedzieć, co się dzieje, co oznacza ten popełniany na nich gwałt. Ja rozumiałem, co on oznacza. Byłem zamknięty w wagonie towarowym w długim pociągu złożonym z wielu takich wagonów, zapchanych do granic możliwości stojącymi i falującymi pod wpływem ich ruchu żywymi trupami. I nie byłem już gwiazdą wśród gońców.

Pem wpada na Park Avenue i trafia na nowego portiera. Młody Latynos z dostojeństwem podchodzi do telefonu wewnętrznego...

Mieszkalem tu kiedyś. Dziesięć pokoi na jednym z wyższych pięter, gdzie jakoś nigdy nie docierało słońce.

Siemasz, kiciu.

Mam mało czasu, Pem. Czego chcesz?

Moich ubrań.

Dzięki Bogu.

Nie wszystkich, tylko sportowej marynarki, pary krawatów i koszul. Żebym miał co na grzbiet włożyć.

Chciałabym, żebyś zabrał wszystkie swoje rzeczy. Chodzi o tego monsieur, z którym wykuwasz swój los? Czyżby tu przyjeżdżał?

Nie twój interes.

Doprawdy, Trish, ten *homme* ma wyjątkowe szczęście.

I naturalnie potrzebujesz pieniędzy.

Jeśli leży ci to na sercu, moje dziecko.

Trish wyjmuję jeden z tych długich damskich papierosów z leżącej na kredensie papierošnicy. Prawdę mówiąc, przybyło jej parę funtów. Nieco bardziej rozłożyste biodra, choć nadal elegancka. Podtrzymuje łokieć ręki, w której trzyma papierosa. Bładoniebieskie pasemko dymu unosi się obok kwiatów Vlaminka.

Mój ojciec mówi, że nie odpowiedziałeś na jego list.

Idę ku sypialniom. Odpowiem, Trish, zapewniam. Naprawdę, odpowiem.

To musiały być jakieś sprawy osobiste, skoro tego nie pamiętam.

Co mamy na myśli, mówiąc: „...nawet gdyby rozwiązano wszelkie możliwe naukowe zagadnienia, to nasz problem nie zostałby nawet tknięty”? Ano to, że nawet gdyby pan Einstein zakończył pomyślnie swoje intelektualne eksperymenty, gdyby doprowadził do triumfalnego końca prace nad swą błyskotliwą fizyką, a jego przeznaczeniem, Mojżesza nauki, nie było umrzeć przed dotarciem do Ziemi Obiecanej... wciąż byśmy się znajdowali w tym samym miejscu, z którego wyszliśmy.

Zatem, *bitte*, czym jest ten nasz problem? Skoro nie natura wszechświata, to... co? Umysł rozważający sam siebie? Jażń, która zakłada, że świat jest wszystkim, co istnieje, ale siebie z tego założenia wyłącza? Ja lub jażń, która może teoretycznie formułować pewne twierdzenia

o świecie, z wyjątkiem tych, które mówiłyby, kim lub czym jest ona sama... jako przedmiot własnego myślenia? Gdzie ją odnaleźć? Gdzie jest umiejscowiona? Nie można o niej powiedzieć wiele więcej niż to, że jest domniemaniem możliwości języka, konceptem syntaktycznym. Jest gramatyczną obserwacją stanu rzeczy, który zwie światem. Jeśli przestanie stawiać tezy, jeśli przestanie tworzyć układy konkretnych związków pomiędzy światem a językiem, jak poznamy, że istnieje? A przecież nie ma żadnego innego świata poza tym, który jest postrzegany przez jaźń, nieprawdaż? My wszyscy, te nieprzebrane jaźnie, będące jedynie widmowymi domniemaniami języka, niczym więcej, zawieramy przecież cały doświadczany świat. Szukam odpowiedniego obrazu: lustra gigantycznego gabinetu śmiechu, z którego nie ma wyjścia? Wypowiedzi w nieskończoność odbijające się echem w bezdennej studni? To jednak nie wystarcza, bo te obrazy są wyłącznie przestrzenne. Świadomość nie mieści się w przestrzeni, nie istnieje w przestrzeni ani też, kiedy myśli o sobie, nie zgłębia żadnego wymiaru, jaki potrafi sobie wyobrazić. A przecież wszystko, co istnieje, istnieje poprzez nas, w sformułowaniach naszych, zawierających świat, jaźni.

Tym zatem jest ten problem – solipsystyczną świadomością, bez której nie ma świata, a przecież do granic nim wypełnioną i stąd niezdolną wyjść poza ów świat, żeby zobaczyć w nim siebie. Uciekając się do tego paradoksu, twierdzę, że świat rzeczywisty, który istnieje niezależnie od mojego postrzegania, oraz ten świat, który nie istnieje, jeśli nie postrzega go mój umysł, są scalone. A skoro i wam daję władzę w tym solipsystycznym królestwie wszystkiego, co jest stanem rzeczy, mamy tu paradoks w trzech wymiarach, który można by nazwać solipsyzmem demokratycznym: każdy z nas jest władcą absolutnym tego świata, którego egzysten-

cja zależna jest od naszego umysłu... i nikt nie może istnieć inaczej niż jako przedmiot świadomości innych.

Trzeba przyznać, że jest to dziwna i na pozór wewnętrznie sprzeczna koncepcja, tym bardziej że pochodzi od Wittgensteina, odzierającego zazwyczaj filozofię z całego bezsensownego, metafizycznego bełkotu.

A przecież znam waszą, Amerykanów, obsesję na temat Boga. I swoją grą językową usiłuję powiedzieć wam coś bardzo prostego: możliwe, że najbardziej poetycki opis naszej udręczonej, ludzkiej świadomości, z tego świata, choć jeszcze nie w tym świecie, odnajdujemy w pojęciu grzechu pierwotnego.

Jak stwierdziłem w *Tractatus logico-philosophicus*... pisząc o nieśmiertelności duszy ludzkiej...

6.4312. Czy rozwiąże to jakąś zagadkę, że będę żył wiecznie? Czyż takie wieczne życie nie będzie równie zagadkowe jak obecne? Rozwiązanie zagadki życia w czasie i przestrzeni leży p o z a czasem i przestrzenią...

6.44. Nie to, j a k i jest świat, jest tym, co mistyczne, lecz to, że jest...

6.52. Czujemy, że gdyby nawet rozwiązano wszelkie możliwe zagadnienia naukowe, to nasze problemy życiowe nie zostałyby jeszcze nawet tknięte. Co prawda, nie byłoby już wtedy żadnych pytań, i to jest właśnie odpowiedź*.

A tak na marginesie, proszę, byście pamiętali, że wiele z tego napisałem jako bardzo młody człowiek, służąc w armii austriackiej na frontach pierwszej wojny światowej, gdzie znalazłem się na własną prośbę w jednostce pierwszoliniowej, mając nadzieję na rychłą śmierć. Kartki, na których pisałem, wysmarowane były błotem, a ołówek dygotał mi w dłoni. Światło flar i wy-

* Ludwig Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, w przekładzie Bogusława Wolniewicza, PWN, Warszawa 2000.

buchy pocisków artyleryjskich pozwalały mi dojrzeć, co piszę. Pod nawałą ogniową, choć rozdygotany i przerażony jak zwierzę, potrafiłem zdefiniować, i odnieść do siebie, odwagę jako przekonanie, że tworząca świat, przez świat stworzona dusza... nie ulega żadnym okolicznościom.

Biografia autora

Everett pojawia się jako mały chłopczyk
W szpitalu nie większym od kamienicy z piaskowca
na rogu Mt. Eden Avenue i Morris Avenue
w dzielnicy Bronx, w mieście Nowy Jork,
w roku 19...

Moje nieprawidłowe ułożenie przy porodzie
było pierwszym z wielu kłopotów,
jakie sprawiłem matce, Ruth, rezolutnej kobiecie,
utalentowanej pianistce,
która kiedyś, znacznie wcześniej, zakochała się
w marzycielu.

Jej pierwszym doświadczeniem z trudną męską rasą
był żywiołowy podporucznik na szkoleniu
w Webb Naval Academy nad Harlem River –
mój ojciec, Ben, który podczas pierwszej wojny światowej
skakał przez płot,
żeby się dostać do kantyny, w której matka
podawała kawę i pączki piechociarzom,
i ryzykował życie w niewłaściwym białym mundurze
po to jedynie, by dopilnować, żeby nikt jej nie zaczepiał.
To był romans z gatunku tych szalonych,
zgodny z ustanowionym wcześniej, w szkole średniej,
trybem postępowania.

On przyglądał się, jak ona wychodzi z jakimś chłopcem

na lody wieczorem, kiedy niebo jest jeszcze
rozświetlonym błękitem
nad ciemnymi koronami drzew Croton Park,
a potem podchodził do nich i choć sam jej na lody nie
zaprosił,
z kogucią zadziornością nakazywał temu chłopcu,
by traktował moją matkę, Ruth, z szacunkiem,
psując w ten sposób randkę, rzucając na jej wieczór cień
tym impertynenckim, zaborczym zachowaniem.
W Bronksie na początku stulecia
ulice były szerokie i nowe, drzewa w parkach
młodziutkie,
a zdobione granitem ceglane kamienice
z małymi podwórkami
lśniły czystością i były wybawieniem
dla imigranckich rodzin, którym udało się uciec
z nędznych siedzib na Lower East Side,
A tych zalotów Bena, mojego ojca, nie należało jeszcze
interpretować jako biobehawioralnego
imperatywu mającego na celu przekazanie genów.
Choć naturalnie Ruth poślubiła go, a on je przekazał,
mojemu bratu, Ronaldowi, który pojawił się w 19...
oraz mnie, osiem i pół roku później,
w czasie Wielkiego Kryzysu, kiedy ludzi nie było stać
na wiele dzieci,
a już najmniej takich ludzi jak Ben i Ruth,
i jak teraz przypuszczam, jeszcze jednemu dziecku
pomiędzy nami
Dziecku, które przyszło na świat martwe
w połowie lub pod koniec
lat dwudziestych.
Być może był to jeszcze jeden brat,
a może siostra, która miałaby na mnie oko w parku
i z solenną odpowiedzialnością narzuconą przez matkę
podnosiła do tryskającej z poidelka fontanny,
kiedy byłbym spragniony.

O tej dziewczynce lata całe, nawet kiedy już
dorastałem,
Ruth mówiła, że zawsze jej pragnęła, tej córki na swoją
samotność w domu pełnym mężczyzn.
Wspominam te osobiste sprawy jedynie po to,
by określić moje miejsce i mój czas, to skromne prawo,
jakie mam do mówienia o tym stuleciu,
Ja, niewidoczny obserwator
ulokowany z dala od wielkich dziejowych okrucieństw,
które jednak zawsze mogą mnie dopaść, nieprawda?
Teraz jednak wyznaję, że bardzo mi trudno
wyobrazić sobie ojca
jako szalonego dzieciaka, śmiałego, zawziętego,
Bo dzieciństwo było czymś, co należało do mnie i mojego
brata, było nasze, nie jego,
a pamiętam go zupełnie inaczej, jako statecznego
mężczyznę
siedzącego w fotelu przy radioodbiorniku,
Słuchającego wiadomości z drugiej wojny światowej
i jednocześnie czytającego o tej wojnie
w wieczornym wydaniu gazety, którą trzymał jak
rozpiętą pałatkę.
Kiedy piszę te słowa, mój ojciec nie żyje już
od czterdziestu lat
I stwierdzam ze smutkiem, że im dłużej nie żyje,
tym bardziej tajemniczy jest w moich
wspomnieniach.
Jego osobowość płowieje albo staje się bardziej złożona,
zostaje z potwierdzonym, lecz niewidzialnym faktem,
nieomylnym duchem zapamiętanym jako omylny
człowiek,
Który pewne rzeczy robił dobrze, inne źle,
A teraz istnieje jako czysta dusza, która
cierpliwie znosiła życie,
aż w końcu została przez nie zgładzona.
I chociaż przechowuję i cenię swój obraz ojca,

kontrastujący ze smutną prawdą
o bezbarwnej postaci,
to dla mnie słaba pociecha
w żalu, że takie bujne życie
poniosło klęskę, usiłując zachować swe rozbuchanie.
Grał w tenisa w białych szortach z płótna żaglowego,
mam taką fotografię zrobioną jednym z tych składanych
aparatów Leica z tamtych czasów,
jak czarny akordeon rozsuwanych
na dwu prowadnicach:
Mocny forhend w końcowej fazie zamachu,
ciało wychylone do przodu,
biała koszula z długimi rękawami, ciemne włosy,
czarny wąsik,
Jakaś postać po drugiej stronie siatki,
na większości zdjęć widać ziemię,
Publiczny kort z nawierzchnią z rudej gliny,
czyjeś anonimowe plecy
złapane w powiększeniu kątem obiektywu,
Uwieczniona gonitwa za piłką, uwiecznione nieznane
Kamienice Bronksu w tle,
Wszystko z połowy lat dwudziestych, w sepii.
Moja matka też grała,
Tłukąc rakietami, weszli razem w lata trzydzieste,
podczas gdy ja stałem za ogrodzeniem z siatki
i marudziłem, że już moja kolej.
Pochowano ją obok niego
na cmentarzu Beth-El w New Jersey,
A ponieważ przeżyła go o trzydzieści siedem lat,
głębiej zapadła mi w pamięć.
Podczas ostatniej swojej choroby obchodziła urodziny
na oddziale intensywnej terapii, odłączona od respiratora.
Moje gratulacje, mamó, powiedziałem. Skończyłaś dzisiaj
dziewięćdziesiąt pięć lat.
Uniosła brew, otworzyła oko, z gasnącego życia
przywołała cień uśmiechu;

Dziewięćdziesiąt cztery, poprawiła.

To była nasza ostatnia rozmowa.

A teraz, kilka lat później, odczuwam tę śmierć
jak dziwne milczenie,
milczenie kogoś, kto powinien nam mówić,
co sądzi o naszym guście, o tym, jak robimy pewne
rzeczy.

Ale stwierdził, że nie wypowie swojego zdania,
jeśli go nie poproszą.

Ostatnim urządzeniem, którego nie rozumiała
i któremu nie ufała,

była automatyczna sekretarka; „Zadzwoń do matki”,
tyle jedynie odważała się powiedzieć

na moją nagraną prośbę o nazwisko numer wiadomości.
Mówiła wyraźnie, poważnie, nie zwracała się przecież
do człowieka, lecz do maszyny, głos więc miała
również maszynowy.

I dziś czekałbym na to „Zadzwoń do matki”, gdybyśmy
tylko zainstalowali w jej grobie aparat telefoniczny.

W roku 1917 ojciec ukończył szkolenie, dostał przydział
i wkrótce potem popłynął jako oficer sygnałowy

na statku transportującym żołnierzy do Europy.

Nadal w mundurze niewłaściwego koloru

Pośród zapelniających pokłady piechociarzy

z plecakami na grzbietach i owijaczami na łydkach.

A potem, tajemniczo, a może wcale nie,

Skoro stopnia nie nadała mu Akademia Marynarki,

Przydzielono go do służby w okopach

jako obserwatora łączności w działaniach lądowych.

To prawda, jego specjalnością była łączność,

tak jak była specjalnością wszystkich

mężczyzn z mojej rodziny,

przynajmniej od czasu, kiedy w roku 1887 do Ameryki

przybył mój dziadek i zajął się drukarstwem.

Naturalnie wiedział on, że sygnalizacja świetlna oraz

semaforowa sprawdzały się jedynie
na otwartym morzu,
jednakże telegraf i telefon, na których polegała armia,
w okopach okazywały się równie bezużyteczne,
kiedy ostrzał artyleryjski przed każdym niemieckim
atakem już kilkoma salwami rozrywał kable
z takim mozołem układane do sztabu batalionu,
I wystarczyło, by napowietrzne linie telegraficzne
ciągnące się
wzdłuż dróg zaopatrzeniowych i torów kolejowych,
i obok magazynów oraz szpitali polowych,
z pułku na tyły do sztabu dywizji
straciły jeden słup z okorowanej i smołowanej sosny,
wyniesiony w powietrze, jakby wystrzelony,
tysiącfuntowym pociskiem ciężkiej haubicy
niczym rzucona przez Achilleśa włócznia
z proporczykami drutów jak ogon komety,
żeby generał był równie nieświadom przebiegu bitwy,
w której dowodził,
co jakiś nędzny piechur kulący się
w skorupie swojego munduru,
a przeciągły, nieustanny ryk odległej
nawałnicy ognia
dawał wojennym szyfrem odpowiedź na jego pytania.
Mój spostrzegawczy ojciec pojął to w jednej chwili,
Nie trzeba było być Einsteinem, mówił do mnie
ze śmiechem,
Wojna stanowi nieodzowną właściwość ludzkiej myśli,
Podobnie jak bierność jest nieodzowną własnością
częsteczek dębu.
By spełnić najgłębsze nadzieje pokładane w nim przez
marynarkę wojenną, włożył kurtkę w kolorze khaki
i hełm nieżyjącego porucznika łączności,
którego był gościem,
I podczas kiedy powietrze gwizdało i drżało,
a ziemia wokół niego podnosiła się i opadała

jak sztormowe morze,
objął dowództwo nad żyjącymi jeszcze
żołnierzami kompanii,
którzy wciąż rozwijali z gigantycznych
drewnianych szpul
nowe kable, kiedy stare rozszarpały
wybuchające pociski,
Albo z uniesionych ramion ślali w powietrze
gołębie pocztowe,
które w magiczny sposób wracały do nich
kłębkami zakrwawionych piór,
I utworzywszy kompanię łączników,
wysyłał ich po dwóch,
by przynosili meldunki do sztabu
i przekazywali rozkazy ze sztabu na front,
bo tylko oni już utrzymywali łączność,
choć wiadomości, które przynosili,
bywały o godzinę lub więcej spóźnione.
Amerykański głównodowodzący, generał Pershing,
długo utrzymywał nasze nienaruszone, świeże armie
pod swoją komendą,
Jednak w roku 1917, kiedy sprawy przybierały
dla aliantów zły obrót,
A ogólna liczba zabitych Brytyjczyków i Francuzów
przekroczyła cztery miliony,
przy czym większość zginęła posłusznie, młodo,
w osłupieniu,
jak to żołnierze z poboru,
część sił amerykańskiej 2. Armii, do których
przydzielono mojego ojca jako obserwatora marynarki,
została rozmieszczona, pod francuską komendą,
wzdłuż południowych rubieży szerokiego pola bitwy
rozciągającego się od belgijskich brzegów
Morza Północnego
ku południowi wielkim półksiężycem zniszczenia
aż do szwajcarskiej granicy w Bernevesin.

Wyobrażam sobie zatem ojca w tym stanie wojny,
do którego ani Francuzi, ani Niemcy, ani Amerykanie
nie doprowadzili, by zakwestionować wszelki sens
i logikę.

Flary nadawały nocnemu niebu barwę płomiennej
musztardy,

Pociski rozrywały się ze skwierczącym błyskiem,
niczym uderzające w ziemię pioruny...

I nazajutrz, w kwaśnej białej mgie słonecznego ranka,
kiedy niemiecka piechota, jak zrozumiano,
ruszyła wreszcie do

rozstrzygającego ataku

za pełnącymi do przodu wybuchami pocisków
z moździerzy i dział polowych,

w których młodzi mężczyźni z okopów słyszeli
kroki nadchodzącej Śmierci,

stwierdził, że jest ostatnim żyjącym łącznikiem
z kompanii, którą przyjechał obserwować,
a którą z taką pasją dowodził jak swoją.

Mężczyzna obok niego wyrzucił w powietrze ramiona
i padł na kolana w ostatniej modlitwie,

kiedy biegli otwartym polem z powrotem do okopu.

Teraz nie mam na to dowodu, ale w tamtych latach,
kiedy mieszkalem w ojcowskim domu,

a jego starszy syn Ronald był na własnej
wojnie światowej,

ojciec lubił zabierać mnie na niedzielne mecze
nowojorskich Gigantów.

Grali na starym stadionie Polo Grounds
w Coogan's Bluff.

Siedzieliśmy na słońcu, ja wyjadałem
orzeszki z torebki,
on wypalał cygaro.

I milczał, jak ktoś, kto wie, pośród głośnych komentarzy
otaczających nas mężczyzn.

Uwielbiałem to zielone boisko z białymi liniami

i długo rozbrzmiewający po całym stadionie
odgłos kopnięcia piłki. Ja zawsze kibicowałem
Gigantom, on jednak wołał wyrównane mecze
i gry, w których przechytrzano przeciwnika,
nieważne, kto nim był.
Lubił w tych meczach biegaczy, na przykład po wojnie
Hirscha „Szalone Nogi”
z Los Angeles Rams,
podrywającego widownię szybkim klusem,
unikami i obrotami,
którego skoki nad zatrzymującymi go graczami,
wysoki krok, przyprawiające o bicie serca nagłe zwody,
świadczące o inteligencji i poczuciu humoru,
sprawiały, że bieg, nieważne jak krótki,
trwał dłużej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.
I nie mam na to żadnego dowodu, myślę jednak, że
ojciec pamiętał,
jak z niejednego własnego
biegu pod ostrzałem
niewytłumaczalnie wyszedł z życiem,
i próbował złagodzić swoje okropne wspomnienia
tą estetyczną abstrakcją futbolu,
gry wojennej z liniami, regułami i bez wielkich
czy trwałych konsekwencji.
Ktoregoś razu przyniósł rozkaz odwrotu
i stwierdził, że już się on odbywa.
Oddziały cofały się drogą, którą przyszedł.
W okopach zabici w małych grupkach opierali się na sobie,
jak gdyby pocieszali się nawzajem
w bólu po odniesionych obrażeniach,
Albo też stali, bagnet na broni, ostentacyjnie,
gotowi odeprzeć atak,
z organami wewnętrznymi rozerwanymi
podciśnieniem spowodowanym wybuchem pocisku.
Szedł w poprzek ciągnących się zygzakiem okopów,
szukając kogoś, komu mógłby się zameldować,

a widział jedynie, pośród stosów biszkoptów
i urwanych kończyn,
szczury buszujące w odchodach i w błocie,
pędzące na jego widok, jak małe pociski,
we wszystkich kierunkach.
Potknął się o młodego żołnierza
leżącego z lufą własnego karabinu w ustach
i głową na ziemi w zastygłej
mieszaninie mózgu i błota.
Ojciec zatrzymał się, przykucnął
i pierwszy raz, odkąd przybył do Francji,
poczuł się na tyle bliski komuś, by go opłakać.
Ten chłopak nie mógł znieść
nie kończących się godzin kanonady,
którą ojciec ledwie co słyszał,
odkąd wziął na siebie część odpowiedzialności
za tę bitwę.
Dopiero teraz do niego dotarł, jakby był tego młodzieńca
spadkobiercą,
Ten straszny jazgot, mechaniczny, a przecież
artykułowany jak ludzki,
grzmiące, chępliwe walenie się w piersi kolosalnej,
dokuczliwie okrutnej, brutalnej i mściwej furii,
które wyobrażał sobie jako pierwotną konwersację,
kiedy tuż nad nim zamajaczył czołg,
zablocone gąsienice meły gwałtownie powietrze
i z wielkim, chrzęszczącym i dudniącym rykiem
sięgnęły drugiego brzegu okopu,
oblewając go w mroku deszczem oleju.
Wiem, przyjaciele, to już historia antyczna,
równie stara jak nasi szkolni nauczyciele,
których wspominamy z takim samym lekceważeniem.
Wiem o tym. Wiem, że kości z pierwszej wojny światowej
wcisnął w płyty tektoniczne kontynentu
ciężar szkieletów pogrzebanych nad nimi.

Że wiele ich leży na plażach Europy, zmieszanych
z piaskiem,
Że rolnicy wyorują na polach pętle
połączonych w łańcuchy kręgów,
Że jej rzeki świecą nocą, bo unoszą się nad nimi
wolne rodniki procesu zwapniania,
A archeologowie w jej klasycznych miastach
znajdują pokłady czaszek pod nawierzchnią ulic.
Posłuchajcie mnie jednak przez chwilę.
Cała historia szukała sposobu,
by nalać tego piwa do waszej szklanicy,
to ona przyniosła tej smutnej, wciśniętej w dzinsy
kobiecie przy końcu baru
jej marlboro,
nadała lustru za butelkami ową szczególną matowość
i nieprzypadkowo oświetliła nas
tym niebieskim neonem iluzorycznej wolności.
Ile lat miał mój ojciec, dwadzieścia cztery,
dwadzieścia pięć?
Znalazł się tam, marynarz, miłośnik morza
utyłtany ziemią,
młody człowiek broniący nie swojego kraju,
do gruntu zgoniony goniec,
wszystko, czym był, zanegowane
w głębi młodego serca,
kiedy ta armia Hunów przewalała się
nad jęgonnieruchomym ciałem.
A przecież nie był politycznym ignorantem...
Jego ojciec, mój dziadek Isaac, drukarz, zapoznał go
z błogimi wartościami obywatelskiej religii, socjalizmu.
Wiedział, że ci niemieccy chłopcy, którzy by go zabili,
gdyby się tylko poruszyli,
bliźsi byli mu tym, co mieli
do zyskania lub stracenia,
niż własnym generałom i królewskim rodzinom,
które nimi kierowały.

Wiedział, że struktura społeczna jest pionowa,
nie pozioma,
i że przez chwilę, nim ogień wojny ogarnął Europę,
nie tylko artyści i intelektualiści w kawiarniach
Paryża i Wiednia, i Berlina,
piszący estetyczne manifesty na papierowych
serwetkach,
z palącymi się gauloisami i navy cuts
między kciukiem i palcem wskazującym,
ale i ludzie pracujący w fabrykach i wgryzający się
za psie pieniądze w trzewia kopalń węgla
i nauczyciele, ekspedienci i konduktorzy z tramwajów
utrzymywali, że nie są Francuzami, Niemcami
czy Włochami,
ale członkami ogólnoswiatowej klasy robotniczej,
przekraczającej wszelkie granice
i wszędzie niewolniczo przypisanej do kapitalizmu,
jego monarchicznych akcesoriów
i nacjonalistycznych ideologii, które były zwykłym
łajnem.

O, powiało chłodem dwudziestego ósmego czerwca,
kiedy jeden Serb, Princip, załatwił
habsburskiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda,
a bardziej jeszcze austriacką partię socjalistyczną,
której zdradzeni członkowie już wkrótce zaczęli
jak wszyscy inni wstępować do armii.

Ośmielę się jednak twierdzić, że mój ojciec w tym czasie
myślał o:

swojej matce, swojemu ojcu, swej ukochanej Ruth,
swojej siostrze Sophie, swojej siostrze Mollie i –
by nie uczynić go mniej ludzkim, niż był –
tej młodej Francuzce z nadmorskiego miasteczka
Villedieu,
która przyszła kiedyś po wodę do studni
na plac, gdzie on siedział z kolegami
pod markizą Café Terrasse de la Gare,

popijając białe wino i jedząc chleb i ser.
Jednak co konkretnie chodzi człowiekowi po głowie,
kiedy myśli o kimś?
Nie są to ani fotografie, ani migawki z przeszłości,
jak utrzymują filmowcy
(bo co innego mają mówić?).
Można zobaczyć gest, który znika, nim się pojawi,
pozostawiając po sobie tylko wrażenie wierności,
Albo usłyszeć głos, który właściwie
jest nie urzeczywistnionym wzorem
i przypomina dźwięk natury duchowej.
Myśl o kimś nie jest do końca uświadamiana,
to niemal niesłyszalna obecność w umyśle...
być może nawet nie w umyśle...
naszych zebranych uczuć,
warstwa bardzo intymnych wrażeń,
jak pozbawiona słów piosenka, którą nucimy dla siebie,
albo żarliwa modlitwa nie bardzo wiadomo o co.
Myśl o matce Ben odczuwał jako
niepohamowane dla niej uwielbienie;
Jego mamusia, z którą lubił się drażnić i tańczyć
wokół kuchni, aż jego przewinienia
zmyła kaskada jej śmiechu.
Jego cichy tata, drobny i wyprostowany,
z głową okrytą gęstą siwą czupryną
i policzkami jak z syberyjskich stepów,
o intelekcie, który sam ukształtował,
i założeniach, o których nie wiedział, że są założeniami
pytań, jakie zamierzał zadać.
Ukochana Ruth była dla niego tęsknotą całego życia,
uformowaną przez jego bolesne osamotnienie,
Amerykańską pięknoscią
wznoszącą się w jego umyśle niczym Statua Wolności.
Nieugięta, wierna, urodzona na Manhattanie jak on,
upostaciowana obietnica Nowego Świata

zajęła miejsce tej historycznej katastrofy, jaką była
Europa,
nad którą rozpaczali jego rodzice imigranci
i gdzie on leżał przyciśnięty do ściany okopu,
a armia Hunów przewalała się nad jego
nieruchomym ciałem.
Ostatnie związki naszej rodziny z Europą
powinny się zerwać,
kiedy po przejściu pierwszej fali ataku
nieprzyjacielskie oddziały wsparcia
wlały się w transzeje w poszukiwaniu żywych aliantów,
których można by zabić i ograbić
z żywności, butów oraz amunicji.
Mój ojciec, słysząc ich za najbliższym załomem
zygzakowatego okopu,
przywołał to, co pamiętał z należącego do Starego Świata
języka jidysz,
który słyszał w dzieciństwie na Stanton Street...
niemiecki dialekt, przyciszony i zmiękczony,
przypominający bluzgnięcie szrapnela, choć melodyjny...
I przyłożywszy dłonie do ust, wykrzyczał po prusku,
jak miał nadzieję,
rozkaz ku nadchodzącym żołnierzom,
by przestali, do cholery, się obijać
i wynieśli się stąd, bo weźmie ich za tyłki i postawi
przed sądem polowym, czy coś w tym sensie,
Co też, ku jego zdumieniu, zrobili. A potem
oparł się o drugą ścianę okopu
i po kilku minutach zobaczył, jak Hunowie
przeskakują transzeje, uciekając
przed alianckim kontratakiem, który koło północy
przywrócił stan wyjściowy,
z wyjątkiem naturalnie tysięcy nowych zwłok,
co mój ojciec pojął, kiedy postawiony na nogi
przez Angoli i Zabojadów,

wdrapał się na przedpiersie i pobiegł naprzód
z wyciągniętym bagnetem
w chaos siarkowego piekła ziemi niczyjej,
wydając maniakalny, zwierzęcy ryk,
podczas gdy jego umysł ze spokojem upewniał go, że
prawdziwa dusza
w ostatecznym rozrachunku żadnym okolicznościom
nie ulega.

Być może pierwsze piosenki były kołysankami. Być może pierwszymi piosenkarkami były matki. Być może nauczyły się one uspokajać swoje wierzące się małpie niemowlęta, naśladując odgłosy płynącej wody, wody tryskającej, rozlewającej się, bulgocącej, rozbryzgującej się, chluszczącej, pluszczącej, chlupocącej, kapiącej, pryskającej, zasysanej. Być może wiedziały, że ich dzieci narodziły się z wody. A rytm stanowiło delikatne kołysanie wodnego hamaka rozwieszonego pomiędzy rozgałęzionymi kośćmi miednicy. Melodię zaś – odgłos wydawany przez wodę, kiedy dziecko poruszało kończynami.

Nieskończona jest rozkosz, którą czerpiemy z obecności nowych istot... i przedpotopowa jest wściekłość, jaką wywołuje ich ślepa, wrzeszcząca, kupkająca i siusiąjąca bezradność. Zatem przeznaczone dla nich piosenki mają dwa oblicza: uspokajające, za sprawą łagodnego, matczynego głosu, i dziko surrealistyczne, jeśli chodzi o słowa. Bujaj się, bujaj, maleńki, na czubku drzewa, kiedy zawieje wiatr, zabuja kołyską, kiedy gałąź się złamie, kołyska upadnie, na dół polecą wszystko, kołyska i dziecko bardzo ładnie... Wyobraźcie sobie taki upadek z drzewa, nogi unieruchomione i ramiona mocno przyciśnięte do boków. Wyobraźcie sobie spadanie na ten świat, głowa uderza o konary i gałęzie, ga-

łazki wałą wam po uszach, jakbyście byli ksylofonem. Wyobraźcie sobie wasze narodziny. Kołysanki zachęcają nas do snu, a zarazem wzbudzają lęk przed jawą. W ten sposób, dla własnego dobra, uczymy się tego, co tkwi we wszelkich odczuciach przeciwieństw. Również Biblia o tym mówi, jako o Upadku.

Stworzenia, których Noe musiał mieć po parze: Żuki gnojaki. Absolutnie niezbędne. Zobaczmy... czterdzieści dni i nocy deszczu plus sto pięćdziesiąt dni wezbranych wód... wszystko to razem jakieś sześć i jedna trzecia miesiąca na pokładzie razem z wielbłędami, końmi, lwami, szakalami, dzikimi osłami, kozami, owcami, jeżami, dzikami, surykatkami, rysiami stepowymi, wilkami, guźcami, skoczkami pustynnymi... hmmm. Nie wygarnąłbyś przecież tego towaru za burtę, bo kiedy ustąpią wody, będziesz musiał użyźnić wierzchnią warstwę gleby. Tak czy owak, to trochę za dużo roboty jedynie dla dwu żuków gnojaków, nawet dla kilku ich pokoleń. Lepiej zatem wziąć cztery.

I, Jezu Chryste, ta pustynia! ten żar słońca, te popopowe moczary, wielkie połacie parującego mułu, bagna, bulgoczące zagłębienia pozostałe po spłynięciu wód, kipiące jeziora wypełnione duszącymi się stworzeniami, trzepoczącymi się i szarpiącymi przed obracającą je w kamień śmiercią, ławice śniętych ryb pokrywające dywanem ziemię, gleba wysychająca, zbrylona, popękana, stwardniała i całe to popowodziowe zapiekanie w bezlitosną pustynię, naznaczoną skałami, zrytą uedami i z całym ogromem powstających same z siebie stworzeń bakteryjnych w rozkładających się rybich łuskach: to teren rodzący nas wszystkich, duchowe źródło, bo nie na białym, arktycznym, lodowym pustko-

wiu objawił się religijny geniusz człowieka, ale tutaj, na równinach omiatanych startym na mikrokryształy kwarcem, wśród zaciemniających niebo pyłowych trąb powietrznych i piaskowych burz, co wymusiło powstanie kultury koczowniczej, pasterstwa, obszernych opończy i osłaniających twarz nakryć głowy. Czterdzieści dni Jezusa na pustyni... co jest takiego w liczbie czterdzieści?... Mojżesz i Eliasz też spędzili tam każdy swoją czterdziestkę, a także wszyscy wędrujący przez czterdzieści lat, z całym swoim ruchomym majątkiem, Hebrajczycy... w ich ustach gorący piasek Sahary, słońce pustyni Negew, czerwona skała, z piaskowcowymi urwiskami uformowanymi w tarcze i w kamienie ołtarzy, iglice i żłobione kolumny, i nędzne małe wodopoje wyciśnięte ze skał, cała Boża kompania schodząca ku nim, żeby się napić i pojeść daktyli... nasz duchowy dom, każdy kamień piecem do pieczenia chleba, teren o powierzchni większej od Europy, geologiczne odbicie mrocznego, dusznego dna słonego morza, naturalnie z własną gromadą przystosowanych stworzeń, jak słonowodne krewetki, których jajeczka mogą leżeć latami uśpione w glinie pomiędzy kolejnymi, niezmiernie rzadkimi opadami, piaskowe roztocza i ropuchy, rozkoszne chrząszcze i złociste osy, skorpiony oraz szarańcza, węże z oczyma jak paciorki i rogate ropuchy, i kołnierzyste agamy, pustynne szczury, scynki i krety, i fenki. I każde z tych bezmózgich, a przystosowanych stworzeń wie, że należy się kryć przed południowym słońcem, zagrzebać w piasku, ułożyć przy korzeniu kaktusa i czekać na wieczór, kiedy to poszukają pożywienia, zastawią pułapkę na jakąś ofiarę albo zmiażdżą ją w szczękach, albo śmiertelnie uządlą, czy też poczekać na wczesny ranek, kiedy rosa stoczy się z ich chitynowych grzbietów do nędznych pyszczków, mnóstwo towarzystwa dla Chrystusa na tej pustyni, być może i pohukująca sowa siedząca wysoko, u wylotu górskiej jaskini,

z drgającą w szponach myszą o brunatnej, zmierzwionej sierści.

Stałem mocno przyciśnięty do zamkniętych na głucho drzwi, wdychając zawarte w ich drewnie historyczne zapachy siana i zwierzęcej sierści, przywierając ustami do szczeliny między deskami, przez którą napływało powietrze ze zwyczajnego, obojętnego świata zewnętrznego.

Strugę powietrza ogrzewało światło, chłodziła ciemność, dzięki czemu mogłem liczyć upływające dni i noce. Wykrywałem pierwsze światło świtu przez zmianę tego, co czułem na języku. Czasami mogłem też coś usłyszeć, na przykład muczenie krowy o zmierzchu, dalekie i niemalże niesłyszalne pośród dochodzących zewsząd jęków i modłów.

Katakлизм dotyczył jedynie nas, nie wywarł wpływu na zwyczajowe praktyki kolei. Od czasu do czasu pociąg odstawiano na bocznice i trzymano go tam godzinę lub dwie, nie zważając na wszelkie nasze natrętne prośby i krzyki rozpacz, albo też toczył się powoli naprzód, a następnie cofał i zatrzymywał w ciszy nieczulej, niewzruszonej nocy, po czym ruszał raptownie i jechał, skrzypiąc oraz podskakując na zwrotnicach, ponownie na torach, po których włókł się z posapywaniem niczym jakieś tępe i uparte zwierzę należące do środkowoeuropejskiego chłopca.

Jechaliśmy w wagonie towarowym, w całym długim pociągu złożonym z takich samych wagonów, wypełnionych stojącymi i kołyszącymi się żyjącymi i umierającymi oraz już zeszytywniałymi zmarłymi. Każdy wagon był typowym wagonem towarowym, długim na siedem i jedną dziesiątą metra, szerokim na trzy i trzy czwarte, z drewnianym dachem, lekko wypukłym, by mogła

zeń spływać woda, ustawionym na stalowym podwoziu z czterema kołami o wywiniętym brzegu, wykutymi w zakładach Kruppa, o rozstawie dostosowanym do europejskiej szerokości torów i z łącznikami sprzęgowymi z przodu i z tyłu. Zwyczajne wagony, absurdalnie wręcz swojskie, ociężałe stwory, drewniane boki pomalowane na rdzawy albo oliwkowozielony kolor, całe ich sznury czekające na każdej stacji rozrządowej kontynentu albo skrzypiące i klekoczące po kraju, mijające wioski o trzeciej nad ranem pod zimnym światłem księżyca, trzęsące się, posuwające z łoskotem do przodu w podmuchach wiejącego z szerokich dolin wiatru, ten najpowszechniejszy środek transportu gospodarki wielu narodów, budzący chude, o widocznych żebrach, wiejskie psy, które biegną przez jakiś czas obok i jazgoczą, i wyskakują w powietrze, i kłapią szczękami na kłujący je w nozdrza odór.

Po jednej czy dwu dobach zacząłem się wgryzać w szczelinę, przez którą wdychałem z zewnątrz powietrze czy, jak mi się zdawało, tamtą rozległą przestrzeń, sięgającą aż po horyzont i poza horyzont, rozciągającą się w nieskończoność, ku przeznaczeniom temu pociągowi nie danym. Nie miałem żadnego planu, wydawało mi się jedynie, że będzie rozsądnie żuć to twarde drewno, godzina po godzinie, bez przerwy, chyba że, naturalnie, traciłem świadomość i zasypiałem. Kiedy miałem szczęście i w moich ustach znalazła się oderwana drzazga, rozcierałem ją zębami i przełykałem, traktując jak pożywienie. Do picia natomiast trafiła mi się którejś nocy przyniesiona przez wiatr deszczówka, ostrymi igłami kłująca mnie w koniuszek języka. Wgryzając się w to drewno, odkryłem, że wsłuchuję się w stukot kół, nadaję im rytm, wymyślam pasujące do tego rytmu piosenki, tyle że jakoś śpiewane one były głosem mojej matki albo ojca, a te głosy tak naprawdę miały naturę efemerycznych obrazów taty i mamy, któ-

re to wizerunki stanowiły raczej przelotne odczucie ich istnienia, chwilowe postrzeżenie ich duchowej natury, co kazało mi wydać okrzyk, jakbym mógł ich przywołać jako moich najprawdziwszych rodziców. W końcu zmuszony byłem powrócić do nieprzerwanego stukotu kół. Kombinowałem sobie, że jeśli wygryzę dostatecznie duży otwór, taki, przez który będę mógł się prześlizgnąć, to te koła z rantem z radością mnie powitają, przekażą sobie, jedno drugiemu, i zakończą szybko i gładko moje życie.

Właśnie wtedy stojąca tuż za moimi plecami dziewczynka, która pierwszego dnia nieustannie płakała, tak że koszulę miałem mokrą od jej łez, a od tamtego czasu jedynie kwiliła jak kocię i pośród tych przemieszczających się zdrętwiałych i zeszywniałych ciał w jakiejś chwili objęła mnie ramionami w talii, wciskając policzek między moje łopatki... ta dziewczynka, nie wydając najmniejszego ostrzegawczego dźwięku, umarła i kiedy pociąg minął z dużą szybkością zakręt, ugięły się pod nią nogi, ramiona ześlizgnęły się po moich biodrach i opadły po kolana, tak że jej ciężar pociągnął mnie kilkadziesiąt cali w dół i moje oczy znalazły się na wysokości szczytliny, przez którą do tej pory wdychałem powietrze z zewnątrz.

Jakieś rozmazane kształty, krzewy, drzewa tak blisko nasypu, że liście uderzają o boki wagonów, las tak gęsty, że cienie są mroczne jak noc. A potem nagle szeroka, oświetlona słońcem perspektywa, z dalekim domem i stodołą. „Gospodarstwo!” – zawołałem. „A teraz droga! Koń i wóz!” I tak nadawałem wiadomości o świecie tym, którzy chcieli słuchać. Brzozy. Strumień. Kobiety, dzieci zbierające ziemniaki. Rzeka. Zawiadowca zapalający fajkę.

Kiedy wchodziliśmy do wagonu, zauważyłem kilkadziesiąt znanych mi osób. Kiedy po zapachu sadzy i odgłosie spod kół poznałem, że podróż dobiega końca, wydało mi

się ważne, żeby sobie przypomnieć te osoby: pan i pani Liebner, z synem Józefem, który w szkole był o klasę wyżej ode mnie, bliźniaczki, stare panny Chana i Deborah Diamond, piekarz pan Licht, doktor Hornfeld, który niedawno przybył do getta i poszedł pracować razem z doktorem Koenigiem w szpitaliku, mój przyjaciel Nicoli, który dzielił się ze mną swoimi niemieckimi powieściami o kowbojach, i blondwłosa Sarah Levin ze swoją śliczną matką, Miriam, tą nauczycielką muzyki, która powiedziała mojej matce, że Sarah ma na mnie oko. Nie mogłem ich teraz dostrzec. Być może byli tam ze mną, jednak należeli już do przeszłości. Nawet gdybym mógł się odwrócić i spojrzeć za siebie, cóż z nich bym poznał w tym upodleniu, skoro, jak mnie, odarto ich z imion, zniszczono ich osobowość, skoro to, kim byli, poddano procesowi przemysłowego przetworzenia, a wszyscy razem staliśmy się w tym wagonie zaledwie zawiesziną odrębnych, rozłącznych męczarni jeszcze umierających żywych i już zesztyniałych zmarłych?

Umówiliśmy się na lunch w Luxembourg, przy Siedemdziesiątej Zachodniej Ulicy. Na szczęście tego popołudnia nie było tam tłoczno i gwarno – a w tych wyłożonych lustrami i kafelkami ścianach, na stojących pod nimi wyściełanych ławach w stylu art déco często tak bywa – niemniej zjawili się interesujący bywalcy, raczej młodszy, ale przyciągający uwagę jak ludzie, których być może się nie zna, ale którzy pomimo to wyglądają znajomo, zupełnie jakby naszym obowiązkiem było wiedzieć, kim są. Co ciekawe, ona do nich pasowała: przyszła w wytwornym popielatym kostiumie, czarnej bluzce, na szyi nie miała żadnej biżuterii, ładnie przycięte włosy zaczesła do góry tak, żeby odsło-

nić uszy, które są całkiem małe, tryskała energią i kiedy pochylała się nad stolikiem, wymieniając ze mną uwagi, kiedy, mówiąc, trzymała nóż i widelec nad swoim talerzem, z rumieńcem, który na jej policzki wydobyło chardonnay, wyglądała, jakby była w jednej fazie z tym miejscem.

– Nie masz pojęcia, jaki to luksus jeść na mieście.

– Wyzwolenie.

– Teraz chłopcy są cały dzień w szkole, a przecież zazwyczaj i tak przegryzam tylko kanapkę przy biurku albo lunch nad stosem papierów.

Ma melodyjny alt, ślicznie się śmieje. Właściwie pierwszy raz nie było z nami Pema. Ostatnio dałem jej do przeczytania ten materiał o getcie i miała mi teraz powiedzieć, co o nim sądzi. Jest w niej jakaś miękkość, nie przypominająca tej aerobikowej, ale coś bardzo pociągającego, coś, co sprawia, że jest na wskroś sobą, Sarah – lekko zaokrąglony podbródek, jedna czy dwie delikatne zmarszczki wokół szyi, macierzyński biust. A kiedy na jej twarzy malował się spokój albo się nad czymś zamyślała, wyglądała, dopomóż mi Boże, seksownie jak wszyscy diabli. Pema musiało w niej pociągać między innymi to, że jest kobietą nieporuszoną przez świeckość, a zarazem dostępną na każde skinienie w uświęconym związku. Bez wątpienia nie jest nieśmiała. Zachowuje się bezpośrednio, szczerze i co dziwne, w tych małych szklach w złotych oprawkach wygląda na młodszą, niż jest – a powiedziałbym, że zbliża się do czterdziestki – i być może po tym, jak Pem z przesadnym namaszczeniem opisał mi jej żalobę, nieustannie zaskakuje mnie jej urok, zadziwiający błękit oczu i zaraźliwy uśmiech, który pojawia się i, przez moment, sprawia dwuznaczne wrażenie, że stanowi preludium do łez. Widzę teraz, koniec końców, że to naprawdę Sarah Blumenthal z tego fragmentu dotyczącego Kradzieży.

Chciałem zapytać, jak taka kobieta jak ona mogła zostać rabinem.

– Tak? – spytała wyczekująco.

– Nieważne – stwierdziłem.

– No, mów. Co chciałeś powiedzieć?

– Chciałem zadać głupie pytanie.

– To je zadaj, Everett. – Uśmiechnęła się. – Zadają mi je codziennie, na ogół starsi mężczyźni.

– Czy... – zaczęłam, usiłując dojść do siebie – ...lubisz Franka Sinatrę?

Śmiech.

– Sinatrę? Skąd go wystraszałeś? Nie o to...

– Owszem, o to. I znam odpowiedź. Słuchałaś rocka. Twoje pokolenie usiłowało pogrzebać Sinatrę.

– Skądże, on był w porządku, po prostu niewiele dla nas znaczył.

– Kogo zatem słuchałaś?

– The Dead. Creedence. Naturalnie Dylana. A parę lat temu Joshua przyniósł do domu kilka wczesnych nagrań Tommy'ego Dorsey'a i słuchałam ich nawet z przyjemnością... Wiesz, naprawdę chętnie odpowiem na to twoje pytanie.

– Jest seksistowskie. Dziwi mnie, że zostałaś rabinem. Z drugiej strony, jeśli idzie o Pema, to też się nie zorientowałem, że jest duchownym.

– Jak byś nas scharakteryzował jako klasę?

– Cóż, jesteście dość pewni siebie, macie duży zasób wiedzy, zajmujecie pozycję mentorską i nauczacie innych, jak żyć. A z wieloma z was trudno normalnie rozmawiać, jak... tak mi się wydaje... mogę rozmawiać z wami obojętnie.

– Rabini to nie księża czy pastorzy. My również odprawiamy nabożeństwa, grzebiemy zmarłych, a jeśli chodzi o ortodoksów, wydajemy też zgodne z naszym prawem orzeczenia, jednak zasadniczo rabin to ktoś, kto posiadał wiedzę.

– Tak jak ty.

– Studiowanie Ksiąg nigdy nie ma końca...

– Ale nie wychowałaś się w religijnej atmosferze.

– Nie, moja rodzina była niepraktykująca. To znaczy zdarzało się, że szliśmy do kogoś na seder, uroczystą wieczerzę paschalną. Ale ojciec więcej by nie zniósł. Co jakiś czas mama zaczynała za czymś takim tęsknić, jednak nie ośmieliła się głośno o tym mówić.

– To co cię do tego skłoniło?

Sarah odchrząknęła.

– Jej śmierć. Moja matka umarła. Nagle. Byłam wtedy w szkole średniej. Mieszkaliśmy w Chicago... ojciec dostał posadę wykładowcy komparatystyki literackiej na Northwestern University... – i po jej śmierci przez kilka miesięcy chodziłam do pewnego instytutu w śródmieściu, gdzie uczono języka oraz literatury jidysz. Matka urodziła się w Ameryce, ale kiedy byłam dziewczynką, słyszałam, jak rozmawia w jidysz z babcią... Myślę, że to od tego się zaczęło: chciałam mówić w jidysz, jak matka, chciałam wypowiadać słowa, które ona wypowiadała, rozmawiając z babcią.

– Masz jakieś rodzeństwo?

Pokręciła głową.

– Kiedy już nauczyłam się języka, zainteresowałam się polityką i pomagałam zbierać pieniądze na wydobycie Żydów rosyjskich ze Związku Sowieckiego. Później, na trzecim roku Harvardu, zmieniłam specjalizację na studia judaistyczne. A potem postanowiłam pójść do Hebrew Union College w Cincinnati. Jedno wynikało z drugiego, niczego nie planowałam, to narastało samo. Teraz, kiedy spoglądam wstecz, widzę, że to było nieuniknione. Jedno ciągle, uparte... stawianie na swoim.

– Wbrew ojcu.

– Bez wątpienia. Jednak dopiero kiedy poznałam Joshuę i zaczęliśmy rozmawiać, uświadomiłam sobie,

że... w sensie etnicznym... przyswojenie sobie tej kultury nie wystarczy. Że można posiadać wiedzę... ale to jeszcze nie jest to.

Umilkła, zamysliła się, a ja, żeby oderwać od niej wzrok, obracałem widelcem jedzenie na talerzu. Dopiero kiedy to milczenie zaczęło się przeciągać, przyszło mi na myśl, że ona zbiera się, aby mi powiedzieć, co myśli o mojej pisaninie.

Odezwałem się:

– Czy...?

– Tak. Jestem pod wrażeniem.

– Naprawdę? A ja byłem tak...

– Nie, nie, to było strasznie poruszające. Naturalnie – dodała – każdy, kto zna tę literaturę, będzie wiedział, że piszesz o getcie kowieńskim. Korzystałeś z dziennika Abrahama Tory'ego?

– Tak, w dużej mierze opierałem się na nim.

– Jednak getto w Kownie było większe niż to, które ty przedstawiasz.

– Owszem, u mnie jest ono niewiele większe od wiośki. Potrzebna mi była jednak inna topografia. Ten most prowadzący do miasta. Ten fort.

– I mój ojciec, oczywiście, nie pochodził z Kowna, ale ze wsi położonej bliżej Polski. A żydowski ruch oporu w Polsce był silniejszy niż na Litwie. Ci, o których piszesz, ich sposób bycia, ten Benno i tak dalej, to mogli być polscy Żydzi.

– Tak.

– I muszę ci powiedzieć, że powinieneś być ostrożniejszy i nie upraszczać różnych spraw. Na przykład jest pewne, że w kowieńskim getcie mieli tajne szkolenia wojskowe. Robili tam wiele buntowniczych rzeczy.

– Tak – powtórzyłem, z coraz cięższym sercem.

– I była czarnorynkowa wódka. Nadużywający alkoholu Żydzi stanowili zagrożenie dla całej społeczności. I nie nie mówisz o mydle. Mój ojciec powiedział mi,

że mieli bzika na punkcie mydła... w ogóle go nie było, ryzykowali życie, żeby je przeschmuglować do getta, znaczyło dla nich równie dużo jak żywność. – Dostrzegła, że jestem zdeprimowany. – Niemniej byłam bardzo poruszona – powiedziała. – Być może nie opisałeś tego zbyt wiernie, ale prawdziwie. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale udało ci się uchwycić głos mojego ojca. – Odłożyła widelec, splotła dłonie i wpatrzyła się w obrus. – Nie wyznaczono go na gońca, jak twojego małego Yehoshuę. To był raczej przypadek, choć jeszcze nim został sierotą, okazał się użyteczny. Był drobny, dobrze biegł i potrafił się wszędzie wkręcić. No i zaczęli coraz bardziej na nim polegać. A potem, już pod sam koniec, dali mu tę jego oficjalną czapkę gońca... I rzeczywiście ocaliło mu to życie. I to nie raz.

– Jak mu się obecnie powodzi?

– Jest w dobrym, porządnie prowadzonym domu, gdzie starają się, żeby miał ciągłe jakieś zajęcie.

– W Chicago?

– Tak. Ale już nie mówi. Oczywiście demencja to nie przyjemnego, jednak kiedy pomyślę o tym cudownym intelekcie, przy którym dorastałam... A on pierwszy wiedział, że to nadchodzi. Sam odkrył oznaki i zrezygnował z pracy na uniwersytecie.

– Tak mi przykro.

– Ależ nie, w pewnym sensie to nawet błogosławieństwo. Gdyby się dowiedział o śmierci Joshui, strasznie by to przeżył. – Opuściła oczy, wypila łyk wina. – Nigdy nie prosił Joshui, żeby to zrobił, żeby tam pojechał, żeby odnalazł ten dziennik. To jednak i tak nie miało by znaczenia. Sam nie mógł tam wrócić, nie potrafiłby się do tego zmusić. Kochał mojego męża. I był z nas dumny, z naszego powołania, jak tylko rodzic potrafi być dumny, kiedy jego dzieci wierzą w coś... czego nie można według niego traktować poważnie.

– To bardzo żydowskie.

– Prawda? – Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Pem bardzo lubił twojego męża. Rozumiem, dlaczego poczuli do siebie sympatię.

– Tak. – Otworzyła leżącą na wyściełanej ławie torebkę i zaczęła w niej grzebać. – Całkowicie odmienne osobowości, z tym że Pem też nie pasuje do szablonu... to znaczy szablonu swojej tradycji. Bo on jakby w tym wszystkim, co mówi, dawał człowiekowi do zrozumienia, że jego oczekiwania względem świata czy Boga nie zostały zaspokojone. – Wyjęła list. – A jednocześnie zdaje się apelować do jakiegoś sądu czy czegoś w tym sensie, by na chwilę powstrzymał się z wydawaniem wyroku. Przyszło mi do głowy określenie *Gottdrunkener mensch*. Jak byś je przetłumaczył?

– Szaleniec Boży.

– No właśnie. Przebywanie z Pemem bywa wyczerpujące.

– Nie wątpię.

Roześmieliśmy się oboje.

– W gruncie rzeczy, wyjeżdżając tam, zrobił coś bardzo niestosownego, jeśli nie aroganckiego. Niemniej jest droгим, bardzo droгим przyjacielem – oznajmiła i otworzywszy list Pema, przeczytała mi go.

Poszukiwania dziennika z getta zawiodły go do Moskwy.

Kiedy zdekonszkrowano Świętego Tima, Pem został bez przydziału, a kuria zastanawiała się, co z nim począć. W pierwszym odruchu sam się przydzielił do hospicjum na Roosevelt Island, gdzie wykonywał mnóstwo brudnej roboty przy umierających biedakach, odbywając narzuconą sobie pokutę, choć nie bardzo rozumiał, za jakie grzechy tę pokutę odprawia. Być może za to, że sam nie umiera. A przecież tam śmierć była czymś

normalnym, można było polegać na jej rozkładzie zajęć, niektórzy pacjenci byli od niej odlegli o tygodnie, inni o dni, jeszcze inni o godziny i wszystko to odbywało się w pewnym ciągu wydarzeń, którymi naznaczone jest całe życie, jak chrzest czy matura. Zauważył, że pielęgniarki i salowe przychodziły do pracy równie radośnie jak inni, jakby obecność umierających ludzi podających się ich zabiegom była świadectwem zdrowia gospodarki.

Pem wybrał hospicjum po drugiej stronie East River, gdyż nadawało się na ślepą uliczkę, w której mógłby stosownie zakończyć swe zawodowe życie. Zaczynał już myśleć o znaczącej przemianie w swoim życiu, nie wiedział jeszcze jakiej, ale czuł, że się zmienia i jeśli jeszcze w coś wierzy, to że kiedy ten mosiężny krzyż od Świętego Tima pojawił się na dachu synagogi ewolucyjnego judaizmu, był to znak o wielkiej doniosłości. Nie chciał z nikim na ten temat rozmawiać... żałował, że wspomniał o tym mnie, ponieważ z jednej strony to jego przeświadczenie wynikało z rozumowania charakterystycznego dla starożytnych wieszczów, do czego nie mógł się przyznać, a z drugiej strony docierało do niego z ogłuszającą mocą przesądu, że rozmawiając czy choćby tylko o tym mówiąc, utraciłby to swoje światło przewodnie. Nie uważał tego znaku za bezdyskusyjnie nieziemski, ale na tyle tajemniczy, by uznać motywy ludzi, którzy tego dokonali, za całkowicie nieistotne.

Możliwość, że się zdradzi z tym graniczącym z bezsenssem przeświadczeniem, stanowiła wyzwanie dla jego zachowania. Musiał polegać wyłącznie na sobie, choć mogłoby to zainteresować Sarah Blumenthal. Jego znak był niejednoznaczny, poznał wprawdzie, że to znak, ale nie wiedział czego i co powinien zrobić. Czuł, że gdyby mógł jej się zwierzyć, nie miałby co do tego wątpliwości, tymczasem musiał być jednak cierpliwy i uważny, baczyć na wszystko, co go otacza. Mógł mieć nadzieję,

że rodzi się objawienie, że jest to proces powolny i że może się ono przejawiać nawet w jękach umierających. Już na samym początku, nawet jeszcze przed kradzieżą krzyża, wydarzenia u Świętego Tima przeobraziły go w kogoś w rodzaju detektywa i postanowił, że poświęci życie niezmiernie poważnemu pokornemu i upartemu śledztwu.

Po tym, jak Sarah przeczytała mi ten list od Pema, zastanawiam się, czy objawienie spływa jak światło do oka, czy też jako narzucone uporządkowanie części jaźni, która ukryta jest tak głęboko, że pozostaje anonimowa.

Nieźle się już orientuję w trasach spacerów Pema, dzisiaj zaczynam od Union Square Park, gdzie widzę czaszkę i piszczele ostrzegające przed rozsypaną w trawie trutką na szczury... a po zachodniej stronie, schodkami w dół, ten prawdziwszy park, rynek farmerów, z rzędami doniczek z kwitnącymi roślinami, drzewkami do biur, zwiezionymi z New Jersey świeżymi owocami i warzywami... jaskrawokolorowymi, oświetlonymi słońcem połaciami gruszek i jabłek, szpinaku, włoskiej kapusty, marchwi... wszystko, co organiczne, przyciąga na Manhattanie tłumy... dobiega mnie szybka, rzeczowa wymiana zdań między kupującym i sprzedającym, powtórka z tego pierwszego aktu cywilizacyjnego... idę na zachód, Czternastą, gdzie na ustawionych na chodniku rurowych stelażach wisi tania odzież, a w oknach wielkie, odręczne napisy informują o wyprzedży, mijam stoliki z kapeluszami i rękawiczkami na nadchodzącą zimę, rozwieszone pod sufitami sklepów walizki i torby... obok żółwi ruch uliczny, wielkie dymiące autobusy, zapach pizzy, uliczne kadzidło do wdychania gratis... następnie drepczę w dół Siódmą

Aleją obok parkujących na drugiego karetek pogotowia z St. Vincent's Hospital, których syreny zawodzą o wieczystym czuwaniu... skręcam w ciągnącą się skosem ku wschodowi Greenwich Avenue, popatruję na meksykańskie i hinduskie restauracje, kultowe kawiarnie, na mężczyznę o długich siwych włosach przechadzającego się z pieskiem na smyczy, na troje czarnoskórych dzieciaków w obszernych dżinsach opadających im z bioder, na szczupłą blondynkę klęczącą przy wózku z niemowlęciem i spoglądającego na nią z góry kierowcę zatrzymanej w korku furgonetki, który zwiesił ramię przez okno... po drugiej stronie ulicy widzę jeden z tych ogrodzonych osobliwie ogrodów miejscowej społeczności, za którym wznosi się wysoki, neoromański, czerwony jak truskawka niegdysiejszy budynek Jefferson Market Court, przypominający o ubiegłowiecznych problemach Nowego Świata z tożsamością, kiedy to z chodników Nowego Jorku zaczęła wyrastać architektura czerpiąca ze wszystkich możliwych stylów: romańskiego, gotyckiego, mauretańskiego, belle époque i czynszowego... przecinam tętniącą życiem Szóstą Aleję i maszeruję nędzną, podłą Ósmą Ulicą, niegdyś dumą intelektualnej cyganerii, z najlepszą w Nowym Jorku księgarnią, gdzie teraz sprzedają obuwie i podrabiane stroje „z epoki”, a dudniące jak dyskoteka hatchbacki podjeżdżają z piskiem do chodnika... skręcam na południe, w stateczną dolną Piątą Aleję, którą dochodzę do Washington Square Park z jego rywalizującymi ze sobą ulicznymi artystami... w centralnym kręgu daje występ gibki, czarnoskóry komik, który przyniósł ze sobą sprzęt nagłaśniający, a na obrzeżach brzdąkają na gitarze i wyśpiewują, jakby miały przerośnięty trzeci migdałek, różne klony Dylana, każdy otoczony wierną grupą słuchaczy... i tak raz w światło, a raz w mrok tego miasta, gdzie każda okolica jest prawdą dla siebie, oferuje ci inny rodzaj życia... i wreszcie wlokę się Drugą,

typowo szeroką aleją East Side'u, obok Domu Ukraińskiego z restauracją, skręcam w prawo, w tę pozbawioną słońca uliczkę East Village, żeby zobaczyć, co się stało ze Świętym Tymoteuszem, kościołem episkopalnym. Jego świątobliwie wyniosła wieża z piaskowca była prawdopodobnie, kiedy ją wybudowano, najwyższą budowlą w okolicy. Wyrasta za małym cmentarzem i obecnie jest stłamszona przez kamienice, a ulicę po obu stronach pstrzą sączy najemców – pralni, winiarni, baru, oddziału banku... te kilka nagrobków na nierównym trawniku, które zapadły się z upływem lat jak opuszczone w smutku i bólu ramiona... wszystko to, włącznie z tymi grobami, należy teraz do teatru.

Nad wejściem napis wykonany gotykiem: Teatr Świętego Tima. Grają *Mewę* Czechowa.

– No cóż – przypominam sobie słowa Pema – czy dramat nie narodził się z religii? Bogowie opuszczają scenę, wchodzi zwykli Grecy. Trzeba oddać sprawiedliwość tym politeistycznym wyznawcom kultów tajemnych, że co nieco wiedzieli, na przykład to, jak się robi dobry spektakl, z mnóstwem muzyki towarzyszącej chędożeniu i piciu. Na dłuższą jednak metę chyba lepiej wyszliśmy na Sofoklesie.

B., reżyser filmowy przebywający chwilowo w Nowym Jorku, namawia mnie, żebym napisał dla niego scenariusz. Poszliśmy na kolację i opowiedział mi historię, którą miałbym opisać... jest to, stwierdził, opowieść „z życia”, konkretnie z jego własnego, dlatego wydaje mu się, że jest bardzo ważna. Kilka lat wcześniej obsadził pewną aktorkę w filmie, w którym miała grać kobietę ciężko okaleczoną przez socjopatę, który szalał w okolicy, wspinał się po schodach przeciwpożarowych, wdzierał się przez okna i mordował piękne,

samotne dziewczyny. Dziewczyny, które przyjechały do wielkiego miasta, żeby znaleźć pracę i urządzić sobie życie... smutne, ujmujące dziewczęta, które opuściły swoje małe miasteczka, uciekając od przygnębiających wspomnień: być może straciły chłopca na wojnie albo rodziców na małej farmie... tak czy owak, teraz mieszkały w dużym mieście, a film miał być hołdem dla czarnego kina lat czterdziestych. B. chciał, żeby te lata czterdzieste były odmalowane ostrą czernią i bielą, co by nam uświadamiało, jaki mroczny i niegościnnie był tamten świat.

A ta aktorka, smukła, długonoga, niemalże piękna, jakby nieco niewyrazista, ale seksowna, o gęstych włosach, dobrze wypadła na zdjęciach próbnych i była tania, ukończyła właśnie jeden z tych nowojorskich kursów gry aktorskiej i to był jej pierwszy film, i on dał jej rolę tej kobiety, która przeżyła, żeby móc opowiedzieć tę całą historię, i nawiązała romans z detektywem prowadzącym tę sprawę, który odwiedził ją w szpitalu, i tak dalej. B. obsadził tę kobietę, kierując się jakimś instynktem, nie mającym nic wspólnego z aspektem praktycznym, wydała mu się ona odpowiednia do tej roli, dla czego jednak, nie zamierzał dociekać. Zresztą on w ogóle nie jest zbyt dociekliwy. I oto, co się dzieje: kręcą tę scenę, socjopata wdrapuje się po schodkach pożarowych i wchodzi przez okno do jej pokoju, w pensjonacie, ponieważ to jest film w czasie przeszłym, rozumiecie, kiedy istniały pensjonaty i biedne, porządne, czyste dziewczęta, które wynajmowały w nich pokoje... i facet staje nad jej łóżkiem i ona krzyczy przerażona, a on jej nie gwałci, bo nie na tym polega seks w tych filmach, seksowny jest strach, i nachyla się nad nią, i zaczyna kąsać jej twarz wielkimi, ostrymi zębami, i... kilka ujęć i już mogą się związać, poszło tak dobrze, a oni mają małeńki budżet, B. kręci ten film w osiem tygodni. Kiedy przychodzi premiera, krytycy pochlebnie wyrażają się

o dziewczynie, chociaż nie są zachwyceni robotą B., który przecież zrobił kilka przyzwoitych rzeczy, zarzucają mu, że marnuje swój czas.

Aktorka, korzystając z tego, że pozytywnie oceniono jej rolę w tym ogólnie złym filmie, mogłaby teraz pojechać do Nowego Jorku i wystąpić w jakimś spektaklu na scenie off-Broadway, jednak jej agent każe jej przeczekać, bo przecież ma tutaj pracę, film, TV... Zatem zostaje, umawia się to z tym, to z owym, jej nazwisko pojawia się od czasu do czasu na kolumnach z ploteczkami, traci jednak kilka okazji z rzędu, jej agent nie może nic dla niej znaleźć... i pewnego wieczoru, lekko wstawiona, wraca do swego mieszkania w West Hollywood, a tam już czeka na nią jakiś maniak, tym razem prawdziwy. Rzuca ją na podłogę i odgryza jej nos.

– Rzecz w tym, że to nie jest film – mówi mi B. – to się zdarzyło naprawdę! Wrzeszczała, ktoś ją usłyszał, dopadli faceta, ściągnęli go z niej, ale biedaczka już nie odzyskała zmysłów, trzymają ją teraz, razem z jej protezą nosa, w stanowym domu dla umysłowo chorych! – Przez jakiś czas przebywała w prywatnym sanatorium, ale szefowie studia doszli do wniosku, że zrobili wszystko, co w ich mocy, a ich prawnik wykombinował, że nie odpowiadają za to, iż jakiś pomylenieć zobaczył, jak ją okaleczają na ekranie, i uznał, że taka jest jej karma. B. mówi mi jednak, co istotne, że nigdy nie ustalono, by tamten maniak oglądał ten film! – Sporo teraz o tym wiem – ciągnie – i daję głowę, że go nie widział! Bo czy taki szajbus wysiedziałby w kinie przez dwie godziny? Co tydzień posyłam dziewczynie kwiaty, zamartwiam się, że to jeszcze nie koniec. Z tego, co wiem, gość jest w tym samym zakładzie, na oddziale męskim, oddzielony od jej pawilonu jedynie ogrodzeniem. Pewnie tylko czeka, żeby ją znowu dopaść.

B. pyta mnie, co to za instynkt mu podszeptał, żeby obsadzić tę dziewczynę w tej roli – czyżby wyczuł, że

ona jakoś szczególnie przyciąga przemoc, że jej własny genom chce ją zniszczyć czy co? Co on takiego w niej dostrzegł, zupełnie bezwiednie... to właśnie go męczy. W początkach swojej kariery dał pewnemu aktorowi rolę, w której miał umrzeć na atak serca, i gdy skończyli zdjęcia, temu facetowi właśnie to się przytrafiło, a raz, w westernie, aktor obsadzony jako oficer kawalerii, którego mieli przebić indiańską włócznią, nadział się na żelazny parkan przed własnym domem, wypadłszy po pijaku z okna na drugim piętrze.

– Widocznie potrafię przewidywać, co się wydarzy – mówi B. z tym hollywoodzkim niewymuszonym samomaszowaniem. – I na pewno przewidziałem, co spotka tę biedną dziewczynę. – Kręci głową, wlepia wzrok w obrus. – Ale jak? Co wobec tego z moją moralną tablicą wyników? Co ja takiego wiem i kiedy to coś wiem?

– Sprawdźmy, czy to rozumiem – mówię. – Chcesz nakręcić film o gościu, który robi film z aktorką, której filmowy los powtarza się w jej prawdziwym życiu, tyle że to jej prawdziwe życie jest filmem, który kręcisz z inną aktorką, o tym, jak to twoje filmy przepowiadają prawdziwe życie... tak to mniej więcej wygląda?

– To ma zdecydowanie okultystyczny charakter. Autentyczna okultystyczna tajemnica. Zupełnie jakby to mi się wyświetlało w duszy. Nie potrafię wyrazić, jakie to dziwne. To największy obraz w mojej karierze.

– Cóż, coś z tego może być, owszem, ale...

– Przyszedłem prosto do ciebie. Znam twoje filozoficzne skłonności, więc jak mógłbym pomyśleć o kimkolwiek innym?

– Przykro mi, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Dlaczego nie?

– Narazić na niebezpieczeństwo jakiś inny nos?

– Ooo. Oo... – Po zastanowieniu: – Rozumiem, o co ci chodzi. Nie ma się co przejmować. Znajdę kogoś, kto

jest do tej roli nieodpowiedni: obsadzę niezgodnie z typem.

– Tak ci się tylko będzie wydawało – mówię.

Wracam do mojej nadbrzeżnej wioski nad cieśniną, światło późnego września pada ukośnie, złociste, dobroczynne światło, łagodne, nieporuszone wiatrem, niczym sama dojrzałość, obwieszczające, że rok już zżęty, że nadchodzi zimowa zwiędłość. Smętna pora, kanadyjskie gęsi myślą o locie na południe, z powagą zbierają się w stateczne dywizjony, krążą niezdecydowanie, aż jakiś znajdujący się wśród nich fałszywy prorok wydaje krzyk, na który wodują ze ślizgiem na zatoczkach. Kiedy dokarmiają je litościwi ludzie, zostają dłużej niż powinni i zamarzają na śmierć.

Niebo nad plażą zaciemniają niezliczone jaskółki, wirują na nim jak burza piaskowa; czyżby pożywiały się w locie, odkurzając niebo z legionów owadów, jak jerzyki? Są małe niczym wróble, białopierśne, niebiesko upierzone, mają długie, rozwidlone ogonki i spiczaste końcówki skrzydeł. Przestrzeń to główny wymiar ich życia, w niej właśnie żyją, jak jakieś ptasie galaktyki, chociaż już nie jak jerzyki, obywające się miesiącami, latami bez lądowania. Mają słabość do słupów telefonicznych, nie potrafią się oprzeć chętnie gromadnego przysiadania w rzędzie, jak teraz, kiedy kilka, nieśmiało lądując, sugeruje pozostałym przerwę w migracji, póki wszystkie nie znikną z nieba nad omiatającą piaskiem drogą tuż za wydymami, nie przycupną, skrzydło przy skrzydle, na interwałach telefonicznego kabla, od słupa do słupa, od słupa do słupa, przyjmując na piersi oceaniczny wiatr, który targa im piórka na łebkach; te małe nicponie wiedzą, jak żyć, teraz czeka-

ją na jakiś niebiański koncert, którego jedynie one mogą wysłuchać.

Zdawałem sobie sprawę, wykładając po swojemu filozofię, stojąc przed studentami trochę nieobecny, podczas gdy oni czekali, aż będą mogli zapisać, co powiem... zdawałem sobie sprawę, że im bardziej się mnie boją, tym chętniej wyśmiewają mnie za plecami. Profesor Ludwig Wienerschnitzel, który sam ze sobą toczy spory, przechodzi ni z tego, ni z owego na niemiecki, powtarza to, co powiedział przed chwilą, jakby powiedziała to jakaś inna osoba, a potem gwałtownie okazuje dezaprobatę. Podaje jedno błyskotliwe twierdzenie za drugim, po czym wymazuje wszystkie machnięciem dłoni, grymasem obrzydzenia. Demonstruje, że z autentycznym myśleniem związany jest wysiłek fizyczny. Daje te występy całymi godzinami, aż w końcu pada wyczerpany na krzesło, z włosami zlepionymi potem. Jednak zawsze, przyznając to teraz otwarcie, zawsze zmierza do tego, by uczynić sprawę tak prostymi, jak prosty jest świat w swojej tutejszości i dzisiejszości, obnaża wszystko tak dalece, jak to tylko możliwe, aż do jego prostych, nagich d a n y c h. Świat jako... wszystko, co jest właśnie takie, wszystko, co zachodzi. Wykonywałem zatem to zadanie, a okazało się ono piekielnie trudne. Tak trudne, że doprowadziło mnie do tego, iż poważnie zacząłem myśleć o samobójstwie. Wszak kiedy już się osiągnie cel, kończą się wszelkie trudności, nieprawdaż? Wszystko powinno być teraz łatwiejsze a przecież... nie rozumiano mnie! Ponumerowałem swoje myśli i ułożyłem je w kolejności ewolucyjnej, podobnie jak student streszczenie lektury. Dla łatwiejszego zrozumienia. Zrobiłem wszystko, co można było zrobić. Jednak im bardziej ułatwiałem uprawianie filozofii, tym

trudniejsze się ono stawało dla wszystkich poza mną. Nie tylko dla zwykłych ludzi, nie tylko dla studentów, ale i dla moich kolegów, moich zajmujących się filozofią kolegów! Nawet dla tych, którzy mnie uczyli!

Bóg mi świadkiem, że nie szukałem wdzięczności, tylko kogoś na tym świecie, kto by mi powiedział: „Ludwigu, nie jesteś samotny”. A od wszystkich słyszałem jedynie to: „Proszę to wyjaśnić, proszę powiedzieć to tak, żebym mógł to pojąć”. Rozumiecie? Oni nie zdawali sobie sprawy, że wyjaśnić to zatracić sens. Bo ja już osiągnąłem ów punkt oczywistości, w którym jest ona niewytłumaczalna. Celem całej mojej pracy jest jedynie znalezienie tego, co można powiedzieć. A tego jest zaiste niewiele! Napisałem do nich: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Powiedziałem im: „Jeżeli chcecie zrozumieć to, co napisałem, przeczytajcie, czego nie napisałem, a być może zrozumiecie”. Te słowa jednak wprowadziły ich tylko w jeszcze większe zdumienie.

Na Boga, mówiłem temu czy owemu młodemu Anglikowi, z którym poszedłem na spacer albo do kina po wyczerpującym wykładzie: Jeśli chcesz żyć w duchu prawdziwej filozofii, nie bądź filozofem. No tak, a pan, Profesorze? Raz już odszedłem od filozofii, odpowiadałem, i odejdę ponownie, zanim mnie ona zabije, ten mój powrót był błędem, mówiłem im. Jeśli uprawiasz filozofię, rzuć ją i pracuj własnymi rękoma. Zostań cieślą, pielęgniarzem, pomocnikiem murarza. Rób coś, co jest proste i realne w tym realnym świecie, coś, co pasuje do tego świata, takiego, jaki on jest. Jeśli jesteś zakochany, mówiłem temu czy owemu młodemu Anglikowi, a pozwólcie, że powiem tutaj i teraz, iż nie było bardziej czarujących młodzieńców niż ci Anglicy, z tą ich karnacją, ich powściągliwością, ich opanowaniem, wielkie nieba, jakąż pokusę stanowili, jakąż nieustanną, wręcz bolesną pokusę... Ale kiedy jesteście zakochani,

mówiłem im, temu jednemu czy dwom, którzy naprawdę mnie kochali, musimy się rozstać, ponieważ miłość może istnieć jedynie w rozdzieleniu, tylko w wyparciu się cielesności znajduje ona potwierdzenie, w przeciwnym bowiem razie nie można jej zaufać, uznać za bezwarunkową. A jeśli nie jest bezwarunkowa, to nie jest miłością. Tą prawdą kieruję się w życiu, jeśli mi starczy sił. Wszystko, co rozwinęło się wraz z cywilizacją, powstało po to, by skalać nasze dusze. Jeśli chce się żyć jak człowiek, trzeba się wyprzeć wszelkich społecznych wartości. Zamożność jest śmiertelnie niebezpieczna. Jeśli jesteś zamożny, jak byłem ja – a byłem niezmiernie bogaty – doprowadź się do ubóstwa, jak ja. Jeśli kochasz, dbaj o swoją miłość, porzucając kochaną osobę, jak ja. Jeśli jesteś filozofem akademickim, zostaw to zajęcie i żyj skromnie, jak ja. A jeśli twoją obsesją jest język i myśl, idź do kina, tak jak ja idę, i zanurz się w migotliwych obrazach, światłach i cieniach, miejscach oraz uroczych twarzach, które stanowią przeciwieństwo języka, które nie muszą objaśniać tego świata za pomocą gramatycznych twierdzeń, jak język, które nie muszą wyznaczać świata za pomocą zdań, ale są w tym świecie, w nim oraz z niego, pojawiają się tam łatwo i bez wysiłku.

Uwielbiam kino. Bo, widzicie, filmy powstają z konkretnej materii tego świata. One zdejmują z niego wyobrażenia, podobnie jak my moglibyśmy podjąć czubkiem noża opalizujące, błękitno-zielone, tęczowe zabarwienie z tęczowego pstrąga... pozostawiając istotę świata nie zmienioną, a jednak wyrażoną dokładnym, homologicznym odpowiednikiem tego świata. W kinie siedzi się w ciemności i dowiaduje, że świat jest wszystkim, co zachodzi. I że – kiedy już film dobiegnie końca i zapalą się światła – o tym, czego nie pokazano, nie można mówić, należy milczeć, by tego niewyraźnego nie utra-

cić. I wtedy się wychodzi. Z mroku sali kinowej w ten drugi mrok.

Ale o czym to ja mówiłem?

Midrash Jazz Quartet gra standardy

DANCING IN THE DARK

(brawa)

*till the tune ends,
We're dancing in the dark
And it soon ends;
We're waltzing in a wonder
of why we're here.
Time hurries by, we're here and gone.*

*Looking for the light
of a new love
to brighten up the night,
I have you, love,
And we can face the music together
Dancing in the dark.*

Żadnych świec, blasku ognia, ani jednego lumena,
Tańczymy w kompletnych ciemnościach,
Zastanawiając się nad przyczyną naszego tutaj
istnienia...

Pozwólcie, że zadam równie podstawowe pytanie:
Gdzie jest to tutaj?...

Naturalnie mamy szczęście, że jest coś pod stopami,
na czym możemy tańczyć.

To już jest coś.

Z drugiej strony, kim są ci my, o których mówię?
Trzymam się ciebie, tańczysz całkiem dobrze,

jednak cię nie widzę i nie powiedziałas ani słowa.
Czy rzeczywiście tam jesteś?
Bo jeśli jesteś, wiesz równie dobrze jak ja,
że życie jest krótkie i czas upływa,
a my za nim nie nadążamy.
Oboje szukamy jakiegoś oświecenia, czyż nie?
Takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia?
A kiedy ta promienna miłość nadejdzie,
i wydobędzie nas
z mroku tego, gdzie i kim jesteśmy,
Będziemy wiedzieli, co robimy,
wszystko ujrzymy wyraźnie,
włącznie z osobą, z którą tańczymy,
tak, skarbie, z osobą, z którą tańczymy w świetle,
choć oczywiście nie będzie nią żadne z nas.
A do czasu, kiedy to się stanie, jeśli w ogóle się stanie,
Trzymam się ciebie, a ty trzymasz się mnie,
co chyba jest jakąś pociechą.
W sumie ta niezbyt obiecująca sytuacja sugeruje,
Że zostaniemy, by ramię przy ramieniu
stawić czoło muzyce,
Choć jak można stawiać czoło muzyce, skoro ona jest
wokół nas,
w ciemności,
nie wiadomo...

(brawa)

Nie mogę zostawić tego bez odpowiedzi...
Mój tu obecny kolega tak się zagłębił w swoim umyśle,
Że nie dziwota, iż opadła go ciemność,
Nie dziwota, że niczego nie widzi.
Oświecając zwoje i sploty swojego mózgu
Ciemną materią neutrino,
Tańczy ze swoim cieniem,
Tańczy w mroku własnego umysłu.

Nie widzę tam żadnej kobiety,
Jak mogłaby kobieta tańczyć do takiej muzyki?
Ja wiem, do czego może tańczyć kobieta,
Wiem, jakie to uczucie obejmować tańczącą kobietę
Ożywioną wysiłkiem, gibką, emanującą energią,
choć wąska jest w ramionach,
szczupła w pasie i lekkostopa.
Czuję słodką czystość jej włosów,
Gdy opiera skroń na moim policzku,
Czuję puls w jej nadgarstku,
Czuję, że mi ufa, gdy daje się prowadzić
i przywiera plecami do mojej dłoni.
Kołyszymy się, okręcamy i zgrywamy nasze kroki,
jak jeszcze jeden dźwięk muzyki
pobrzmiewa między nami intymność,
przepływa przez nas w tajemniczej zgodzie,
I to jest cała rozmowa, jakiej od niej oczekuję,
Tańcząc z nią w ciemności.
Błogosławiona ciemność, w której krążymy,
pozwala nam przez jakiś czas
być ośrodkiem świata, potęguje nasz romans
Na tak długo, jak długo trwa nasza piosenka.

(brawa)

A ja to widzę jako scenę w nocnym klubie:
Lampki z abażurkami rzucają kręgi światła
na stoliki otaczające parkiet do tańca,
Przycmiony biały połysk każdego obrusa,
Iskrzenie na brzeżkach kieliszków do wina...
To nocny klub, w jakim nigdy nie miałem szczęścia
zagrać,
Z tarasem, łukowatymi ścianami i mnóstwem
przestrzeni między stolikami,
Klub, gdzie się jada kolacje, gdzie rzuca się w oczy
ciemność,

A muzyków siedzących na estradzie
Prowadzi dyrygent z batutą,
Który staje do nich plecami i dobrotliwie spogląda
na dwoje tancerzy.
Wszyscy na estradzie się uśmiechają, bo im za to płacą,
To klub hollywoodzki, rozumiecie,
Wszystko udawane, klubowa scenografia do filmu,
A tych dwoje tancerzy to jego gwiazdy,
Które w tej scenie mają odkryć, że się kochają.
Tańczą, patrząc sobie w oczy,
Podczas gdy ja i reszta zespołu dla nich gramy
z szerokim głupim uśmiechem na twarzy,
Bo przecież to granie się oplaca.
I tym statystom siedzącym przy stolikach,
pod czarnymi muszkami i w wieczorowych sukniach,
Też płacą.
Wszyscy statystujemy w życiu tych gwiazd tańca,
Wirujących w mroku, który przemyślnie rozjaśniano
przyćmionym światłem na każdym obrusie,
iskrzeniem na brzeżkach kieliszków do wina.
A oto, dlaczego tutaj jesteśmy:
tak się składa, że za drzwiami nocnego klubu są
ciężkie czasy,
Kraj jest splukany, nikt nie pracuje,
Na zimnych ulicach ludzie stoją w kolejkach po chleb,
Burze piaskowe zdzierają lakier ze starych gratów
porzuconych na pustyni,
Robactwo wżera się w policzki głodnych
dzieci z gór,
Nie ma bliźnich, którzy rzuciliby dziesiątaka,
A już na pewno nie na ulicy przed tym klubem,
gdzie gliny plaskają pałkami w otwarte dłonie
i trzymają żebraków na dystans za policyjną zaporą.
Żebracy czekają, aż te dwie gwiazdy zakończą
swoją mroczny taniec

I odbiorą etolę i płaszcz z jagnięcej wełny z rąk
szatniarki,
I kiedy wyjdą na ulicę, żeby przywołać taksówkę,
Rozrzuca kilka dziesięciocentówek.
Tak się jednak nie zdarzy. Te dwie gwiazdy tańca
będą tańczyć dalej,
On we fraku i z przyczesanymi gładko włosami,
Ona w wyszywanej srebrnymi cekinami sukni
podkreślającej zarys
mocno zaciśniętych pośladków.
Ci tancerze srebrnego ekranu,
którzy walcują w kółko i wokół,
udając, że ich pieśń niebawem się skończy,
to w rzeczywistości poborcy dziesiątaków.
Siłą rozwierają nam dłonie, odkrywając
nasz maleński skarb,
tych kilka monet,
Wyłuskują cenne dziesiątaki
Ulicznych żebraków statystujących w tej scenie.
A my, żebracy i statyści, siadamy w ciemności
po jednej lub drugiej stronie tego tańca,
Żeby tancerze mogli rozjaśnić nam wszystkie noce,
aż skończy się nasz czas
I już nas nie będzie.

(pojedyncze oklaski)

Jak krótka piosenka trwa
W tym mroku nasze życie,
Przebrzmi refren lub dwa,
Już nas nie zobaczycie.
Ty i walc ukochanej
Skończyliście się.
Zwyciężył mrok.
Muzyka ciągle gra,

Twój taniec już minął,
A muzyka ciągle gra.

(brawa)

...Żadnych świec, blasku ognia, ani jednego lumena
...Oświecona ciemność, w której tańczymy
...Iskrzą brzeżki kieliszków do wina.
...Taniec jest naszym życiem. Dano nam mrok, byśmy
przetańczyli w nim życie...

*Dancing in the dark
till the tune ends,
We're dancing in the dark
And it soon ends...*

(oklaski)

Biskup Pema nie jest taki, jak sobie wyobrażałem. Niewysoki, niemal filigranowy, jakby kruchy, ma przedwcześnie posiwiałe włosy. Całkiem sympatyczny, nie żałuje mi swego czasu, bezpośredni, po księżowsku uparty. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że ma dość ludzi parających się pisaniem, szczególnie zaś reporterów. Powiedziałem, że ja również. Zapewniłem go, że wprawdzie jestem pisarzem, nigdy jednak nie upadłem tak nisko, aby być reporterem.

– Z ulgą przyjmuję te słowa – stwierdził. – Reporterzy wypatrują konfliktów, od wojen po rozwody, zlatują się ku krwawym zmaganiom... im krwawsze, tym dla nich lepiej. A jeśli natkną się na współczucie, opiszą je tak, że wygląda jak własne przeciwieństwo... Wielbny Pemberton, jakiegokolwiek byłyby jego kłopoty, jest

jedynie przedmiotem naszej głębokiej troski i kolegiálnego zainteresowania. Powinien pan o tym wiedzieć. To, przez co przechodzi, nie jest drobiazgiem, a ja poświęcam jego cierpieniu swoje modlitwy. Z drugiej strony muszę powiedzieć, że w zasadzie sam je na siebie ściągnął. Jest moim drogim przyjacielem, byliśmy w tym samym czasie w Yale, on jednak – a powiedziałem mu to bez ogródek – nigdy się do końca nie otrząsnął z lat sześćdziesiątych. Jego bezkompromisowość to cecha pokolenia, które wówczas dorastało. Ja jestem kilka lat starszy i udało mi się nie wpaść w ten... nałóg wojowania, Pem jednakże skoczył na barykady i na nich pozostał. Dziś problemy są inne, ale ta jego nieelastyczność, to wszystko-albo-nic w jego żądaniach... to się nie zmieniło. – Biskup uśmiechnął się. – Jest w nim coś zdecydowanie ewangelicznego, nie sądzi pan? Taki żarcik Pana Boga.

Weszła kobieta z herbatą i postawiła tacę na biurku biskupa. Przez chwilę zajmował się on filiżankami i dzbankiem.

– A tak przy okazji, gdzie jest teraz Pem, wie pan może, dlaczego nie odpowiada na telefony?

– Wyjechał do Europy.

– Aha, miło mi to słyszeć. Zmiana scenerii.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że próbuje odnaleźć archiwum żydowskiego getta, ukryte gdzieś podczas wojny.

– Rozumiem. Napije się pan ze mną? Mamy tutaj cytrynę, mleko i cukier.

– Dziękuję, pijam samą.

– Choć po zastanowieniu – powiedział – nie dziwi mnie, że Pem znalazł sobie takie zajęcie, zważywszy na jego obsesję na punkcie holokaustu. Ma krytyczny stosunek do powojennej teologii chrześcijańskiej. W gruncie rzeczy wsgardliwy. A przecież nasze wysiłki można wyczuć sercem, co jest oczywiste dla każdego, kto tego

spróbował. Niektórzy z nas są dotknięci jego podejściem... tym, że rości sobie wyłączne prawo do stanowiska moralnego, które jest wspólne nam wszystkim. – Zmarszczył brwi. – Nigdy nie jest dość gorąca. Przepraszam.

– Ależ nie. Odpowiada mi taka. Naprawdę.

– Tom Pemberton może mówić o holokauście, jednak to Wietnam tkwi w jego duszy. Naturalnie wie pan, kim był jego ojciec.

– Także duchownym...

– Zgadza się. Wielebny John Pemberton, biskup sufragan Wirginii. Jak najbardziej High Church* i surowy strażnik wiary. Duchowny, który nie chciał odgrywać żadnej roli na narodowej scenie. Jednak poświęcił się i dołączył do chóru oskarżeń o herezję, które w tamtym czasie rzucano na innego biskupa, Jamesa Pike'a z Kalifornii. I naturalnie dlatego go zapamiętano. Znajdzie pan Pike'a w pierwszym akapicie notki pośmiertnej biskupa Pembertona.

– Pem wspominał o biskupie Pike'u.

– Nie wątpię... Wie pan, kuria docenia świeckie terapie. Nalegałem na Pema, żeby skorzystał z pomocy psychologa. Bo niewykluczone, że ma o jednego ojca za dużo.

– Nie rozumiem.

– Pike miał na niego destrukcyjny wpływ. W kazaniach podawał w wątpliwość Niepokalane Poczęcie, Trójkę... zupełnie jakby ta nędzna kontrkultura przesączała się jakoś przez mury do wnętrza świątyni. Niemniej na niektórych seminarzystach robił wrażenie. Nie jest zatem niemożliwe, że Pem przyswoił sobie poglądy ich obu – swojego naturalnego ojca, Johna, należącego do historycznego Kościoła, oraz Jima Pike'a, tego

* Odłam Kościoła anglikańskiego przywiązujący większą niż Low Church wagę do obrzędowości i hierarchii (przyp. tłum.).

niezależnego człowieka, którego sam wybrał sobie na ojca – a następnie przeciwstawił jedno drugiemu. Ma pan swoją historię, jest tu i konflikt, jeśli go pan szuka. A może to dla pana marne psychologizowanie?

– Może odrobinę.

– Zapewniam pana, że tak nie jest. Można by pomyśleć, zważywszy na to, że go obraziliśmy, kwestionując jego rozsądek w sprawach wiary, iż Pem powinien był już dawno opuścić Kościół. Z drugiej strony, z tym jego charakterem dysydenta, dlaczego on w ogóle do niego przyszedł? I jeśli nie o to chodzi... jeśli to nie są te zmagania, to musimy zacząć mówić o złu.

Biskup wstał i wyrzwał przez wykuszowe okno.

– Nie chcę tego, nie chcę przyznać, że podejrzewam Pema o naiwność. Bo przecież on na pewno jest wystarczająco bystry, wobec czego mielibyśmy do czynienia z naiwnością wykalkulowaną. Czy on nie wie, że rozum i wiara się uzupełniają, że nie ma między nimi sprzeczności? Rozum podobnie jak wiara uświęca życie etyczne. I jedno, i drugie wyzwala człowieka od niego samego. Ten sam umysł, który formułuje matematyczne twierdzenie, miłuje też porządek dany światu od Boga. Rozum i wyobrażenia są równoległymi ścieżkami prowadzącymi do Boga. Nie muszą się przecinać. Można odwołać się do perspektywy, żeby wyobrazić sobie, jak stapiają się w jedno w ludzkim doświadczeniu... gdzieś hen, daleko.

Okropna w tym wszystkim jest duma – dodał – ten katastrofalny grzech, z którego powstaje zło, ludzkie przydawanie sobie wielkości, kiedy zapomina się o tym, jak Jezus zstąpił do nas i przyjąwszy naszą postać, został umęczony na krzyżu.

W porządku, oto co mam na początek: barczysty chłopak z dobrego domu najpierw w drużynie hokejowej

Świętego Pawła, a potem cztery lata u Świętej Trójcy w Connecticut. Lata sześćdziesiąte na pełną parę, prelekcje, protesty na siedząco, marsze, rytualne palenie kart powołania, i Pemowi, spędzającemu lato w Missisipi na zadymach przy rejestrowaniu czarnoskórych wyborców, rozwalają głowę, po czym, już w pełni uznany za swojego, może dołączyć do radykalnych hipisów demonstrowających wokół Pentagonu. A potem wybiera seminarium. Biskup zastanawia się dlaczego. A niby na czym miał się oprzeć ten syn oddanego człowieka Kościoła, wychowany na plebaniach od Seattle do Upper East Side, jeśli nie na tej tradycji?

Napiszę, że ten młody człowiek posiadał wiarę, nieważne jak mglistą i w jakiej mierze odziedziczoną. Może i był zdezorientowany, niemniej w tym irytującym szaleństwie Wietnamu i w mękach ruchu praw obywatelskich zaczął dostrzegać, że Kościół jest instytucją kierującą się prawdą i zdrowym rozsądkiem. Wokół było wielu duchownych... nie tylko biskup Pike... przeciwnych wojnie, filozofów od teologii wyzwolenia, głosicieli zasad obywatelskiego nieposłuszeństwa, których maltretowano i wrzucano do więzień. Martin Luther King, Berriganowie... co dawało im taką siłę? Co ich podtrzymywało? Tym oparciem, tą redutą była właśnie wiara. I to wiara nakazywała im podnosić krzyk. Oto był zatem rozsądny program dla dziecka lat sześćdziesiątych: odczytanie Ewangelii jako tego, czym ona jest, jako podręcznika rewolucji.

Igła kompasu szaleńczo skacząca między wszystkimi stopniami wiary, od zera do trzystu sześćdziesięciu – oto prawda o moim przyjacielu, wielbnym Pemie.

Prawdą jest również, że po roku urlopu, podczas którego pracował w Korpusie Pokoju, o czym będę miał więcej do powiedzenia, wrócił do Yale, żeby ukończyć

studia, i spotkał tę młodą kobietę, którą później poślubił, Trish vanden Meer. Szykowna, zrównoważona, po szwajcarskich szkołach dla panienek z dobrych domów. Studiowała nauki polityczne. Nad i stawiała kółeczka zamiast kropek. Typ elegantki z fortuną w tle, jakich zawsze unikał, wobec czego zakochali się w sobie.

Trish podobał się jego chrapliwy baryton, szeroka twarz z kudłatą czupryną, zawsze opadającą na czoło, seksowne usta. Nie miał nawet sześciu stóp wzrostu, ale robił wrażenie większego i silniejszego, potężniejszej postury. W tym studencie teologii z dobrym nazwiskiem i bez pieniędzy, męskim jak wszyscy diabli, urzekło ją też to, że nie doceniał, jaki jest atrakcyjny, niczym wielki kudłaty pies. Okulary w ciężkich, czarnych oprawkach, które ciągle zsuwały mu się z nosa, a on nieustannie popychał je do góry, uosabiały wedle niej chaos panujący w jego życiu. Postanowiła, że się nim zaopiekuje. I ta jego wrażliwość, to, jak jakaś koncepcja potrafiła go opanować i nim wstrząsnąć, jak mu zależało, żeby dzielić się z nią swoimi myślami, chociaż ona czuła, że zależy mu raczej na tym, aby słuchała, jak on ćwiczy swój mózg. Fascynowało ją, że ten mężczyzna potrafi żyć tak intensywnie.

A co jego pociągało w niej? Była na chłodny sposób seksowną, szczupłą, wysportowaną blondynką, grała dobrze w tenisa, mówiła płynnie po francusku i włosku, na trzecim roku przyjęli ją do ekskluzywnej korporacji studentek, a jej ojciec był szyczą w administracji Johnsona, której Tom Pemberton nie znosił.

Drogi Pemby

Nie mogłem się nie uśmiechnąć, kiedy wziąłem do ręki pióro i pomyślałem, jaką będziesz miał minę, kie-

dy w swojej korespondencji znajdziesz list od swojego *faux* papy. Widzisz zatem, że już zawdzięczam Ci miłą chwilę. A ostatnio niewiele ich miewam, choć kilka zawsze mi się trafi podczas codziennego żeglowania, kiedy wiatr zechce współpracować, a ja mogę sobie spokojnie halsować, nie mając wiele więcej do roboty niż trzymanie rumpla i smakowanie pyłu wodnego, który pryska mi na twarz. Wróciłem do tej starej drewnianej hereschoff, pamiętasz ją? Tę z gaflem? Nie wiem dlaczego. Jest trochę za szeroka, niezbyt szybka, ale ładna i bezpretensjonalna, niczym dobra pierwsza żona. Mogę zatem stworzyć sobie chwilową iluzję spokoju. Słyszę ten syk i plusk towarzyszące ruchowi łodzi, odgłosy żywiołów, jakby wiatr i światło, i woda były bogami prowadzącymi cichą rozmowę, zupełnie jak gdyby tamci starożytni pogańscy politeiści, wybaczone słowo, mieli od początku rację. Rzadko wypływam dalej niż na milę czy dwie i trzymam kurs wzdłuż brzegu, nie wiem dlaczego, chyba jedynie dlatego, że mam ogromną ochotę postąpić na odwrót. A może chodzi o tę dziwną oceaniczną hańbę, bo jeśli chcesz wiedzieć, mam wrażenie, że im dalej się wypływa, tym więcej jest tam tego pływającego śmiecia, więcej plam ropy i oleju oraz innych odpadów, które brzydzę się nazwać. Przecież jestem pedantem.

Nie przystąpiłem od razu do sedna, prawda? To do mnie niepodobne. Zapewniam Cię wszakże o jednym. Nie piszę dlatego, że chcę doprowadzić do zbliżenia między Tobą a Twoją żoną. Przede wszystkim, znając was tak, jak ja was znam, nie uważam, aby to było możliwe, a po wtóre teraz, kiedy już nie jesteśmy *faux* papą i *faux* synem, widzę Cię w sympatyczniejszym świetle. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co Wy w ogóle w sobie zobaczyliście... ta szczególna instytucja, jaką było Wasze małżeństwo, zasługuje na czyjeś naukowe zainteresowanie, choć już nie moje. Mam bar-

dziej nagłące priorytety. Priorytety. Tak, może się zdziwisz, ale nawet tacy wiekowi dżentelmeni jak ja wciąż się temu poświęcają, i to bardzo poważnie.

Co to za nowe, sympatyczniejsze światło? zapytasz, skupiając się natychmiast na tym, co Cię najbardziej interesuje. Cóż, przede wszystkim, pomimo wszelkich trudności, jakie Cię spotkały w życiu, z których jedną nawet opisano w gazetach, nie utraciłeś do końca niewinności. To takie uroczo zwykłe sprawy, rozbita rodzina, zaginiony krzyż, ludzie w kolejce po gotowane kartofle czy co tam jeszcze, co wypełnia Twoje pracowite dni. Owszem, przyznaję, że jest to niewinność udręczona i nie mam zamiaru wyrażać się protekcyjnie o lęku, który tak pielęgnujesz, niemniej zważywszy na rozmiar kłopotów, w jednej chwili zamieniłbym się z Tobą miejscami. To takie godne pozazdroszczenia zajęcie, zatrudnienie u Boga. Nie, żebym zawsze o tym wiedział, ale teraz naprawdę to widzę w tym nowym świetle. Uwzględniwszy, że jesteś zobowiązany powiedzieć nam to, co już wiemy i czego nie chcemy słuchać, i że ograniczasz się w życiu do działań zarówno nieskutecznych, jak i męczących, uważałem Cię za nieświadomy najdoskonalszy surogat cnotliwego prawego dżentelmena, jaki kiedykolwiek powstał spośród słuchaczy i zażądał ode mnie przeprosin albo przysłał mi poplamiony łzami list o tym bracie, synu czy mężu, za którego śmierć byłem odpowiedzialny, albo zanieczyścił moją pocztę elektroniczną wszelkimi możliwymi nikczemnymi inwektywami, albo wygwizdał mnie na lunchu z książką i autorem, albo odwrócił się tyłem, kiedy wręczano mi tytuł honorowy. Jesteś ich prorokiem, Wielebny Pembertonie. Prorokiem całego pokolenia tchórzliwych, ckliwych, samolubnych, asekuranckich, niepoprawnych hipisów, którzy korzystają z dóbr gospodarczej hegemonii Ameryki, nie przejawiając najmniejszej chęci ponoszenia jakichkolwiek ciężarów.

Rozumuję następująco: jeśli nauczę się porozumiewać z Tobą, być może uda mi się też dotrzeć do innych. Podobnie jak antropolog w terenie, dajmy na to w dzungli, który studiuje pilnie język oraz reguły postępowania tubylców, żeby zdobyć ich zaufanie. Co Ty na to? Ja myślę, naturalnie, o swoim kraju. Czy Ty także w końcu pomyślisz o swoim kraju? Jeśli tak, oto nasz pierwszy problem.

Mój dom w Alexandrii zaczął pikietować beznogi długowłose mężczyzna na wózku inwalidzkim. Każdego ranka przywożą go jedną z tych furgonetek dla niepełnosprawnych i wyładowują przed moją bramą, gdzie po prostu siedzi, wpatrując się w mój dom. W południe zabierają go na lunch, ale wraca wczesnym popołudniem i nie rusza się już stąd aż do zmroku. Obserwowałem go przez lornetkę z okna na piętrze: zostawia go tu, a potem zabiera, jakaś młoda kobieta, córka lub żona, która wyraźnie jest mu bardzo oddana. On, jak się zdaje, jest wyjątkowo dobrego zdrowia, silny, szeroki w ramionach, klatka piersiowa, bicepsy i tricepsy są dobrze widoczne pod obcisłym T-shirtem z podwiniętymi wysoko rękawami. Taki macho z niższych klas. Pewnie odbiera niezłą zapomogę dla niepełnosprawnych i możliwe, że właśnie to celebruje małą amerykańską flagą przyczepioną do ramy wózka. Po kilku tygodniach wezwałem policję. Kiedy każą mu się odsunąć, on to robi: wybiera się na przejażdżkę po krętych, ocienionych drzewami uliczkach, do czego ma takie samo prawo jak każdy, kto ma nogi. Kiedy oni odjeżdżają, on naturalnie wraca na swoje stanowisko. Pomyślałem, że wyślę mu lemoniadę, jednak mógłby to uznać za drwinę, nieprawdąż? Myślałem, żeby go zaprosić do środka, choć mogłoby się to okazać ryzykowne, poza tym lepiej zachować tego rodzaju strategię na czas, kiedy zainteresuje się sprawą prasa, co bez wątpienia nastąpi, i jej przedstawiciele zaczną wystawać pod moją bra-

mą. Myślałem o wyjeździe, zawsze mogę przecież wyjechać za granicę, spodziewam się jednak, że potraktowano by to jako ucieczkę. Cokolwiek jednak zrobię, będzie to po jego myśli, Wielebny. Jak Ty byś w tej sytuacji postąpił? Jaką mi dasz radę, mnie, człowiekowi, który też był odznaczony medalami i nieco zubożał, gdyż za marne grosze, rok po roku pełnił powojenną posługę w interesie dobrobytu swego kraju? Czy ja również mam go pikietować? Czy mam zamówić sobie wózek inwalidzki i stoczyć się po podjeździe z gotową do pchnięcia lancą?

Z nadzieją, że odpowiesz, i z gorącymi, osobistymi pozdrowieniami

zawsze Twój
Faux Papa

Biografia autora

Pamiętacie, jak mój ojciec, Ben,

młody oficer marynarki wyrwany ze swojego żywiołu, przeżył jedną okropną noc Wielkiej Wojny, wykrzykując rozkazy w jidysz,

języku stworzonym w paszczy europejskiej historii, do niemieckich żołnierzy przelewających się przez okopy. To był brawurowy, ironiczny, czysto amerykański wybieg, czyż nie? Uratował mu przecież życie.

Gdy skończyła się wojna, popłynął do domu

z żołnierzami Pershinga,

opuścił marynarkę i poślubił swoją ukochaną Ruth

w Rockway Beach na Long Island w stanie Nowy Jork, i wszedł w interes płytowy,

jako dostawca głowic akustycznych.

Głowice ówczesnych gramofonów na korbkę, płytkie, otwarte od przodu cylindry

o średnicy srebrnej jednodolarówki, przykręcało się na gwint do końcówki ramienia

i za pomocą śrubki mocowało do nich stalową igłę,
która podskakując, podążała rowkiem
siedemdziesiątkióssemki
i przenosiła impulsy do rezonującej
pergaminowej membrany,
skąd wydobywały się blaszane głosy Rudy'ego Vallé
i Russa Columbo,
przy których tańczyli Amerykanie.

W 1922 roku urodził się mój brat Ronald,
a w 1926 postawiono go na parapecie
biura mojego ojca we Flatiron Building,
żeby mógł obejrzeć paradę na cześć Lindbergha.
Okrzyki ciągnącego Broadwayem tłumu przebijały się
poprzez grad z pociętej taśmy telegraficznej,
Mój czteroletni braciszek zachwiał się i na pewno
zanurkowałby w ten wir,
gdyby nie pewny uchwyt dłoni śmiejącego się ojca,
który wciągnął go do środka,
gdzie moja matka, Ruth, nie biorąca życia lekko,
zbladła i niemalże zemdląła.

W 193... urodziłem się ja
i rodzina osiągnęła swój ostateczny skład:
Matka, ojciec i dwóch synów,
Mieszkańcy kamienicy w Bronksie za czasów
Wielkiego Kryzysu.

Nie będę wchodził w szczegóły, powiem tylko,
że przed rokiem 1941 mój ojciec, Ben,
któremu dotąd udawało się utrzymywać nas
z prowadzonego ze współnikiem
sklepu z aparatami radiowymi i płytami,
ostatecznie zbankrutował i został sprzedawcą
pracującym dla innych.

Ten młody oficer z pierwszej wojny światowej,
w 1943 roku mój zamartwiający się stateczny ojciec,
siedział w fotelu przy radioodbiorniku,
słuchał wieści z drugiej wojny światowej,

i jednocześnie czytał o tej wojnie w wieczornym
wydaniu gazety, którą trzymał jak rozpiętą pałatkę,
ponieważ jego starszy syn, mój brat Ronald,
był gdzieś w Anglii
i latał jako radiooperator w lotnictwie sił lądowych;
Moją rodzinę zawsze ciągnęło do łączności,
a mojego brata do nurkowania w powietrzu,
odkąd skończył cztery lata.
Zatem, zbytnio nie podkreślając tego faktu,
rzec można, że
rodzina znów była w Europie, udzielając jej pomocy.
Mój brat przemierzał europejskie nieba
przy stoliku radiowym B-17,
Latającej Fortecy, zwanej tak,
ponieważ poruszała się ociężale z ładunkiem bomb,
strzelcami w wieżyczkach w ogonie i na dziobie
i trzecim strzelcem w miejscu,
gdzie ryba ma płetwę grzbietową.
Z tym całym uzbrojeniem,
wedle dzisiejszych standardów,
nie był to bardzo duży samolot,
choć wystarczająco duży w celownikach
dział przeciwlotniczych i krążących wokół
atakujących messerschmittów.
Później te B-17 latały nocami,
A nie ma większej ciemności niż europejska czasu wojny.
Od spodu oświetlane pożarami wywołanymi
przez własne bomby
rozrywające się dziesięć tysięcy stóp niżej,
przyciągały pociski smugowe
jak magnes przyciąga gwoździe.
I choć myśl o zestrzeleniu w ciemności
budziła przerażenie,
załogi czuły, że większe szanse mają, latając nocą
niż w świetle dnia,

który to pogląd nieznacznie się zmienił, gdy zaczęli
ponosić ciężkie straty.
W szczególnie złych chwilach, kiedy wybuchały
pociski obrony przeciwlotniczej,
samolot zdawał się podskakiwać z przerażenia
albo z silnika dochodził nowy, świszczący dźwięk,
a w kabinę wlewał się dym.
Mój brat kochał sprzęt, który miał pod swoją opieką,
te tarcze z cyferkami, kontrolki ze wskaźnikami
i widoczną przez szpary w obudowie z czarnego metalu,
budzącą ufność poświatę wokół radiowych lamp.
Po zrzucie bomb samolot skakał do góry,
a w drodze powrotnej ci chłopcy, z których najstarszy miał
może dwadzieścia pięć lat,
z wigorem, niemalże chętnie rozmawiali przez
interkom,
aż wreszcie o świetle widzieli lotnisko i cichli,
raz jeszcze wróciwszy żywi.
Po tuzinie takich lotów mój brat dostał urlop,
w istocie przepustkę na weekend, który spędził –
na zaproszenie przekazane przez dowództwo,
co oznaczało, że był to mniej lub bardziej rozkaz –
w angielskim zameczku w Cotswolds.
Gospodarzem okazał się jakiś generał,
lord Taki czy Owaki,
który mieszkał tam z owdowiałą córką oraz małą grupką
poruszających się powoli, bardzo starych służących.
Mój brat przedstawił swoje „listy uwierzytelniające”,
a przede wszystkim poinformował o udziale ojca
w pierwszej wojnie światowej,
Generał, kruchy niebieskooki mężczyzna z rocznika
Wielkiej Wojny,
gdy to usłyszał, oprowadził swojego gościa
po galerii z portretami przodków,
traktując bardzo lekko to, z czego był taki dumny –
te pokolenia wąsatych, z potężnymi bokobrodami

i brodami, obwieszonych medalami
oficerów, od których pochodził.
Generałowi zaschło na krawacie żółtko jajka,
Przy porannym goleniu opuścił kępkę szczeciny
na brodzie.
Co za nudziarstwo, pomyślał mój brat i już chciał
spisać ten weekend na straty,
kiedy pojawiła się generalska córka,
kobieta o jasnej karnacji, wysoka, wysportowana
młoda wdowa po brytyjskim dowódcy jednostki czołgów,
który zginął w bitwie z korpusem Rommla
w Afryce Północnej.
Brat, kiedy o niej opowiadał, nazywał ją
panną Manderleigh;
Jej rozstawione szeroko oczy były ogromne,
pełne usta czerwone.
Ciemne włosy przycinała na pazia, ubrana była
w skromną bluzkę, spódniczkę i pantofle
na niskich obcasach.
Dłoń, którą ujął, była miękka i ciepła,
a po uśmiechniętym niewymuszonym witam
panny Manderleigh
bez wielu słów stało się jasne,
że ona świetnie rozumie jego sytuację.
Miał nieco czasu na samotne spacerowanie.
Nie rozumiał, jak ci ludzie mogą mieszkać
w tej rezydencji o zwieńczonych blankami murach
z żółtego cotswoldskiego kamienia,
najwyraźniej nieświadomi, że popada ona w ruinę
zarówno w środku, jak i na zewnątrz.
Stała tam nie związana z polami, nie zakorzeniona
w roli,
jedynie wśród niej usytuowana, pozbawiona drzew,
tylko uschnięte w donicach krzewy
i kilka obojętnych kamiennych zwierząt
nadawało jej niepowtarzalny charakter.

Na tyłach, ogrodzone murem pół akra oddano
na Ogród Zwycięstwa*,
A za nim rozciągało się wzgórze,
na które wskazała dłonią panna Manderleigh, kiedy
wyniosła piknikowy kosz oraz ciężkie przenośne radio
Niczym gospodyni szczerze pragnąca, by jej gość
dobrze się bawił.
On wciąż nie miał pojęcia, nawet mu na myśl nie przyszło,
chyba że w cichych fantazjach, choć
byli przecież tylko we dwoje, mówił mi mój brat,
Dreptali pod górę dróżką jak kościelną nawą
pomiędzy żywopłotami kłaniającymi się
na podobieństwo pełnych szacunku dworaków
w coraz silniejszych porywach wiatru.
Ojej, powiedziała panna Manderleigh...
Niebo jak dziwaczne zielone sklepienie,
pierwsze krople deszczu,
A potem uderzyła na nich nawałnica,
bardzo nieangielska ulewa,
I zanim schronili się w stodole, przemokli do nitki.
Wichura bez litości obeszczała się z ptakami.
W zbitej przez nią wysokiej trawie dwa lub trzy
kręciły się wokół swoich
złamanych skrzydeł.
W środku, w ciemnościach, przenośne radio, które
mój brat trzymał w ręku jak walizkę,
w jakiś sposób włączyło się i nagle
Słuchali na falach krótkich przemówienia Hitlera
Brzmiącego niby sypiące się z przewróconej skrzynki
gwoździe, nakrętki i śruby.
Zgrzytliwe dźwięki wojny światowej

* „Victory Gardens” – przydomowe ogródki, w których podczas drugiej wojny światowej uprawiano warzywa i owoce na własne potrzeby, by wszelkie inne zbiory można było przeznaczyć dla walczących żołnierzy. (przyp. tłum.).

brutalnie wdarły się w tę sielankę
i chyba pobudziły instynkty dwojga młodych,
pragnienie, by kochać, póki to jeszcze możliwe.
Ona wyłączyła radio, on zapalił lampę
i rozgrzał się widokiem panny Manderleigh,
jej przemoczonym pastelowym piknikowym strojem,
wszelkim odzieniem wierzchnim i spodnim
oblepiającym jedną cieniutką warstwą
jej na nowy sposób ukazaną postać.
Rozbawiona swym zakłopotaniem, Popatrz no tylko,
zdawała się mówić
Z mocno zaciśniętymi wargami, z dołeczkami
w policzkach,
w komicznym samooczernianiu,
z uniesionymi brwiami,
światłem lampy płonącym jej w oczach
Ta zaskakująco solidnie zbudowana dziewczyna
o pełnych różowych ramionach,
z plecami zaokrąglającymi się, kiedy te ramiona
krzyżowała na piersiach,
zaciekawionym spojrzeniem
na swoją uniesioną stopę w jego dłoni,
Jak gdyby rozbierał kogoś zupełnie innego.
Nie, żeby mój brat opisywał to ze szczegółami –
we wszystkim, co dotyczy seksu, jest powściągliwy –
Ja jednak ozdabiam jego opowieść
końską derką, pod którą mogli się skryć,
butelką wina z koszyka, pyknięciem
wyskakującego korka, winem w dwu kieliszkach,
kanapkami i faszerowanymi jajkami,
które zlekceważyli,
wiatrem świszczącym w szparach desek,
stojącą w boksach parą roboczych koni,
najwyraźniej zadowolonych z towarzystwa,
ich drgającą skórą i parskaniem, w czym on widział
coś na kształt zwierzęcej aprobaty.

Tego wieczoru przy kolacji generał
w galowym mundurze
zasiadł u szczytu stołu,
panna Manderleigh oraz mój brat po obu jego stronach.
Posilali się płodami ogrodu warzywnego
i ptakami łownymi z pól.
W tym prowadzącym wojnę kraju wiedziało się dokładnie,
skąd co pochodzi.
Kiedy generał był już gotów udać się na spoczynek,
wymamrotał, że ma nadzieję, iż mojemu bratu
będzie się wiodło, i uściśnął jego dłoń.
Służący pomógł mu wspiąć się na kręcone schody.
Ronald i panna Manderleigh pili koniak z wodą sodową
i grali przy kominku w karty,
A kiedy ona upewniła się, że dom już zasnął,
poprowadziła go do swojego pokoju.
Powiedział mi, że był pijany, a przecież zapamiętał
jej łóżko, cztery narożne słupki rzeźbione w szachowe
laufry.
Lubię sobie myśleć, jak musieli się równolegle kołysać,
romboid ku wschodowi, romboid ku zachodowi,
aż błądy świt wślizgnął się do wnętrza pod zasłony na
oknach czasu wojny.
Lubię sobie myśleć, jak już wtedy ów weekend
pragmatycznych angielskich rozrywek
przemieniał się w jego umyśle w halucynację.
Jak wyobrażał sobie, że słyszą dźwięk
porannych dzwonów
z odległej cotswoldskiej katedry
i ziewanie mnichów biczących się w swoich celach,
a łacińskie słowa jak przestraszone jaskółki unoszą się
w mroczny europejski ranek.
Niewiele później było już Do widzenia sierżancie.
Sierżancie... w ten właśnie sposób patriotycznie
pozwalano wyszumieć się

skazanym alianckim lotnikom,
A wszystko było mokre w tym szarym świetle,
te cętkowane głązy z kamieniołomu, które spiętrzono
w blankowany zameczek.
Ten stary, okryty kropelkami rosy,
wypolerowany czarny bentley,
zbrązowiały żwir pod jego stopami.
Spojrzał ku odległej stodole na falującym wzgórzu,
tak dziwacznie usytuowanej, że zabijała
rzucone na nią wiatrem ptaki.
Nieruchome, teraz utemperowane żywopłoty, poranny
chłód i spokój.
Stał tam, nie wiedząc, co powiedzieć, nie wymienili
adresów.
Nie wyczuwał w niej ani śladu intymności.
Należała do tych z angielskiej rasy, którzy robili to,
co zrobione być musiało,
A choć zubożali i klepiący biedę, wciąż robili to,
co należało zrobić.
Dla niego, dla amerykańskiego żołnierza, były to
rzeczy nowe,
Tamci o tylu sprawach nie mówili,
A wszystko, co robili, stanowiło jakąś formę żałoby.
Jak panna Manderleigh, wyczerpana i bardzo
potrzebująca snu,
Z uśmiechem ogromnym wysiłkiem przywołanym na
opuchnięte wargi
i z włosami nazbyt tego ranka
pośpiesznie zaczesanymi
na to złudne pożegnanie uroczej i złudnie trwałej
przyjaźni.
A on miał nigdy już nie zapomnieć tej smutnej,
pozbawionej wyrazu
duszy, która wyzierała z jej oczu,
wymazującej z jego pamięci ich kolor, kiedy powiedział
do widzenia.

Do widzenia, panno Manderleigh, do widzenia.

Dwadzieścia cztery godziny później wszystkie załogi
skrzydła mojego brata
postawiono w stan gotowości, a o świcie następnego dnia
Latające Fortece, każda dźwigająca pięć tysięcy
funtów bomb,
toczyły się po pasie startowym ku wiszącej nad Suffolk
mgłę.

Grupa za grupą dołączały do krążących już w powietrzu
nad wschodnią Anglią,
aż spotkały się wszystkie sto czterdzieści B-17
i eskortujące je myśliwskie P-47.

Bomby w tej konkretnej misji
przeznaczone były dla zakładów łożysk kulkowych
w Schweinfurcie, głęboko na niemieckim terytorium,
A być może dla Regensburga, gdzie Niemcy produkowali
swoje myśliwce,

Czy był to może Regensburg albo Schweinburg,
Muszę pamiętać, by sprawdzić to u brata.

Jest równie powściągliwy tak jeśli chodzi o wojenne
przeżycia, jak i o młodsze romanse,
Skromny rodzinny bohater, już po siedemdziesiątce,
grający codziennie w tenisa

I dumny ze swoich trzech dorosłych synów, z którymi
lubi powędkować,

I oddany swojej żonie od ponad czterdziestu już lat
oraz martini przed kolacją

I rytuałom Najświętszych Dni*.

Tak czy owak, ta misja musiała się zakończyć katastrofą,
Bo chociaż zbiorniki Fortec mieściły dość paliwa
na taki długi lot,

* Mowa o najważniejszych świątach żydowskich: Rosz ha-Szana i przypadającym dziewięć dni później Jom Kippur, tj. sądnym dniu (przyp. tłum.).

to P-47 miały go jedynie tyle, by towarzyszyć bombowcom
nad Holandią do granicy niemieckiej i wrócić.
Jednak to nad Niemcami pojawili się Hunowie,
ich dywizjony żółtonosych messerschmittów 109
nurkowały od tyłu na masywne,
 lecące na wprost bombowce,
utrzymujące szyk,
ostrzeliwane ogniem flankowym myśliwców,
 przebijane, dziurawione, zapalane.
Ich zdwojone kaemy kalibru .50
 odpowiadały z wieżyczek na to szaleńcze żądlenie
pojawiających się i znikających stodziewiątek.
Interkom wypełniały okrzyki, rozkazy i czyjś jęk.
Wydawało się, że wskaźniki i światelka, i lampy
 na stanowisku Ronalda
Zaczynają się nagle rozsypywać jak zamek z piasku,
Światła pogasły, interkom zamilkł,
On zaś odkrył, że przez jego rękawiczkę przepala się
 odłamek szrapnela.
W kadłubie na wprost niego otwarło się niebieskie oko,
koloru oczu jego matki,
Nagle dym wypełnił wibrującą Fortecę
 i równie nagle się rozwiął.
Uwolnił się od krępujących go przedmiotów i pobiegł
 naprzód,
a to dlatego, że samolot walił się nosem w dół.
Zobaczył, że drugi pilot leży na sterach; pierwszy
 wskazał nań dłonią.
Ronald wyciągnął ciało z fotela –
 głowa była niemalże oddzielona od reszty ciała –
delikatnie ułożył zabitego na podłodze kabiny pilotów
 i zajął jego miejsce.
Zdjął kurtkę i podpinę z baranka,
wytarł krew z maski tlenowej drugiego pilota,
po czym sam ją założył.

Wytarł rozbryzgi krwi z szyb.
Biegący wzdłuż kadłuba rząd jednakowych otworów
znaczył ścieżkę niemieckiej serii.
Gdy B-17 znów przeszedł w lot poziomy,
pilot kazał mu przejść stery, a sam spróbował
oczyścić oczy w umazanej krwią twarzy.
I tak Ronald trwał na nowym stanowisku,
Niebo przed nim wypełniały rozbite formacje Fortec,
Pary focke-wulfów przejmowały teraz robotę
od stodziewiątek,
wyskakiwały od strony słońca,
nurkowały na siedemnastki,
Przelatywały przez ich skupiska,
plując ogniem karabinów maszynowych,
i wzbijały się butnie w górę przed powtórny atakiem.
Wydawało się nie mieć większego znaczenia, że
jeden czy drugi Hun
ekspłodował lub spadał z pióropuszem dymu,
Bo było to samobójczo wręcz radosne.
Bombowce buchały płomieniami
albo wirowały niczym spadające liście,
albo waliły się na skrzydło,
albo pikowały jak strzała prosto w ziemię.
Niebo przecinały smugi kondensacyjne
i pociski smugowe –
przesłania nie do odczytania
akcentowane czarnymi wybuchami –
Obok przepływały ciała na spadochronach schwytane
w zaśmigłowy strumień powietrza,
ułamki skrzydła, osłony silników, klapy,
goła stopa, głowa w skórzanym hełmie,
tablice przyrządów, obracające się powoli śmigło...
Cała ta masa szczątków maszyn i ludzi była teraz
Podniebną zaporą, przez którą musieli się przebić.
Nie potrafił powiedzieć, jak długo to trwało,

wydawało się, że nie istnieje już inne życie,
aż wreszcie znaleźli się poza zasięgiem focke-wulfów
i lecąc nad cel, zobaczyli, że
ze wszystkich dywizjonów zostało
być może jakieś sześćdziesiąt samolotów.
Mając przeciwko sobie jedynie zjadliwy ogień artylerii,
załogi były gotowe wykonać zadanie.
Otwarto luki bombowe, Fortece zrobiły nawrót,
dokonały podejścia
i rozpoczęły kolejkę nalotów.
Wydawało się, że miasto poniżej stęknęło,
Obok buczenia silników pojawił się jakiś nowy dźwięk,
dudnienie opóźnionych wybuchów na ziemi,
któremu towarzyszyło kołysanie bombowca.
Samolot nagle się wzniósł, Ronald usłyszał
krzyk bombardiera: Bomby poszły!
Przypisał swojej maszynie, która przekazała Niemcom
tę srogą wiadomość,
zupełnie antropomorficzne poczucie triumfu.
A teraz stąd spieprzajmy, powiedział pilot
I dopiero wtedy uświadomił sobie brak reakcji
na ruchy wolantu.
Cokolwiek robił, nic się nie działo.
Plan lotu zalecał, aby w celu uniknięcia Luftwaffe,
która dręczyła ich zwykle, gdy wracali,
wzięli kurs na południe i przelecieli
nad włoskimi Alpami
na lotniska w Afryce Północnej.
Jednak kierunek nalotu prowadził na zachód,
nad Niemcami,
A pilot nie mógł zmusić samolotu do nawrotu
czy zakrętu,
czy do wejścia na wyższy pułap,
do niczego oprócz lotu przed siebie.
Kiedy tak się posuwali, odniósł wrażenie,
że wszystkie kable są obnażone,

że wiszą na włosku
I że lada moment wszystko rozleci mu się w rękach.
Jasna cholera, nie rób mi tego, usłyszał Ronald jego
słowa.

Stopniowo tracili wysokość,
zmniejszając czasowo prędkość,
i ustawiając dwa śmigła w chorągiewkę,

Aż lecieli wreszcie dostatecznie pewnie
i żeby uniknąć wykrycia,

zaledwie na pięciuset stopach
nad przewrotnie porządnymi polami
ujętymi w żywopłoty.

Małe stada krów ruszały w niemrawy galop,
Kiedy przelatywali nad nimi,

Jakiś starszy mężczyzna wskazywał ich ręką,
kobieta wieszała bieliznę,

tragarz na stacji kolejowej wygrażał im pięścią,

Wartownicy przy długim towarowym pociągu na bocznicę
unosili karabiny,

Ronaldowi zdawało się, że całe Niemcy są teraz
zaalarmowane obecnością

tej rannej amerykańskiej bestii przetaczającej się
nad ich ziemią.

A oni lecieli dalej, jedynie trzech lub czterech
żywych członków załogi

w lodowatym, śmierzącym spalenizną samolocie,
osamotnieni, pozbawieni radiowego kontaktu,

I wiatr świstał przez tysiąc otworów
w kadłubie maszyny,

a martwi towarzysze siedzieli półzgięci
w rozbitych wieżyczkach strzeleckich...

Przyjaciele, bracia i siostry,

Jak mamy dopilnować, by nasze opowieści

nie potykały się niczym starzy weterani na parady?

Przeżywania przeżyć przenosić na innych się nie da,

Dzieci wzruszają ramionami: co się stało,
to się nie odstanie,
a historia poucza je w końcu,
żeby nie były w niewłaściwym miejscu
w niewłaściwym czasie,
Jak to się przydarzyło jakimś trzydziestu milionom
podczas drugiej wojny światowej.
Każde z nich kłębką bezmiernego cierpienia
przez co najmniej jedną chwilę
przekraczającą ludzką wytrzymałość
i z wszystkimi oddanymi im strukturami świadomości
szatańsko ściśniętymi w momencie
końca ich świata.
Pytam, ile razy musi kończyć się świat, nim świat się
skończy?
Gdy mój brat siedział w ruinach kabiny pilota,
leć nad zielonymi polami, które zszarzały
w krwi zaschniętej na szybie,
Być może miał przeczucie –
wykraczające poza miejsce i okoliczności,
w jakich się znalazł,
Europy tak historycznie pogrążonej w fantazji,
fantazji króla, fantazji duchownego –
by nie dać się zjednać sprawie morderczych opowieści
Wychodzących z ust jej najpotworniejszych
dwudziestowiecznych impresariów,
wrzaskliwych socjopatów, którzy zawsze wiedzieli,
kogo obarczyć winą.
A może dumał nad różnicą między wojną i pokojem
wyrażoną w sposobach organizacji śmierci –
podczas pokoju przypadkowej, bylejakiej, lokalnej
albo przysłoniętej takimi sprawami jak ubóstwo,
a w czas wojny będącej planową, masową mobilizacją.
Jest jednak bardziej prawdopodobne, że kiedy tak
siedział, marznąc w samej koszuli, a potem, niewiele
bardziej wygodnie, w swojej lotniczej kurtce, z której

podpinki zwisały małe stalaktyty krwi zabitego pilota,
myślał o matce i ojcu, o Ruth i o Benie,
choć nie całkiem mógł przywołać ich obraz,
czuł wszakże ich duchową wszechobecność
przekazującą mu siłę po prostu dlatego, że byli
jego matką i ojcem.

I myślał o młodszym bracie, Everecie,
który z taką powagą ćwiczył się
w rzucaniu i chwytaniu piłki bejsbolowej,
i czuł, że chroniona niewinność Everetta
również dodaje mu sił.

Sprawdził godzinę: w Stanach był środek dnia.
Przysiągł sobie, że któregoś dnia włączy się w ich
skromne życie wypełnione pracą i szkołą, i domem
i nigdy nie zapomni dziękować Bogu, że pobłogosławił go
tak konsekwentną i zwartą rodziną.

Tymczasem niebo okryły ciemności, zwiastuny
gorszej pogody.

Pilot powoli odzyskiwał wysokość,
nie wiedząc, w którym momencie jego wysiłków
maszyna odmówi posłuszeństwa.

Brytyjczycy nazywali swoje samoloty maszynami,
wedle opinii swojego brata
słowem zbyt osobliwym w odniesieniu do
Latającej Fortecy.

A przecież za każdym drgnieniem skrzydeł,
każdym odgłosem dławienia się silnika,
coraz mocniej uświadamiał sobie celność tego określenia.
Nie wiem dokładnie, kiedy ani dlaczego
Ronald otrzymał rozkaz opuszczenia maszyny.
Wtedy niebo było już czarne, uderzyła w nich burza,
Być może piorun wywołał spięcie na tablicy przyrządów.
Lecieli na ślepo, kompas kręcił się w kółko,
Bezlitośnie rzucały nimi wściekłe turbulencje,
I z tego, co pamiętam, powiedział, że po prawej
palił się silnik.

W świetle płomieni zobaczył, jak zaczyna
odpadać skrzydło.

Pilot krzyczał do tych, którzy jeszcze żyli, by skakali,
Samolot zataczał się, podskakiwał, pękał,
Ronald, słaniając się, poszedł ku ogonowi i znalazł
spadochron...

Drzwi były otwarte, deszcz siekł ich twarze,
inni wypadali przed nim z kadłuba...

I rzuciwszy do tyłu jedno spojrzenie na pilota,
unoszącego się z fotela
i pozwalającego maszynie nurkować,
Ronald skoczył w rozrywany gromami mrok.

Barman, jeszcze jedno piwo dla tych braci i sióstr,
którym zaschło w gardłach, i dla mnie.

Przed morderczymi głośnymi opowieściami
chronią nas opowieści, czyż nie?

Opowieść na tej stronie jest niczym obwód drukowany,
przez który przepływają nasze żywoty,
Historia opowiedziana przywołuje naszą niejasną
zdolność istnienia w nie swoich ciałach.

Komponując hymn na cześć oświecenia,
Chciałoby się w głosie zawrzeć całą planetę
i całość ludzkich intymnych zwierzeń;
gdybyż to było możliwe...

Tak czy owak, mamy oto tego lotnika
dwudziestodwulatka

opadającego ku ziemi w spadochronowej uprzęży,
z ramionami bliskimi wyrwania ze stawów,
gdy podskakuje na szczytach i dolinach bagnistych fal
niesfornej czerni burzowego powietrza.

Wyłania się z chmury, przez chwilę cały wystawiony
na milczącą iluminację,

i znika ponownie w ciemności ciskającej
obelżywe grzmoty.

Nie słyszy trzasku rozbijającego się samolotu.
W tym wielkim, rozbrzmiewającym hukiem morzu
oświetlanej błyskawicami ciemności,
Ciemności głębszej od jakiegokolwiek wcześniej mu znanej,
Skąd wznosi się ku niemu ów kontynent – rumowisko
kości,
Nie pamięta zupełnie panny Manderleigh
Ani jej słów, ani jej okrzyków, ani żadnych intymnych
cielesnych szczegółów,
ani jej kształtów, ani wymiarów, ani uśmiechu
czy dotyku,
Jedynie pozbawioną wyrazu duszę wyzierającą z jej
zamglonych miłością oczu,
wymazującą z jego pamięci ich kolor, kiedy
krzyczy wprost w niebo:
Żegnaj, panno Manderleigh, żegnaj!
Był święcie przekonany, że to już koniec.
A przecież spadochroniarz, który nie trafia
ani na ląd, ani wodę,
przywołuje na myśl królestwo mitycznych
przepowiedni,
Jak tamto, w którym – co niemożliwe – las Birnam
zaczął drgać, choć wiatru nie było,
wrywać korzenie, zamieniać je w kończyny,
by porachować się z tym nędznym głupim
lajdakiem Makbetem.
Mój brat w pierwszej chwili pomyślał, że
wylądował na muszelkach.
gdyż spod butów doszedł go jakiś chrzęst,
Jednak wiatr powlókł go kawałek, skręcając i obracając,
i póki nie pozbył się go z czaszy spadochronu,
objął się i uderzał o coś jakby żerdki
lub trzonki od grabi.
Myślał, że to jakiś chłopski komitet powitalny
demonstrujący swój patriotyzm.
Dopiero kiedy znieruchomiał, z kostką skreconą

pod ciężkim konarem,
i w uszach zagrała mu ksylofoniczna
ścieżka dźwiękowa tej sceny,
W ciszy, jaka potem zapadła, uświadomił sobie,
że w jednej dłoni trzyma kość łokciową,
w drugiej zaś piszczel.
Spadł bowiem na pole wojny minionej,
otwarte ponownie przypadkowym pociskiem.
Był to zaimprovizowany cmentarz starych kości i czaszek,
te drugie nadal w szykownych hełmach
wedle francuskiej mody
albo w fallicznych niemieckich,
szkielety wojowników pokolenia jego ojca Bena
zakopane pośpiesznie, gdy toczyła się Wielka Wojna.
Miał powody żywić nadzieję, że jest na terenie Francji,
Niemniej z początku zbyt oszołomiony, by się poruszać,
a potem zbyt obolały,
przeleżał na tym kościelisku całą noc.
Odkrył, że kości po pewnym czasie
stają się puste, nieważkie i unoszą się na wietrze
jak flety z trzciny czy bambusa.
Grają, szemrzą, delikatnie warkoczą do siebie,
Postukują jak kolejowe szyny, niczym tasowane karty
trzepeczą i furkoczą,
Dzwonią niczym gongi, pohukują z cicha jak sowy.
Wyobrazil sobie przekomarzające się duchy,
które zapomniawszy już o protestach i oburzeniu,
jedynie coś mamroczą.
Rankiem jednakże odnalazł go francuski wieśniak.
Ukryto go na farmie, karmiono, nastawiono kość
i przywrócono do zdrowia.
W tym czasie złożył kilka radiostacji
dla miejscowego ruchu oporu
i pozyskał uczucia całej rodziny –
ten nieustraszony chłopak z Bronksu
z opadającym na czoło kosmykiem włosów

i apetytem na świeże, nie pasteryzowane mleko,
ciepłe, prosto od krowy.
Uściskali go, życzyli szczęśliwej drogi i powędrował
ukrywany na wozach z sianem,
na furgonach i ciężarówkach
Od jednego bezpiecznego domu do drugiego,
aż po tygodniach rybacka łódź
przerzuciła go przez Kanał.
On jeden przeżył z całej załogi.
Wkrótce jednak ponownie znalazł się w powietrzu,
nad Europą, w wirze wojny
toczonej w znaczonych rozbłyskami nocach,
Niezdolny czasami stwierdzić, czy jego maszyna
leci poziomo, czy nurkuje ku ziemi,
Czy wycie, które słyszy, wydobywa się z silnika,
czy z niego samego.
Ten moment wybieram, by przestać o nim mówić...
W tej wojnie po wojnie... przed wojną...
Nim skończył służbę i powrócił do domu.

Sarah przefaksowała mi papiery swojego ojca. Nie-
wiele tego. Listy, które słał do Departamentu Sprawie-
dliwości. Biurokratyczne odpowiedzi. Dwa artykuły
z „Timesa” z roku 1977: przesłuchania dotyczące depor-
tacji, orzeczenie. Zamazane zdjęcie głowy, łysy jegomość
z chorobliwie wychudzoną twarzą. Troje świadków ze-
znaje, że ten człowiek to komendant getta, Schmitz,
jednak jego adwokat z łatwością podważa ich zeznania.
Są w podeszłym wieku, łatwo zamącić im w głowach.
Oskarżony twierdzi, że nazywa się Helmut Preissen,
jest byłym kapralem, który w getcie pełnił jedynie przez
trzy miesiące służbę wartowniczą, po czym wysłano go
na rosyjski front. Ten sam dowód tożsamości przedsta-
wił po wojnie władzom imigracyjnym. Sędzia orzeka na

jego korzyść.... Listy do i z Centrum Szymona Wiesenthala, którego pracownik zgadza się z ojcem Sarah, że Preissen to niemal na pewno Schmitz, ale nie ma na to przekonujących dowodów, nie może ustalić jego tożsamości z taką pewnością, by dawała podstawy do wznowienia procesu, chociaż oni sami tej sprawy nie zamykają.

Mniej przychylności ze strony Departamentu Sprawiedliwości, tamtejszy prawnik wyraźnie nie ma ochoty zajmować się tą sprawą.

...gniazdo z trzema pisklętami sokoła wędrownego, na parapecie okratowanego okna, najwyższe piętro po drugiej stronie ulicy. Ktokolwiek tam mieszka, jest człowiekiem wrażliwym: aby nie przeszkadzać tej rodzinie, cały czas ma opuszczone rolety. Cóż za uciecha mieć to towarzystwo w lornetce. Wiem, kiedy wraca matka, bo zwykle te kulki puchu są cicho. Nagle, ni stąd ni zowąd, a ona może być jeszcze o kilka kwartałów, wszczynają wrzask, dzioby rozwierają jak szczęki koparki, szyjami celują w niebo. Chwilę później pojawia się ona, leci w dół kanionu ulicy, w szponach ma miejskiego ptaka, gołębia skalnego. Zatrzymuje się w powietrzu, łąduje, skrzydłem odgradza się od dziecięcych nalegań, jedną łapą przyciska łup, wyrywa mu pióra z piersi i już po chwili metodycznie rozrywa go na kawałki, wtykając kęsy mięsa do ich gardeł.

Przypuśćmy, że ten gość pracuje dla „Timesa”, zrobił taką sobie karierę, nie znajduje się tak wysoko na drabinie hierarchii służbowej, jak na to we własnym mniemaniu zasługuje, widać to po tym, jak zaciska wargi.

Innym dostają się konfitury – placówki zagraniczne, stanowiska kierowników działów – i w miarę upływu lat to męczące odczucie, że go wykorzystano, uwidacznia się coraz bardziej w jego zgarbionej postawie. Obecnie ten na oko zwyczajny, siwowłosy mężczyzna pod sześćdziesiątkę jest zaledwie zastępcą redaktora jednego z pomniejszych działów.

W końcu nie może już wytrzymać – zbyt mu dopiekle opinia środowiska, że nigdy nie będzie dziennikarzem najwyższej klasy – i boleśnie rozgoryczony przechodzi na wczesną emeryturę.

Przez kilka pierwszych tygodni ma potężnego pietra, brak mu rutynowych zajęć, tego utajonego poczucia posiadania, wrażenia, że pismo jest jego, brak mu nawet afrontów, które mu robiono w tym kłębowisku plotek, brak mu codziennych wzlotów i upadków związanych z drobnymi triumfami i klęskami. A już najbardziej brakuje mu świadomości, że znajduje się w kręgu wtajemniczonych.

Zarazem jednak spojrzenie z zewnątrz przywraca wszystkiemu właściwe proporcje. Gazeta to nie świat, to zaledwie pozór życia tego świata: wojen, klęsk głodu, gospodarki, pogody, polityki, zbrodni, sportu, sztuki, nauki, posegregowanych wedle kategorii i przerobionych na opowiadki, spłaszczonych na poskładanym gazetowym papierze. A teraz, jeśli tylko zechce, może tego wszystkiego dotknąć... tyle że jest to surowe, nie ukształtowane i nie napisane! Uwolniono go w inny wymiar – niezapośredniczonej, niemedialnej rzeczywistości.

I dlatego teraz, podniecony, że robi coś, o czym w latach, gdy był niewolnikiem pensji, jedynie marzył, odeszawszy się od firmy, z której czerpał środki utrzymania, by skonfrontować się z samym sobą na wolności, człowiek ten, który nigdy nie dostał nawet mandatu, zaczyna się zachowywać wyzywająco i nietypowo. Prze-

staje się golić, zapuszcza włosy, na ulicy udaje waria-
ta, z przyjemnością patrzy, jak ludzie ustępują mu z dro-
gi. Przed hotelami na Park Avenue rzuca obraźliwe
uwagi ku wysiadającym z limuzyn biznesmenom, jest
gburowaty w sklepach i pogardliwy w galeriach sztuki.
Wędruje nocami po nabrzeżach West Side'u, po ciem-
nych ulicach pod tymi odcinkami napowietrznej kolei,
których jeszcze nie wyburzono, chodzi z dziwkami
w opiętych spódniczkach do garaży dla taksówek albo
pieprzy się z nimi w nędznych, zapchlonych hotelikach
przy West Street. Robi wszystko, co tylko potrafi wy-
myślić, żeby zerwać z tymi regułami postępowania,
zgodnie z którymi przeżył swoje sześćdziesiąt lat.

Jednak to, że robi, co chce, wcale go nie przemienia.
Nienawidząc się za to, wciąż tęskni za wyznaczanymi
mu zadaniami, za służalczością, za małym sukcesem,
jakim był piątkowy czek, za koleżeńską atmosferą baru.
W desperacji zaczyna pisać powieść, porzuca ją jednak
po kilku tysiącach słów. Nie może się zmusić, żeby za-
dzwonić do pracujących kolegów. Wpatruje się w tele-
fon, czekając, aż zadzwoni, wiedząc, że tak się nie sta-
nie. Psychologicznie rzecz ujmując, jest trupem – oni
napisali już jego nekrolog i dali go do składu, a kiedy
wstawią datę śmierci, będzie to jedynie sygnał, by pu-
ścić w ruch maszynę drukarską.

Dopiero kiedy łapie się na tym, że zastanawia się, czy
nie zadzwonić do byłej żony, dociera do niego, że jego życie
wisi na włosku. Zaczyna myśleć poważnie. I obmyśla plan
działania, dzięki czemu znów czuje, że żyje.

Gazety, stwierdza zdecydowanie, opowiadają histo-
rie, które, z kilkoma wyjątkami, nigdy nie znajdują
zakończenia. Nie ma nigdy końca opowieści o rynku
akcji czy opowieści o walce o dominację toczonej mię-
dzy narodami. To są nie kończące się nigdy historie,
cykle hossy i bessy, cykle wojny i pokoju. Mogą się od-
bywać wybory, ktoś wygrywa albo przegrywa, partie

mogą zyskiwać lub tracić większość i wszystko to nieustannie płynie, jest tymczasowe, a zdawałoby się trwałe skutki działań ustawodawczych w końcu osłabia administracja, która ignoruje prawo albo je lekceważy, albo je w szczegółach zmienia. Po wygranych meczach następują przegrane, sezony mistrzowskiej gry rozpuszczają się w sezony amatorszczyzny i spadania na ostatnie miejsca, kosmolodzy na stronach poświęconych nauce coraz to na nowo definiują naturę wszechświata, jego rozmiary, dynamikę, geolodzy co jakiś czas postarzają Ziemię, kupuje się i sprzedaje firmy, grabi się je i odsprzedaje, łączy, pozbywa, gdy zbankrutują, zmienia nazwy, zakłada na nowo. Ludzka przedsiębiorczość nie zwalnia, pulsuje ambicjami, których nigdy nie sposób zaspokoić.

To prawda, że odbywają się procesy i oskarżonych albo się skazuje, albo uniewinnia. I naturalnie istnieje jeszcze łabędzi śpiew nekrologu. Z drugiej wszakże strony są noty pośmiertne wielkiego kalibru, na przykład króla Leopolda, Hitlera czy Stalina, czy Pol Pota, które nie mają właściwego zakończenia jedynie dlatego, że te osoby umarły, nim udało się je postawić przed sądem. W takich wypadkach zwykła śmierć nie stanowi wystarczającej kary. Nie zamyka to sprawy, kiedy ludzie tego pokroju umierają śmiercią naturalną, bez wyroku, który pełniłby funkcję sakramentu uniwersalnego prawa moralnego. Skoro natchniona przez Boga cywilizacja nie oskarżyła ich pełnym grozy głosem o zbrodnie, które popełnili, ich śmierć jest rzeczą przypadkową.

A przecież prawu trudno byłoby znaleźć współmierną do winy karę dla tych kreatur. Ja zesłałbym ich do najniższego kręgu piekieł i umieścił w ich lodowatym rdzeniu, gdzie znaleźliby się w pokrytych łuskami ramionach Szatana, który miliardy lat dyszałby im w twarze zdzierającym skórę oddechem i obryzgiwał obrzy-

dliwymi wymiocinami pełnymi ruchliwych larw i żuków gnojaków, powoli, komórka po rozdygotanej i zamarzającej komórce, wchłaniając ich w swoje ohydne jestestwo...

Były dziennikarz „Timesa” dochodzi do wniosku, że profesjonalny cynizm reporterów związany jest właśnie z niekompletnością przeróżnych historii, szczególnie zaś tych, w których sprawiedliwości nigdy nie udaje się nadażyć z wymierzeniem skutecznego, sprawiedliwego zakończenia.

Stwierdza, że ma ogromną ochotę dokończyć jakąś historię. Po latach pracy w cieniu innych zostało mu pewne moralne dziedzictwo. Przez lata dziennikarskiej roboty poznał wszelkie sposoby samookłamywania oraz uzasadniania przed sobą i swym poczuciem prawości różnych poczynań, służące czynieniu lub usprawiedliwianiu zła. Przez cały tamten czas był dla swojej gazety kustoszem historii, które mogły być zakończone, lecz nigdy nie zostały. I dla jakiego innego powodu, jeśli nie dla tego oczywistego, jakim jest to nowe i podniecające zadanie? Będzie człowiekiem od finalizowania.

Z namaszczoną radością i żarliwym zdecydowaniem odwiedza starych kolegów, którzy nie widzą w jego zachowaniu niczego poza znaną sobie od zawsze bezbarwną abnegacją i z zawodowej uprzejmości dają mu dostęp do wycinków prasowych. Wybranie historii do sfinalizowania nie zabrało mu nawet jednego dnia.

Pierwsza z nich dotyczy byłego Scharführera, sierżanta SS, mieszkającego obecnie w Cincinnati.

Kiedy Sarah i Pem przyjechali do Wilna, Joshua Gruen żył jeszcze, pomimo pękniętej czaszki, połamanych rąk i kilku żeber. Nastąpił zapad jednego płuca i wywiązało się zapalenie. Amerykański chargé d'affaires wy-

szedł po nich na lotnisko i natychmiast zawiózł oboje do szpitala. Sarah z punktu zakwestionowała jakość opieki medycznej, niemniej w końcu musiała się zgodzić, że stan Joshui nie pozwala mu na lot samolotem. Był w śpiączce. Poproszono o pozwolenie na trepanację celem zmniejszenia nacisku na mózg. Pem siedział z Sarah Blumenthal na korytarzu przed salą operacyjną. Powiedział, że ani nie płakała, ani się nie odzywała, jedynie wpatrywała się w podłogę. Przylecieli z lotniska Kennedy'ego do Frankfurtu, czekali tam dwie godziny na połączenie, a z wileńskiego lotniska przyjechali wprost do szpitala. Podejrzewał zatem, że silne zmęczenie podziało jak środek uspokajający. Powiedział, że sam zamknął oczy i modlił się po cichu, by Joshua przeżył, sądził jednak, że Sarah raczej się nie modliła.

Na noc ulokowano ich w rezydencji ambasadora. Ambasador oraz jego małżonka okazali im ogromną życzliwość. Sami zajęli się wszelkimi formalnościami związanymi z przetransportowaniem ciała do Stanów. Ból oraz żal Sarah były tak silne, że wezwano lekarza, by się nią zajął. Zaaplikowano jej działające całą dobę środki uspokajające. W tym czasie Pem udał się do hotelu, w którym mieszkał Joshua, i spakował nieco jego rzeczy. Powiedział mi, że rabbi czytał *Kabałę* Gershoma Sholema, *Judaizm a współczesna filozofia* Emila Fackenheim'a oraz *Ostatnią sprawę Trenta*, rozgrywaną się na wsi angielską powieść kryminalną z lat trzydziestych, pióra E. C. Bentley'a. Powiedział, że Joshua wrócił pewnie do tej książki jak do klasyka.

W pokoju hotelowym był również notes rabbiego, w którym zapisał on starannie rozmowy ze wszystkimi, z którymi rozmawiał na temat dziennika z getta. Kościół, gdzie dziennik był ukryty, już nie istniał... na jego miejscu stał nowoczesny budynek mieszkalny. W notesie znalazły się dwa czy trzy dodatkowe nazwiska oraz adresy – najwyraźniej osób, z którymi nie miał sposob-

ności się skontaktować, nim napadnięto go na progu stojącej przy ulicy Vokieciu starej synagogi o zabitych deskami oknach, do której, jako że nie było już zbiorowości wiernych, zachodziły jedynie, jak na cmentarz, pojedyncze osoby.

Reichsmarschall, mam zaszczyt zameldować o postępach prac wykonywanych zgodnie z dyrektywą Reichsleitiera, wedle której Instytut Badań Kwestii Żydowskiej ma ustanowić i prowadzić muzeum zajmujące się nabywaniem, inwentaryzacją i w końcu eksponowaniem judaistycznych obiektów o wartości historycznej lub antropologicznej, takich jak zbiory biblioteczne, przedmioty kultu, wytwory sztuki ludowej oraz wszelkie przedmioty osobiste, które mają istotną wartość.

1. Ładowanie do skrzyń oraz wysłanie transportem wojskowym wszelkich takich przedmiotów będzie przebiegać jednocześnie z usuwaniem żydowskiej ludności ze wszystkich 153 wiosek, miasteczek oraz gett Protektoratu (Dyrektywy 1051, 1052). Pozwoli to na precyzyjną, wedle regionu i prowincji, inwentaryzację wszystkich obiektów, z których wybrane zostaną eksponaty, co jest przedsięwzięciem szczególnie złożonym, zważywszy na wzrastającą z dnia na dzień wartość uzyskiwanych przedmiotów.

2. W załączeniu wykaz zbiorów z podziałem na kategorie. Liczba pozycji, jako tymczasowa, nie została podana:

Tora (Pięcioksiąg), pergamin, zwoje, ręcznie pisane; tora, sukienki (pokrowce na zwoje), jedwab; tora, sukienki, aksamit; tora, ornamenty na sukienki, kute i grawerowane srebro; tora, korony na zwoje, grawerowane, cyzelowane srebro z półszlachetnymi kamieniami; tora, jady (wskazówki do śledzenia czytanego wer-

setu), srebro; tora, jady, drewno; tora, jady, srebro lub drewno, w formie małych dłoni z wyprostowanym palcem wskazującym; tora, zwieńczenia, grawerowane srebro; tora, zwieńczenia, złożona blacha; tora, taśmy do wiązania zwojów, jedwab; tora, taśmy do wiązania zwojów, len; tora, parochety (kotary), jedwab; tora, parochety, jedwabny aksamit; tora, parochety, aksamit; tora, lambrekiny, jedwab; tora, lambrebiny, jedwabny aksamit; szale modlitewne, jedwab; szale modlitewne, len; szale modlitewne, jedwab, złote hafty; szale modlitewne, jedwab, srebrne hafty; modlitewniki na dni powszednie; modlitewniki na dni świąteczne; midrasze (księgi teologiczne); menory, srebro; menory, mosiądz; mezuzy (talizmany odrzwiowe), rzeźbione, drewno; mezuzy, skóra; lampki chanukowe (święteczne), srebro; lampki chanukowe, cyna; lampki chanukowe, mosiądz; drejdle (frygi dziecięce), drewno; drejdle, odlewany ołów; klucze, synagoga; „wieczne” lampki, cyna; „wieczne” lampki, mosiądz; pulpity pod torę, dąb; pulpity pod torę, sosna; pulpity pod modlitewnik, dąb; pulpity pod modlitewnik, sosna; grzebienie, bractwo pogrzebowe; dzbany, bractwo pogrzebowe; płótno na całuny, bractwo pogrzebowe; szaty, bractwo pogrzebowe; sztandary, cech; chorągwie, cech; synagoga, arka, ozdobne lwy, rzeźbione, drewno; synagoga, arka, ozdobne lwy, rzeźbione, drewno, polichromowane; puszki na cedakę (cele dobroczynne), drewno; puszki na cedakę, miedź; puszki na cedakę, plater; jarmułki, aksamit; jarmułki, jedwab; obrączki ślubne, złoto; pierścionki zaręczynowe, srebro i brylant; ceremonialne naczynia weselne, srebro; ceremonialne puchary, srebro; tace, srebro; nakrycia na jedną osobę, porcelana; nakrycia na jedną osobę, srebro; wazy; filiżanki; porcelana stołowa i fajans kuchenny; garnki, żeliwo; garnki, emalia; imbryki, żeliwo; rondle, żeliwo; sztucce, stal; narzędzia, ciesielstwo; narzędzia, rolnictwo; portrety, mężczyźni, olej, płótno; portrety, ko-

biety, olej, płótno; portrety, dzieci, olej, płótno; pejzaże, olej, płótno; pejzaże, akwarela, papier; fotografie, ręcznie kolorowane, państwo młodzi; fotografie, ręcznie kolorowane, dzieci; fotografie, ręcznie kolorowane, grupy rodzinne; aparaty fotograficzne; maszyny do pisania; książki, komplety, jednakowa oprawa; książki, pojedyncze; książki, informatory; książki, sztuka; nuty, opracowane; nuty, nie opracowane; instrumenty muzyczne, smyczkowe; instrumenty muzyczne, drewniane; instrumenty muzyczne, blaszane; instrumenty muzyczne, perkusyjne; narzędzia chirurgiczne, stal; narzędzia chirurgiczne, stal chromowana; łóżka, drewno; łóżka, mosiądz; materace, końskie włosie; kołdry; narzuty; poduszki, puch; poduszki, bawełna; miski do mycia, ceramika; miski do mycia, cyna; stroje wieczorowe, męskie; stroje wieczorowe, damskie; cylindry; płaszcze, męskie; płaszcze, damskie; garnitury, męskie; suknie; portfele, skóra; torebki, skóra; torebki, wyszywane koralikami; mundurki szkolne, chłopięce; mundurki szkolne, dziewczęce; grzebienie; kosmetyki; spinki do włosów; klamry do włosów; galanteria; fajki; papierośnice; obcinacze do cygar; obuwie, męskie; obuwie, damskie; obuwie, dziecięce; lornetki; lornetki, operowe; okulary; zegarki ręczne; zegarki kieszonkowe; trąbki słuchowe; kałamarze; pióra, z wymienną stalówką; pióra, wieczne; papeterie, gładkie; papeterie zdobione; parasole; laski, drewno; laski, drewno i srebro; figury szachowe, kość słoniowa; figury szachowe, drewno; zabawki, na kółkach; lalki; gry planszowe, dziecięce; wózki, dziecięce; sanki, dziecięce; komplety farb, dziecięce; książeczki do kolorowania, dziecięce; pudełka z kredkami, dziecięce.

Powiem, zza grobu, że Europa jest bolesną przypadłością tego świata, że wy w Ameryce, którzy wzięliście od niej wszystko, co najlepszego może zaoferować, mając nadzieję, że unikniecie tego, co najgorsze, po prostu – użyję tu waszego lokalnego amerykańskiego wyrażenia – „gwizdacie Dixie”, myślicie życzeniowo. Całe to wasze przesiąknięte Bogiem myślenie jest kopią religijnych konstrukcji wzniesionych przez europejskich duchownych na wypełnionym halucynacjami życiu starożytnego Bliskiego Wschodu, wszystkie wasze społeczne tarcia stanowią dziedzictwo kolonialnej, tworzącej niewolników, ekonomii europejskich biznesmenów, wszystkie wasze metafizyczne zagadki sprokurowali dla was europejscy intelektualiści, a wy dwukrotnie przekroczyliście ocean, by wziąć udział w wojnach zgotowanych światu przez europejskich polityków, i tak zaszczepiliście w swej republice tę samą militarystyczną umysłowość, z powodu której płonęły nasze miasta od czasów Hadriana.

Dlaczego ja wam to mówię? O moim geniuszu dwudziestowiecznego filozofa języka, w takiej mierze, w jakiej został uznany przez tych z was, którzy są zdolni mnie pojąć, można powiedzieć, podobnie jak o geniuszu Ludwiga van Beethovena, że ma odkupicielski charakter. Europejczycy czy nie Europejczycy, niektórzy z nas zrobili coś dobrego. Ja próbowałem uratować język oraz myśl przed umysłową niemotą naszych filozofów. Rozróżniałem przykładowo rzeczy, które istnieją bezwładnie i po prostu tu są, od faktów, które są stwierdzeniami dotyczącymi rzeczy pozostających ze sobą w pewnym związku, w duchu bardzo podobnym do odkrycia Flauberta (który, choć Francuz, zasługuje na nasz szacunek), jak w jego literaturze rzeczy zyskują życie, kiedy zmusza je on do interakcji z innymi rzeczami. Koło jest rzeczą, nie faktem, i kostka brukowa jest rzeczą, nie faktem, jednakże jeśli koło toczy się po

kostce brukowej, obie te rzeczy powoływane są do życia jako fakt. Nawet jeśli ten fakt występuje wyłącznie w jego, Flauberta, umyśle. „Słońce” jest tylko rzeczownikiem i „okno” jest tylko rzeczownikiem, ale jeśli słońce świeci przez okno, jedno i drugie, wspólnie, powoływane są do wewnątrzdzianowego istnienia.

Zatem odróżnianie rzeczy od faktów... może na pierwszy rzut oka nie wydawać się czymś szczególnym. A przecież, za pomocą podobnych technik analitycznych, rozjaśniłem język, wyznaczając mu sensowne granice, a tym samym zdefiniowałem wszystko poza jego granicami jako odpowiadające jedynie na nasze nieme zdumienie. Innymi słowy, wyzwoliłem waszą myśl z ciężkich okowów europejskiej kultury. A nonsensowny idealizm Kanta, Hegla? Skończony, *kaput!* A ten metafizyczny bełkot wszystkich, od Plotyna do Kartezjusza? Zmieciony niczym domowe śmiecie. Moje osiągnięcia w zakresie badań nad naturą tego świata są równe odkryciom Einsteina. Obaj jesteśmy rewolucjonistami, on – ponieważ obalił fałszywą kosmologię Newtona, ja – gdyż wyprostowałem myśl Platona i wszystkich jego sukcesorów.

Naturalnie interesuje mnie prawda, nie chwała. Chwałę pozostawiam innym. Niemniej muszę się zastanawiać dlaczego, skoro przywróciłem umysłowi współczesnego człowieka spokój cieśli pracującego przy swoim warsztacie, pogodę ducha rolnika w polu, nie rozpoznają mnie sprzedawcy w księgarniach. Nie zazdroszczę Einsteinowi jego gwiazdorstwa, należało czegoś podobnego oczekiwać, zważywszy na naiwny szacunek dla naukowego sposobu rozumowania w naszym stuleciu. Niemniej, jeśli mam być szczery, myśl tego starego morsa nie sięga aż tak głęboko.

Pozwólcie, że powiem wam coś na temat tej teoretycznej fizyki, nie tylko zresztą Einsteina, ale i tych innych Europejczyków, których wy, Amerykanie, pod-

nieśliście do rangi znakomitości znacznie mnie przewyższających – Plancka, Rutherforda, Fermiego, de Broglie’a, Bohra i tak dalej. Oni posiadli metodę, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, cieszący się wielkim poważaniem cnotliwy empiryzm. Niemniej ich zawłaszczanie wszechświata mnie obraża. Tak jak i ja odrzucają starych filozofów, ale tylko dlatego, że mają czelność sami zajmować miejsce tamtych. Pytam was: cóż może być bardziej podstawowego dla znaczenia niż stwierdzenie, że rzecz nie może być zarówno sobą i nie sobą? Czyż nie jest to zaczątkiem wszelkiej logiki, czy w istocie nie wyraża to fundamentalnej struktury ludzkiego umysłu? A przecież oni w jednym eksperymencie udowadniają, że światło jest złożone ze strumienia pakietów czy cząstek, czy też kwantów... a w następnym wykazują, że kwanty te mają właściwości nie cząstek, lecz fal. W zależności od tego, jak w tym submikroskopowym królestwie zechcesz zaobserwować lub zmierzyć światło, ono zareaguje jako jedno lub drugie: światło istnieje we wzajemnie wykluczających się stanach!

Och, ci europejscy uczeni, mój Boże, umysł wzdraga mi się na myśl – oni utrzymują, że to fakt – iż nie tylko światło, ale i cała materia, w swojej submikroskopowej istocie, cała ta bierna, ziemską cieszółka, jest podobnie indeterministyczna. Na przykład najgrubszy, najbardziej bezwładny dębowy kłoc podatny jest na elektronowy chaos we wnętrzu swojej dębowości i, przy dostatecznej ilości czasu, da się przebić, jeśli lekko nacisnąć go palcem!

Czy to jest magia? spytacie, a ja odpowiem krzykiem rozpacz: Gorzej, to jest nauka!

Wy, którzy badacie gwiazdne gromady, galaktyki, planety i ich księżyce, wy, którzy wydeptujecie tę ziemię i określacie wiek jej skał, wy, którzy przesiewacie piaski pustyni i penetrujecie oceaniczne głębie w po-

szukiwaniu ślepych istot, które tam zamieszkują... zapraszam was, wzywam was, byście poszli ze mną, jak Dante poszedł z Wergiliuszem, a będę waszym przewodnikiem po piekielnej ruinie ludzkiego rozsądku, zdruzgotanych, nie dających się zebrać ułamkach świadomości... po śmietniku rzeczywistego, unicestwionego romansu z Bogiem. To nowe piekło jest tam, gdzie zaczynają się nasze dociekania.

Waham się, czy zakłócić prywatność Sarah. Może chodzi o to, że spotykając się z nią pod nieobecność Pema, czuję się nieco fałszywy, obłudny. Muszę przyznać, że uważam ją za pociągającą, niezbyt to profesjonalne odczucie; jest we mnie coś z Pema w tym połowicznym życzeniu sobie, a raczej mamieniu się, że można oczekiwać czegoś, na co są niewielkie szanse. To częściowo przyczyna tego wahania.

Ucieszę się, kiedy wróci. Uczepiwszy się kradzieży u Świętego Tima jako opowieści i zaprzyjaźniwszy się z dobrym księżulkiem, stwierdzam, że jestem na łasce jego życia. To, co Pem robi, i to, kiedy zechce mi o tym opowiedzieć, uzależnia mnie literacko. Gdybym zrezygnował z tego całego pomysłu, pewnie na początku by mu ulżyło, potem jednak czułby się urażony, że go porzuciłem. Lubi, kiedy poświęca mu się uwagę, nawet jeśli go martwi, że mu coś wykradam... jego umysłowe życie, jego jestestwo.

A to możliwe.

Nie będzie jednak niestosowne, jeśli pójdę w piątek na wieczorne nabożeństwo u ewolucyjnych judaistów. Ostatnim razem dyskutowali o przetrwaniu duszy. Ów temat podjął ten starszy pan, którego syn dźwigał na górę po schodach, a po wszystkim znosił na dół. Rabbi

podeszła do niego, usiadła obok i wzięła jego sparaliżowaną dłoń w obie ręce. Powiedziała:

– Ortodoksi wierzą, że dusza istnieje i że przekracza ona próg śmierci, i że nadejdzie czas, „koniec dni”, kiedy połączy się ona ze zmartwychwstałym ciałem. – Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się, kiwając z powagą głową, a potem wstała i wróciła na swoje miejsce. – „Dusza” to piękne słowo, prawda? – dodała. – Niesie tyle znaczenia, wyraża w istocie tęsknotę za połączeniem z Bogiem, za ostatecznym rozwiązaniem wszelkich naszych wątpliwości, za wielce błogosławnym spokojem radosnej odpowiedzi.

– Czy to jedynie słowo? – spytał ktoś.

Sarah skrzyżowała ręce na piersi.

– To koncepcja – odrzekła. – Możliwe, że jako tezę religijną pierwszy raz zaproponował ją Filon z Aleksandrii, grecki Żyd żyjący w tych samych czasach co Jezus. Jednak u niego może to być idea bardziej grecka, platońska niżli żydowska. Tradycja chrześcijańska poświęca jej niezwykle dużo uwagi, wyraźnie oddzielając duszę od ciała, przy czym ciało obraca się w proch, a dusza ulatuje do nieba, żeby zaś zostać nagrodzonym połączeniem duszy z Bogiem, należy żyć dobrze i cnotliwie. Tradycja żydowska nie przykładą wagi do nagród, żyje się cnotliwie dla samego cnotliwego życia, wewnętrznego dobra nie obciążają żadne ukryte pobudki. I my, generalnie rzecz biorąc, nie jesteśmy tacy... malowniczy.

Sarah spojrzała współczująco na starego mężczyznę, żeby złagodzić wypowiedane słowa.

– Prawdopodobnie, skoro nie znajdujemy rozwiązania tego problemu teologicznego, jest to coś, czego nie potrafimy poznać; owa koncepcja natury duszy to twór poetycki, który wywołuje ogromnie wiele emocji, lecz nie przynosi wiedzy... Reformiści nauczają, na przykład, że i owszem, dusza istnieje, ale nie jest ona czymś tak

dosłownym jak to, w co wierzą ortodoksi. I wreszcie koncepcja rekonstrukcyjna odrzuca jakąkolwiek możliwość, żeby coś, co zwiemy osobowością indywidualną, przetrwało śmierć w jakiejś innej postaci.

O rekonstrukcjonizmie mówiliśmy już wcześniej – ciągnęła. – Rabbi Mordecai Kaplan widział w nim drogę wyjścia z doktrynalnych teologicznych sporów dotyczących takich spraw, jako że sprawy te znajdują się poza naszą wiedzą. Rekonstrukcja przypomina filozofię języka, korzysta z języka jedynie tak dalece, jak dalece to jest sensowne. Teologię zatem, koncepcje duszy i tym podobne rekonstrukcjonizm postrzega jako coś tymczasowego, próbnego i wszelkie nakazy dotyczące Boga oraz Bożej natury pozostawia w zawieszeniu, uzależnionym od postępów wiedzy, a to, czego tymczasem się trzymamy, to sama tradycja, ludowe sposoby postępowania, wypróbowane metody układania życia w kategoriach moralnych oraz zapewniania mu piękna i pociechy.

Młoda kobieta, ta studentka od Barnarda, podniosła rękę.

– Ale jakie jest twoje zdanie, rabbi?

Sarah stanęła za pulpitem. Przed nią leżała nawinięta na drążki tora synagogi ewolucyjnego judaizmu, okryta frędzlowanym szalem modlitewnym zwanym tałasem. Widziałem kiedyś jej rozwinięte zwoje, ich zwęglone brzegi, była jedną z tych uratowanych z holokaustu. Odpowiadając, Sarah gładziła opuszkami palców jedwabisty tałas, ani razu nie podnosząc przy tym wzroku.

– Mój mąż, rabbi Gruen, powiedział mi kiedyś: „Rekonstrukcja to załedwie początek”. Miał na myśli to, że jest ona środkiem, dzięki któremu możemy zbadać, bez uprzedzeń, każdy element tradycji i zdecydować, czego się pozbyć, a co pozostawić. Jednak nie tylko dlatego, że będzie to miało sens językowy, nie dla miłości piękna czy pociechy, nie dla zachowania naszej kulturowej tożsamości ze względu na samą tożsamość, po-

nieważ w ostateczności to nie wystarcza, jest teologią na biegu jałowym, na wolnych obrotach. Nie, ujarzmicie tradycję brakiem szacunku, żeby sięgnąć tam, gdzie się ona zaczęła, jedynie tam, na powrót do najniższego poziomu prostego... bezpośredniego podziwu i grozy. To tam się znajduje, z konieczności będąc stanem szacunku, owo ostre postrzeganie obecności Boga w fakcie naszej świadomości... i dlatego jest ono wszędzie i we wszystkich, i we wszystkim – to ta stałość podziwu i grozy, którą mamy nadzieję osiągnąć, stan sprzed Pisma, tak jednak żywy jak chwila współczesna, na którego przyjsie nie ma absolutnie żadnych gwarancji. Od tego właśnie zaczynamy...

Facet pracujący niegdyś dla „Timesa” leci do Cincinnati z biletem bez określonego terminu powrotu. Zatrzymuje się w hotelu, Grand Coştam, przy jednej z ulic na wzniesieniach górujących nad centrum dzielnicy mieszkalnej. Wynajmuje samochód, jeździ nim trochę w kółko, żeby wyczuć atmosferę okolicy. Całe miasto pachnie piwem. Mnóstwo czerwonej cegły, białych, granitowych schodków, słońca, które odbija się złotem w płynącej dołem rzece Ohio. Z opisów uprowadzenia Eichmanna pamięta, że głównym problemem było ustalenie tożsamości. Żeby dopaść właściwego faceta. Trochę czasu to zajęło. Ten, którego podejrzewali, że jest Eichmannem, pracował pod przybranym nazwiskiem. Odpychający, nosił okulary w grubych, ciemnych oprawkach, wracał do domu w niezbyt miłej okolicy – krytego płaskim dachem pudełkowatego budynku z pustaków, stojącego pośrodku pustej parceli poza granicami Buenos Aires. Dom ten zupełnie nie pasował do człowieka z jego osiągnięciami, miał jednak niewielkie okna ze wszystkich czterech stron, trudno więc było podkraść

się do niego niepostrzeżenie. Facet mógł trzymać pod ostrzałem całą parcelę. Obserwowali go z wynajętych samochodów osobowych, furgonetek, ciągle je zmieniali. Każdego wieczoru podejrzany wracał do domu o tej samej porze. Oni w dzień nosili stroje robocze, a raz zapukali do drzwi, rozmawiali z młodym mężczyzną, synem. Chlubą rodziny. Wyciągnęli z niego niemal pewną informację, że nazwisko rodziny jest przybrane i że kryje się za nim jakaś wielka sława. Postanowili zatem działać. Samo porwanie nie było trudne, był zmrok, pochwycili Eichmanna, kiedy wracał do domu z przystanku tramwajowego, wepchnęli go do samochodu i położyli z tyłu, przyciskając stopami. Nie była to facha robotą, wręcz bliska fuszerki, Eichmann jednak nie stawiał oporu. Dziwnie był wtedy ustępliwy. Współpracował całkowicie, kiedy dali mu jakiś zastrzyk, ubrali w mundur pilota El Al i wraz z resztą załogi przeprowadzili oszołomionego obok argentyńskich celników.

Przemyślawszy to wszystko, były dziennikarz „Timesa” stwierdza, że pochodzi jednak z innego niż tamci środowiska. Informującego o fakcie, zdobywającego temat. Kulturalnego, stosującego się do zasad ortografii. Ciągnie się to za nim jak żelazna kula na łańcuchu, powstrzymuje go. Ciężko poruszać się z takim ciężarem, postanowienie o sfinalizowaniu jakiejś historii to jedno, a nakazanie mięśniom, by wykonały konkretną robotę, w istocie spowodowanie, by coś się w tym świecie wydarzyło – to zupełnie co innego. Całe życie jedynie się przyglądał. Cywilizacja płaci takim jak on za to, że nic nie robią. Subsydiuje jak farmera, któremu dają pieniądze, żeby niczego nie uprawiał.

W głębi duszy wie, że to, co dla Izraelczyków było najtrudniejsze, dla niego jest łatwe, i ze smutkiem kończy tę całą niezbędną detektywistyczną robotę, zaglądając do hotelowej książki telefonicznej, w której znajduje to przybrane nazwisko oraz adres. Zatem czas już

nadszedł. Teraz musi przejść na drugą stronę. Przelać duchowy bezwład. Przeżyć coś pokrewnego przeobrażeniu. Zniknęło podniecenie, kiedy tak jeździ wokół Cincinnati, unikając punktu docelowego, popada jedynie w żalobny nastrój, czuje się jak głupiec. Jest nieszczęśliwy. Nie ma najmniejszego pojęcia, co robić. Zauważa, w jakim stylu są ogrody otaczające rezydencje, widzi przycięte, wręcz rzeźbione krzewy, graniaste, bulwiaste, stożkowe, klinowe, nawet w kształcie lutni. To takie dziwne oglądać te wszystkie duże, zadbane domy stojące w zielonych ogrodach pachnących piwem.

Przejeżdża kilka razy obok domu esesmana, takiego samego jak inne przy tej stromej ulicy, choć nieco skromniejszego. Dochodzi do wniosku, że w ten sposób nic nie osiągnie, niczego nie zobaczy, przejeżdżając tak po prostu obok, a jest zbyt niebezpiecznie, żeby się tam zatrzymać, na ulicy nie stoi ani jedno auto, każdy, kto tutaj mieszka, ma własny podjazd, własny garaż. Jedzie zatem dalej spadzistą ulicą, ku niżej położonej części miasta. Nad rzeką, w okolicy zabudowanej chatynkami z werandami oraz zbitymi z desek domkami, dostrzega podwórkową wyprzedaż i, zupełnie nie wiedząc dlaczego, zatrzymuje się, żeby popatrzeć. Pośród obłożonych z farby kuchennych krzeseł, używanych książek i kanap z wystającymi sprężynami oraz innego śmiecia dostrzega rower, trzybiegowy, z dwudziestośmiocalowymi kołami. Działa co prawda tylko trzeci bieg, a w tylnym kole nie ma prawie powietrza, ale go kupuje, za dwadzieścia dolarów. Jedzie do warsztatu, dopompuje koło i ma już działający pojazd dobry do obserwacji. Zaczyna się czuć w Cincinnati jak u siebie w domu. Wraca na wzgórze, parkuje przed centrum handlowym, wyjmuje rower z samochodu, ściąga marynarkę, krawat, podwija rękawy, nogawki i rusza w drogę. Jest siwiejącym mężczyzną w średnim wieku, ma nadwagę, wykonuje zalecone mu ćwiczenia, zdobywa

szczyt wzgórza, pędzi w dół, machając ręką do dzieciaków przed domami. Kombinuje, że jeśli będzie tak jeździł przez kilka dni, zawsze o tej samej porze, to wszyscy go przestaną zauważać. Zastanawia się, czy nie kupić pistoletu, takiego, który zmieściłby się w kieszeni. To może być problem. Chyba lepiej będzie pojechać w tym celu na drugą stronę rzeki, do Kentucky. Ale przecież są przepisy, sprzedawcy broni zobowiązani są zapisywać, kto kupił u nich towar. A może nóż? Jakiś myśliwski, ze sklepu sportowego. Albo jeden z tych harpunów, używanych przez pletwonurków do podwodnych polowań z kuszą. Trzymałby go w futerale. Podszedłby wprost do drzwi. I tak sobie myśli, używając do woli wyobraźni i nie bez przyjemności, a czuje się ogólnie znacznie lepiej i jest we właściwej okolicy, zjeżdża sobie ze wzgórza... ale ni stąd, ni zowąd zaczyna się chwiać, rower podskakuje, on jakoś utrzymuje równowagę, choć wpada na chodnik, jednak za nadto przyśpiesza... pojawia się jakiś mężczyzna; idzie ścieżką od swojego domu i skręca na chodnik, nic nie słyszy, nic nie widzi, krępy starzec, z laską... a później były dziennikarz „Timesa” już nie pamięta, czy zawołał wtedy Uwaga! czy jedynie krzyknął bez słów, nie mogąc pojąć, jak ktoś, choćby tak stary, może zupełnie niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć... pamięta natomiast potężne uderzenie i filcowy kapelusz – mężczyzna miał na głowie kapelusz, który pofrunął w górę – i unoszące się siwe włosy, padające, ale odwrócone twarzą ku niemu ciało, przekrzywione, osunięte na brodę okulary w grubych oprawkach, przerażone, zmętniałe oczy oraz świeżą, czystą cerę, jak na takiego starego człowieka rumianą, zdrową... i zaraz potem tył głowy tego mężczyzny uderzający o ceglany murek oporowy przed jego własnym trawnikiem, głucho walnięcie, burleskowe wręcz uderzenie, komiczne ludzkie ciało nieustannie poszukujące możliwości ekspresji i ta niechciana, na-

gła intymność, kiedy padł na tamtego mężczyznę, a potem wraz z nim na chodnik i dobiegł go przesiąknięty cebulą oddech starego, usłyszał świst dobywający się z gardła, poczuł meszek jego kaszmirowej marynarki, a w ustach jego kraciasty szal... robiło mu się coraz bardziej niedobrze, z powodu wstrząsu, ale i obrzydzenia, oparł się więc na ciele mężczyzny, żeby się podnieść, przyciskając jego ramiona do chodnika, i wstał, czując obrzydzenie do śmierci, nim się jeszcze dowiedział, że to jest śmierć, bo oto leżał tam jego przewrócony rower, uniesione przednie koło wciąż się obracało, kierownica skrzywiona, a skóra z jego dłoni starta do żywego mięsa, Jezu Chryste, ten stary głupiec! i dopiero wtedy zauważył jakiś bezruch u swoich stóp, brak wszelkiej reakcji, od bieguna bólu po biegun śmiechu, jakąś próżnię w żywotności tego świata, wyrażoną tą precyzyjną formą leżącej przed nim znieruchomiałej postaci... ponieważ ten człowiek był martwy, jednoznacznie martwy, zmarł raptownie, jakby już wcześniej nie było w nim wiele życia, wszystko to wydarzyło się w jednej sekundzie, żadnego charczenia, żadnej krwi, żadnego niemego błagalnego spojrzenia, jedynie to nagłe trupie rozwarcie ust... wściekły już teraz na tego nieszczęsnego idiotę, Nie widziałeś mnie?! nie słyszałeś, jak krzyczę?! wrzasnął na trupa, wzburzony, urażony, trzęsący się z oburzenia, postawił rower, szarpnął przekrzywioną kierownicę... a ulica wokół niego pusta i cicha... i jak gdyby chciał ukarać starego głupca za spowodowanie tego wszystkiego, za wykoślawienie jego zamiarów, wsiadł na rower i ruszył niepewnie w dół wzgórza, z kołem za każdym obrotem trącym o ramę.

Tak to wygląda. Były pracownik „Timesa” dojeżdża do odległego o kilka przecznic centrum handlowego, wrzuca rower do stojącego za marketem spożywczym pojemnika na śmieci i samochodem wraca do hotelu. Powinien był zadzwonić po pomoc, zostać przy starym

człowieku... ale jak by wytłumaczyć, dlaczego się tam znalazł, co go sprowadziło na tę ulicę? Mdli go, ma przyspieszony puls, obawia się ataku serca. Kładzie się i zasypia. Budzi się po kilku godzinach, czując obrzydzenie do siebie, i postanawia, że o wszystkim zapomni. Wymeldowuje się z hotelu i jedzie na lotnisko, gdzie czeka na powrotny samolot do Nowego Jorku. Kupuje wieczorną gazetę i siada przy barze. Czyta o zbiegłym rowerowym zabójcy. Jakiś dzieciak widział całe zdarzenie przez okno. Nieprecyzyjny rysopis rowerzysty: krępy, biały mężczyzna. Ofiara: uchodźca w podeszłym wieku, osiemdziesiąt jeden lat, mieszkał pod takim to a takim numerem domu przy takiej to a takiej ulicy, kilka lat wcześniej został oskarżony o nielegalne uzyskanie pozwolenia na wjazd do Stanów Zjednoczonych, gdyż ukrył, że podczas wojny dowodząc w stopniu sierżanta plutonem karabinów maszynowych, przeprowadził masową egzekucję Żydów z getta w Kownie, na Litwie, postępowanie umorzono jednak ze względu na brak dowodów. Sąsiedzi mówią... był dobrym, życzliwym człowiekiem... od śmierci żony mieszkał samotnie... miał w sobie coś z tej elegancji Starego Świata... zawsze uchylał kapelusza, pozdrawiając na ulicy znajome kobiety... w Halloween wynosił dzieciom na ganek pełne garście cukierków.

Kompozytorzy wielkich przebojów, standardów, powiedzieliby nam, że tworząc je, kierują się zasadą: Zachowaj prostotę. Im prościej, tym lepiej. Chcesz przecież, żeby poradził z tym sobie nie szkolony głos, i to pod prysznicem, w kuchni. Postaraj się utrzymać melodię w granicach jednej oktawy. Trzymaj się czterech podstawowych akordów i unikaj zawiłych rytmów. Być może ci kompozytorzy nie wiedzą, że w tym właśnie

tkwi estetyka hymnu kościelnego. Być może nie wiedzą, że hymny były pierwszymi szlagierami. Wiedzą jednak, że hymny oraz ich królestwo dyskursu uszlachetnia albo idealizuje życie, wyraża jego pobożność, a one same są stosowne i odpowiednie dla wszystkich uszu. Tak jak te najbardziej popularne ballady, w tym swoim charakterystycznym romantyzmie, są zlaicyzowanymi hymnami.

Zasada zachowania prostoty pozwala zrozumieć, dlaczego tyle standardów brzmi podobnie. Można by nawet powiedzieć, że piosenka nie może się stać standardem, jeśli w jakiś sposób nie przypomina istniejących już standardów. Może dlatego, kiedy słyszymy jakąś nową, dobrą piosenkę po raz pierwszy, wydaje się nam ona już od dawna znajoma. Bo też w pewnym sensie tak właśnie jest. Tak jak nam się wydaje, że istniejemy od zawsze, choć wiemy, kiedy się urodziliśmy, tak standard sprawia wrażenie, jakby był tutaj przez calutki czas, dany od Boga, i czekał jedynie na właściwy, historyczny moment, by dać się zauważyć i pozwolić nam się zaśpiewać.

Wyduje się, że odnalezienie archiwum getta przeobraziło Pema. Wschodnia Europa go wyszczupliła: wciąż ma co prawda sporo ciała, jednak robi wrażenie bardziej zwartego, o ile nie muskularnego, porusza się zwinniej i wygląda porządnie, na domytego i zadbanego, być może dlatego, że obciął włosy, pozbył się kuczka, a że brzuch nieco mu się spłaszczył, spodnie nie opadają mu już na wierzchy butów. Czyżby odżył, czyżby przepływało przez niego jakieś mimetyczne uniesienie? Jestem przekonany, że jeśli człowiek wyrusza na poszukiwania, wyznaczywszy sobie jakąś misję, i odniesie sukces, może go to przez zaskoczenie wyrwać

z dotychczasowego stanu ducha. Że też udało mu się cokolwiek osiągnąć! Nie wspomnę o tym ani jemu, ani jej, ale jest w tym jakiś literacki szablon, nazwijmy go chrześcijańską rycerskością, na której drogę wstąpił Pem dla swej damy, Sarah Blumenthal, rabina, wdowy mieszkającej z dwoma synami na Upper West Side.

Poza tym wchodzi w grę coś mroczniejszego, coś, czego nie pozwoliłby sobie uświadomić, zakończona sukcesem rywalizacja ze zmarłym.

W notesie Joshui Gruena miał jedynie nazwiska. Vilnius, kiedyś Wilno, odbudowano w ciężkim stylu, co jest rezultatem zniszczeń drugiej wojny światowej i sowieckiego zamiłowania do wysokich budynków. Wije się przez nie malownicza rzeka z zarośniętymi trawą brzegami. Neris. Wilia. Ta sama rzeka, o której mówi mój mały goniec Yehoshua.

Jakie to uczucie znaleźć się w tym mieście o historii wymazanej z architektury, ale wciąż tkwiącej w pogrzebanych kościołach, w umysłach dzieci, których przynależność etniczna dudni niczym piłka kopana przez nie na szkolnym boisku? Wsiadł do tramwaju, który zatrzymał się przed wejściem do jego hotelu, zabrzmiał dzwonek i tramwaj skręcił za róg, pantograf zaiskrzył jak błyskawica i Pem wyczuł zagrożenie kryjące się pod nowoczesną skorupą miasta, stare, historyczne demony z zaostrzonymi widłami krążące w najnowszych modelach samochodów i wstępujące na lunche w interesach do eleganckich restauracji.

Szedł tropem każdego nazwiska z notesu Joshui – ludzi, których Joshua już widział i których jeszcze nie spotkał – i nie robił najmniejszych postępów. Kościół, w którym ksiądz Petrauskas zgodził się przechować dziennik getta, zniknął już dawno temu. Ksiądz nie było wśród żywych. Na parceli po kościele stał pięciopiętrowy budynek mieszkalny z tarasami.

Chargé d'affaires ambasady amerykańskiej pamię-

tał Pema i zorganizował mu spotkanie z jakimś księdzem w biurach kurii wileńskiej, ale to również nic nowego nie wniosło. Rosjanie zmiażdżyli miasto i jego niemieckich obrońców w 1944 roku, zostawiając po sobie niemal same gruzy.

Pewnego popołudnia Pem – nie mając pojęcia, czy może w ten sposób cokolwiek osiągnąć – wziął taksówkę i pojechał do tamtej małej, wypalonej synagogi w ubogiej dzielnicy miasta, tej synagogi, przed której drzwiami z takim fatalnym skutkiem pobito męża Sarah. Miasto zachowało świątynię w postaci ruiny. Pem porozmawiał z dozorczynią, starszą Litwinką, która mówiła łamaną angielszczyzną, zapłacił jej dwanaście litów, żeby pozwoliła mu wejść do środka i obejrzeć resztki drewnianych stolików do czytania oraz ław ustawionych w kwadrat wokół centralnego stołu. U góry wisiała rama z kutego żelaza z lichtarzami. Wlewające się przez zapadnięte sklepienie słońce rozświetliło pył unoszący się nieruchomo w powietrzu, jak gdyby wisiał tam od pożogi sprzed lat.

Stara kobieta pamiętała, jak pobito Amerykanina. Było ciemno, siedziała w swojej chacie za synagogą, kiedy usłyszała krzyki. To ona znalazła krwawiącego Joshuę przed wejściem. Ona też zadzwoniła na policję.

Przedtem jednak słyszała, jak ktoś puka do drzwi synagogi, i gdyby to pukanie trwało dłużej, wyszłaby z domu, ruszyłaby poirytowana ku wejściu do muzeum – tak właśnie nazywała synagogę: żydowskie muzeum – i powiedziała temu komuś, ktokolwiek to był, że zamknęte. Ale właśnie wtedy usłyszała tamte krzyki.

Nagle Pem uświadomił sobie, że Joshua w ogóle nie rozmawiał ze starą kobietą, że nie miał takiej szansy. Powiedział jej więc teraz, że pobity Amerykanin był rabinem, który przyjechał do Wilna, żeby odszukać dzienniki z getta, zapiski, które zostały oddane na przechowanie wileńskiemu księdzu. Tak, odparła natych-

miast kobieta, chodzi o księdza Petrauskasa, mojego księdza z kościoła Świętej Teresy na ulicy Kaunas, i przeżegnała się. Wszyscy wiedzieliśmy, co on zrobił, oznajmiła. I nie tylko to, dodała. To nie wszystko. Czasami ukrywał ludzi. O tak, on kochał Żydów. Uważał, że to, co się wyrabia z Żydami, jest nie w porządku, powiedział, że to, co im robią, jest nie w porządku. Nikt na niego nie doniósł, był dobrym człowiekiem i chciał dobrze, był lepszym księdzem od innych. Przeżył wojnę, ale wojna zniszczyła jego kościół i on już nigdy nie był taki sam. Gotowałam mu od czasu do czasu coś do jedzenia, kiedy mieszkał w tym domu, który dla nich mają, i Josif mu to zanosił.

Kim jest Josif? spytał Pem.

Jest moim synem, jedynym dzieckiem, jakie przeżyło, moim najmłodszym, wszystkie inne zabito w tej wojnie. On był za mały. Był ministrantem u naszego księdza.

Gdzie teraz jest Josif, pytał dalej Pem.

A gdzie miałyby być o tej godzinie, w pracy, bo jest kafelkarzem, jeśli chce pan wiedzieć, najlepszym w Wilnie.

I tak Pem wytropił tego Josifa, mężczyznę po pięćdziesiątce, który powiedział mu, że Rosjanie przyszli splądrować kościół księdza Petrauskasa i odkryli pobijaną drewnianą skrzynię, którą trzymał on w schowku, we własnym pokoju na plebanii, gdzie sypiał. Skrzynia była zamknięta na kłódkę, powiedział Josif, przewiązana taśmą, zapieczętowana i owinięta grubym powrozem. Żołnierze, obładowani świecznikami i srebrem świątynnym, zawołali oficera. Kiedy ten się zjawił, nie przypominał swych podwładnych, wydawał się bardzo kulturalny. Palił papierosa w cygarniczce, a jego mundur był całkiem czysty. Josif bał się, że zabiorą księdza, jednak oficer tylko uprzejmie przesłuchał duchownego, który powiedział mu prawdę – że w skrzyni

znajdują się żydowskie pisma. Oficer czarnym ołówkiem spisał po rosyjsku zawartość skrzyni, podpisał się na wieku swoim nazwiskiem i numerem wojskowym, a potem rozkazał żołnierzom zabrać ją bez naruszania zabezpieczeń i tak się cała sprawa zakończyła.

– Moje wyszkolenie Teologicznego Detektywa dobrze mi się przysłużyło – powiedział mi Pem. – Ten, który przesłuchiwał księdza, był na pewno oficerem wywiadu. Rosjanie zgarniali wszystko, co tylko mogło mieć jakąś wartość, chociaż dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto nigdy już ponownie na to nie spojrzeli. Moskwa to teraz bardzo interesujące miejsce. Podziemia KGB przypominają pchli targ. Trochę czasu to zajęło, ale oni teraz sprzedadzą człowiekowi absolutnie wszystko, o ile tylko odpowiada im cena.

Na prośbę Pema skrzynię zatrzymano na lotnisku JFK do czasu, aż ściągnie on z Departamentu Sprawiedliwości prawnika, który miał być obecny przy jej otwarciu, czego zażyczył sobie urząd celny. Gdyby archiwum zawierało dokumenty dowodzące tożsamości komendanta getta, Sturmbannführera Schmitza, sąd musiałby drobiazgowo sprawdzić ich autentyczność, toteż chodziło o to, by procedurze odpieczętowywania materiałów nie można było nic zarzucić.

I właśnie teraz, niemal po dwu tygodniach załatwiania różnych spraw, nadszedł ten dzień. Pem i Sarah jadą na lotnisko taksówką. Jest późny ranek powszedniego dnia, pada deszcz. Milczą. Sarah sięga w końcu po telefon komórkowy, aby przypomnieć swojej pomocy domowej, Angelinie, że z powodu konferencji dla nauczycieli chłopcy mają tylko połowę lekcji i trzeba ich odebrać w porze lunchu. Płaszcz przeciwdeszczowy Sarah rozchylił się, ma pod nim kostium i Pem dostrzega, jak

kształtna jest jej noga nad kolanem. Widok ten sprawia, że odwraca głowę i przez strumienie deszczu studiuje bacznie kolorowe tablice informacyjne przy wiodącej na lotnisko drodze.

Tego ranka Pem nie patrzy na siebie tym nowym, triumfalistycznym wzrokiem. W jego oczach zaczyna pojawiać się stara, znana posępność. Nie chodzi o to, że to, czego dokonał, nie zrobiło ogromnego wrażenia na Sarah. Przeciwnie, wydaje się, że ona w jakiś sposób już się otwarła na niego, wraz z nim zaczęła akceptować ich narastającą intymność. On jednak zastanawia się nad własnymi pobudkami... czy jest zdolny zrobić coś, co nie zawiera załączka własnego zepsucia? Czy gdzieś tam, w głębi, nie jest to jedynie chwyt mający posłużyć do uwiedzenia? Poleciał przecież do Moskwy, wykonał wiele telefonów, rozmawiał z duchownymi niczym ksiądz, z attachés jak dyplomata, z oszustami niczym kombinator, błyskał zwitkiem banknotów, wykazał sporo agresywności i odważnie przeniknął do KGB. Naturalnie wszyscy, z tymi wyciągniętymi dłońmi, przypominali żebraków, ale on tego nie wiedział, czyż nie?

Na pewno nie można tego było uznać za akt skruchy. Chyba że to akt skruchy awanturnika.

W tym ponurym nastroju zakręty, rozjazdy i rampy lotniskowego systemu drogowego wraz z widocznymi na horyzoncie terminalami wydają się inną wersją wielkiego miasta, miasta na nieziemską skalę, zamieszkanego przez ogromne latające maszyny; jedna właśnie wynurza się z chmur i rycząc, przelatuje nad nimi z wyciągniętym jak szpony podwoziem.

Kilka chwil później, w małym biurze budynku przylotów zagranicznych, Sarah, Pem, młoda prawniczka z nowojorskiego biura prokuratora federalnego oraz różni funkcjonariusze celni przyglądają się, jak jeden z inspektorów bierze do ręki młotek oraz dłuto i przy-

stępuje do pracy. Skrzynia stoi na stalowym blacie. Jest większa, niż Sarah sądziła na podstawie opisu Pema, wyobrażała sobie, że ma rozmiar żołnierskiego kuferka, w rzeczywistości jednak jest obszerniejsza, głębsza. Wygląda na produkt domowej roboty, zbita jest dużymi gwoździami i ma metalowe narożne okucia. Pomalowano ją na białe, miejscami jednak farba się złuszczyła i widać surowe drewno.

Sarah siada w jednym z fotelików stojących rzędem pod ścianą. Inspektor celny stwierdził tymczasem, że zardzewiałych zamków otworzyć nie sposób i pyta teraz, czy może je podważyć, co, ostrzega, spowoduje, że oderwą się też jakieś drzazgi. Nie całkiem zdając sobie sprawę, że celnik tym pytaniem przyznał jej prawo własności do skrzyni, Sarah skinieniem głowy wyraża zgodę. A przecież dźwięk pękającego drewna wywołuje u niej dreszcz... jak gdyby do tego pokoju wsączała się historia jej ojca.

Zamki są już oderwane, gruby powróż przecięty. Prawniczka wyjmuje z torby mały aparat fotograficzny i robi trzy czy cztery zdjęcia widocznych na wieku skrzyni rosyjskich zapisków. Potem podchodzą inspektorzy. Ostrożnie wyjmują różnych rozmiarów paczki owinięte w ceratę. Wnętrze skrzyni również wyłożono ceratą, nie ulega wątpliwości, że temu, kto to zrobił, bardzo zależało na zachowaniu materiałów; dla Sarah to ważne przesłanie, z jej gardła wydobywa się szloch. Inspektorzy odwijają paczki i znajdują pliki przewiązanych szpagatem kartek, broszury, podręczniki, skoroszyty, zwinięte plany, wykresy, spięte ze sobą dokumenty, koperty różnych wymiarów, wszystko to opisane w jidysz, drobnym, porządnym pismem. Otwierają każdą paczuszkę, każdą kopertę. Potem, obmacawszy wewnętrzne ścianki skrzyni, zgadzają się, że nie ma tam nic, co mogłoby ich zainteresować. Wkładają wszystko

z powrotem, mniej więcej tak, jak to znaleźli, i odchodzą.

Do skrzyni nurkują natychmiast Pem i prawniczka. Przeglądają dziennik spisywany w notesach, uczniowskich zeszytach i na luźnych kartkach, prowadzony jednym, coraz bardziej znajomym charakterem pisma, dotyczący trzech lat, od roku 1941 do tego dnia w 1944, kiedy zlikwidowano getto, a tych, którzy przeżyli, popędzono na dworzec kolejowy. Całe stoły zarzucone są dokumentami, przepisami oraz zarządzeniami wydawanymi przez Niemców, niezliczonymi rozkazami, z podpisem komendanta Schmitza, przeprowadzenia konfiskaty wszystkich zwierząt domowych, potem wszystkich furmanek, a następnie wszystkich książek, maszyn do pisania, aparatów fotograficznych, świeczników, całej biżuterii. Żydom nie wolno przebywać na ulicy po siódmej wieczorem, nie wolno im mieć narzędzi rolniczych, nie wolno spotykać się w grupach większych niż trzyosobowe i tak dalej, wszystko odebrane, po troszeczkę, aż zostaje do odebrania jedynie samo życie. A potem relacje świadków, jak to robiono. Sarah czyta ich kilka i w osłupieniu skrótowo przekłada je pozostałym. W osobnej paczce jest pełne dossier dotyczące komendanta Schmitza – c.v. z datą i miejscem urodzenia, imionami rodziców (matka z domu Preissen, najwyraźniej nazwisko, do którego jako amerykański obywatel rości sobie prawo Helmut Preissen), wykształceniem, datą wstąpienia do partii nazistowskiej, datą przystąpienia do SS, mianowania na stopień oficerski i wreszcie całkiem wyraźna czarno-biała fotografia mężczyzny w galowym nazistowskim mundurze, zażywnego i prawego, stojącego przed szubienicą z wiszącym ciałem żydowskiego łotra. Są też jednak materiały na temat innych esesmanów oraz litewskich policjantów, a także zdekonspirowanych gestapowskich szpicli i prawniczka chce mieć to wszystko, prosi więc o po-

zwolenie zabrania całego archiwum celem wykonania fotokopii, zanim przejmie je Sarah. Bardzo się stara załatwić to jak jakiś interes, słowa jednak z trudem przechodzą jej przez gardło. Będzie też chciała przekazać niektóre z oryginałów do biura zbrodni wojennych Departamentu Sprawiedliwości. Jest przekonana, że sprawa deportacji tego Preissena/Schmitza zostanie ponownie otwarta, niemniej w tej chwili prowadzą kilkakrotnie postępowań wobec podejrzanych o nazistowskie zbrodnie mieszkających na terenie Stanów Zjednoczonych i być może niektóre z tych materiałów okażą się w tych sprawach istotne.

Prawniczka wychodzi, żeby zorganizować transport, i Pem z Sarah zostają sami w tym pustym, rozjaśnionym świetłówkami pomieszczeniu... Duża biała skrzynia stoi otwarta na blacie, wokół niej leży rozrzucona zawartość... niespodziewanie na Pemie robi to wszystko wrażenie jakiejś muzealnej instalacji... wpisy z dziennika poczynione drobnym pismem w jidysz na papierze układającym się jak fałdy białych całunów, rozwarta siłą drewniana skrzynia stojąca tam niczym powiernica świętych pism. Cała kompozycja w różnych odcieniach bieli, wszystko jest bielą na bieli, włącznie z szarobiałymi ścianami pokoju. W tym obrazie nie ma Chrystusa, jednak w piersi Pema odzywa się to samo pragnienie modlitwy, które kiedyś wywoływały w nim *Ukrzyżowania* Cimabuego i Grünewalda. Z gorączkowym, przyprawiającym o zawrót głowy raptownym napływem krwi ogarnia go niesamowite uczucie, że to nagie, niczym nie ozdobione pomieszczenie z przypominającymi fabryczne oknami i tym okropnym ostrym światłem jest tym, do czego musi aspirować nowy Kościół, chociaż skąd mu przyszła do głowy myśl o nowym Kościele, tego już nie wie.

Twierdzę, że już w następnej chwili uświadamia sobie, iż jeśli otworzy usta i zwierzy się Sarah, ona obró-

ci na niego pełne udręki błękitne oczy, a on dostrzeże w nich nieubłagany wyrok skazujący go na wieczne potępienie. Podejrzewając, że tak właśnie może się zdarzyć, siada obok niej i milczy.

Sarah trzyma w dłoniach napisane na maszynie listy tych, którzy zginęli w getcie, jak również tych, których z getta zabrano i nikt ich już nigdy nie zobaczył. Obok każdego nazwiska zapisano datę i miejsce urodzenia. Nierzadko na listach są imiona całych rodzin. W podejściu Sarah do nich nie ma aspektu odległości w czasie czy przestrzeni, nie są one dla niej czymś o charakterze historycznym, jako że te proste, precyzyjne zapiski... za sprawą przenikającego Sarah zakrzywionego promienia światła wszechświata, pozwalającego jej świadomości wydobywać z mroku, niczym laserem, te nazwiska, literę po literze... są nieustannie uzupełniane, zupełnie jak gdyby nowi martwi byli zapisywani w miarę czytania, przy wtórze brzmiącego jej w uszach huku odrzutowców i szumu samochodów.

A teraz Pem podaje jej kopertę zakazanych, małych, czarno-białych zdjęć... szereg mężczyzn i kobiet maszerujących do pracy za ogrodzeniem z kolczastego drutu... mężczyzna z żoną, ich dziecko na ławce, upozowani do wspólnej fotografii, na płaszcach naszyte gwiazdy z kawałków materiału... proste wizerunki, spokojne, pozbawione wyrazu twarze... kobieta na kolanach w ogródku warzywnym... członkowie rady pozujący do zdjęcia w garniturach z gwiazdami... ciało w garniturze wiszące na szubienicy, głowa przekrzywiona, wpatrzona w niebo... zima, śnieg na ziemi... a tutaj siedmiu małych chłopców przed drewnianą chałupą, stoją, jak im się zdaje, na baczność, na schodkach tego drewnianego domku... mają czapki wojskowego fasonu i gwiazdy na piersiach, które można by uznać za insygnia pełnionej przez nich funkcji gońców rady... poważni mali chłopcy, jeden z głową wciśniętą w ramiona w instynktow-

nym gości obronnym... a może jest zimno... wszyscy są zbyt lekko ubrani, mają na sobie krótkie spodenki i swetry, i marynarki, z których powyrastali... każdy jednak stoi na baczność, stopy związane, ramiona przyciśnięte do boków... i spogląda w obiektyw z pełną świadomością śmierci. Sarah odnajduje swojego ojca w pierwszym rzędzie.

Po rozmowie z biskupem Pema przyjrzałem się sprawie osławionego Jamesa Pike'a, biskupa Kalifornii. To prawda, Pike to czyste lata sześćdziesiąte. Utrzymywał, że zarówno wszelkie dowody, jak i teologiczny zdrowy rozsądek wskazują, iż Józef był biologicznym ojcem Jezusa. Twierdził, że nie może zaakceptować doktryny o Świętej Trójcy, że graniczy ona z tryteizmem. Mówił, że ma też problemy z Powtórным Przyjściem. Mówił, że nic z tego nie czyni go złym duchownym i nie osłabia jego wiary. Zwolennicy episkopalizmu to zaiste interesujący ludzie.

Pem jednak, kiedy chciałem z nim o tym pomówić, zirytował się.

Taa, wiem, tak mnie widzi mój biskup: Pemby, syn Pike'a. Chyba tego nie kupiłeś, co? Owszem, przyznaję, gość był przebojowy, liberalny jak cholera, istny powiew świeżego powietrza. Ale był też nieco stuknięty. Kiedy jego syn zmarł z przedawkowania, Pike poszedł do medium, które przywołało mu go na pogawędkę. Wiedziałeś o tym?

Nie.

To była tragedia, ta utrata syna... ale żeby dać się oszukiwać spirytyście? Arthur Ford, tak się tamten gość nazywał, pracowite medium, dobrze odrabiał pracę domową, miał kartoteki różnych ludzi, włącznie z grubą

teczką na rodzinę Pike'a. Spirytyzm to demencja religijnego umysłu. I wiesz, jak Pike zginął, prawda?

W Izraelu.

W Izraelu. Udał się na pustynię w poszukiwaniu historycznego Jezusa. Z butelką coca-coli w ręku.

Wydajesz się nieco rozdrażniony.

Nie jestem rozdrażniony. To ty jesteś wkurzony.

Ja?

Bo nie zadzwoniliśmy, żebyś pojechał z nami na lotnisko.

Nie, ten etap mam już za sobą. Potrafię pisać na podstawie tego, co dostaję z drugiej ręki. Żaden problem.

To trudny okres dla Sarah. I dla mnie.

Nie musisz przepraszać.

Nie przepraszam. Ale kiedy wracasz do mnie od biskupa i powtarzasz to jego pieprzenie...

Pomyślałem sobie, że warto zobaczyć, jak on wygląda, i tyle. W mojej pracy nieczęsto mam do czynienia z biskupami.

Powiedziałeś mu, gdzie jestem? Co robię? Co mu powiedziałeś?

Nic!

Akurat...

No cóż, nic ważnego... Tyle że udałeś się na pustynię w poszukiwaniu historycznego Jezusa, z butelką coca-coli w ręku.

Zabawne... Jestem więc paranoikiem?

Tylko odrobinę.

I dopiero co się wtedy ożenił. Pike. Nowa, młoda żona. Jego trzecia.

Panienko? Jeszcze jedną kolejkę.

Mieli samochód, wynajęli go. Odjechali daleko, samochód się zepsuł, dalej ruszyli pieszo. Najwyraźniej nie było tam żadnej przyzwoitej drogi, tylko jakaś gruntowa, ale im się wydawało, że jechali do Betlejem. A co ty byś zrobił, też byś poszedł?

Pomaszerowałbym dalej w tym samym kierunku.

Zgadza się. Tak zrobiłby każdy zdrowy na umyśle człowiek, który by się znalazł na cholernej pustyni... trzymałby się drogi. Po prostu poszedłby dalej tą drogą do Betlejem. Tymczasem wedle tego, co opowiadają, oni krążyli godzinami pośród skał, wąwozów, kompletnie zagubieni. Jak do tego doszło? Droga się nagle skończyła? Nie wiem. Wybrali się tam bez mapy. Co było nie tak z tymi ludźmi?

Tak że w końcu on już nie może iść, gość przecież jest po pięćdziesiątce, niezbyt sprawny fizycznie. Wtedy nic jeszcze nie słyszeli o fizycznej sprawności. Uzgadniają więc, że ona pójdzie dalej, spróbuje znaleźć pomoc. I, jak przypuszczam, on wyszukał jakiś skalny nawis z odrobiną cienia, powiedzieli sobie do widzenia i ona ruszyła samotnie w drogę. No i on siedzi tam na pustyni po jej odejściu, jest bardzo gorąco, wrócił do ojczyzny swojej duszy, na tę górzystą, czerwoną pustynię, widzi jaskinie ze Zwojami, czuje tę szczególną gorzkość Morza Martwego, to słone powietrze... migotliwe światło falami przepływa mu przed oczyma, czerwona skała przypomina o kamienistych podstawach jego religii. Obok jego lewego ucha jakiś włochaty pajak wspina się powoli szczeliną w skarpie, o którą on opiera głowę, morze w oddali zawiera tyle soli, że już nie może się ona rozpuścić, morze wysusza całą okolicę, on siedzi w zasięgu jego wpływu, jego aury i czuje, jak wyciąga ono pot z jego czoła, pleców, patrzy, jak pod jego wpływem blaknie cola w butelce, unosi tę butelkę do warg, ale zanim zdąży się napić, widzi, jak poziom bezbarwnego płynu raptownie opada, aż ma przed osłupiałymi oczami skorupę cukru na zielonym dnie, woskowy, landrynkowy osad. A potem zielona butelka bieleje...

Ku memu zdumieniu oczy Pema wypełniły się łzami. Słuchaj, wielebny, martwię się o ciebie.

To mój problem, Everett, nie twój. Zapamiętaj jedy-

nie to: kłopot z wami, pisarzami, polega na tym, że nie potraficie zachować dystansu.

Wyjmuje chusteczkę, ociera oczy. Odchrząkuje.

Kochałem Pike'a, bo on wiedział, że ta zakumulowana doktryna jest po prostu niewiarygodna. Jest fantazją. Zebrany na przestrzeni dziejów łajnem. Niemniej uwielbiał Jezusa jako człowieka. Chciał odnaleźć tego prawdziwego Jezusa. Odszedł z Kościoła, wiesz, nigdy mu nie brakowało odwagi, rzucił duchowną sukienkę i ruszył na wyprawę do Ziemi Świętej.

Czy to właśnie chcesz zrobić? Szczególnie teraz, kiedy jesteś doświadczonym podróżnikiem? Odejść, a potem naprawdę udać się do Ziemi Świętej, jak Pike, wywędrować na pustynię i umrzeć z wycieńczenia w tym zarze?

Być może. Rozmowa z tobą, Everett, podnosi mnie na duchu. Gotów na następną kolejkę?

Właśnie ją zamówiłem.

Ten powrót do miejsca, gdzie to się zaczęło. Gdzie poszło nie tak. Do tego punktu. Przedhistorycznego. On to właśnie robił. Mój Boże, jaka w tym jest tęsknota. A jakie to niebezpieczne. To może człowieka zabić.

Podążaj za Podskakującą Kulą

Młody naukowiec Louis Slotin badał Podskakującą Kulę, delikatnie zbliżając ku sobie jej dwie osadzone na stalowym pręcie połówki, do czego używał zwykłych śrubokrętów. Pewnego punktu przekroczyć mu nie było wolno, a połączywszy obie półkule, właśnie by to zrobił. Starał się więc precyzyjnie określić, gdzie jest ów punkt krytyczny. Temu błyskotliwemu biofizykowi, który w czasie drugiej wojny światowej latał w RAF-ie, nie brakowało odwagi.

Zgarbiony nad aparaturą, wpatrywał się w drobniutką podziałkę na stalowym pręcie, kiedy nagle jeden ze śrubokrętów sam z siebie podskoczył. W tej jednej maleńkiej chwili stuknął w obiekt badań i połączył dwie półkule.

W szpitalnym łóżku Louis Slotin poprzez przeszywający go ból przypominał sobie intensywne niebieskie światło, które zalało mu oczy. W tamtym momencie pomyślał, że połączeniu dwu półkul powinien towarzyszyć huk. Tymczasem nastąpił okropny syk przeobrażenia. Gołymi dłońmi chwycił podskakującą kulę i zerwał ją na pół. I natychmiast normalne światło wypełniło to ciche pomieszczenie.

Na pustyni, w pobliżu wioski Oscuro, czyli Mrok, wybudowano rusztowanie mające utrzymać w miejscu Podskakującą Kulę. Koledzy Louisa Slotina, z czarnymi opaskami na ramionach, pojechali na pustynię w pobliże Oscuro, gdzie spoczywające w obudowie uzbrojone połówki Kuli przymocowano do wielokrążka i powoli wciągnięto na rusztowanie. W bezpiecznej odległości przykucnięci w okopach koledzy Louisa Slotina oczekiwali świtu.

O Panie, nasz Narratorze, który stworzyłeś tekst z niczego, raz jeszcze ośmielam się mówić do Ciebie i o Tobie, i nieuchronnie od Ciebie za pomocą jednego z Twoich własnych wynalazków, jednego z Twoich intonacyjnych systemów złożonych z mlaśnieć i chrząknięć, głosek zwartych i wibrujących. Czymże on jednak się różni od wrzasku papugi, od szerokolistnych paproci pulsujących pełzającymi po nich zielonymi węzami czy od plam słońca na brzegu rzeki, pojawiających się tam niczym szybkie i nieuchwytne jaguary?

Pamiętam tych ludzi ze wsi i ich śmiech, kiedy po-

nownie napełniali moją tykwę sfermentowanym manio-
kiem. Znali już moją naukową rozagę, moją pruderię,
wagę moich notesów, niemniej poprowadzili mnie do
krytej strzechą chatki, gdzie ona, śpiewając po dziecin-
nemu, czekała, by nauczono ją traktować siebie poważ-
nie i z uwagą. A oni tańczyli teraz wokół obozowiska,
używając swojego pomysłowego systemu mlaśnięć
i chrząknięć, głosek zwartych i wibrujących, to był
wspaniały język, mowa śpiewana, mowa tańczona i wy-
bijana na bębnach, z wielką siłą odwołująca się do Cie-
bie, mój Panie, pluskająca i wirująca niczym bystra
rzeka, ja zaś rozwiązałem godową spódniczkę, odłoży-
łem ją na prostokątne ślubne płótno o najgęściej utka-
nym splocie, przez pokolenia prane w potężnych wyle-
wach rzeki-boga, na którym ułożyła się i ona, w pozy-
cji rytualnej, z wszystkimi członkami wyciągniętymi
ku czterem punktom jej wyobrażonego nieba, a kiedy
dotknąłem wewnętrznej strony jej ud, ich gładka skó-
ra parzyła, jej stopy wyciągnęły się i wygięły w łuk,
palce dłoni zwinęły, a kiedy powąchałem jej skórę, po-
czułem zapach słodkich bulw i pieczonych rajskich fig,
kakao z gliniastych brzegów rzeki, omywanych słod-
kimi wodami pełnymi tęczowych ryb. A jej dłonie spo-
czywające na moich ramionach miały w sobie nieskoń-
czone zrozumienie małżonki, była na mnie ślepa, z wy-
jątkiem tych dłoni, ja byłem ślepy na nią, z wyjątkiem
moich warg na jej wargach, wioska kołuje w tańcu, my
unosimy się na tym śpiewie złożonym z chrząknięć i try-
li, wirujemy, wielkie drzewa gną się ku ziemi, wszel-
kie życie ulatuje z szerokich liści, rzucając iskry na
czarne niebiosy kosmosu, gwiazdy jaguary, gwiazdy
słońce, zwisającą z oświetlonych niebios małpę, ulatu-
je bez końca w kosmos, na zawsze już rozszerzając fir-
mament wszechświata... choć przecież absolutnie sta-
ły, milczący, spokojny i nieruchomy.

Ty mnie zrozumiesz i wybaczysz impertynencję,

Panie. Błagam o to, ponieważ zbyt zrytualizowaliśmy naszą wiarę: dbamy o Ciebie w sposób szczególny i sądzymy, że zwracać się do Ciebie również należy w sposób szczególny, o określonych porach, w wywołanych architekturą stanach umysłu. Na ogół nosimy wtedy nasze najlepsze ubrania. Śpiewamy nasze pełne desperackiej nadziei hymny. Wyznaczamy jednego z nas, by bez skrępowania, w imieniu nas wszystkich zanosił do Ciebie nasze prośby. I ja, z racji pełnionej funkcji, zanoszę je do Ciebie. Zwracanie się do Ciebie zza pulpitu uważane jest za rzecz stosowną, podczas kiedy mówienie do Ciebie nie stąd, skąd należy, z zarostem na twarzy, w źle wybranej chwili, kiedy wszystkich gonią ich codzienne sprawy, uznaje się za żałosne szaleństwo. Żeby przemawiać do Ciebie, mój Panie, musimy mieć jakiś tytuł, ambonę, konkretny dzień.

Wiele miesięcy później wioskowska społeczność zebrała się, żeby pomóc jej mnie pokochać. Ona zwróciła się ku swojemu wnętrzu, straciła żywotność i energię, zupełnie jak gdyby moja miłość do niej była powolną trucizną. Siedziała nieruchomo, nie potrafiła pobudzić się do życia. Przychodziła tam z nią posiedzieć jej matka, ojciec, ciotki i wujowie. Opętał ją demon, ustalili. Nie odsuwaj jej od siebie, to choroba, to nie jej własna dusza przemawia. Nie odsunę jej od siebie, zapewniałem. W istocie chciałem im się zwierzyć z mojej bolesnej adoracji dla jej życia chwilą obecną, z uwielbienia dla wszystkiego, co jej dotyczyło, powiedzieć, że jej zachowanie w każdej chwili życia jest stosowne i godne czci. Pogryzła się w myślach, zapadła się w głąb siebie i za to również ją kochałem. Wyobrażałem sobie, jak czyste są jej myśli, wiedziałem, że jest niezdolna do gniewu czy przebiegłości, była pora deszczowa i rozumiałem, że jej myśl jest równie prawdziwa jak te deszcze. Mogłem stać w jej myśli niczym w deszczu. Jednak obrażony mąż

nie mówi takich rzeczy. Obrażony mąż krzyżuje ramiona na piersi.

Nie potrafiła mnie kochać, próbowała, ale miała dla mnie jedynie suchość, była tak mała, płakała, jednak jej bladobrązowe ciało nie dawało się przejednać, miało własną wolę, i w tej miłości bez jej miłości nie sposób go było przełamać, a ja ją kochałem, była moim spełnieniem w tym życiu nad szeroką rzeką, ostateczną troską wypierającą z mojego umysłu wszystkich, którzy nie mieszkali nad szeroką rzeką w cieniu sklepienia drzew, z małpimi rodzinami przemykającymi wśród liści jak podmuchy wiatru, pojawiającymi się i znikającymi niczym chmury i ulewy, i z węzami owiniętymi wokół pni, i ptakami w kolorach tęczy, zaciekawionymi, zawsze zaciekawionymi, na każdym kroku, każda gałązka propozycją, którą należy sprawdzić, gdyż budzi wątpliwości, póki nie wpadną, drapiąc pazurkami, w moje ręce.

Miała takie ciemne oczy, wypełnione po brzegi brązową czernią, dojrzałe niczym owoc czekający, by urwać z niego kęs, by go posmakować, jednak gdy pojawiły się pod nimi kręgi cienia, zapadły się głęboko pod szerokim, chmurnym czołem, włosy miała proste, nie myła ich, dopóki matka nie zaprowadziła jej nad rzekę, wołała iść codziennie tam, gdzie przebywały dzieci, i siedzieć razem z nimi, grać i śpiewać ich piosenki. Najbardziej chyba brakowało mi jej śmiechu, głębokiego i bezbronnie melodyjnego, który załamywał się jak woda na kamieniach strumieni Nowej Anglii.

W tym czasie, w jakiś tajemniczy sposób, dotarł do mnie list od jednego z moich nauczycieli z Yale; jakże te nasze listy wędrują, wysmarowywane, naddzierane, gniecione, gubione, odnajdywane, a potem przenoszone kwantowym przeskokiem na odległość ośmiu tysięcy mil, ostatnią milę zaś w ręce kogoś, kto nie potrafi czytać. Wracaj do domu, wszystko wybaczone, i jakiś

subtelny, księżowski żarcik. Jednak tutejsza społeczność nie próżnowała. W tym moim smutku wezwany zostałem na ceremonię. Ona tam była. Zdjęła przepaskę biodrową i tańczyła wokół mnie, piersi miała strome, nie znające dziecka, wąską kibić, toczone łydki, a tam, gdzie łączyły się części jej ciała, jak na przykład w miejscu, w którym pośladki przechodzą w tylną partię ud, nie było najmniejszej zmarszczki. Ojej, ojej. Podobne ciała widziałem jedynie w Ermitażu, u trzech tańczących Gracji, wyrzeźbionych w białym marmurze przez Canovę, z przeplecionymi ramionami, tymi uroczymi zapętlonymi ramionami i ze szczupłymi dłońmi wygiętymi od nadgarstków... Jej proste, czarne włosy unosiły się za nią, prowadziły ją ramiona, wyciągnięte palce płynęły z przodu w mrok, to był chropawy taniec, niczym w nocnym klubie, po alkoholu, uświadomiłem sobie, że się śmieję, poznałem ją teraz lepiej, jeśli nie była jedynie moją niewiarygodnie piękną, tubylczą, dziecięcą panną młodą, ale i umiała być zabawna, znaczyło to, że ma w sobie jakąś duchową dojrzałość, której wcześniej nie zauważyłem, uczyłem się, moje serce biło jak werbel, a cała osada śpiewem życzyła jej zdrowia. A wszystko to stanowiło wstęp do zdjęcia ze mnie obuwia i podkolanówek, szortów, bielizny, koszuli, chustki na szyję, kapelusza oraz do tańca wokół mojej osoby, z tykw wypływało słodkie, sfermentowane, mianokowe mleko porosłej dżunglą matki ziemi, topiąc moje rumieńce i protesty. Nad szeroką rzeką pojawiły się gwiazdy, światło naszego ogniska rozpało boki ogromnych drzew, włókniste liany popędziły w górę i w dół, a ona, sztuka po sztuce, włożyła moje rzeczy, przechadzając się wokół z narastającą pewnością siebie, aż wreszcie, krocząc w moich pantoflach ku wielkiej radości nas wszystkich, stała się mną, komiksowym, białoskórym, pruderyjnym, rzekomym misjonarzem amerykańskiego Korpusu Pokoju, z pretensjami

do bycia antropologiem, w każdym geście doskonała, bezwzględnie krytyczna, a kiedy władczym gestem ściągnęła mi z nosa moje cenne okulary i osadziła na własnym, opierając szkła na skrzydełkach nozdrzy, jej głowa uniosła się, a kąciki ust opadły pod moim opasnym ozdobną plecionką, poplamionym kapeluszem przeciwsłonecznym i zaczęła gładzić się po wyobrażonej rudej brodzie, oblały mnie wielkie pijackie fale objawienia, podsycając płomienie ogniska, a ona padła na mnie i ucałowała mnie w usta, i śmialiśmy się poprzez pocałunki, ona z wielką ulgą, z ogromnym zadowoleniem, że wreszcie ją poznałem, i siedzieliśmy nadzy obok siebie, i jedliśmy palcami pieczonego dzika i pastę ze słodkich kartofli, piliśmy alkohol z mleka dzungli i śpiewaliśmy ich pieśń o wolności. A potem szaman podniósł rękę w geście błogosławieństwa i oświadczył, że nie jest już opętana przez demony, i życzył wszystkim dobrej nocy, i wszyscy życzyli dobrej nocy jemu, i udali się do swoich chat na wielką rundę obłapienia niczym trajkoczące leśne małpy, niczym chichoczące zielone hieny, niczym węzowe, pełzające stworzenia Twojego lasu, Panie. A kiedy ona, gdy zagłębiłem się w nią gładziutko, przyjęła mojego demona i zagryzła moją wargę, i przełknęła moją krew, stałem się jej wzdychającym i wrzeszczącym demonem, zderzyliśmy się niczym wojownicy w pełnych zbrojach, ja zabijałem ją, ona zabijała mnie. Nigdy już nie byliśmy tym, czym byliśmy tamtej nocy, ani moja misyjna miłość, analfabetka, ani ten przyszły wielebny Pemberton, magister teologii.

...och, Tommy, opowiadać te sprośne historyjki, zwierzać się z najbardziej udanego chędożenia w życiu. Augustyn nie wdaje się w szczegóły, niemniej miał przecież tę przyjaciółkę z niższej klasy, swoją *consuetudo*... ach to przyzwyczajenie do łaciny... co nie sprzyjało jego karierze. Bo seks zasadza się na różnorodności, od tań-

czącej o zmroku niewolnicy z czwartego wieku do małych dziewczynek z klasy robotniczej, kupowanych w czasach wiktoriańskich, rzuconych w poprzek łoża pani, jęczących przy rozdzieraniu hymenu, ściskających w wilgotnej dłoni szylinga od rozdzanego do koszuli dzentelmena. Panie, nie zdołalibyśmy wyliczyć Twoich niesprawiedliwości. Ich liczba rośnie wykładniczo, badamy je jedna za drugą, a one tymczasem przygniatają nas falami i jeśli pozwolimy, by przewalały się przez nas, obracając nas i miażdżąc tą swoją niewiarygodną, zatykającą dech w piersiach, powielającą się furia, to w określonej chwili potrafimy postrzec tylko jedną z nich, dostępną naszemu rozumieniu, tkwiącą tam sobie spokojnie niczym nagrobek. Naszemu badaniu dana jest ledwie cząstka niesprawiedliwie uśmierconych na tej ziemi. Czy to może być tak prosta, mechaniczna zasada, jak ta, którą w swoich najgłębszych potrzebach przypisaliśmy Tobie – naszemu najznakomitszemu, najśłynniejszemu, niepowstrzymanemu, jednemu jedyne-mu grzechowi pierworodnemu?

...i teraz ona rzeczywiście jest nawiedzona, a ta historia zawiera pewnego rodzaju morał. Mam na biurku przed sobą paczkę jej listów sięgających całe lata wstecz, niektóre z kolorowymi fotografiami. Nie byłem obecny przy jej święceniach. Oto widzimy ją tutaj, całą w bieli, przed tym wyspiarskim ołtarzem, na piersiach srebrny krzyż, koloratka wokół szyi, włosy, te czarne, połyskujące włosy przycięte stosownie, krótko. Śliczna, śniada buzia, nieco cięższa niż ta, którą pamiętam. Spokojna, błoga. Nosi szkła bez oprawek, ośmioboczne, bardzo modne. Kościół za jej plecami to półkole z blachy falistej, fragment prefabrykowanego baraku. Unosi wysoko drzewce z ukrzyżowanym Chrystusem, moja tubylcza niewiasta, która wzięła wszystko, co miałem do zaofiarowania, wielebna Tonna mBakita, misjonarka pełnomocna zdeformowanych, chłoniakowa-

tych wyspiarzy Tobokovo z atomowego poligonu. Każdego Bożego Narodzenia pisze do mnie w moim własnym języku: Wielebny Pemie, tak do mnie się zwraca. Najdroższy kolego, Wielebny Pemie. Patrzę na jej pismo i myślę o listach, które ludzie wysyłają do gwiazd muzyki country, by zapytać o sens życia.

Film narodził się w ciszy. Pierwsi filmowcy nauczyli się przekazywać znaczenie bez słów. Kadr z napisem potwierdzał jedynie informację daną widowni sposobem niewerbalnym. (Para młodych ludzi huśta się wieczorem na ganku. On wyjmuje pierścionek z kieszonki kamizelki. Patrzy jej w oczy. Napis: „Milly, czy zostaniesz moją żoną?”) To samo można powiedzieć o współczesnym filmie dźwiękowym, gdzie dialog przypomina tamte stare napisy... i potrzebny jest jedynie jako ostateczny, precyzujący retusz. Kiedy pojawił się dźwięk, gadanie stało się bardziej gadatliwe. Scenariusze opierały się w wielkiej mierze na sztukach teatralnych oraz książkach i stąd filmy lat trzydziestych i czterdziestych, nawet filmy akcji, przygodowe, czarne kryminały, są bardziej przegadane, nieporównanie bardziej niż współczesne. Obecnie filmy wykorzystują swoich poprzedników, odwołują się do własnego gatunku i – z wyjątkiem, być może, komedii – mniej w nich słów. Po oświetleniu planu, ustawieniu kamery, zajęciu miejsc przez aktorów, ubranych i uczesanych tak, by wskazać stopień zamożności, wykształcenie, wiek, status społeczny, cnotliwość albo jej brak... dziewięćdziesiąt pięć procent znaczenia sceny jest już ustanowione, zanim ktokolwiek wypowie choć jedno słowo.

Stąd termin „język filmowy” jest oksymoronem. W procesie literackim doznanie przekształca się w dyskurs. Ukwieca myśl rzeczownikami, czasownikami, do-

pełniaczami. Ono myśli. Film powoduje implozję dyskursu, pozbawia myśl literackości, kurczy ją do zwarłego znaczenia wrażenia przedwerbalnego, do intuicji czy rozumienia. Otrzymujemy to, co widzimy, nie musimy tego wymyślać. Widzimy oświetloną scenę, widzimy kostiumy, słyszymy muzykę, widzimy wyraz twarzy, ruchy ciał oraz postawy tych przebranych i uczesanych odpowiednio aktorów – i pojmujemy. Odbiór dzieła filmowego opiera się na dopowiedzeniu. W najgłębszym z sensów filmy to zjawiska z obszaru analfabetyzmu. Zapewne dlatego część najbardziej wyszukanej i wymyślnej prozy współczesnej pisana jest przez krytyków filmowych, którzy wytrwale przykładają się do filmów niewartych najmniejszej uwagi. Dlaczego? Może to być najbardziej okropny, najgłupszy z filmów... nie ma to żadnego znaczenia. Od krytyka uzyskujemy pełną i trafnie wyartykułowaną reakcję. Bo nawet jeżeli całkowicie nieświadomie, to jednak krytyk broni kultury werbalnej, podporządkowując doświadczenie przedliterackiego czy postliterackiego odbioru filmu rozwinięciu i rozszerzeniu myśli syntaktycznej.

Proza literacka dociera wszędzie, do wewnątrz, na zewnątrz, zatrzymuje się, rusza ponownie, jej akcja może mieć charakter mentalny. Nie jest też uzależniona od czasu. Film natomiast jest od czasu zależny, nigdy nie przemyśliwuje, nie przeżuwa, przedstawia zewnętrzną stronę życia, ukazuje zachowania. Ma skłonność do banalizowania pobudek moralnych. Hollywoodzkie obrazy są linearne. Film zainspirowany książką zawsze swobodnie upraszcza jej złożoną, rzeczywistość o aspektach moralnych. W mrocznych, przerażających zakamarkach świadomości powieści są zdolne do wszystkiego. Filmy natomiast ukazują zbliżenia, przemieszczanie się pojazdów, miejsca, pogonie i wybuchy.

W dzisiejszej poczcie elektronicznej:

Everett, Pike nie miał racji, jeśli chodzi o pustynię. Ona jest t u t a j, w tej Metropolii-Diasporze. Czymkolwiek jest, znajduje się w tym cholernym, hałaśliwym, zaszczurzonym, zrytym kanałami i tunelami religio-pleksie z kamienia i szkła. Czy nie to właśnie mówi ten znak? I dlatego widoczny jest jedynie dla wykolejonego, zaniedbanego umysłu. Odchodzę zatem z Kościoła

Boże błogosław

Pem

Mówisz, że trzeba było całej historii,
by nalać do szklanki tego piwa
i nadać lustru za butelkami ową
szczególną matowość,

Ja jednak widzę, że twoje wojenne opowieści
są z drugiej ręki:

biografia twojego ojca, twojego brata, choć nie twoja.
Jesteś jednym z tych drani szczęściarzy, którym –
jak się wydaje –

udało się umknąć tej formacji,
maszerującej szybkim krokiem aż do tej chwili.

Hej, koleś, widzisz ten wózek?

Niech się na moment odsunę od stołu...

teraz go widzisz?

Przyjeżdżam tutaj ze względu na to granatowe światło,
rano czy południe, tu ciągle jest noc.

Starzy bywalcy wiedzą, jak wyglądam, nie gapią się –
Jestem jeszcze jednym dziwakiem, który ma
swoje powody.

Barman przyzwyczał się do mnie,

Niewiele osób wchodzi z ulicy i zatrzymuje się,
i każe mi się czuć żałośnie.

Podkręcam się alkoholem i własną pozą,

A tej smutnej, wciśniętej w dżinsy kobiecie
przy końcu baru,
która pali marlboro,
Jest wszystko jedno, uśmiecha się do mnie,
Są chwile, kiedy ma już dla siebie tyle litości,
że wstaje z barowego stołka
i odwozi mnie do pokoju na zapleczu,
i klęka przede mną,
i dokonuje tego sakramentalnego aktu szacunku,
jak czyniły kobiety od niepamiętnych czasów.
I na te kilka chwil znika wszelka cholerna historia,
która, jeśli się zastanowić,
jest nieskończonym ciągiem samych przedtem i potem,
jak tamto przedtem, kiedy miałem nogi, i potem,
Albo kiedy jeszcze miałem śledzoną, a potem nie miałem,
Zanim postrzelono mnie w bebechy i leżałem,
gnijąc we własnym gównie
w słoniowej trawie na słońcu,
i potem...
I tak dalej, włącznie z tym, kiedy jeszcze miałem odbyć,
a teraz go nie mam.
Jednak ostatnim razem, gdy była dla mnie uprzejma,
myślałem o tych małych dziwkach z Sajgonu,
które śmiały się, jakby rzeczywiście lubiły kurewstwo,
i pieprzyły się, jakby lubiły pieprzenie,
I o których myśleliśmy jak o mięsie, bo były mięsem,
Mięsem armatnim, jak my.
A teraz nie wiem, czy to jeszcze kiedyś zadziała,
ten akt łaski tamtej dobrej kobiety,
Lepszy niż morfina, kiedy już nie da się bez niej obejść.
Być może historia odnalazła mnie wreszcie, tutaj,
ukrywającego się w granatowym barze
mojej złudnej wolności.
Człowieku, ty chcesz opowieści wojennej... no nie wiem.
Nie wiem, jak opowiadać takie historie.
Mogę spróbować ci opowiedzieć, jak tam żyliśmy,

ale jeśli będę o tym mówił słowami i zdaniami,
będę kłamał.

Powinienem mówić językami,

Tak by to Bóg opowiadał o tym, co uczynilem
i co uczyniono mnie.

Może On potrafi stworzyć z tego historię,
może zrobi z niej swoją opowieść.

Wszelkie cierpienia są swoiste,

Nie zachodzą jedno na drugie, żadna synapsa nie strzela
duszą do duszy,

Z Chrystusem czy bez Chrystusa,

I najlepsze, co możemy osiągnąć, to współczucie.

Pieprzyć współczucie.

Wiem, że druga wojna światowa to nie był piknik,

Ale ci powołani, ci najbardziej poszkodowani,

którzy spędzili życie w szpitalach dla weteranów,

Być może znaleźli pociechę, usprawiedliwienie,

skoro walczyli dla sprawy, skoro zwyciężyli,

Co daje im możliwość wybaczenia

za stan, w jakim się znajdują,

I za to, że wszyscy teraz już to mają w nosie.

Jako piechociarz nie umiem tego w sobie odnaleźć,

Nie honoru, ale normalnego psychicznego stanu,

to, co pozostało z mojego umysłu,

opiera się na nieprzebaczeniu.

Chyba nienawidzę wszystkich, którzy teraz przepraszają

za wysłanie mnie tam,

Niemal tak samo, jak tych sprawiedliwych,

którzy nie przepraszają

za swoje realpolitikalne fantazje,

które mnie tam zagnały.

Niesłusznie się sądzi, że prowadziliśmy wojnę.

Nie było żadnej wojny, to nie zaczęło się tak,

jak się zaczynają wojny,

nie skończyło się, jak wojny się kończą,

Wszystko, co z wojskowego punktu widzenia sensowne,

nie liczyło się wcale,
To, kto przeżył, kto zginął, kto zyskał lub stracił dzień,
nie zmieniało niczego,
Było nieważne, nie było żadnych wniosków
do wyciągnięcia,
Żadnych zwycięstw, które pozostałyby zwycięstwami,
Żadnego natarcia, które spowodowałyby odwrót
nie będący natarciem.
Najsilniejsze ciosy, mimo przewagi ognia i uzbrojenia,
Wywoływały tylko chwilę ciszy na mrocznych wzgórzach,
a fosforyzujące błękitno-zielone ptasie pióra
unosily się w górę wraz z dymem.
Nie, to nie była wojna, nie były to wrogie zmagania
dwóch społeczności,
To tylko niektórzy z nas wpadali na chwilę –
podróżnicy zniżający się do
szatańskiego królestwa tej ziemi,
Gdzie drzewa były uzbrojone
i gdzie szperacze kolonii mrówek przebiegały ziemię,
a nagie dzieci wczolgiwały się pod ogłupiałe bawoły,
by pić krew kapiącą z ich wymion.
Zestrzeliwaliśmy te małpy z zielonych baldachimów
i niczym pantery
Czołgaliśmy się ze skurczonymi ramionami
przez ich tunele,
żeby ich schwytać i unicestwić im twarzyczki.
Tymczasem odstrzeliwano kawałki mnie samego
i ledwie ułomek mojego ciała upadł na trawę,
jakiś kudłaty szczur chwycił ten należny mu krwawy kęs.
Czasami ziemia wydymała się i siała z góry
zieloną sieczką leśnej flory,
strzępami nietoperzy, okruszynami świerszczy
i główkami modliszek.
Żółty ryż strzelał w górę niczym fajerwerki,
Radio trzaskało nie dającą się zrozumieć mową,
Słyszałem krzyki i beczenie, i wrzask, i pianie

Drapieżców i ofiar wypełniających swoje
genetyczne przeznaczenie.
Żuki i osy lądowały we krwi krzepnącej w słońcu
i lepiły się do niej,
Drżące motyle wielkości ptaków usiłowały wystartować
z czerniejących krwawych kałuż
umierających mężczyzn,
Chmary żółtych szerszeni doprowadzała do szaleństwa
woń wzbogaconego krwią ludzkiego kompostu.
O, i te pijawki... jak pomysłowo się wdzierały
do uszu i cewek moczowych wycieńczonych
mężczyzn przesypiających swoją wartę
błogosławionej nocy na brzegu rzeki,
żeby tam się dopiero rozprężyć i rozdać.
Jeden facet odciął sobie członek maczetą,
Innego nosiciela zastrzeliłem na jego własną prośbę.
Nie byłem aniołem, koleś,
Zabijałem, kogo zabić było trzeba,
Byłem katem, żyłem w stanie szatańskiej błogości,
Mogłem złamać ich cienkie kręgosłupy kopnięciem buta,
Mogłem wyrzucić te porządne istotki ze śmigłowca,
z tysiąca metrów błękitu...
To nie była wojna, to było życie takie, jakie jest
i było, i zawsze będzie
Takie, jakie nam dał Bóg,
jak dał nam tego skrzypcowego pająka,
najważniejszego pajęczaka
z szatańskiego królestwa tej ziemi.
Znacie naturalnie skrzypcowego pająka.
I ten czysty wysoki dźwięk, jaki wydaje,
gdy snuje swą pajęczynę,
wyjątkowo grubą,
jak jelita skręcone w struny skrzypiec.
Rozpina ją między pniem drzewa a ściółką,
gdzie nie ma łowić latających owadów,
ale wielkie pełzające robaki i mniejsze zwierzęta.

Człowiek, który niechcący wejdzie w pajęczynę
skrzypcowego pająka,
stwierdza, że ugina się pod jego ciężarem jak hamak.
A po chwili jest już na nim sam pająk,
włochaty stwór z ząbkowanymi odnóżami
niewiarygodnie szybko zawijający wokół niego
ciasno utkany kokon, który pokrywa
palącą skórę kleistą papką.
Po kilku dosłownie sekundach człowiek,
jakkolwiek by się starał,
nie może się uwolnić,
Wciąż trzyma w dłoniach swoją broń,
stwierdza jednak, że nie może
pociągnąć za spust.
Nie może ująć noża,
Szarpie się bezsilnie, kiedy ten stwór
łazi po nim, po jego dłoniach i nadgarstkach,
jego twarzy i szyi,
Dokonując wojkowego rozpoznania,
nim wybierze najdelikatniejsze miejsce,
w które wbije szczęki
i trąbką zacznie ssać krew, swoje pożywienie.
Co mówisz? Nie wygląda ci to na żadnego z pajaków,
jakie kiedykolwiek widziałeś?
Wyjaśnij więc, co pozbawiło krwi te zbrązowiałe ciała
które znajdowałem leżące płasko,
jak puste pęcherze, na leśnym poszyciu.
Czy znajdzie się pomnik dla ofiar
skrzypcowego pająka z Wietnamu?
Skądże niby miałyby się wziąć... pomniki stawia się po
wojnie,
A to nie była wojna, chociaż my, Amerykanie,
sądziiliśmy, że nią była,
Tylko samo życie, obiektywne, bezstronne,
oddające się każdemu, kto go zażąda,
od wełnistych mamutów do siarkowej bakterii

Czyżby?

Uważasz się za kogoś lepszego. Takiego, co to w college'u czytał Diderota, i dla niego te sprawy to wiek siedemnasty.

Nigdy w college'u nie czytałem Diderota.

Czy nie on powiedział, że religia to nieznajomość przyczyn zredukowana do systemu?

On to powiedział?

A może ktoś inny... Rzecz w tym, że nie sądziłem, aby życie zwykłego obywatela mogło być tak... enigmatyczne.

Obywatel Pemberton.

Tak, upłynie sporo czasu, zanim się przyzwyczaję. Mam chwilami jakieś dziwne problemy.

Na przykład?

Co zrobić z szatami liturgicznymi. Wyrzucić na śmietnik? Spalić? Zostawić, niech wiszą w garderobie? Spakować? Wydać? Nic nie wydaje się właściwe. I książki. Stare, dobre teksty. Czuję jakiś niepokój, kiedy je widzę na półkach, tam gdzie zawsze stały. Przecież to tylko książki, na miłość boską, czego ja się boję? O to właśnie chodzi... Moje rzeczy.

Twoje życie.

Substancja mojego życia. Od jakichś trzydziestu lat. Miewam napady duchowej rozterki. Jak w... Co ja najlepszego zrobiłem? Przecież miało to dobre strony, których pewno będzie mi brakować.

Na przykład?

Cóż, kwestia zaufania. Krzyż oznacza, że masz prawo troszczyć się o inną istotę ludzką. Zakładasz kolo-ratkę i wszyscy uważają, że możesz się kręcić po hospicjum. Możesz to robić, nie budząc podejrzeń, że jesteś jakimś tam fetyszystą cierpienia.

Przestań, Pem...

Naprawdę. Jeśli jesteś księdzem, rabinem, zakonnicą, ludzie wiedzą, że żyjesz poza nawiasem kultury

materialnej. Akceptują to, mogą nie wierzyć w to, co masz im do powiedzenia, albo może im to być obojętne, niemniej cię wysłuchują, a czasami nawet sami coś mówią. I naturalnie są też tacy, którzy szczerze ci wierzą... oni nie powinni mnie teraz oglądać.

Dlaczego?

Cóż, to jak z kimś, kto zawsze nosił okulary i nagle je zdejmuje. I co? Uszy mu odstają, blade kręgi pod oczyma, wygląda, jakby był nagi. I do tego ciągle mruga, jest na wpół ślepy. To tak jak ja teraz, osoba świecka. I to biedne Boże dziecię u progu śmierci, ono przecież wie, że twoje obietnice były guzik warte.

Biedne Boże dziecię?

Chyba wciąż jestem przywiązany do niektórych słów. To naturalne.

Nie, żebym czegokolwiek żałował, mówię jedynie, że muszę się przystosować. A to czasochłonne. Szczególnie dla kogoś, kto nigdy nie potrafił podjąć decyzji, póki nie rozważył sprawy z tysiąc razy. Rozumiesz przecież, że muszę się zastanawiać nad tymi wszystkimi latami. Co sobie wtedy myślałem? Uroczyste procesje, kolory, koloratki i drobne uroki.... Czy byłem liberalnym anglikaninem... czy animistą? Biorę do ręki mojego starego Augustyna w miękkich okładkach. *De Civitate Dei*. Niemal każde zdanie podkreślone.

Zaraz, chwileczkę, przecież Gustek to cholernie dobry pisarz.

Nie wątpię, że ci się podoba. I te jego pisarskie sztuczki. Wszystkie te doktrynalne pojęcia ukazane tak, jak gdyby rzeczywiście istniały, jak postaci z powieści Henry'ego Jamesa. Łaska Boża to moje ulubione. I ta pełna pasji retoryka... Żeby poznać Boga, musicie do Boga tęsknić. No dobrze, a co wtedy z Wiarą i czy ona przychodzi z, przed czy po Tęsknocie, i tak dalej. To wszystko kwestia tego wewnętrznego głosu. Czy nie powiedziałeś mi kiedyś, że to wszystko wynika z tego głosu?

Owszem. Bo wynika.

Ufasz temu głosowi... który mówi, że wie. Dajesz mu się nabierać do końca. Nawet ty, Everett.

No cóż, nie pojmuję go, kiedy twierdzi, że dzieci rodzą się potępione, chyba że ktoś je pokropi wodą. Tego zupełnie nie chwytam.

No właśnie.

Niemniej *De Civitate Dei* to dobry tytuł. Podoba mi się taki obraz tego miasta, a tobie?

Niewątpliwie jest w nim coś, czego nie znajdziesz na zielonych pastwiskach.

Można na przykład pójść na spacer.

Kupić gazetę i kawę u Koreańczyka.

Iść do kina na popołudniowy seans.

Chyba zatrzymam sobie tę książkę.

Dlaczego nie wszystkie?

No właśnie, dlaczego, u licha, nie? Mój zbiór z historii religii. Ostatecznie nie porzuciłem Boga. Jedynie Tróję.

Midrash Jazz Quartet gra standardy

THE SONG IS YOU

*I hear music when I look at you
A beautiful theme of everything I ever knew
Down deep in my heart I hear it play
I feel it start and melt away...*

*Why can't I let you know
The song my heart would sing
What beautiful rhapsody of love and youth
and spring
The music is sweet
the words are true
The song is you!*

TEGO WIECZORU MIDRASH JAZZ QUARTET MA ZASZCZYT... GOŚCIĆ WŚRÓD PUBLICZNOŚCI LEGENDĘ TEGO BIZNESU... W ISTOCIE NAJWIĘKSZĄ POSTAĆ W TYM BIZNESIE... A TO MOŻE BYĆ JEDNA TYLKO OSOBA... JEŚLI ZATEM SPRAWICIE MU GODNE POWITANIE, BYĆ MOŻE WEJDZIE TU NA SCENĘ I ZROBI KILKA UWAG PO SWOJEMU!

(długotrwałe, rześiste brawa)

Dziękuję, dlaczego nie, mogę spróbować...

Ten facet tutaj twierdzi, że kiedy patrzy na ciżbę, to słyszy muzykę. Mówi, że miłość to piosenka, która mu gra w sercu. Czego innego można się spodziewać po kimś, kto zarabia na życie jako autor piosenek.

(śmiech)

Charakterystyczny, profesjonalny chwyt. Bo czy generał nie powiedziałby: Słyszę huk dział, kiedy na ciebie patrzę? Pewnie tak. I tylko on słyszy tę piosenkę o niej? A dlaczego? Bo ją zwyczajnie, po prostu kocha, mimo jej grubych szkieł na nosie i tłustego tyłka?

(gwizdy, śmiech)

A już najlepszy jest ten jego problem, że nie potrafi jej powiedzieć, co czuje, bo co?... jest nieśmiały? Nieśmiały! Powiedzcie mi, kto na tym cholernym świecie jest nieśmiały? A ci wszyscy, którym się nie udało? Wala was tym, co czują prosto w łeb.

O rany, jak ja bym chciał, żeby choć raz w tym moim długim, pieprzonym życiu podszedł do mnie ktoś, kto byłby zbyt nieśmiały, żeby mi powiedzieć, co o mnie sądzi...

(radosny, pełen zrozumienia aplauz)

Weźmy taką Fanny, tę matkę wszystkich kobiet. Że niby co? Że niby chcesz śpiewać z zespołem? I prask, na odlew lewą dłonią w ucho. Tak jak ta ślucznotka na ścianie? Popatrz się na niego, na tę jego fajkę i podmalowane oczka... tego chcesz? Mamo, wołam, przecież to Bing! Kolej na prawą dłoń, dzwoni mi w obydwu uszach, robię unik, zasłaniam się, przyjmuję uderzenia na ramiona. Chłoptaś z zespołu? Jak jakaś tania cipa, która wstaje, żeby odśpiewać swoje w chórkach? Co to kurwi się na okrągło z całą sekcją saksofonów? Moja bezpłciowa mama. Zrywa mojego bohatera ze ściany, drze na kawałeczki. Wyciąga wszystkie siedemdziesiątki po kolei, łamie je z trzaskiem na pół, jak suchary.

Albo ojciec: Nigdy nie nauczyłem się czytać, powiada. Wiesz, jak to wtedy jest? (Umiem czytać, tato; on mnie nie słyszy.) Jakbyś był ślepy, podchodzisz do skrzyżowania i jakiś przechodzień bierze cię pod ramię. Tak ze wszystkim, wszystkiego dowiaduję się ostatni. Tego chcesz dla siebie? (Umiem czytać, tato!) Nie słuchasz, cholerny smarkaczu, wracaj tutaj, tak cię stłukę, że aż się sfajdasz!

Te brutalne zachowania w moim domu, na ulicy... stacja radiowa, której nie można wyłączyć. Najgłośniejszą księża, Kościół nie wie, co to powściągliwość, słowo rozbrzmiewa jak dzwon, bim-bom, bim-bom, niesie się po okolicy. To dobre dla starszych pań w czerni, które wyobrażają sobie, że maszerują na mszę gruntową drogą obsadzoną drzewami oliwnymi, dla wdów czyniących sękatymi dłońmi znak krzyża w wotywnym mroku, kiedy opadają na opuchnięte kolana. Nie dla mnie jednak te wonie i dzwony, wrzucam pieniądze do skarbonki na biednych i już mnie nie ma. Pieprzyć księdza w krążganku. Ciekawe, co go opętało.

Mówię tu o czasach przedwojennych, przed wojną po wojnie, o nadbrzeżnym miasteczku w New Jersey. Ulice miejscami zapadają się w bagno, na którym je uło-

zono. Przechylone w różne strony słupy telefoniczne podtrzymują obwisłe przewody. Na horyzoncie rurociąg rafinerii, samoloty marynarki wojennej znikające w żółtych obłokach. Nocą niebo rozświetlone płonącymi wyziewami z Meadowlands. No i my, ludzie, którzy to wszystko wdychamy. Tacy, jacy zostaliśmy ukształtowani w tych naszych przystosowawczych slumsach. Robimy zakupy w ciemnych sklepikach, gdzie z oszczędności wyłączono światło. Otwieramy z trzaskiem portmonetki i wyłuskujemy centa po cencie.

O, pamiętam to, przyjaciele, i wolałbym nie mieć tych wspomnień.

Ten dzieciak, którym byłem, wykorzystuje Wielki Kryzys, na swój sposób oswaja go, gruba czaszka jest jedyną mocną kością w moim ciele, przenośnym studium dźwiękowym, komorą rezonansową mojego wewnętrzneg0 głosu. Tajemnica mojego sukcesu, moja gruba czaszka. Wrzeszczący ojciec: Nikt cię tu nie potrzebuje! Wrzeszcząca matka: Ty cholerny obiboku! Zawsze wybiegałem, trzaskając drzwiami. Kiedy już było naprawdę źle, wybierałem się do doków. Przejazdźka za dziesiątaka, tramwaj dzwoniący na zakrętach, ulice takie wąskie, że można wychylić się z okna i dotknąć dłonią stojących po obydwu stronach dwurodzinnych drewnianych domów o płaskich dachach. Z werand gapią się dzieciaki. W górę i w dół stromymi uliczkami, rzeka to się pojawia, to znika, iglice alabastrowego miasta na drugim brzegu unoszą się i opadają jak podium dla orkiestry w teatrze Paramount, wszystko to daje ci do zrozumienia, że jesteś nigdzie, że jesteś nikim, mieszkasz nigdzie, że prawdziwe życie jest tam, po drugiej stronie. Ostatni przystanek, wszyscy wysiadają na ubabrane ptasim łajnem nabrzeża nad cuchnącą rzeką, kilku czarnoskórych z wędkami ma nadzieję złapać jakiegoś usmarowanego ropą okonka na kolację, i ty. Dzieciak bez bioder, tak chudy, że pasek musi

zapinać wysoko powyżej pasa. Siada na połupanych, pełnych drzazg deskach nabrzeża załadowczego i spogląda przez rzekę na miasto z białego kamienia. Piękne miasto. Siedzę pośród plam kaczego łąjna, wydzielanych do czysta krabich skorup, dzieciak, któremu nie dana jest żadna otucha. Zapadnięta klatka piersiowa. Kości cieniutkie jak listewki skrzynek, tych opasanych drutami skrzynek na pomarańcze i grejpfruty, które można skręcić w dłoniach i połamać, tak wyglądał. Ile ma lat, czternaście, piętnaście? Patrzy nad wodą na płonące w słońcu miasto. Słyszy odbijający się echem w niebie stukot podbitych gwoździami butów tych psów wartowniczych Wielkiego Kryzysu. Zatem teraz już wiecie, kim jest to „ty” w tej piosence?

Pewien człowiek chce napisać moją biografię i co ja mam mu powiedzieć? Czy to, że kiedy usuwałem popiół z pieca, to nabierałem tylko na czubek łopaty, bo więcej nie dawałem rady unieść? Co się tak grzebiesz, spływa po schodkach do piwnicy słodki głosik Fanny, wykitowałaś tam czy co? Gorycz popiołu w ustach, przebliski przeżytych chwil, o których nie pamiętasz, póki nie przyjdzie pora umierać. Obrzydliwy smak na języku. Cerata na kuchennym stole pocięta nożem, wzorek w maleńkie żółte kwiatuszki. Na lodówce buczący agregat z okrągłym ożebrowaniem, tłusty, oblepiony kurzem brud. I te wiekowe warstwy białawej farby w pokojach, ściany bez pionu, narożniki bez kątów prostych, nie domykające się drzwi szaf. Takie różne przyziemne sprawy.

Są jednak też nie zatarte, skrywane przeżycia, których nie zapomnisz, one nie rozwijały się razem z tobą, więc na zawsze zachowujesz swoje pierwsze odczucie. Fanny w swoim stroju pielęgniarki, ta wrzaskliwa matka wszystkich kobiet, wydobywa z nich śliskie, rodzące się niemowlęta, przyjmuje pobite kobiety do własnego domu, robi zabiegi tym, które są pannami, tak,

ta zastępczyni przełożonej ze Szpitala Świętego Franciszka robi to, bo jest nie tylko moją matką, ale także matką całego tego świata kobiet w moim domu.

No więc bardzo wcześnie poznałem, czym jest dziewczyna, przez dziurkę od klucza patrzyłem, jak się rozbiera, jak na drewniane krzesło opadają miękko poszczególne części szkolnego mundurka i jak ta zwyczajna dziewczyna, w rozkoszny, zapierających dech w piersi sposób sprężystości wspina się na ten kuchenny stół pokryty ceratą w malutkie żółte kwiatuszki... i czeka, i płacze, i cała taka śliczna, każdy delikatny cał jej ciała tak wymowny, jakby to sam Bóg spojrzał na mnie, a ja bym powiedział ależ oczywiście... jak gdyby ten widok nie był wprowadzeniem, ale wspomnieniem... ależ oczywiście, niczego innego się nie spodziewałem, przecież zawsze to wiedziałem, mają łydki i uda, zaokrąglone pośladki i cipki. A ona tam leży, wpatrzona w światło pod sufitem, z zaciśniętymi zębami, przerażona łka bezgłośnie, tylko drżą jej strome, szeroko ułożone piersi. Nie pamiętam imienia dziewczyny z sąsiedztwa, widywałem ją często w tym szkolnym mundurku, była starsza ode mnie, w wyższej klasie, wyglądała znajomo w ciemnozielonej spódniczce, białej bluzce, podkolanówkach, a pod tą zwyczajnością skrywało się cudowne objawienie rozłożonych na polecenie nóg, unoszonych kolan, do chwili, kiedy w tej dziurce od klucza pojawiały się szerokie, okryte pielęgniarską bielą plecy Fanny i rzucone przez nią prześcieradło, co uratowało mnie przed katastrofą.

A w sercu żadnej piosenki, mięczaku, żadnej burzy w lędźwiach, żadnego trzasku w mózgu ani oślepiającego widoku boskiego dzieła – i to załatwia sprawę, na zawsze należysz już do nich.

Walczysz z tym jednak, popełniasz ten błąd wszystkich młodych głupków, uważasz, że to jest właśnie to, co powinienesz dziewczynom zrobić, tak masz z nimi po-

stępować, tak się kręci świat. Wie, a zarazem nie wie, jak to jest, bo mało nie wyskoczy ze skóry, jak pustka zionie pragnieniem, tą okropną jęczącą potrzebą nie związaną bezpośrednio z nim, ale niczym powietrze obecną wszędzie wokół, nadająca barwę niebu.

Wszyscy moi kumple są tak samo durni. Bo skąd się biorą te głupie dowcipy, skąd ten papieros w kąciku ust, skąd podciąganie dłońmi spodni w kroczu, szydercze spojrzenia spod uniesionych brwi, ochryple okrzyki na przedstawieniu burleski, a jednocześnie nerwowe przełykanie i w klatce piersiowej, przypominającej skrzynkę z cieniutkich listewek, łomot serca w rytmie werbla.

The Fools of Song, Błazny Piosenki. Taką daliśmy sobie nazwę. Niektórzy uważali, że brzmi to trochę jak po chińsku. Niczym Tin Pan. Tin Pan mówić: Miłość to pop song w sercu.

Jakie szanse miał którykolwiek z nas, jakie szanse wy byście nam dali? Mnie, kiedy zginałem ramię i napinałem biceps, makaron nitki, albo Vinniemu, którego nazywaliśmy Klapany, bo mózg mu działał, jakby go o stuknięto o jeden raz za dużo, albo może temu flegmatycznemu Mario, zwanemu Cegłą albo Wychodkiem, bo zbudowany był niczym ceglany kibel, albo Aaronowi, ksywa Żydek, obcemu, nie z naszej dzielnicy, który trzymał się nas, bo pasował mu szorstki, włoski sposób bycia. Chcę przez to powiedzieć, że nasze żarty nie przypominały tamtych z boisk Eton. My szpikowaliśmy śnieżki kamieniami. Szlagiery zaś śpiewaliśmy na rogu przed sklepem ze słodyczami.

Żydek, którego ojciec prowadzi nielegalną loterię liczbową, załatwia nam wejście na popołudniowe występy w Union City, szkoli się bowiem w rekecie, a czasem zastępuje pośrednika, by zaprawiać się w roli padrone, choć nie ma tego istotnego daru, jakim jest wysokie mniemanie o sobie, okropny brak. Bez tego nigdy

nie robi kariery w światku gangsterskim. Poza tym musiał przejść lekkie porażenie mózgowe, bo pociąga palcami jednej stopy, pięta nie całkiem dotyka ziemi. Przez to chwieje się i wygląda, jakby właśnie chciał się unieść w powietrze. Sunie tak tym swoim pasem startowym w przetartych sztruksach i sportowych butach, zima czy lato, a za nim powiewają na wietrze poły koszuli. Uroczy łobuz, entuzjazm na twarzy, wiecznie szczerzy wielkie siekacze. I do tego to niedorzeczne, wysokotonowe, niemal maniakalne rzenie, które powoduje zakłopotanie w tej otchłani teatru marzeń, tak głośne i tak przeszywające, że striptizerka, w rytm bębna trzęsąca piersiami i kręcąca tyłkiem, zastyga pod reflektorami w połowie aktu i spogląda z wściekłością w naszym kierunku.

Raz w tygodniu autobus do Union City. Kobieta w późnym wieku rozrodczym maszeruje wokół różowo oświetlonej sceny. Żydek rzy, Mario wali mnie w ramię przy jakimś szczególnie wymyślnym układzie choreograficznym, Klapany mruczy w kółko o kurwa, dowodząc siły swojej artykulacji, a ja, zapadnięty w fotel, cierpię z powodu jakiegoś pokręconego i ani trochę przyjemnego podniecenia. Martwi mnie, że ta striptizerka zobaczy, jak się w nią wgapiam. Od tej sceny aż bije w oczy głęboka kobieca pogarda. I to fachowe kołysanie kuprem, ba-da bum, ba-da bum... cóż, wierzcie mi, to było tak wulgarne, że przez te wszystkie późniejsze lata mojego knajpianego życia i zadawania się z różnymi kobietami nie widziałem nic podobnego. Było to najsprośniejsze wykorzystanie kobiecości, uwypuklone jeszcze przez tego kretyna w garniturze w kratkę, rozdeptanych butach i w meloniku, który zataczając się, wyłaził zza kulis z długim na metr, różowym, gumowym rogiem sterczącym ze spodni. A ja czułem mdlący ból jąder i byłem wściekły na tę tłustą tańczącą dziw-

kę, że tak prezentuje kobiecie możliwości. Nie chciałem, żeby tak było.

Inną striptizerką, która zrobiła na mnie wrażenie, była mdła, chuda dziewczyna płaska jak chłopak, która przepływała przez scenę w jakimś narkotykowym otępieniu, i to tak szybko, że nawet sam Buddy Rich nie utrzymałby tego tempa.

Skąd mi to wszystko przyszło do głowy? Dlaczego o tym myślę? Być może wtedy... a minęło już jakieś siedemdziesiąt lat od tego czasu... być może wierzyłem, że to, co widzę w teatrze, powinno różnić się od tego, co się dzieje na ulicy. Nie udaję, że chłopak, jakim wówczas byłem, potrafił ten problem przemyśleć. Ten niewiele wart nicpoń, który nie skończył nawet dwóch klas szkoły średniej i próbuje dostosować się do innych Błaznów z rogu ulicy... on stwierdza, że artystyczne występy to zupełnie inna dziedzina? Cóż ja takiego, do jasnej cholery, wiedziałem o show-biznesie, by sądzić, że powinien on człowiekowi dać coś, czego nie mógłby znaleźć poza nim? Ale klnę się na Boga, że tak właśnie myślałem, zupełnie jak jakiś student sztuk estradowych, pu-pu-pa-dup, i nigdy się nie dowiem, skąd mi się to wzięło.

Zatem zgodnie z naszym zwyczajem dziękowania temu i owemu podczas ceremonii wręczania nagród składam podziękowanie Żydkowi, który metodą obrzydzania pomógł mi znaleźć moją własną drogę. Nawiasem mówiąc, bez wdawania się w szczegóły, jego własna droga urwała się nagle i przedwcześnie. Mój biedny kumpel z felernym ścięgnem Achillesa.

Tymczasem jednak próbuję, zgadza się? Wciąż, nieważne jak zdezorientowany, żegluję biorąc namiar na to alabastrowe miasto. O ile byłoby dla mnie lepiej, gdybym był nieśmiały, jak w tej piosence, gdybym tylko nieśmiało wyobrażał sobie, jak całuję Angelę Morelli w cie-

niu drewnianej kładki w Asbury Park. Wsuwam dłoń pod jej wełniany kostium kąpielowy. Nie mogę być już twoją dziewczyną, mówi. Nie chodzi mi o to, że cię nie lubię, owszem, lubię, ale nie mogę ryzykować, że coś się stanie, przecież to moje życie. Chcę z tym życiem coś zrobić. Błyszczą jej ciemne oczy, cudowna, poważna dziewczyna. Odpycha moją rękę. Ty nie masz żadnych perspektyw, mówi. Żadnej pracy. Rzuciłeś szkołę. Nie chcesz czegoś ze sobą zrobić? Tylko wystajesz na rogu i wyśpiewujesz głupie piosenki z tymi innymi obibokami. Jakbyś zupełnie nie miał godności. Dlaczego płaczesz, Angelo, skoro to ja nie mam godności... i co tam jeszcze powiada twoja matka? Nie chodzi o to, co mówi moja matka, mam oczy i sama widzę, że ty nic nie robisz. Mam też uszy i jakoś nie słyszę, żebyś miał jakieś ambicje.

Żadnych ambicji, Angelo, żadnych ambicji? Miałem ambicję, żeby cię przelecieć, czy to nie dość? Miałem ambicję, żeby cię zerznąć i cały ten świat razem z tobą!

I jak myślicie, czy teraz już wiecie, kto jest tą piosenką?

On pali papierosy po trzy sztuki za pensa, trzusi się w łazience, zaczesując do góry włosy, i jak powiedziała dziewczyna, przewodzi Błaznom wykonującym najnowsze przeboje przed sklepem ze słodyczami: *I wanna be loved by you, just you, and nobody but you. I wanna be loved by you a-lone, pu-pu-pa-dup.*

Pierwszy krok do kariery, akt pozwalający się wyróżnić, oddzielenie się od pozostałych. Cegła, stary, słoń ci nadepnął na ucho, czemu sobie nie odpuścisz, nie pójdziesz wywalić jakichś drzwi czy co? A ty, Klapany, nie jesteś nawet w stanie spamiętać pieprzonego tekstu. Piosenka to słowa, dupku, one nadają znaczenie dźwiękom, o nie właśnie chodzi w tej pieprzonej piosence. Takie ich ujeżdżanie, tłamszenie radości, którą miało dawać to wywrzaskiwanie tonów naszej kultury

duchowej na rogu ulicy, wciskanie jej tym starym prykom na górze: Tu jesteśmy i co nam zrobicie?... zabijałem to wszystko, wykończyłem Błaznów Piosenki raz na zawsze. Co, nagle stałeś się reżyserem? Wydaje ci się, że wszystko wiesz, a niby kto zrobił cię liderem? Jesteście, kolesie, do dupy, nie macie pojęcia o śpiewaniu. Może i nie, ale mogę ci rozkwasić tę pieprzoną gębę. Rzucam się więc na Wychodka, bo to jedyny sposób, ale mam nadzieję, że nas rozdziela, zanim on zerwie mnie na kawałki.

I to już koniec, zostaję sam, tylko Klapany nie znika, kręci się wszędzie za mną, robi dla mnie różne rzeczy, zwęzda radio Philco i mi je daje, tego rodzaju sprawy. I jest ze mną od tamtej pory, przez wszystkie te lata, niewiele pod czachą, ale wierny aż do śmierci. Co mi odpowiada. Wyrośliśmy razem, moje życie pełne zmian, jak w opowieści epickiej, jego zawsze takie samo, zogniskowane wąziutko na mojej osobie, mojej osobowości, mojej karierze, to ja wypełniam jego umysł. Wąziutkie pasmo fal u starego Klapasa. Gdyby był moją żoną, już dawno bym się go pozbył. A przecież się stamtąd wyrwał, co prawda uczepiony mojej marynarki, ale się wyrwał, i kto powie, że wszystko mogło się dla niego potoczyć inaczej? Niemniej szczególne to jego życie. Kiedykolwiek trafi się coś dobrego, jakiś zaszczyt, platynowa płyta, medal od prezydenta, cokolwiek, Klapany lubi sobie myśleć, że przydarzyło się to nam obydwu. To trzeba oblać, szefie, zasługujemy na to, jesteśmy najlepsi!

Nie bierz sobie tego wszystkiego do serca, Klapasku... wiesz, że cię kocham.

Na tym Philco słucham Paula Whitemana, późną nocą, z uchem przylepionym do tkaniny głośnika, i Rudy'ego Vallé, i Russa Columbo, i Jacka Leonarda. Łapałem stacje tak odległe jak Pittsburgh, Billy'ego Wynne'a i jego orkiestrę grającą w Pocono Room w Three

Rivers Hotel. To nie była jedynie muzyka, to była klasa. *Here is the Drag, See how it goes; Down on the heels, Up on the toes. That's the way to do the Varsity Drag.* Rudy Vallé to gość po Yale, co jakoś zawsze dawał innym odczuć. Jolson, dobry głos, tyle że przesadzał we wszystkim, co robił. Jolson to jednak nie to. Z kolei Cantor nie był wart nawet pogardy, pajac, żadnej w nim muzyki. Nie lubiłem zabawiających publikę komedian-tów, którzy do tego śpiewali. Potrzebni mi byli piosenkarze, którzy traktowali poważnie to, co robili. Chciałem, żeby byli tym, czym byli i niczym poza tym. Szukałem stylu, elegancji, dobrych tekstów, świadczących o guście i bystrym rozumie. Rozumiecie, za pomocą takiego domowej roboty rozróżniania ten nic niewart łapserdak z New Jersey szkolił sam siebie. Spisywałem piosenki Gershwina, teksty jego brata, miałem specjalny notes, bo George był dla mnie samym szczytem, oznaczał najlepszy styl, wyrafinowanie, nie miałem pojęcia, że wyszedł z Lower East Side, drobny, młodzieńczy jak Hebe, tak jak i mnie daleko mu było do wyższych sfer.

Śpiewałem na poważnie, w samotności, na nabrzeżu, dobywałem głosu przez kanał nosowy, próbowałem go, wsłuchiwałem się w niego, odnajdywałem, przez cały ten czas wpatrując się w miasto po drugiej stronie rzeki, śpiewałem do niego, a oddźwięk słyszałem w mojej grubokościstej czaszce. Chciałem zawiesić swój głos na tym mieście z białego kamienia, tkać go, nitka po nitce, w górę i w dół, w tę i z powrotem, owinać nim jak pajęczyną całe to pieprzone miasto. Teraz już wiecie, co? Ta piosenka to ty, wielkie miasto, od zawsze. Było już moją piosenką, moją piosenką po drugiej stronie szerokiej, oleistej rzeki, kiedy szybujące w górze mewy upuszczały mi pod stopy skorupy krabów, a czarnoskórzy mężczyźni wędkowali na końcu nabrzeża, z niezmienną cierpliwością i nadzieją na przyzwoity posiłek.

Minął jeszcze jeden rok, nim wszedłem na prom, na odległej o kwartał przystani, i przepłynąłem na drugą stronę. Zapłaciłem pieniędzmi otrzymanymi za pracę posłańca w Newark. I powstała przede mną wyspa Manhattan, miejsce dla ludzi, jej obraz nabierał ostrości: liniowce przy nabrzeżach, dym z kominów, zwierzące zapachy z targu West Side'u. Trapem w dół i dałem nura prosto w życie. Klaksony, światła, tramwaje, autobusy, furgonetki, policyjne gwizdki, istny strumień zagrożenia. Kto to zorganizował, co robi, żeby to działało? Skąd ludzie wiedzą, w które wejść drzwi? Jak mogą czuć się swobodnie w budynkach wysokich na czterdzieści pięter? Chodziłem tymi ulicami i chciałem obejmować latarnie uliczne. Wchłaniałem odgłosy, te doniosłe odgłosy wielkiego miasta. Studiowałem sposób poruszania się ludzi, którzy wpadli mi w oko, mężczyzn i kobiet, ich ubrania. Widziałem, jak ludzie wszelkiego pokroju zbierają się na świątłach. Wtedy jeszcze rozlegał się stukot końskich kopyt. Eksperymentujesz jak jakiś uczony, weź taksówkę, powiedz, dokąd chceszjechać, zapłać i daj odpowiedni napiwek, a wszystko to, nie ujawniając, jakim jesteś ćwokiem. Przyjrzyj się tym hotelom, w których grają orkiestry. Zbierz się na odwagę i wejdź tam wieczorem, usiądź z papierosem przy barze i udawaj dorosłego. Obserwuj zespół, a szczególnie to, jak panuje on nad salą, wyłuskaj to jądro ich wykonawczej maestrii.

Tyle tego wszystkiego, a nic dla mnie. Bo wciąż jestem tylko ćwokiem wpatrzonym w wystawy sklepowe. Poprzysiągłem sobie jednak, że jakoś to wszystko oswoję, uwiode, podbiję. Jak? Romantycznymi tekstami! Wykorzystam stary środek wyrazu, muzykę popularną. Czyż można lepiej? Cała emancypacja tego świata, wykształcenie, geniusz, władza i polityka, i pieniądze, i... co?... dzieciak niczym z opowieści o kuglarzu, wyśpiewałbym sobie serce, gdybym nauczył się śpiewać, a sama

Najświętsza Panienska, w pełni kolorów, zesłaby ze swojego marmurowego piedestału i rąbkiem szaty otarła moje zroszone potem czoło. Czy wiedziałem, że jest w tym świecie dość tęsknoty, żeby to mogło zadziałać? Nieopierzony, tak, byłem nieopierzony i umyślowo ograniczony na tym swoim wymarzonej Manhattanie, podczas gdy świat rwał się na strzępy, naziści maszerowali krokiem defiladowym i wywlekali Żydów z ich domów, Stalin mroził na śmierć miliony w gułagach, Japończycy ćwiczyli na chińskich kulisach różne sposoby ścinania głów, Birmańczycy załadowanymi po brzegi wozami tarasowali drogi wychodzące z Rangunnu, Włosi bombardowali wymachujących ku niebu włóczykami Etiopczyków, prawdziwa natura ludzka widoczna w całym pieprzonym świecie, płaczące niemowlę na torach kolejowych, spływająca ze zbocza góry krew, użyźniająca pustynie, zabarwiająca na czerwono morza, świat niczym jeden krwawy cyrk ludzkiego okaleczenia, z morderczą, szaloną wściekłością zdolną wyrwać tę planetę z jej osi... a ja tutaj zawodzę jękliwie w belcanto:

*Why can't I let her know the song my heart would
sing*

*What beautiful rhapsody of love and youth and
spring*

The music is sweet, the words are true...

The song is you!

(łzawa, krzykliwa owacja na stojąco)

Były dziennikarz „Timesa”, obecnie zabójca na własne zlecenie, trzyma w tych dniach głowę nieco wyżej niż zwykle. Mniej się też garbi, nie wbija wzroku w zie-

mię, nie kuli ramion. Po tym, jak człowiek idzie ulicami miasta, można stwierdzić, czy poniósł życiową klęskę. Uwidacznia się ona na tysiąc sposobów, każdy z nich przykrojony jest do konkretnego ciała, niemniej każdy ukazuje wyraźnie, czym jest. Były pracownik „Timesa” wzniosł się ponad tę powłóczącą nogami klasę, niezadowoloną, niedocenianą, zdradzoną, zgorzkniałą czy katatoniczną wreszcie. Nie, nie zapomniał o roli, jaką odegrał ten wypadek w zamknięciu historii sierżanta SS, ale zinterpretował go na swoją korzyść: teraz wydaje mu się, że zanim stracił panowanie nad rowerem, wpadł na chodnik i najechał nazistowskiego mordercę, dostrzegł go kątem oka i rozpoznał. Uważa, że jego ciało zapanowało nad umysłem, że zaistniał konflikt rozwiązany odwróceniem ról, w którym to nie jego świadoma myśl była tą siłą napędową, lecz narastające natężenie pragnienia gromadzącego się w układzie kostnym i mięśniowym. Przeszedł na drugą stronę, przecisnął się gładko przez lufcik swojej wolności, jakież to piękne, że chwila ta była tak oczywista i jednoznaczna.

Były dziennikarz „Timesa” czuje teraz, że wszystko może, że nic nie jest zbyt śmiałe, zbyt skandaliczne, by nie mógł tego rozważyć. Każe sobie krótko strzyc włosy, ćwiczy w siłowni, kupuje kilka nowych, dobrze skrojonych ubrań. Ten łachmyta z ostatnich sześćdziesięciu lat obecnie jest pod tym względem może nie tyle elegancki, ile znośny. Znajduje sobie kobietę, którą traktuje z prawdziwie męskim brakiem szacunku. Jest redaktorką w wydawnictwie, szczupłą, drobną blondynką po czterdziestce. Dzieli z nią poglądy na temat uświęconych zasad gramatycznych oraz wierności wobec starego Drugiego Pełnego Wydania Webstera. Poza tym rozczarowuje go jej łatwowierność, kiedy on fantazjuje podczas kolacji i czyni aluzje do jakichś tajemniczych profesjonalnych związków.

Były dowódca gwatemalskiego szwadronu śmierci, który jest następny na jego liście, prowadzi własną restaurację w centrum handlowym w Queens, tuż przy autostradzie z Long Island. Najwyraźniej tym razem ma do czynienia z historią, którą łatwiej zamknąć, wymaga to bowiem tylko krótkiej jazdy taksówką ze stacji przy Queens Plaza. Jednak były dziennikarz „Timesa” jest zaniepokojony społeczną złożonością restauracji w ogromnym centrum handlowym w Queens. Stoi przed nią, patrząc na tysiące zaparkowanych i parkujących samochodów, hordy kupujących, na należące do wielkich sieci megasklepy, słyszy pokrzykiwania matek, zauważa, jak zawzięcie wpatrują się przed siebie dzieci ściskające chromowane uchwyty swoich wózków. Powietrze wibruje nie kończącym się skowytom pojazdów jadących w przeciwnych kierunkach pobliską autostradą, co robi na nim wrażenie jakiejś bezmyślnej mimikry celowości. Niebo zasłaniają rzędy domów czynszowych z czerwonej cegły, ubabrane gołębie trzepoczą skrzydłami i opadają na resztki junk food, dzieci śmigają na wrotkach pomiędzy zaparkowanymi samochodami, wokół krążą całe grupy nastolatków w modnych workowatych džinsach, nie zasznurowanych air jordach, odwróconych daszkiem do tyłu bejsbolówkach... czy w tym chaosie wolnych ludzi można by wyznaczyć jakiekolwiek granice moralne, czy też należałoby działać zgodnie z zasadami? To nie jest stosowne miejsce dla spraw naprawdę poważnych, tutaj nie może się wydarzyć nic etycznie doniosłego.

Kiedy jednak wchodzi do restauracji, natychmiast odzyskuje ducha. W przyćmionym świetle ma się wrażenie, że tu ciągle jest wieczór. Wystrój jak w hacjendzie, drewniane kratki osłaniają nisze z wyściełanymi kanapkami. Na stolikach wykrochmalone białe obrusy, a przy każdym nakryciu kryształowa szklaneczka na wodę. Kelnerzy w bolerkach. Miły dla ucha, nie dający się zło-

kalizować dźwięk spadającej wody tłumi wszelkie odgłosy z zewnątrz. Jest pora lunchu i dwa czy trzy stoliki zajmują mężczyźni w garniturach... ani śladu kobiet czy dzieci. Przy barze siedzi, rozmawiając z niezbyt zapracowanym barmanem, mężczyzna w granatowej sportowej marynarce. Odwraca się, żeby spojrzeć na wchodzącego: serce byłego dziennikarza „Timesa” wali jak oszalałe – to przecież gwatemalski pułkownik z tamtych wycinków, świetnie zbudowany mężczyzna ze świeżą opalenizną, linia włosów cofnięta daleko na czubek głowy i gęsty czarny wąsik. Nie rozpoznawszy gościa, mężczyzna pozostawia rytuał powitania kelnerowi, a sam sięga po palącego się w popielniczce papierosa.

Były dziennikarz „Timesa” odczuwa mdłości, gdy poznaje w spojrzeniu tamtego tę samą arogancję, która kazała mu przetrzebić inteligencję w swoim kraju, dla tego kraju dobra, i dopełnić to wymordowaniem całych wiosek.

To jednak tylko wizyta rozpoznawcza. Dwukrotnie jeszcze przyjdzie samotnie na lunch i za każdym razem zastanie tam przy barze swojego restauratora, dowódcę szwadronu śmierci, który za każdym razem obrzuci go jedynie obojętnym spojrzeniem i znów się odwróci plecami do sali.

Za trzecim razem byłego dziennikarza „Timesa” sadzą przy stoliku, który jest już teraz jego stolikiem. W kieszeni na piersi ma dziesięciocalowy nóż ze stali karborundowej, kupiony w sklepie Hammacher Schlemmer przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Dosiada się do niego dwóch młodych mężczyzn w ciemnych garniturach i rypсовych krawatach. Schłudni, krótko ostrzyżeni faceci. Ani śladu jakiegoś akcentu, kiedy pytają, czy jest z tej okolicy, czy tutaj pracuje, mieszka. To nie wasz interes, odpowiada były dziennikarz „Timesa”. A poza tym, kim wy, do cholery, jesteście? Nie przypominam sobie, żebym zapraszał was do swojego stolika.

Mamy stosowne upoważnienia, mówi jeden z nich. No to obejrzymy sobie te wasze pieprzone upoważnienia. We właściwym czasie, mówi ten drugi.

Poza nimi w restauracji nie ma żadnych gości i nawet kelnerzy gdzieś się zapodziali. Siedzący przy barze właściciel rozgnięta papierosa, wstaje, powoli podchodzi i siada po drugiej stronie stolika. Jestem Guillermo, pański gospodarz, mówi, szczerząc okapowane zęby w oślepiającym uśmiechu. A ja jestem aniołem zemsty, mówi były dziennikarz „Timesa”. Czuje w sobie odwagę samobójcy. Dwaj młodzi mężczyźni, agenci rządowi, wstają, niby niespiesznie, lecz w jednej chwili są już za nim, tuż przy jego bokach. Guillermo śmieje się, odchyła się na krześle daleko w tył. Nie ty pierwszy tak twierdzisz, choć niewątpliwie jesteś z nich wszystkich najmniej sympatyczny. Bawi go własny dowcip, serdeczny śmiech spływa kaskadami z wypełnionych białymi zębami ust. Były dziennikarz „Timesa” widzi różowe podniebienie i drgający mały języczek. Nie może sięgnąć po nóż do kieszeni na piersi, ponieważ ci dwaj młodzi mężczyźni przyciskają mu ramiona do krzesła. W bezrozumnej wściekłości walczy z ich uściskiem, na wpół się unosi, pochyla do przodu i pluje osławionemu dowódcy szwadronu śmierci w twarz. Ten instynktownie szarpie się do tyłu. Ruch ten zakłóca kruchą równowagę i przez jedną chwilę były dziennikarz „Timesa” widzi gładkie skórzane podeszwy jego nowych butów. Trzaski rozlatującego się w drzazgi krzesła, krzyki. Cała seria basowych głębokich beknięć. Niemniej dźwięk czaszki roztrzaskującej się na wydeptanej restauracyjnej podłodze z udającego drewno plastiku, położonego na betonie, jak pomyśli sobie później, jest mniej donośny niż dźwięk, jaki wydaje czaszka roztrzaskująca się o ceglany murek oporowy. To dwa różne dźwięki, o różnej wysokości. Oczywiście jakiś wpływ może tu mieć wytrzymałość kości czaszki. O ile jednak

natychmiast spostrzegł, że tamten starzec z Cincinnati nie żyje, o tyle, biegnąc teraz przez parking centrum handlowego ku autostradzie, nie miał pojęcia, że właśnie zapłuł tego gwatemalskiego pułkownika na śmierć. Dopiero następnego dnia rano dowiedział się z „Time-sa”, że zadał następny śmiertelny cios.

Wyciągnęliśmy z kartonów książki Pema i ustawiliśmy je na półkach dopiero zbudowanej biblioteki na najwyższym piętrze synagogi ewolucyjnego judaizmu. Od czasu, gdy odszedł ze Świętego Tima, większość tych tomów leżała w magazynie.

Everett, odezwał się, spróbuj nie czytać każdej książki, zanim ją postawisz na półkę, dobrze?

Są tu niezłe sztuki. Dostanę kartę biblioteczną?

Roześmiał się, bywa teraz znacznie bardziej pogodny, mówiłem jednak poważnie. Ułożyłem na stos książki tych jego autorów, których muszę przeczytać: Tillich, Barth, Teilhard, Heschel.

Z grubsza by się zgadzało, skomentował, zerknąwszy na to, co wybrałem. Jak jednak sam zobaczysz, wszyscy ci błyskotliwi teologowie kończą wszelkie rozważania afirmacją tradycji, w jakiej się urodzili. Nawet wielki Kierkegaard. I co ty na to? To znaczy na sytuację, kiedy twoje zgodne z naukowymi rygorami poszukiwanie Boga całkiem przypadkiem kieruje cię z powrotem ku twojemu chrztowi, obrzezaniu...

Na estradzie wielkiej sali balowej hotelu Waldorff jeden aktor po drugim wychwala pod niebiosy bohatera wieczoru, uhonorowanego za całokształt twórczości reżysera filmowego. Jak to on ich uczył, wydobywał

z nich, co najlepsze, zmienił ich życie i tak dalej. Wszystko, czego należało oczekiwać. Bo przecież reżyserzy dają im zajęcie.

Następnie pojawia się dwu czy trzech pisarzy, którzy wynoszą pod niebiosa uhonorowanego za całokształt reżysera filmowego, opowiadając o jego niezwykłym artyzmie, za pomocą którego wyczarował filmową magię z ich skromnych książek i scenariuszy. Mechanizm jest nieco inny niż w wypadku podległych aktorów, bo w końcu ile razy może jakiś autor sprzedawać prawa do kręcenia filmów na podstawie swoich książek jednemu reżyserowi? Nie, to coś zupełnie innego, nazwijmy to upodleniem klasy literackiej. Owo sakramentalne dla kultury filmowej upodlanie literatów jest najpełniejsze, kiedy dokonują go sami ludzie pióra.

Sala balowa, subtelnie oświetlona, zdobna żyrandolami, połyskująca. Wielka celebra w wieczorowych strojach. Mam szczęście, że udało mi się zwrócić na siebie uwagę kelnera z winem, nim wygaszono światła przed pokazem sławnych scen...

Kiedy zaczęło się kino, filmy pokazywano w nie użytkowanych pomieszczeniach sklepowych, płaciło się dziesiątaka i zasiadało na drewnianej ławie. Naturalnie były to filmy nieme, jednoszpulowe, a robił je każdy, ich produkcja była tania, ludzie kręcili własne życie. Opowiadali, jak żyli w ruderach, nędznych kamienicach, jak pracowali za grosze, jak wywalali ich z roboty szefowie w garniturach i krawatach, jak wyrzucano ich, kiedy się zestarzel, jak wyrzucano ich, kiedy odważyli się coś powiedzieć. Pokazywali siebie na rogach ulic, jak rozmawiają, odwiedzają się w swoich domach, pokazywali, jak na publicznych zgromadzeniach wybierają spośród siebie przywódców związkowych, jak strajkują, jak maszerują ulicami, niosą transparenty, jak atakuje ich i trąci konna policja. Czarni pokazywali, jak ich linczuje, kobiety, jak je

molestują i obijają w ich własnych kuchniach, dziewczęta, jak rodzą po zaułkach, pijaczkowie, jak umierają, cierpiąc na delirium tremens, dzieci pokazywały, jak umierają z głodu, starzy natomiast, jak wkładają ich do sosnowych trumien i spuszczaają do grobów. Oni wszyscy kochali te filmy o sobie i tę prawdę o swoim życiu. Czasami jakiś pianista akompaniował toczącej się akcji. Publiczność włączała się w te filmy, wstawiała, żeby udzielać rad, wyrzaskiwała ostrzeżenia w niebezpiecznych momentach, radosnymi okrzykami witała triumf nad złem, płakała, kiedy kochankowie stawali przed ołtarzem, i na wszelkie sposoby brała w tym czynny udział, do tego stopnia, że niektórzy poeci spośród widzów uważali, że gdyby tylko mogli zapisać to, co publiczność mówi do ekranu, mogłyby powstać nowe filmy o widzach oglądających się w filmach i przemawiających do siebie. A potem filmy o tamtych filmach i tak dalej, w nieskończoność. Potrzebny był jednak jakiś porządek ontologiczny i pojawił się on w sposób naturalny, kiedy współzawodnictwo pomiędzy filmami stworzyło popyt na dłuższe, bardziej złożone filmy. Oznaczało to, że filmowcy nie mogli już pokryć kosztów swoich filmów i dlatego udali się po pieniądze do banków i towarzystw ubezpieczeniowych. Dostawali te pieniądze i tym samym banki i firmy ubezpieczeniowe stały się namaszczoneymi arbitrami tego, jakie filmy należy kręcić. Zatem wydawano werdykty i nowo powstała biznesowa klasa profesjonalnych filmowców wprowadzała je w życie. Banki i instytucje ubezpieczeniowe lubiły filmy ukazujące pokój pomiędzy nierównymi rasami, a także szczęśliwych robotników i uśmiechających się brygadzystów, i dobrze ubrane, dobrze odżywione dzieci, i monogamicznych mężów oraz żony, i nadzwyczaj sprawnie funkcjonujące rodziny, równie gładko jak łożyska kulkowe, chodzące do kościoła, gdzie witają ich oraz błogosławią dobroduszni siwowłosi du-

chowni. Filmy te pokazywały ludzi jeżdżących swoimi samochodami, zachwycających się odwagą kowbojów, przedstawiały złoczyńców jako z grubsza ciosanych socjopatów, odstających od normalnych, żyjących w bojaźni Bożej istot ludzkich i ukazywały miłość jako siłę napędową wszelkiego stworzenia. Wynajdywano gibkich, drobnych akrobatów, którzy padając umiejętnie na tyłki, pokazywali komedię życia, i pokazywano napuszone tłuste kobiety dostające to, co im się należy, i nadętych grubych mężczyzn, z których upuszczano nieco powietrza, i zezowatych policjantów padających jeden na drugiego, kiedy usiłowali pochwycić dzieciaki z dmuchawkami do strzelania grochem, i słodkie dzieciątka z buziami wysmarowanymi czekoladowym tortem, i całe zespoły komedianatów rozgniatających sobie nawzajem torty na twarzach, aż stopniowo, ewolucyjnie, powstał system społecznych archetypów, w które wpasowywano odpowiednie pod względem fizycznym osoby i nazwano je aktorami, i znaleziono im miejsce pod kalifornijskim słońcem celem wyprodukowania, na porządnym przemysłowych zasadach, takich filmów korporacyjnych, które niezależnie od tego, jakie przedstawiały czasy, współczesne, historyczne czy przyszłe, demonstrowały oglądającej je publiczności... teraz siedzącej w ciemności w przypominających pałace budynkach wzniesionych jedynie w tym celu... że filmy są formą życia, do którego aspirować musi samo życie, co też, sądząc po wszystkich oznakach, zresztą czyni.

Ubiegłej niedzieli Pem i Sarah z synami przyszli do Central Parku, gdzie umówili się ze mną i moją nową przyjaciółką, panną Warren, przy pewnym drzewie blisko zachodniego skraju Sheep Meadow.

Panna Warren, które pisuje jako wolny strzelec dla

różnych czasopism, urodziła się i wychowała w Nowym Orleanie. W pewnych dziennikarskich kręgach uważana jest za znakomitą. Poznałem ją przed tygodniem na bankiecie z okazji wydania czyjejś książki i nie mam pojęcia, co za niebywały brak wyczucia sytuacji kazał mi ją tutaj przyprowadzić.

Tego popołudnia cały Nowy Jork wyległ na zewnątrz. Spacerujemy, przyglądamy się jakiś czas grającym w softball, znajdujemy sobie porośnięte trawą miejsce, odwijamy długie sandwicze, odbijamy butelki z soczkiem i przygotowujemy się do spędzenia jednej z tych kojących rytualnych relaksujących niedziel, kiedy to w sercu każdego tkwi poczucie straty, a powietrze wydaje się przesiąknięte jakąś nie całkiem skonkretyzowaną melancholią.

Pem pokazuje synkom Sarah, w jaki sposób mogą, na podstawie błysków w oknach wysokich apartamentowców przy Piątej Alei, śledzić drogę słońca. Odpowiadają grzecznie, niemniej nie ściągają bejsbolowych rękawic, popatrzyli już sobie na grę starszych i sami gotowi są do czynu. Pem podwija rękawy. Okay, mówi, do roboty. Chłopcy biegną na wyimaginowane stanowiska. Pem gada przez cały czas, każdy udany chwyt lub rzut spotyka się z jego pochwałą, każda upuszczona piłka z zachętą. Sarah przygląda się. Starszy chłopiec, Jake, dziewięcioletni, nabrał ciała od czasu, kiedy widziałem go ostatnio, jego włosy mają jasnokasztanowaty odcień włosów matki, ma też jej jasną cerę i szeroko osadzone niebieskie oczy. Osiągnął ten wiek, kiedy potrafi już uchwycić w rękawicę lecącą w powietrzu piłkę i cisnąć ją od niechcienia, a umiejętnie, do stojącego na linii Pema. Pem, który nie ma rękawicy, może się jedynie uśmiechać. Młodszy chłopiec, Davey, około pięcioletni, jest ciemnowłosy, bardzo szczupły, wykapany ojciec. Czasami, gdy Davey się zamachnie, piłka leci łukiem do tyłu i ląduje na trawie za nim, a kiedy ma ją złapać,

wyciągnięta rękawica nie całkiem się z nią spotyka. Nie zniechęca go własna nieumiejętność, niemniej nagle ze złością ciska rękawicę i nadąsany szuka pociechy w objęciach Sarah, która siedzi ze skrzyżowanymi nogami na trawie.

Przez cały ten czas panna Warren nie przestaje mówić, próbując, jak mi się zdaje, nawiązać siostrzane stosunki z należącą do jej pokolenia kobietą naukowcem, choć nie okazuje owej typowej dla dziennikarek ciekawości. Nie jest to konwersacja, już bardziej przypomina monolog. „The New Yorker” przyjął właśnie do druku jej artykuł o muzułmańskich ekstremistach w Afganistanie. Pieniędźmi za niego spłaci częściowo prawnika od rozwodów, który notabene nie osiągnął zadowalających ją rezultatów. Ba, zaproponował nawet, żeby zapłaciła mu seksem. Jej były mąż... co to była za pomyłka... wykłada na Princeton, jest sławnym filologiem, jednym z tych obsesyjnie akuratnych i skąpych, zasadniczo typ cioty... oczekiwał od niej, że będzie perfekcyjną profesorską żoneczką.

– Czy to nie szczyt wszystkiego? – pyta.

– Davey – mówi łagodnie Sarah, stawiając syna na nogi – wołają cię. Wracaj tam i graj, zorientujesz się, o co w tym chodzi, jeśli tylko będziesz próbował.

Panna Warren, z licznymi sterczącymi rudoblond kosmykami, które umknęły jej grzebieniowi, ma na sobie swój jedyny strój, na dzień, wieczór i wszystkie kontynenty, kurtkę khaki z mnóstwem kieszeni, miękką koszulę, robocze spodnie wojskowego kroju, wysokie, sznurowane buty. Na szyi granatowa chusta kolejarska, niestaranie zawiązana. Pali cieniutkie papierosy, odpalając jeden od drugiego. Jest wysoka i niechłujna, siedzi zgarbiona w pozycji pełnego lotosu, kieszenie kurtki wypchane telefonem komórkowym, pagerem, papierosami, notesami, organizerem Palm III, a może też, co by mnie szczególnie nie zdziwiło, kilkoma granatami.

W Peru, pisząc o partyzantach Świetlistego Szlaku, panna Warren zakochała się w jednym z ich przywódców. Kiedy zginął w potyczce, nacjonaści obcięli mu członek i wysłali go jej w pudełku do szkoły w Limie, dokąd pojechała z wykładami... Na Sycylii, robiąc reportaż o życiu tamtejszej biedoty, zgubiła się i znaleźli ją trzej robotnicy rolni, którzy zaciągnęli ją do stodoły, po czym kolejno zgwałcili. Udało jej się umknąć. Dotarła do jakiejś wioski i opowiedziała pewnej staruszce, co się stało, a ta z kolei powiedziała o tym lokalnemu szefowi mafii, który zaproponował pannie Warren, żeby popatrzyła sobie następnego ranka na egzekucję tamtych mężczyzn na miejskim rynku. Co też zrobiła.

Co jakiś czas Sarah Blumenthal zerka na mnie z czymś w oczach, co odczytuję jako nieuchronne pytanie: Czy ta kobieta faktycznie jest taką mitomanką, za jaką ją uważam? Muszę przyznać, że opowieści panny Warren brzmią dość egzotycznie jak na niedzielę w Central Parku. Jednak wysłuchałem ich już wcześniej i jak mi się zdaje, mogło się to rzeczywiście wydarzyć. Częściowo przyczyną problemu jest styl narracji, język niczym z szatni siłowni oraz pogodny ton, co wszystko razem kompletnie odbiera logikę tym okropnym wydarzeniom. Rzecz zatem nie w prawdzie czy fałszu tych opowieści, tylko w tym, że jej słowa każą się mieć na baczności.

Teraz mówi, że zarządzający kamienicą, w której mieszka w Soho, jest starym, tłustym, sprośnym obrzydliwcem, który w nadziei, że zobaczy ją rozebraną, lubi wchodzić niespodziewanie na jej poddasze. Kiedy tylko rozpatrzą pozytywnie jej podanie o pozwolenie na broń, wyciągnie spluwę i tak faceta wystraszy, że się gnojek sfajda, a jeśli to nie zadziała, to drania ustrzeli.

Sarah ma spuszczone oczy i wyobrażam sobie, że nie myśli już o kobiecie, którą tego popołudnia przyprowadziłem do parku, ale o tym, co też mnie musiało opętać, że to zrobiłem. To dobre pytanie. Chłopcy i Pem

zajęci są grą, jest wiele krzyku i śmiechu, kiedy on biega zdyszany w tę i z powrotem pomiędzy nimi, żeby uniknąć klepnięcia... W tej promiennej, arkadyjskiej, nowojorskiej scenerii Sarah musi pogodzić się z tym, że ja mam jeszcze inne życie poza towarzyszeniem Pemowi i że prawdopodobnie obejmuje ono słabość do pogańskich tajemnic. Odczuwam wyraźny, tępy skurcz w splocie słonecznym. Nie traktuję panny Warren poważnie, choć jest to kawał kobiety i jej upodobania pozostają w zgodzie z jej seksualną samoreklamą. W każdym razie przez resztę popołudnia będę próbował pokazać, że jej obecność sprawia mi przyjemność, co będzie właściwie z uwagi na tę dwuznaczną uprzejmość okazaną przez parę duchownych. W gruncie rzeczy jestem jej wdzięczny. Pomogła usytuować mnie w nowym i jednoznacznie synowskim układzie w stosunku do Thomasa Pembertona i Sarah Blumenthal... jak gdyby oni byli małżeństwem o długim stażu, a ja młodszym bratem lub synem, który przyprowadził swoją dziewczynę. Chociaż nic mi jeszcze nie powiedzieli, domyślam się, że wkrótce się pobiorą. Jakiś czas temu Pem powiedział, że mam zachować dystans. I właśnie to, uciekając się do tych obnażających i poniżających mnie środków, zamierzam robić.

Znamy Miasto Ziemskie i Miasto Boże, ale jest jeszcze trzecie, Miasto Ptasię, Valdemingomez, ogromne wysypisko śmieci na północ od Madrytu. Gdy zwiedzicie Prado, zwiedźcie też Valdemingomez, tę wielką miejską ptaszarnię zamieszkaną przez bociany, jastrzębie, czaple nadobne, makolągwy, kanie, kawki, kruki, kondory i sępy amerykańskie, które, kiedy coś je spłoszy, krążą nad Valdemingomez i wspomagane wiatrami, ślą siarkowe wyziewy tego miejsca aż ku położonemu da-

leko na wschód Rzymowi. Ptaki Valdemingomez nie migrują, bo niby po co? Lato czy zima, pozostają na miejscu, ponad sto trzydzieści gatunków, przybyło nawet kilkoro przedstawicieli tropików – albatros, niebieskołapy gap – żeby zobaczyć, jak się tu mają sprawy. Składają jaja w starych pudełkach po big macach, gniazda wyściełają taśmą magnetofonową, ptaki śpiewające wfruują do zardzewiałych puszek i wyfruują, szpaki siedzą przycupnięte w obudowach telewizorów, mewy bombardują stare kanapy pojemnikami z resztkami paelli, a kiedy stada gołębi skalnych, gruchając, obsiadają pola kości kurczaków, te postukują jak szyny kolejowe, dzwonią niby gongi, trzepoczą i furkoczą jak tasowane karty, warkoczą i podskakują, i wystukują czika-czik-czik, jak jakiś zespół grający gorące rytmy na marimbach. Dla ornitologów zniżka.

Z tamtej niedzieli w Central Parku pamiętam też, jak chłopcy znaleźli przy drzewie gniazdo brązowych mrówek i że przykucnąłem wraz z nimi, żeby obserwować, jak te maleńkie stworzonka, żadne nie dłuższe niż na jedną ósmą cala, zajmują się swoimi sprawami, a konkretnie budową podziemnego miasta. Od kopca odchodziły promieniście dwa czy trzy różne ich szlaki, a wędrujące nimi wte i wewte owady wchodziły sobie w drogę, czasami się zderzały. Wymachiwały tymi swoimi czułkami, jakby nigdy wcześniej nie widziały podobnych sobie istot, co oczywiście nie było prawdą, bo prawda była taka, że przekazywały one sobie jakieś chemiczne informacje, nim ruszyły w dalszą drogę albo, czasami, zawróciwszy, wracały, skąd przyszły. Mrówki niewiele oczekują od życia. Może i są bezmózgie, niemniej żadne inne stworzenie nie jest bardziej stanowcze w dążeniu do celu, bardziej zdyscyplinowane i nie

ma silniejszej etyki pracy, bo ich życie to praca, nawet życie królowej, może królowej szczególnie, tam w dole, pod kopcem, gdzie nie mogliśmy jej zobaczyć. Mimo braku inteligencji mrówki radzą sobie dzięki genetycznie zaprogramowanemu układowi współczulnemu, pozwalającemu im wnosić swój wkład w dobro ogółu. Jakkolwiek byłyby ich rola w społeczności, piastunek jaj, żołnierzy, strażników, zbieraczy pożywienia, wszystkie one pracują dla królowej, dbając i ochraniając tę składającą jaja monarchinię, której płodność determinuje przyszłość całego mrowiska. A przecież konkretna mrówka najprawdopodobniej w całym swoim życiu nie zobaczy królowej lub czegokolwiek więcej poza swoimi najbliższymi towarzyszami, a jeśli je opuści, na pewno nie będzie pamiętała, że spotkała którąkolwiek z nich. Mimo to, bez żadnego widocznego centralnego mechanizmu decyzyjnego, mrówka mrówce przekazuje instrukcje, z czulek do czulek, po czym zaczynają działać zgodnie... niemalże jak połączone szeregowo procesory czy nawet nasza własna, złożona z neuronów struktura korowa. Każda z nich zawiera jedną komórkę mózgu grupowego, który, w przeciwieństwie do naszego, nie jest nigdzie umiejscowiony, znajduje się gdzieś ponad nimi i wokół nich, niewidoczny organ myśli, którego nie ogarnie żadna z tych mrówek.

A to są najprostsze, najskromniejsze mrówki, jak wyjaśniałem chłopcom, udomowione mrówki z Central Parku, istne mrówcze wróble domowe. Bo są i inne, w dżunglach i w lasach deszczowych, i w weldach tego świata, duże okazy, które budują na drzewach mosty z liści, prowadzą uprawy, przepływają rzeki na trawach własnej konstrukcji, maszerują, toczą wojny, jedzą mięso, kłapią jak wszyscy diabli. Mrówki te mają patriotyczne poczucie swej mrówkowatości, a może nawet własnej godności.

I potem znów wszystko było w porządku, pozostali

przyszli zobaczyć, czemu się przyglądamy i o czym z taką przyjemnością rozprawiamy.

Teraz jednak zastanawiam się nad tym mrówczym niewidzialnym organem myśli złożonej... wyobraźmy sobie, że w rozległym parku miejskim z wijącymi się ścieżkami, drózkami i jeziorami w ciepłą, słoneczną niedzielę widzimy przypadkowo i nieprzewidywalnie poruszającą się dużą liczbę istot ludzkich... jeśli obserwuje się jedną osobę, jedną parę, jedną rodzinę, dziecko, można się upewnić co do integralności woli jednostki i nie móc przewidzieć, co przyniesie następna chwila. Kiedy jednak spojrzeć na te masy ludzi przez szerszy obiektyw, okaże się, że celebrują one jakiś piękny dzień w parku wedle ustalonego porządku czynności, nie robią nic błędnego, nic, co by nie pasowało do okoliczności lub sprawiało wrażenie nienaturalnego. I jeśli ktoś zachowuje się odmiennie, nieparkowo, natychmiast odzywa się alarm, a ten nieprzewidywalny element, złodziej damskich torebek czy facet z pistoletem, zostaje wyizolowany, otoczony, odrzucony, wywieziony jak odpad. Zatem chociaż indywidualnie i prywatnie jesteśmy dyssynchroniczni, poruszamy się na różne sposoby, w różnych celach, w różnych kierunkach, możemy się naraz połączyć, nieważne że na ślepo, pulsujące, komunikujące się ze sobą komórki miejskiego nadmózgu. A ten narząd chce spędzać miłe popołudnia w parku, co lubi każdy z nas, obsypanych ulicznym pyłem mieszkańców miast. Czy wiemy o tym, gdzieś tam w głębi naszego mózgu, kiedy zbieramy się przy takich okazjach? W jakiej mierze chęć skorzystania z uroków parku zależna jest od chęci innych, by zrobić to samo? Jak wiele z tej idei parku znajduje się w tym uaktywniającym się w ładne dni genetycznym zaproszeniu do refleksji nad naszą rozbudowaną neuromorfologią? Nie ma żadnego centralnego mechanizmu decyzyjnego, który mówiłby nam, kiedy i jak spędzić czas w parku. To

zależy od nas. Kiedy jednak to robimy, nasze zachowanie nacechowane jest refleksją, w tych udzielonych nam otwartych przestrzeniach lepiej widzimy, kim jesteśmy, i możliwe, że taka otwarta przestrzeń potrzebna jest, byśmy sobie uświadomili, w prostej formie, tę naszą zwykłą tożsamość wielokomórkowej kultury myśli, którą dzielimy z sobą cały czas, nawet wtedy, kiedy relatywnie ślepi jako jednostkowe osobowości, płyniemy nocą ulicami albo pod nimi, wszyscy jednocześnie – impulsy synaptyczne w mózgu metropolii.

Czy to jest naciągane? Pomyślcie o tym nieprzewidywalnym ludzkim mózgu, o tym, jak szybko przestawia się on na nowy temat, jak łatwo przyswaja nową ideę, obraz, o którym nie śmiał nawet marzyć milisekundę wcześniej... Pomyślcie o tym, jak pierwsza linijka opowiadania ustawia umysł we właściwym miejscu i czasie, na tak długo, jak długo trwa jej czytanie. Jak możecie włączyć radio i raptownie znaleźć się w wirze wydarzeń, słyszeć te wiadomości i wiedzieć, że stanowią własność waszego umysłu w momencie odpalenia neuronu. Jak słysząc znaną sobie piosenkę, wasz umysł odpowiednio nastawia się do rzeczywistości, nim przebrzmi pierwszy takt. Jak poprzedzające film napisy określają parametry waszego emocjonalnego życia na następne dwie godziny... Jak wszelkie doświadczenie ma charakter natychmiastowy i jest odczuwane natychmiast jako zwyczajne, wypełniające umysł zrozumienie. Ten przenikalny umysł, przygotowany na ewentualną inwazję, może zostać opanowany przez wszystkie osobliwości tego świata, przez wszystko, co zachodzi, oraz przez myśli i twierdzenia wszystkich innych umysłów, rozważających wszystko, co zachodzi... równie natychmiastowo i bez udziału woli, jak oko wypełnia się obiektami, które pojawiają się w jego polu widzenia.

Zatem my też podlegamy pewnego rodzaju kwanto-

wej ekscentryczności, znajdującej swój wyraz w nieokreśloności tego, w jaki sposób jesteśmy mierzeni...

W moim nowym stroju, granatowej sportowej marynarce, czarnych spodniach i szarym golfie, startuję z betonowego mola i unoszę się ponad rzeką w wagoniku kolejki na Roosevelt Island. Wietrzny dzień, trochę huśta. Jesteś tu w górze, Panie?

Nikt w zatłoczonym wagoniku nie zauważa, że już nie jestem księdzem.

Ujście East River, wystawione na wysokie pływy, zapraszające, lśniące od słonecznego blasku.

Dlaczego to robię? Najwyraźniej w niedzielę wciąż poddaję się starym bodźcom, szczątkowym uczuciom. Jednak przede wszystkim chciałem odwiedzić niejakiego McIlvaine'a, który umiera na raka płuc.

Decyzja, żeby tam pójść jako osoba świecka, nie przyszła mi łatwo.

Miejskie hospicjum dla ubogich to niski budynek z żółtej cegły na południowym cyplu wyspy.

Mewy siedzące rzędem na falochronie opierają się podmuchom wiatru. Wirujące prądy nie wyglądają zachęcająco, przypominają o wygnaniu. Wzmacnia to jeszcze widok ogromnej ściany Manhattanu po drugiej stronie rzeki. U jego stóp samochody na Franklin Delano Roosevelt Drive pełzną jeden za drugim niby rzędy mrówek. Widzę stąd, jak mknąca pod mostem kolejka z Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy rzuca na rzekę szeroki cień, kiedy tak pędzi do swojego celu w Queens.

W hallu ludzie witają mnie gestem ręki, skinieniem głowy, jak zawsze. „Nieźle ciuchy, proszę księdza”, rzuca ochroniarz. Ktoś pyta, czy mam ważną randkę.

Nie ma się co przejmować, prawda, Panie? Oni myślą, że my wciąż ze sobą rozmawiamy.

Wspinam się po schodach na drugie piętro, oddział męski. Moje nowe mokasyny, nieco zbyt obszerne, klapną na stopniach. I do tego sapię.

Wchodzisz na oddział i natykasz się na charakterystyczne, puste spojrzenia tych przedagonalnych, niemalże martwych istot. Ludzie, umierając, wycofują się w głąb siebie. Wszystko, co w życiu może być interesujące, teraz wydaje im się głupie i pozbawione sensu. Wobec wszystkiego, co vitalne – słońca w oknie, pełnych współczucia odwiedzających, pielęgniarek, które wiodą normalne codzienne życie – są, po środkach uśmierzających ból, głęboko obojętni.

Stary McIlvaine, nawet umierający, nie należał do kategorii przedagonalnych. Nie należał też do tych pobożnych, którzy wychodzili z siebie, żeby pomodlić się z księdzem, by ścisnąć jego dłoń.

Nie ten starzec.

Łóżko za łóżkiem. Nowe twarze, stare twarze, niektórzy dyszą ciężko z nosami celującymi w górę, otwartymi ustami. Panie, chyba go jeszcze nie zabrałeś, spraw, by jeszcze tu był.

Jego antyklerykalizm był łagodny. Jeśli chciałem się pomodlić, mówił mi: proszę bardzo, jeśli chciałem przeczytać psalm, słuchał go z uśmiechem na twarzy. Czynił te ustępstwa, jak gdyby instynktownie rozumiał moją trudną sytuację. „To bardzo ładne, proszę księdza... Skoro ksiądz tak mówi... Nie chciałbym księdza rozczarować”.

Przez całe życie zawodowe był dziennikarzem, reporterem działu miejskiego, kiedy gazeta, do której pisał, przestawała się ukazywać, szukał zawsze podobnej pracy. „World Telegram”, „Journal-American”, „Herald-Tribune”, „Daily Mirror”, Bóg wie, jakie jeszcze gazety, w których pracował, kolejno odchodziły w niebyt. Sobie przypisywał to, że je zamykano: „Stałem się śmiercią, niszczycielem newsroomów.

Wyczekującym, by dojrzała godzina ich zguby”.

Nie ma go tam, gdzie widziałem go ostatnio... czyżby przenosili ludzi z miejsca na miejsce, po co mieliby to robić?... ale już po chwili słyszę charakterystyczny kaszel chorego na płuca, zdaje się on wydobywać z systemu kanalizacji miejskiej, głęboki i bulgoczący.

Oto i on, przedostatnie łóżko, wciąż jeszcze żywy, choć bardziej niż kiedykolwiek wyniszczony chorobą, nos bardziej kościsty, oczy i policzki głęboko zapadnięte, niestosownie gęste zaczesane do góry siwe włosy spoczywają zwiędle na poduszce.

– Panie McIlvaine!

Unosi na powitanie wychudzoną dłoń, po czym przykłada palec do ust.

– Śpiewamy hymny – mówi bulgoczącym szeptem.

Dopiero wtedy widzę, że przy łóżku McIlvaine’a siedzi zakonnica, młoda siostrzyczka w atrakcyjnym, współczesnym habicie. Trąca struny gitary i cienkim, ładnym sopranem śpiewa:

*Oh, shine on, shine on harvest moon, up in the sky.
I ain't had no lovin' since January, February, June
or July...*

Jestem zakłopotany, iż byłem aż tak zajęty swoimi myślami, że jej wcześniej nie zauważyłem ani nie usłyszałem. Głos McIlvaine’a osiągnął wymaganą wysokość, chory wpatruje się teraz w sufit i z błyszczącym wzrokiem, na swój furczący sposób, dotrzymuje jej kroku. Po ostatniej linijce, nie gubiąc rytmu, śpiewają:

*The bells are ringing for me and my gal
the parson's waiting for me and my gal...*

co gładko przechodzi w:

*There's a somebody I'm longing to see.
I hope that he
turns out to be
Someone who'll watch over me...*

Najwyraźniej już wcześniej robili to razem. Zakonnica śpiewa z zamkniętymi oczyma. Pewnie w myślach odmawia zdrowaśki. McIlvaine rwie naprzód. W jego grobowym głosie pobrzmiewa jakiś szalony humor. Teraz ten duet śpiewa *Sentimental Journey*.

Rozglądam się po sali, po głowach na poduszkach. Widzę nietypowe napięcie, coś całkowicie odmiennego od charakterystycznie pustego wzroku tych przedagognalnych... tu odwzajemnione mi spojrzenie, ówdzie coś na kształt uśmiechu, a na jednym łóżku leży żywy trup, kompletnie nieruchomy i wpatrujący się pusto w przestrzeń, którego dłoń, ledwie ledwie uniesiona nad pościelą, porusza się w takt muzyki...

Panie, cóżeś mi uczynił?

McIlvaine pokazuje, że mam śpiewać razem z nimi.

– Podążaj za podskakującą kulą – mówi, a ponieważ wybrałem go sobie na spowiednika, robię to, dołączając swój baryton do sopranu i furkotu. Wyśpiewujemy jeden stary złoty standard po drugim, a odczuwam przy tym tę samą do Ciebie miłość... gorące łyzy podchodzą mi do gardła... co w obecności moich parafian, kiedy wyrzucałem z siebie: „Potężną twierdzą jest nasz Bóg...”

Informacja na temat synagogi ewolucyjnego judaizmu: żadnej działalności usługowej dla społeczności, żadnego żłobka czy przedszkola, szkółki hebrajskiego i tak dalej; na razie, w czasie, który Joshua Gruen na-

zwał pierwszą fazą, nauczanie kierowane jest do dorosłych. Zachęca się członków kongregacji, by zapisali dzieci na lekcje religii do klas w synagodze reformowanej, chociaż Sarah jest bardzo zadowolona, kiedy może włączyć do porannego sobotniego spotkania uroczystości z okazji bar micwy czy bat micwy.

Ewolucyjny judaizm zasadza się na rozpatrywaniu różnych aspektów żydowskiego nauczania oraz praktyk religijnych, analizie ich źródeł historycznych oraz teologicznego uzasadnienia i, tak dalece, jak to możliwe, stosuje wobec nich nowoczesną metodę naukową, oddzielając to, co wydaje się nieistotne, intelektualnie nie do obrony czy po prostu wynikające ze ślepej wierności tradycji, od tego, co jest naprawdę ważne i doprecyzowujące.

W takiej mierze, w jakiej to możliwe, rozważania te prowadzone są podczas odbywających się w piątki wieczorem nabożeństw szabasowych, przy czym sobotnie nabożeństwa poranne stanowią mniej więcej powtórkę piątkowych. Nadchodzące przeróżne święta dają sposobność do rozważań tematycznych. Każde nabożeństwo ma tradycyjny liturgiczny początek oraz koniec (naturalnie odprawia się to po angielsku), pomiędzy którymi przewidziano sporo czasu na rozważania. Nie mają one formy kazania wygłaszanego przez rabina, lecz prowadzonej przez niego seminaryjnej dyskusji. Do tej pory najbardziej interesujące dla mnie okazało się te kilka tygodni poświęconych udokumentowanym hipotezom na temat autorstwa poszczególnych partii Biblii. Oczywiście rabbi podaje też listy lektur, jest również mała, ale rosnąca biblioteka do użytku członków zgromadzenia, tak że, jak na ironię, ten radykalny ewolucyjny judaizm stanowi coś w rodzaju kontynuacji je-sziwy.

Pem i Sarah zgodzili się, że poprzedzające jego nawrócenie studia powinien prowadzić inny niż ona rab-

bi... toteż mój przyjaciel co tydzień spotyka się w Świątyni Emanuela z jej dawnym kolegą. Pem jest niezmiernie szczęśliwy, że obrzezano go, kiedy był niemowlęciem.

– Jezu – powiada do mnie – to dopiero byłby niesamowity sprawdzian wiary.

Jest jeszcze jeden rytuał związany ze zmianą wyznania, mniej wytrwale przestrzegany przez reformowanych – rytualna kąpiel czy zanurzenie w mykwie – ale on chce go zaliczyć.

– W obecności trzech świadków, rabinów, nago dasz nura pod wodę, a kiedy się z niej wynurzasz, jesteś odrodzony jako syn Abrahama. Dla mnie, niknącego chrześcijanina, to pewna pociecha – mówi. – Bardzo sympatycznie przypomina chrzest.

– Pem, powiedz szczerze, w jakiej mierze to twoje nawrócenie ma związek z tym, że chcesz poślubić Sarah?

– Jak mam na to odpowiedzieć? W każdej mierze. I w żadnej. Nie podoba mi się to pytanie.

– Musiałem je zadać.

– Taki jest problem ze świeckim umysłem. Wszystko chce oszacować w procentach. Skala wartości, od jednego do dziesięciu. Wiesz, to był pierwszy powód, dla którego zostałem duchownym. Szukałem niepodzielniego dobra, czegoś, co nie ma części. Sarah jest moim nawróceniem, moje nawrócenie to Sarah. Nasze małżeństwo będzie święte, niemniej wszystko to dla mnie jest kontynuacją mojego smutku, który wynika z tego, że wyznawcy Jezusa poprowadzili nas niewłaściwą drogą. Dwutysiącletnim objazdem. Nie mam tutaj na myśli piękna etyki, człowieka. Mam na myśli teologię. Mam na myśli to, że wynieśli go ponad proroka. Dali mu rodzinne powiązania. Czy to jest wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie?

– Raczej tak.

– Nie masz dzisiaj magnetofonu.

– Zrezygnowałem z niego.

– Wiesz, być może to Izajasz stworzył im taką możliwość. Powinien był postawić sprawę jasno: ta mesjanistyczna idea jako tęsknota, wskazująca kierunek zasada, przynosząca odkupienie nie w chwili przyjścia, lecz za sprawą tego, że do owego przyjścia tak do końca nie dochodzi. Nie wyraził tego jasno, ten stary Izajasz... Daję ci tutaj same perły, Everett.

– Będę o tym pamiętał.

– Z Sarah wracamy do tego. Chociaż nie jestem pewien, czy ona zdaje sobie sprawę, jak daleko trzeba będzie się cofnąć. Ja swoje lekcje odrobiłem. Żydzi też mnóstwo się błakali. Mamy długą powrotną drogę, przez ciernisty las. Ale przynajmniej prowadzi ona do Boga jedyne.

Ubiegłego wieczoru, w piątek, synagoga ewolucyjnego judaizmu była pełna, musiało się zjawić ze trzydzieści osób, przyszedłem dość późno i znalazłem miejsce w wykuszowym oknie.

Sarah ubrana była w rabiniczną czerń, rozpięta szata na stroju codziennym. Tora, wciąż w prostej sukience, leżała przed nią na stole. Poszukałem wzrokiem Pema i zobaczyłem, że siedzi wyprostowany w pierwszym rzędzie.

Trwało to ich seminarium. Tego wieczoru temat dyskusji stanowiły zasady postępowania, owe micwy, których jest chyba sześćset trzynaście. Jakaś dobrze ubrana kobieta w średnim wieku, której nigdy wcześniej nie zauważyłem, mówiła właśnie, że chociaż judaizm reformowany odrzucił już kiedyś wiele spośród tych rytualnych obowiązków, to obecnie zanoszą na to, że przywrócą takie rzeczy jak noszenie jarmułek, prze-

strzeżenie praw dotyczących żywności czy liturgię po hebrajsku. Czy rabbi wie o tym?

– Owszem – odparła Sarah. – Było o tym głośno.

– Kimże zatem jesteśmy, by dążyć do takiego radykalizmu – spytała kobieta, zwracając się do zgromadzenia niczym do ławy przysięgłych – skoro nawet reformowani rabini wracają do tradycji? – Usiadła i czekała na odpowiedź Sarah.

– Cóż, my mamy takie samo prawo do zadawania pytań, jakie miały tamte pokolenia na długo przed nami, włącznie z tymi zreformowanymi, czyż nie? Zaakceptować? Odrzucić? Czy też zmienić pogląd, tak jak oni? Wielkość i chwała judaizmu leży w jego intelektualnym demokratyzmie, choć niektórzy chcieliby mu to odebrać...

– Ortodoksi – odezwał się jakiś mężczyzna.

– Nie wymieniamy nikogo po imieniu – powiedziała Sarah z uśmiechem.

Na spotkania przychodziło coraz więcej ludzi, toteż często trzeba było wracać do już omówionych tematów, jako że nowo przybyli nieustannie domagali się od Sarah, by usytuowała ewolucyjny judaizm względem innych, już ukorzenionych odłamów. Rabbi nie znalazła jeszcze rozwiązania tego narastającego problemu. Wydrukowała materiały prezentujące zarys stanowiska swojej Synagogi, jednak nie wszyscy przychodzący brali je do ręki i czytali, a ci, którzy czytali, niekoniecznie gotowi byli zaakceptować je bez żadnych pytań. Przyjmowała wszystkich, niemniej rosnąca liczba uczestników powodowała, że forma seminarium była o wiele mniej praktyczna niż w czasach rodzin założycielskich.

Kobieta, która zadała pytanie, dość poważnie ubrana, najwyraźniej przyzwyczajona była do bardziej formalnego piątkowego wieczornego nabożeństwa i pewnie przeszła tutaj z tego reformowanego wyznania, o którym dopiero co wspomniała. Kiedy ludzie już we-

szli po kamiennych stopniach do tej niezwyklej synagogi, chcieli być pewni, że robią dobrze.

– Te zasady postępowania – powiedziała Sarah – wraz z komentarzami na ich temat i rabinicznymi komentarzami do tych komentarzy, wszystko to stanowi głos grupowy, który stara się wyrazić poprzez czas, co to oznacza być cywilizowaną istotą ludzką... jednakże kluczem do tego wszystkiego jest „poprzez czas”. Moje pytanie zatem brzmi: Czy czas się zatrzymał? – Sarah wyciągnęła ramiona, jakby czekała na odpowiedzi. Była naprawdę świetna. Cierpliwa i bystra, i piękna, w jakiś nieerotyczny, rabiniczny sposób, a na dodatek panowała nad sytuacją. – Obecnie nie tylko rabini są ludźmi wykształconymi – mówiła. – To po pierwsze. Po drugie, to już nie jest epoka brązu. Nie wiem jak wy, ja jednak nie potrafię traktować serio świętego obowiązku rytualnego ofiarowania zwierząt celem ugłaskania czy uhonorowania Boga... Inny przykład: nie uważam, że w tych czasach należy ode mnie wymagać, bym nosiła szal modlitewny z frędzlami zawiązanymi po rogach w sposób podany w Księdze Liczb, tak żebym nie zapomniała Dziesięciorga Przykazań. Sądzę, iż można mi zaufać, że nie tylko będę je pamiętać, ale i zgodnie z nimi żyć.

– Być może rabbi wie to lepiej – przemówił piskliwie jakiś inny mężczyzna. – Co jednak stanie się z tradycją, gdzie wyznaczyć tę linię... skoro już nic nie pozostaje?

I znów nie był to żaden ze starych uczestników spotkań. Usłyszałem pomruk dezaprobaty. Niemniej dodałem sobie w tej chwili do owych zasad sześćset czternaścą micwę, rytualny obowiązek zaatakowania i przyparcia do muru rabina przed przyłączeniem się do jego kongregacji. Te pytania zadano już wcześniej, już wcześniej udzielono na nie odpowiedzi, ta debata miała równie liturgiczny charakter co czytanie Tory, nie tylko

w trzech odłamach judaizmu, ale wewnątrz kongregacji i w umysłach ich członków. Przecież każdy przestrzegający zasad żyd decydował osobiście, które ze świętych obowiązków należy wypełniać, a które można sobie darować.

– Jest taka linia, którą wytyczamy, kierując się tymi oto regułami: Boga nie czcimy, mechanicznie stosując się do wszystkich przepisów, ale dążąc do ich sedna, do etyki, i przestrzegając jej zasad tak, jakby chodziło o nasze życie, bo w gruncie rzeczy o nie chodzi, mam na myśli nasze życie duchowe, nasze życie jako dobrej, rozsądnej, sprawiedliwej i współczującej istoty ludzkiej. Czy nie to miał na myśli Hillel? „Nie czynь swojemu bliźniemu tego, co dla ciebie nienawistne. To cała Tora – mówił. – Reszta to jedynie komentarz”.

Mężczyzna odezwał się ponownie:

– Jeśli chodzi o mnie, to przestrzegam rytualnego szabasowego błogosławieństwa chleba i świec. To nie kwestia etyki. To jest po prostu to, co robimy. Taka jest tradycja.

Obserwowałem, jak prześliczny rumieniec na szyi Sarah Blumenthal wpęła na policzki. Oczy jej zabłyśły. Skrzyżowała ramiona na piersiach i zastanowiła się nad odpowiedzią. Rozejrzałem się po wyczekujących twarzach: większość członków zgromadzenia, jeśli nimi byli, miała nadzieję, że nasza rabbi okaże się błyskotliwa. Zastanawiałem się, czy Pem rozumie, co się dzieje. Za każdym razem, kiedy zadawano pytanie, odwracał się na krześle i piorunował wzrokiem pytającego.

– Ja również wypowiadam błogosławieństwo, kiedy zapalam świece – powiedziała Sarah. – Jeśli rytuał pociąga nas poza zwyczajny zakres odczuć i kieruje nasze umysły ku rozważaniom, kim jesteśmy i kim mamy nadzieję być, jest on etycznie znaczący i nie zachodzi tu żaden konflikt. Pozwólcie jednak, że spytam, co uważamy za tradycję... Uważamy za nią owe modły,

które w aspekcie historycznym służyły wzajemnemu rozpoznawaniu. Jednakże słowo „tradycja” określa nas, nie Boga. Naszą tęsknotę, nasze obsesje. Naszą poezję, epikę naszego ludu, ale nie...

Jakiś stary mężczyzna uniósł się z krzesła.

– Proszę wybaczyć, rabbi – odezwał się. – W większości spraw jestem po pani stronie. Ale epika? Epika jest dla Greków.

Wypowiedź ta wywołała śmiech, a kilka osób zakłaskało. Zaskoczony mężczyzna rozejrzał się wokół z niepewnym uśmiechem i z większą już odwagą kontynuował:

– Wiecie, zobaczyłem tę synagogę kilka miesięcy temu podczas spaceru. Wpadłem na chwilę, spodobało mi się to, co zobaczyłem, nowoczesna, młoda rabbi, która nie lęka się pytań, intelektualna dyskusja na ten i ów temat oraz krótkie, sympatyczne nabożeństwo, choć do niektórych rzeczy niełatwo się od razu przyzwyczaić. Na przykład nie byłem zachwycony koedukacyjnym minjanem*, ale nie mówmy o tym. To jest niewielka kongregacja, nic wymyślnego, nikt tutaj się nie puszy i nie zadziera nosa. I nikt nie wyciąga ode mnie pieniędzy na fundusz budowlany. Skoro więc wy, nowi, jesteście zainteresowani, to mogę wam to miejsce polecić... Proszę jednak, rabbi – mówił, zwracając się ponownie do Sarah – powiedz, czy się mylę, uważając, że są rzeczy, których w wątpliwość podawać nam nie wolno? Na przykład to, że Torę otrzymaliśmy od Stwórcy, niech będzie błogosławione imię Jego. Że akceptujemy istnienie Królestwa Niebieskiego. Bez tego nie ma co mówić o tradycji... bez tego nie ma religii. Niczego.

Zobaczyłem, jak Pem kurczy się na krześle i jak

* Co najmniej dziesięciu żydów płci męskiej, powyżej trzynastego roku życia, wymaganych prawem do odprawienia nabożeństwa czy utworzenia religijnego zgromadzenia (przyp. tłum).

przyciska dłonie do głowy. To był właśnie ów moment – on doskonale to wiedział – kiedy racjonalizm zderza się z twardym murem.

Drobny człowieczek przyjmował aprobujące uwagi ludzi siedzących w jego pobliżu. Zdawało mi się, czy też w tym momencie rzeczywiście dojrzałem w oczach Sarah pragnienie, by jej mąż zmartwychwstał? Zacząłem się zastanawiać, zły na siebie za te myśli, czy w kwestiach teologicznych polegała całkowicie na Joshui, czy była zdolna samodzielnie przekazywać jego idee.

Teraz wstał z krzesła jakiś potężnie zbudowany mężczyzna, co, zważywszy na jego rozmiary, wywołało trochę zamieszania, włącznie z chrobotem krzesła, które się prawie przewróciło, i odchyleniem się od niego siedzących po bokach ludzi. Rosły mężczyzna oznajmił:

– Ortodoksyjne modły, które nie dopuszczają światła współczesnej wiedzy, nie są niczym innym jak pewną formą okazywania czci przodkom.

W sali zapanowało całkowite milczenie.

– Powiadasz – zwrócił się do drobnego mężczyzny – że starożytni mieli bliższy kontakt ze Stwórcą niż my. Że wiedzieli więcej, że zrealizowali wszystko, co było do zrealizowania. I że teraz wszystko jest już stałe i niezmiennie. Czy to nie oznacza, że czcimy tym samym coś lub kogoś pomiędzy nami i Bogiem?

Mężczyzna ten, sprawiający wrażenie apodyktycznego, miał wielką czuprynę siwo-czarnych włosów, krzaczaste brwi, obwisłe policzki i zaskakująco grubo ciosane rysy twarzy. Od wydatnego nosa do szerokich niczym wrota ust ciągnęły mu się głębokie bruzdy. Mówił głębokim głosem:

– Cześć dla przodków jest oznaką pobożności w sintoizmie. Sądziłem, że w Synagodze rzecz ma się inaczej.

Jego wypowiedź poderwała na nogi Pema, czy raczej spowodowała, że się odwrócił i wsparłszy kolano na krześle, uniósł się, aby zobaczyć, kto wypowiada te sło-

wa. Mężczyzna ten zwrócił moją uwagę, już kiedy przyszedłem, zaciekała mnie ta szerokopleca postać pochylona do przodu niczym *Myśliciel* Rodina, choć zapewne bardziej niecierpliwa niż refleksyjna. Wyglądał znajomo, ale jakoś nie potrafiłem go umiejscowić. Teraz, kiedy przemówił, natychmiast sobie przypomniałem.

– Starożytny Izrael był niewielką krainą – mówił, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Hebrajczycy stworzyli koncepcję Boga kosmicznego, wspaniałego Boga wszechświata, choć naturalnie myśleli o nim w kategoriach swojej krainy, jej upraw, plemiennych wojen i swego przeżywającego wzloty i upadki związku z Nim. Mocno osadzili Go kulturowo, tego Stwórcę, nazywając grzecznościowo Panem lub Królem. Co było całkiem zrozumiałe. – Mówiący podniósł głowę i zwrócił się do całej sali. – Jeśli jednak zechcecie pomyśleć o tym, co obecnie wiemy o wszechświecie... jak to, że ma on z grubsza piętnaście miliardów lat i raptownie się rozdał i od tamtej pory rozdyma się nieustannie, że przestrzeń jest bezspornie czasem, że czas jest bezspornie przestrzenią, że grawitacja potrafi ją zakrzywić, że inna siła we wszechświecie przeciwstawia się grawitacji, tak że wszechświat nie zapada się w siebie... i że ten wszechświat w tym swoim prawdopodobnie ciągle przyspieszającym rozszerzaniu mieści nie tylko galaktyki zawierające miliony gwiazd, ale i gromady galaktyk, które z kolei tworzą gromady gromad... i razem z tym wszystkim jest jeszcze owa czarna materia, którą wreszcie musimy kiedyś poznać... cóż, mnie wydawałoby się, że Stwórca, który zapoczątkował ten wszechświat... być może cały ciąg wszechświatów, z których jedynie ten jeden jesteśmy zdolni postrzegać... ten Stwórca, niech będzie błogosławione imię Jego, który potrafi zbudować materialną rzeczywistość, czy to, co postrzegamy jako rzeczywistość, z nieokreślonych, nieprzewidywalnych

współzależności falowo-cząstkowych... czy być może sporządzić wszystko, co nasze zmysły mogą zauważyć, a umysły wydedukować... z czegoś, co ostatecznie może okazać się częstotliwością wibracji kosmicznych strun... że wszystko to pochodzi od Niego lub od Niej czy od Tego, od kogoś, kto, z definicji, jest większy i wspanialszy od tego wszystkiego... i kto dał istotom żyjącym ewoluujące formy, a rodzajowi ludzkiemu powoli ewoluującą świadomość, która zaledwie zaczyna pojmować ogrom tego, co przed nią się odsłania... Cóż, zmuszony jestem zapytać znajdujących się pośród nas tradycjonalistów, czy być może nie dość chwalimy naszego Stwórcę o błogosławionym imieniu, grzecznościowo nazywając go Panem i Królem, by już nie wspomnieć o Ojcu i Pasterzu...

Mężczyzna usiadł. Długa chwila milczenia. Rabbi odchrząknęła.

– Myślę, że chyba czas już na kadisz.

– Everett, a któż to taki?

– To musi być Seligman. Większy, cięższy i uczesany. Niemniej to Seligman, bez dwu zdań. Chryste. Ależ się cieszę, że mnie nie zauważył.

– Dlaczego? Coś z nim nie tak?

– Seligman to był szlub, gruboskórny typ, doskwierał ludziom. Nigdy nie miał dość pieniędzy na lunch. Nigdy nie uważał na lekcjach. Musiałem mu opowiadać fabułę Makbeta.

– Kiedy to było?

– W szkole. Miał zwyczaj klapnąć sobie przy mnie w sali do nauki i przepisywać pracę domową z algebry.

– Gdzie?

– W Bronx High School of Science. To była moja szkoła średnia.

– Zaraz, chwileczkę... nie masz chyba na myśli Mur-
raya Seligmana!

– Nigdy nie wiązał sznurowadeł. Miał zielone zęby.

– Ten Murray Seligman... noblista z fizyki?

– To też.

Pem wpatruje się w moje oczy. Uśmiech, coraz to
szerszy.

– No no... – mówi.

– Co no no?

– Kto mu powiedział o ewolucyjnym judaizmie? Tak
sobie po prostu wszedł?

– A skąd niby mam wiedzieć? Spytaj Sarah.

– Ona pewnie też nie wie. Zresztą to nieważne. –
Przechyliła się przez stół, kładzie mi dłoń na karku
i całuje mnie w czoło. – Bóg ma swoje sposoby. Musisz
mi uwierzyć na słowo. Rozmawiasz przecież z Teologicz-
nym Detektywem.

– Pem...

– To, co zaszło tego wieczoru, było sygnałem.

– Bez wątpienia. Stuknięty Murray, który o mało nie
wysadził w powietrze laboratorium chemicznego. Był
takim niechlujem, że nie pozwalali mu przeprowadzać
doświadczeń. Nie mów mi takich rzeczy!

– Jakich rzeczy? Niby co ja ci mówię? Niechlujowi
niczego nie przypisuję. Przypisuję to tej okazji. Coś ci
powiem, Everett. Jako człowiek świecki nie rozumiesz...
jeśli jest w naszym życiu jakaś pośrednicząca religijna
siła, musi się ona objawiać odpowiednio do naszych cza-
sów. Nie skądeś z góry, ale jako objawienie ukrywające
się w naszej kulturze, na poziomie ziemi, na ulicy, więc
gdy nadejdzie aleja, pomiędzy samochodami, trudno je
będzie odróżnić od otoczenia. Ukryte, będzie rozpozna-
wane z upływem czasu, po kawałku, aż w końcu po-
wszechnie zostanie uznane za prawo naukowe.

– Taa, umieszczą je na krzemowym chipie.

– Wstydziłbyś się! To czasy demokracji, Everett.

Żyjemy w demokracji postmodernistycznej. Uważasz, że Bóg tego nie wie?

– Muszę się napić.

– Kelner, jeszcze jedną kolejkę!.... Co cię tak wytrąciło z równowagi?

– Nie wiem.

– Jesteś zaniepokojony, bo zostałeś w to wmieszany.

– Och, przestań.

Pem zanosi się gromkim, zdrowym, barytonowym śmiechem.

– Jesteś zaniepokojony, bo to do ciebie zaczyna docierać! Jak ten krzyż, który pojawił się na dachu synagogi, jak moja miłość do Sarah Blumenthal, jak to, że ten wielki fizyk, laureat Nagrody Nobla, który pojawił się dzisiejszego wieczoru, jest tamtym szajbussem, który przepisywał od ciebie zadania domowe w szkole średniej w Bronksie... i jak to twoje błędne, a chwalebne założenie, że potrafisz napisać o tym książkę!

Wystąpienie Sarah Blumenthal na Konferencji Amerykańskich Badaczy Religii, Waszyngton

W dobiegającym końca dwudziestym wieku wielkim cywilizatorem naszego świata zdaje się być wątpliwość. Wątpliwość, ów nieustannie dyskutowany elastyczny wewnętrzny stan teologicznej niepewności, ta chęć uwierzenia zespolona z ponurym albo niespokojnym, albo bolejącym sceptycyzmem, zdawała się trzymać ludzi na uwięzi zachowań etycznych, podczas kiedy ci prawdziwie wierzący, jakiegokolwiek wyznania, religijni czy tylko formalnie do jakiejś religii przypisani, dokonywali morderstw. Bo impuls, by ekskomunikować, nazywać szatanem, wymazywać, przeprowadzać czystki etniczne, jest impulsem religijnym. W praktyce i polityce religijnej Bóg zawsze stanowił licencję na zabi-

anie. Jednak utrzymywanie w zawieszeniu i niepewności jakichkolwiek zdecydowanych przekonań o Bogu czy o życiu z Nim po śmierci w pewnym sensie gwarantuje postępowanie zgodne z Jego duchem. A jeśli chodzi o doktrynersko religijnych, to stwierdzam, że ufam raczej tym, którzy skłaniają się ku znajdowaniu pociechy w symbolice, niż tym, którzy dążą do potwierdzania gwarancji historycznych. Właśnie takim ludziom, pełnym niepokoju krzewicielom tradycyjnej, ustabilizowanej religii, którzy nie idą noga w nogę z jej zwyczajami i obrzędami czy których irytują doktrynalne wypowiedzi, czy wreszcie którzy tracą swoje kongregacje na rzecz charyzmatycznych wirtuozów wypełniających nawróconymi całe stadiony, tym właśnie profesjonalistom religii ufam. Tym wiernym, którzy czytają Pismo tak, jak Coleridge zdefiniował lekturę poezji czy beletrystyki, to znaczy że „świadomym zawieszeniem niewiary”.

A przecież oni muszą być wobec siebie szczerzy i rozumieć, że ich wiara jest niepełnowartościowa. Wymaga się od nich czegoś więcej. Czegoś więcej...

Stawiam pytanie: Czy jest możliwe, by behawioralne przykazania religii, jej nagłaça etyka lub pozytywne wartości społeczne mogły być utrzymane bez odwoływania się do autorytetu Boga? Podczas seminarium z metafizyki w Harvardzie mój profesor powiedział, że nie może być żadnego powinno się, żadnego imperatywu kategorycznego w sensie Kantowskim, żadnego działania ze strony nieprzepartego sumienia, bez jakiegoś najwyższego autorytetu. To jednak sprawy nie wyjaśnia. Ja pytam bowiem, czy porzuciwszy elementy religii o charakterze wyjątkowym, liturgicznym, rytualnym i wręcz po prostu fantastycznym, można utrzymać jakąś etykę uniwersalistyczną... w jej duchowości? Do pewnego stopnia, w zaawansowanych demokracjach przemysłowych, takie zachowanie zоста-

ło już skodyfikowane w odniesieniu do autorytetu nie wyższego niż prawo cywilne. Skoro nasza konstytucja nie tylko rozdzieliła Kościół i państwo, ale też przyjęła jako podstawę prawa cywilnego coś z samej najlepszej istoty judeochrześcijańskiego systemu etycznego, to czy nie zaszło tam nie tyle oddzielenie, ile zawłaszczenie, zazwyczaj pomijane w wypowiedziach naszych co bardziej pełnych pasji kaznodziejów?

Założmy zatem, że w tym kontekście uświęconej świeckości idea Boga mogłaby być postrzegana jako Coś Ewoluującego, jak ewoluowała cywilizacja... że Boga można redefiniować i formować na nowo, tak jak ludzkości udaje się osiągać coraz wyższe stopnie metafizycznego i naukowego wyrafinowania. Przyjmujemy, że w historii ludzkości można dostrzec przynajmniej pewien układ postępowo wyrafinowanych metafor. Zatem to, że poszukujemy celowości tak daleko, bo aż we wszechświecie tak ogromnym jak dostrzegalny kosmos i tak niewyobrażalnie małym jak cząstka elementarna, daje nam jedyną na temat owej celowości wskazówkę... że my, istoty ludzkie, żyjemy w rzeczywistości, w której duchowość jest czymś istotnym.

Zgodnie z takim poglądem najwyższym autorytetem nie jest Bóg, który stał się elementem liturgii, do którego się modlimy, którego błagamy, którego wizerunki tworzymy, o którym piszemy teksty albo się wypowiadamy, któremu śpiewamy czy wznosimy mury świątyni... lecz Bóg, który jest niedostrzegalny, niewysłowiony, choć nie dla naszego rozwiniętego poczucia moralności.

Konstytucjonaliści zwykli mówić o amerykańskiej religii obywatelskiej. Tymczasem jakieś dwieście lat temu wydarzyło się coś... nie w kategoriach historii narodowej, ale historii ludzkiej... co musimy sobie dopiero uświadomić. Zrozumienie, co to takiego, może okazać się zadaniem chwili dla naszych teologów. Pociągnie ono jednak za sobą ekspansję zobowiązań etycz-

nych, skierowaną dokoła, demokratycznie, w pełnym zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni, nie tylko na naszych współwyznawców – będzie to takie codzienne, ogólne i naturalne honorowanie praw człowieka, tak naturalne jak uścisk dłoni. Czy ośmielimy się mieć nadzieję, że być może teolodzy się wyemancypują, by wyartykułować lub postrzec inną możliwość w naszym poszukiwaniu tego, co święte? Nie załedwie jeden nowy rozdział, ale całą nową opowieść?

Być może niewiele jest czasu. Jeśli demografowie mają rację, w połowie nadchodzącego stulecia na Ziemi mieszkać będzie dziesięć miliardów ludzi. Na całej planecie ogromne, zatłoczone ludźmi megamiasta walczyć będą o zasoby naturalne. I być może, aby przetrwać, ludzie będą mogli liczyć jedynie na sprawdzoną przez czas politykę Bożą. W takich okolicznościach modlitwy ludzkości zabrzmiały dla niebios niczym skowyt. A nasze nadzieje odnośnie do życia zostaną poddane takim próbom i wstrząsom, że wiek dwudziesty wydawać się będzie rajem utraconym.

Dziękuję.

Ptaki śpiewające: Skowronek... Rudy Rudy Rudzik...
Świergotek Szczęścia...

Dzisiejsze filmy, jak wiadomo, nie wymagają taśmy filmowej. Zapisuje się je i utrzymuje w cyfrowym zawieszeniu w postaci jedynek i zer. Zatem w momencie, w którym oświetli się i nakręci ostatni pozostały kawałek świata, nastąpi jeszcze jeden Big Bang... i przeogromna mnogość jedynek i zer rozsypie się po wszechświecie w postaci cząstek zachowujących się jak fale...

aż, wstrząśnięte wiatrem słonecznym lub zapalone protuberancjami czy w jakiś inny sposób pobudzone do życia tym czy innym sygnałem niebieskim, ułożą się w jasne konstelacje, które zaświecą pełnią kolorów na nocnym niebie jakiejś odległej planety... gdzie pełna czci, nierozpoznawalna forma życia spojrzy bezceremonialnie w oblicza Randolpha Scotta, Gail Russell, George'a Brenta, Lindy Darnell... by wymienić jedynie kilka gwiazd.

Nie spodziewam się zaproszenia na ślub. Z uwag rzuconych przez Pema wnoszę, że będzie to prosta, pięciominutowa ceremonia w ratuszu. Kwiaty od ulicznego sprzedawcy. Odbijające echem, przypominające katakumby marmurowe korytarze. Dowód tożsamości i pozwolenie na ślub w jednej ręce, papiery rozwodowe w drugiej. Ministerstwo Administracji: bezokienna sala z witrażowymi wstawkami w ścianach.

Opisywali to często w gazetach – zakochani przypieczętowują swój los za pomocą ślubu cywilnego. Zdjęcie kolejki par i ich świadków, przystojni imigranci z Indii Zachodnich, wystraszeni i bladzi osiemnastolatkwie z Queens, krępi młodzi Latynosi odziani w kolory tropików, szykowni, mnóstwo śmiechu, gotowi rozpocząć tańce, spokojna, starsza od reszty, trzymająca się za rękę para. Pem i Sarah. To jest ta zgodna z ich zasadami decyzja – sakrament municypalny.

Może Seligman będzie ich świadkiem.

A teraz myślę o nocy poślubnej. Nieprzyjemnie jest wyobrażać sobie, jak robi to dwoje ludzi, których się zna, ja jednak nie mam z tym najmniejszych problemów, bo to przecież taka czysta sprawa, taka ślubowana wierność, że nie ma w tym nic pornograficznego: Pem opuszcza swoje niezgrabne, pełne uwielbienia ciało na

Sarah, jej dłonie wędrują po jego plecach niby uczące się palce osoby ociemniałej, on niemal łka z radości, zakłada kosmyk jej włosów za ucho, tak jak robi ona, kiedy pochyla się nad torą, dotyka jej ust, a kiedy się całują, w jego umyśle nie zachodzi żaden proces, nie powstaje tam bieżący komentarz, ta niezniszczalna jaźń rozplywa się. Myślę, że jest ciemno, późno, chłopcy śpią już piętro niżej, niemniej jej oczy zdają się przyciągać słabiutkie światło z ulicy, dzięki czemu połyskują w mroku jak śliwki. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to może być dla niej uczucie, jednak kiedy tak go prowadzi, przytrzymuje, on zapada się w coś na kształt całkowitego rozpoznania, jak gdyby już wiele razy się ze sobą kochali, jak gdyby od dawna byli mężem i żoną. Nie ma poczucia odkrywania, poznawania, wszystkie osobliwości jej ciała i kośćca przeobrażają się w jednej chwili w ten jedyny kształt i tę jedyną budowę, jakie może mieć kobieta...

Pem nie dokończył swoich studiów związanych ze zmianą religii, nie sędzę jednak, by czekali na to ze ślubem, bo Sarah z jej progresywizmem wyjdzie mu, że tak powiem, na przeciw. Powiedział mi wczoraj wieczorem, że nigdy nie czuł się tak doskonale, tak całkowicie chrześcijaninem jak teraz, kiedy studiuje, by zostać żydem.

Pem, odparłem, może lepiej, żebyś nikomu tego nie mówił.

Dlaczego? Przecież to prawda.

Jesteś przekonany, że widzisz to z właściwej perspektywy?

Cóż, przyznaję, część mojego myślenia ma, że się tak wyrażę, charakter duchowego zadośćuczynienia. Może od tego to się zaczęło. Niemniej teraz jest to coś więcej. Czuję się wyzwolony, odzyskałem ducha, mogę rozważać kwestie wiary. Wszystko zaczyna się układać, wszystko staje się takie logiczne. Nigdy wcześniej nie czułem się taki prawy jak teraz, a moja wiara w Stwórcę

nie była tak wolna od wszelkich obaw. To nie ma żadnego związku z mitologią. Żadnych wizerunków. Zgoda, jest w judaizmie mnóstwo pseudohistorycznego bełkotu i właśnie dlatego Sarah i Joshua powołali do życia ewolucyjny judaizm, żeby najpierw zająć się sprawami o podstawowym znaczeniu. I właśnie to zrobimy. Dla mnie, teraz, judaizm to chrześcijaństwo bez Chrystusa i moje serce jest radosne.

Radosne serce. To ci dopiero.

To coś więcej niż tylko pieprzone słowa, Everett. To rzeczywisty stan uczuć.

W porządku.

Na Boga, w tej świeckiej pogardzie jest coś naprawdę okropnego.

Daleki jestem od jakiejkolwiek świeckiej pogardy.

Lepiej by ci było z radosnym sercem niż z tą świecką pogardą.

Jest mi zupełnie dobrze. Lubię ptaki, lubię kobiety, lubię słowa. Te niemądre rzeczy radują moje serce.

Czy wiesz, Everett, co to jest zasada antropiczna? To całkiem proste: nasz wszechświat, zaistniawszy w tempie inflacyjnym na skutek wybuchu, spędził miliardy lat w mroku nieprzejrzystych gazów, aż fotony przyniosły w przestrzeń światło i wszystko się oziębilo...

Jedną chwileczkę, niby o czym teraz mówimy?

Seligman mi to powiedział... po tym, jak fotony zapaliły to wszystko w stopniu dostatecznym, by powstały gwiazdne piece w galaktykach i gwiazdny pył, i ciemna materia... cóż, z tego całego zamętu wytworzyły się jedynie te pierwiastki, które umożliwiły pojawienie się życia ludzkiego. To jest zasada antropiczna. To, z czego uformowany jest kosmos, umożliwiło powstanie nas.

Seligman ci to powiedział?

To koncepcja popularna wśród kosmologów.

Czy to najlepsze, na co ich stać? Ta oczywista zasada antropiczna?

No cóż, dla nich jest ona wielce użyteczna, pomaga choć częściowo zredukować niektóre z ich problemów. Będą mieli mniejszy kłopot, jeśli się okaże, że istnieją jeszcze inne wszechświaty oprócz tego, i to takie, które być może nie mają składników niezbędnych do stworzenia ludzkiej świadomości.

Niby jakich składników?

Takich jak wodór i węgiel, i przestrzeń, i czas, i tym podobne.

Rozumiem.

Bo w naszym są wszystkie te rzeczy, które pozwalają nam prowadzić tę konwersację. Mówię ci to dlatego, żebyś wiedział, iż bywają ludzie świeccy pozbawieni świeckiej pogardy.

Mały eksperyment myślowy: gdybyśmy zbudowali rakietę i wysłali ją w kosmos i ta rakietą byłaby wyposażona tak, żeby człowiek czuł się w niej jak u siebie, w drogi i domy, leżaki, kamery wideo, centra handlowe, boiska i wojny... podróżnik kosmiczny, obudziwszy się, nie potrafiłby stwierdzić, czy jest na Ziemi, czy też już na zawsze dryfuje, nieodwołalnie i bez możliwości zmiany tego stanu rzeczy, poprzez antropiczny wszechświat. Widzicie, jakie to proste?

I stało się, wzięli ślub w śródmieściu, w powszedni dzień, a ja miałem rację, sądząc, że nie zostanę drużbą, bo nie było drużby, była druhna, siostra Joshui Grue-na. Rozumiem to, rozumiem, dlaczego Sarah dokonała takiego wyboru, widzę w tym delikatność, potwierdzenie – w samym środku radości – swojej straty, straty,

jaką obie poniosły. Wielki, znaczący wybór, wyraz nieskazitelnej etyki Sarah.

Siostra ma na imię Judy, jest psychiatrą, pracownikiem socjalnym, wiek około trzydziestu pięciu lat, niewysoka, ciemnowłosa, do sukni przypięła bukiet, drobna, zgrabna osóbką, całkiem sympatyczna, w nieco płaczliwym nastroju, kiedy tak sobie siedzimy tego niedzielnego popołudnia w Sali Senackiej hotelu Jefferson przy Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej.

– Cieszę się ze względu na Sarah – mówi Judy. – Jest wspaniała. Ona i mój brat... to małżeństwo złączyły niebiosy. Ale po tym wszystkim, co przeszła, należy jej się nieco szczęścia. Myślę, że i dla dzieci tak jest lepiej.

Mąż Judy, Al Coştam, który uczy angielskiego w jakimś college'u w New Jersey, nie jest już do tego tak przekonany. Gładzi bródkę, sól z pieprzem, obserwując Pema, który w tej chwili tańczy i gawędzi z jakąś starszą siwowłosą damą.

– Nie wierzę w nawrócenie – oznajmia Al. – Nie uważam, aby było możliwe. Jak nazywamy chrześcijańskiego *marrano**? – pyta mnie.

Wokół parkietu stoi kilka nakrytych białymi obrusami stolików, przy których goście pojadają gorące i zimne przekąski. Z jednej strony bar, nie przepracowany barman, bo towarzystwo z tych, co to piją sherry i napoje bezalkoholowe. Podchodzę do niego, a kiedy proszę o podwójną wódkę z lodem, twarz mu się rozjaśnia.

Jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt osób, większości nie znam, bliżsi i dalsi krewni Pema i Sarah. Zabiera mi to trochę czasu, niemniej w końcu rozumiem, że po jednej stronie siedzą Pemowie, a po drugiej Sarahowie, nie

* W średniowiecznej Hiszpanii żyd, który przeszedł na chrześcijaństwo, żeby uniknąć prześladowań Inkwizycji (przyp. tłum.).

jest to sprzyjający zabawie układ, na parkiecie żadnych grupowych tańców, zespół combo gra muzykę taneczną, powolny swing, łagodny – pianino, saksofon, gitara, kontrabas. Są niezli. W tym towarzystwie, kiedy już ktoś wstanie, żeby zatańczyć, reszta bacznie go obserwuje.

Przy takich okazjach zawsze duży problem sprawia skojarzenie głównych postaci, to znaczy twoich przyjaciół, z ich krewnymi i przyjaciółmi z przeszłości. To inny świat. Odnosi się wrażenie, że goście weselni to dokładnie ci sami ludzie, przed którymi calutkie życie usiłowali uciec panna młoda i pan młody. Jestem podwójnie zaskoczony, po pierwsze dlatego, że w ogóle jest jakieś przyjęcie ślubne, a po drugie – że odbywa się tutaj, w tym zatęchłym, staroświeckim hotelu. Okazuje się, że mieszka tu ciotka Sarah, Myrna Fein, zamożna wdowa, starsza siostra jej nieżyjącej matki. Widząc, jak wydaje polecenia jednemu z kelnerów, rozumiem, że to jej przedstawienie.

Kiedy się nad tym zastanawiam, nie bardzo wiem, jak Sarah udało się poprowadzić dalej zgromadzenie. Ile mógł jej zostawić Joshua w ubezpieczeniu, czy miał jakieś rodzinne pieniądze, czy może zaciągnęła pożyczkę na hipotekę ich synagogi... Bo pieniądze zdają się nie stanowić problemu. Wiem, że Pem jest bez grosza, ale wyczuwam, że ona nie. A przecież jej ojciec, który przez całe życie był nauczycielem akademickim, nie mógł być specjalnie majątny. I domy opieki dla osób w podeszłym wieku są kosztowne. Jak można napisać powieść, nie rozmawiając o pieniądzach?

Judy i jej mąż wstają, żeby zatańczyć. Pozdrawiają Pema i Sarah, którzy wciąż są na parkiecie. Obie pary tańczą fokstrota, a ponieważ rozmawiają, obejmują się tylko z jednej strony. Pem gestykuluje wolną ręką. Wszyscy się śmieją, nawet sceptycznie nastawiony mąż Judy.

Sarah ma na sobie kostium w kolorze kości słoniowej oraz jedwabną metaliczniebrązową bluzkę, która podkreśla refleksy światła w jej włosach. A włosy ma teraz dłuższe i w prosty sposób związane z tyłu, na karku, w stylu amerykańskiego rewolucjonisty. Uszy niczym nie ozdobione. Nie włożyła okularów, przesuwając wzrokiem po gościach i przez chwilę spogląda wprost na mnie, uświadamiam sobie jednak, że jest zbyt krótkowzroczna, zbyt pięknie, promiennie krótkowzroczna, by mnie zauważyć.

A oto Myrna Fein, gospodyni uroczystości, podąża ku siedzącemu samotnie gościowi. Siada na krześle obok mnie. Postawna kobieta, okrągła, ładna twarz grubo pokryta makijażem. Sapie i prycha, usiłując złapać oddech, przez cały czas jednak wpatruje się we mnie.

– Więc jesteś pisarzem?

– Owszem.

– Żonaty? Bo nie widzę żony.

– Nie.

– Rozwiedziony?

– Jestem zatwardziałym kawalerem.

– To nie powód do dumy. Oczy mi mówią, że zbliżasz się do wieku, kiedy dobrze znaleźć sobie kobietę, która o człowieka zadba. Jeśli będziesz za długo czekał, to jaka kobieta zechce wziąć tę posadę?

– Dzięki za świetną radę, Myrno.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie. Kiedy dziesięć lat temu umarł mój mąż, przejęłam jego interes. Dostawę części dla General Motors. W ubiegłym roku sprzedałam go za czterdzieści pięć milionów dolarów. I mówię ci, nie zechcesz być wiecznie mężczyzną nie do pary przy stole mojej Sarah.

– Łups.

– Wiem o tobie wszystko – mówi. – Mam oczy, nie jestem taka głupia, jak myślisz.

Na drugim końcu sali widzę tego małego biskupa.

W cywilnym ubraniu wygląda na starszego i mniejszego. Ulżyło mu na mój widok.

– Nie jestem pewien, jak się powinienem zachować – powiada. – Wie pan przypadkiem, czy ktoś zamierza udzielić błogosławieństwa?

Zerkam na Pema. Stoi na parkiecie ze szklaneczką w rękę. Ramieniem obejmuje Sarah w pasie i kołysze się w takt muzyki, rozmawiając z dwiema młodymi kobietami, które wyglądają dziwnie znajomo.

– Myślę, że w końcu Pem sam coś powie.

– Wobec tego poczekam. Bo szczerze mówiąc, nie wiem, co tutaj byłoby stosowne. On jest pełen niespodzianek, obserwuję go od trzydziestu lat i wciąż mnie zaskakuje. Ładna kobieta ta jego panna młoda. W istocie olśniewająca. – Uśmiecha się. – Rabini zazwyczaj nie są tak urodziwi.

Widzę, że Pem macha do mnie. Podchodzę, a on przedstawia mnie tym dwóm młodym kobietom. To jego córki, Kimberly i Pamela. Kim i Pam. Teraz dostrzegam podobieństwo: obie mają zarys szczęki Pembertonów, dużą głowę i posturę, jaką w sklepach odzieżowych określają jako XXL. Kim jest blondynką, Pam brunetką. Obie ukazują śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu. Pomiędzy nas wbiegają małe dzieci, jedno jest Kim, drugie Pam, wycofują się i znikają, nim zdążono mi je przedstawić, wszyscy się zaśmiewają, matki kręcą głowami z udawaną rezygnacją. Pem obejmuje mnie ramieniem.

– Oto człowiek, który pisze moją duchową biografię. On uczyni mnie sławnym – oznajmia córkom. – Wasz ojciec będzie występował w talk showach.

– Och, nie przesadzaj, tatusiu.

– Jeszcze będziecie ze mnie dumne.

– Och, tato, my już jesteśmy z ciebie dumne – mówi blondynka, która nagle robi wrażenie nieszczęśliwej.

Kiedy córki odchodzą, Pem bierze mnie pod ramię i prowadzi na bok.

– Wczoraj się dowiedzieliśmy, że ten sukinsyn zmarł dwa miesiące temu.

– Jaki sukinsyn?

– Schmid, Schmitz czy jakie tam było jego pieprzone nazwisko. Ten nazista, który trząśł gettem. Zmarł we śnie. W domu, w Yonkers. Mieliśmy go już namierzonego i przygwożdżonego. Jasna cholera!

– No cóż, przynajmniej nie żyje.

– Nigdy nie stanął przed sądem, by świat mógł zobaczyć, kim był naprawdę.

– Tak, no cóż, po to właśnie Dante wynalazł piekło.

– Dante nie wynalazł piekła. On je wyposażył. Twoja szklaneczka jest pusta, chodź ze mną. A potem, już stosownie uzbrojony, poznasz kilkoro z moich wirginijskich *meshpoches*.

Mój zaprzyjaźniony barman nalewa mi trunek, ale kiedy się odwracam, Pema już nie ma. Stado małych dzieci i kilka niezdarnych dziewcząt w wieku około dziesięciu lat, jeszcze nie przyzwyczajonych do sukienek i rajstop, zebrało się wokół stołu, na którym zgromadzono ślubne podarki. Każdy prezent jest pięknie opakowany, a każde opakowanie nienaruszone, niemniej sama obecność tych podarunków wystarcza, by przyciągnąć dzieci. Zapatrzone szepcą do siebie. Widzę wśród nich dwóch synów Sarah, Jake’a i Daveya, i wydaje się, że ich zainteresowanie stosem błyszczących białych pudełek z białymi wstążeczkami wynika bardziej z jakiegoś poczucia własności niż ciekawości. Nie pozwolą, by inni cokolwiek dotknęli.

Kiedy tam podchodzę, dzieciaki się rozpraszają. Na stole, pośród podarków, stoją w koszach wyszukane kompozycje kwiatowe. Sprawdzam na wizytówkach, kto je przysłał: jeden kosz jest od rabina i pani Takiej a Takiej, jeden od pielęgniarek z hospicjum na Roosevelt

Island, jeden od Trish vanden Meer („Gratulacje dla Was obojga”, jej przesłanie z głębi serca). Największy okaz ze wszystkich to wielka, fantazyjna podkowa z kwiatów, z proporcem, na którym wypisano: „Niech Bóg błogosławi Księżulkowi i Pani Księżulkowej” oraz „Od wszystkich Waszych przyjaciół z Kościoła Błogiej Wizji”.

Robi mi się gorąco, hotel jest przegrzany, podchodzę do okna, ale nie daje się otworzyć. Na szybach mróz, nadciąga zima. Wyjdę, jak tylko skończę tego drinka. Czuję się nagle urażony, że Pem i Sarah przez cały ten czas mieli jakieś swoje życie poza życiem ze mną. Zastanawiam się, czy nie zaczynam tracić dotychczasowej odporności na alkohol.

Chwilę później, kiedy znów wszystko jest w porządku, Sarah bierze mnie za rękę i prowadzi na parkiet. Combo gra *My Blue Heaven*, w żywym tempie, nigdy wcześniej nie dotknąłem tej kobiety, nie licząc uścisku dłoni, a teraz ją obejmuję, moja dłoń spoczywa nisko na jej plecach, czuję jej żywotność, w drugiej ręce trzymam jej dłoń z obrączką, czuję bijący od niej żar, rozgrzewa ją szczęście, wdycham jakąś czystą, ziołową woń jej włosów, a ona śmieje się z mojego majestatycznego, powolnego, tanecznego kroku do tego szybkiego rytmu, ale mnie właśnie o to chodzi, o tę uroczystą powagę, ona to rozumie i przyciska policzek do mojego policzka, a pode mną uginają się kolana.

– Zawsze będziesz naszym przyjacielem, Everett – szepce mi do ucha, a ja już zamierzam powiedzieć coś spektakularnie głupiego, kiedy, na szczęście, jej utraipienie, starszy z synów, Jake, stuka mnie w łokieć, żeby ją odbić. Zezwalam, składając ukłon. I Sarah oddala się, tańcząc ze swoim niezwykle porządnie uczesany synem wystrojonym w wykrochmaloną białą koszulę i czerwony krawat, ręce ma wyciągnięte, z kojącą radością pogodnej miłości spogląda na jego poważną, skupioną twarz.

Usiłuję przypomnieć sobie wszystko, co powiedział Pem, kiedy wstał i wziął do ręki bezprzewodowy mikrofon. Zespół przestał grać, a on stał tam, kołysząc się lekko, podczas gdy salę stopniowo obejmowało milczenie. Dwurzędową marynarkę miał rozpiętą, krawat poluzowany, włosy na czole triumfalnie przylizane.

– Przyjaciele – rozpoczął – nie będę mówił o swoim szczęściu, o moich modłach do Pana, niech będzie błogosławione imię Jego, zanoszonych w podzięcie za to, że moja ukochana Sarah Blumenthal uznała mnie za godnego swej uwagi. Możecie wierzyć, że z pasją przeżyję resztę życia, żeby zasłużyć sobie na to, co ona mi podarowała. Wkrótce będę żydem. Odnajdę radość uświęconego życia przy jej boku w przestrzeganiu przykazań i w wypełnianiu prostych rytuałów, które zostały wymyślane przez starożytnych, by wzbudzać naszą pokorę i zachęcać do postrzegania tego, co święte. Próbuję to wyrazić, nie używając słowa „komunia” – powiedział, uśmiechając się nieśmiało, a kilka osób roześmiało się. – A przecież, skoro formalnie wciąż jestem chrześcijaninem, to jak przypuszczam, chwilowo stoję każdą nogą w jednej z tych dwu tradycji... chociaż tradycje nie są miejscami, prawda? Każdą nogą w innym obozie? To też nie jest właściwe określenie, jako że obozy, strony przeciwne, są jak najdalej od mojego ekumenicznie poprawnego umysłu...

Przerwał i zamyślił się głęboko. Ludzie zaczęli się wiercić, mieli niepewne, ostrożne miny. Jednak nie Sarah: ona, siedząc przy stoliku z krewnymi pierwszego męża i obejmując ramionami opartych o nią synów, patrzyła na Pema zafascynowana.

– W każdym razie żyd, którym niemalże jestem, powiada mi, że kiedy tylko moje nawrócenie zostanie zatwierdzone przez rabinat, nie będę już dłużej obciążony ideą milenium, które jest kalendarzowym pojęciem tradycji chrześcijańskiej... mam tu na myśli mile-

nium jako znaczące wydarzenie historyczne, punkt zwrotny, symbol przynajmniej, spoglądania wstecz, czy w górę, i dokonywania podsumowań. Ja będę związany z całkowicie innym zbiorem liczb, co prawda zbiorem równie arbitralnym, a przecież jakoś mniej obciążonym pod względem mitologicznym i mniej eksploatowanym przez media.

Zatem to, że moja droga Sarah i ja pobraliśmy się w samym końcu tego ostatniego stulecia chrześcijańskiego millennium – ciągnął – może nie mieć żadnego znaczenia, poza tym że każe nam się zastanowić i pamiętać, iż nasze zejście się, jakkolwiek jest ono błogosławione i jak mocno rozbrzmiewa duchowym rezonansem, być może nawet wynika z jakiegoś tajemniczego imperatywu... refleksja, jak sądzę, nasuwa się sama: nasz związek zrodził się z trwającej wciąż katastrofy naszych pokoleń, kryzysu naszych czasów i czasów naszych rodziców oraz dziadków, i nie mógłby dojść do skutku, gdyby nie stanowił pokłosia śmierci, śmierci dzieciństwa jej ojca, śmierci jej drogiego, nieustraszonego, błyskotliwego, rabinicznego partnera, Joshui, ojca jej synów Jacoba oraz Davida... i, co możliwe, również śmierci odkupienia, nadziei dla całego naszego gatunku.

Kiedy się o tym wszystkim pamięta, to modlitwa z ciągnącą się jeszcze za nią numeryczną świadomością nie jest chyba czymś niestosownym. Chcę odmówić taką modlitwę czy zanieść prośbę, która będzie już moim ostatnim uczynkiem chrześcijanina i chrześcijańskiego duchownego. Nie musicie pochylać głów...

Drogi Panie, niech będzie błogosławione imię Twoje, przemawiam do Ciebie w jednym z naszych intonacyjnych systemów mlaśnieć i chrząknięć, głosek zwartych i wibrujących. W historii pokoleń każdego dorosłego z tej sali, w naszym życiu oraz w życiu naszych matek i ojców, babek i dziadków byli monstrualnie podli

upokorzyciele ludzkości.... Nikczemnicy upodlający ludzkie życie, odpowiedzialni zbiorowo za zniewolenie i za potworną śmierć dziesiątków milionów ludzi. Były wykładniczo narastające rzezie istot ludzkich, tortury i męki zniszczenia, wojny, zbrodnie ludobójstwa, w naszym stuleciu nieprzeliczone rzesze umierały gwałtowną śmiercią, wpisywane, z racji samego ogromu liczb, w anonimową niepamięć. I dla nich nie ma zmartwychwstania, nie mogą zmartwychwstać i nie zmartwychwstaną, nawet w wyobraźni waszych chrześcijańskich wiernych.

Nie zamierzam zagłębiać się w kwestię, dlaczego tak rzekomo wszechwiedzący bóg jak Ty mógł pozwolić na te ludzkie kataklizmy, choć przecież rejestr Twoich poczynań, nawet przed tym stuleciem, nie był zbyt chwalebny, powiem Ci jednak... te uporczywe i niewyobrażalne ludobójcze okrucieństwa, okrążające drgającą falą świat naszych czasów, przyniosły Ci hańbę, a niepohamowane upodlenie idei życia wtrąciło niektórych z nas w taką rozpacz, że przeklinają Twoje imię i kwestionują Twoje istnienie.

Nawet wśród tych, którzy trwają w miłości do Ciebie i niepohamowanie tęsknią za Twoją miłością... rodzą się podejrzenia, że to Ty stanowisz część tego problemu. Ludzie wykorzystują Cię bez ograniczeń do swoich najbardziej nikczemnych celów, a Ty zdajesz się nie stawiać oporu... każdy, kto Cię chce, niezależnie od tego, z jakich obrzydliwych, morderczych powodów, może Cię mieć. Jesteś kupowany i obściskiwany jak najgorsza, najbardziej godna litości ulicznica. A świat, który stworzyłeś, czy który Cię wykorzystał, żeby się stworzyć, musi znosić nie tylko zabójców z nagłówków gazet naszego stulecia, pogardliwych władców plemion i narodów, ale też zastępy nas, nieszczęśników, którzy zaludniamy ostatnie strony gazet i symbolicznie naśladujemy ich ducha, żyjąc, by się gorączkowo bogacić

kosztem innych, tak że nawet w naszych najbardziej rozwiniętych demokracjach życie przepełnia wrogość, a umowy społeczne nieustannie są zrywane, zupełnie jak gdybyśmy nie mieli być sprawiedliwie rządzonymi narodami, tylko konfederacjami morderczych żarłoków.

I kiedy tak myślę o tych zabójcach z nagłówków gazet naszego stulecia... tych dyktatorach, despotach, krwiożerczych wodzach, generałach, pułkownikach i ministrach spraw słusznych, od niechcenia mordujących królów i rewolucjonistów, którzy odebrali nam życie i uśmiercili nasze dusze... wiem w swoim grzesznym sercu i w głębi swojego nikczemnego jestestwa, że są oni, przez całą historię, kształtowani w ludzkiej matrycy, że są mojego gatunku... uformowani wedle tego samego co ja kodu genetycznego... i tak niewątpliwie, wręcz rodzinnie do mnie podobni, że łkam z przerażenia i rozpacz.

Czy to, że robimy sobie nawzajem takie rzeczy, nie jest dla Ciebie poważnym wyzwaniem, Panie? Że mimo wszelkich teologicznych wymówek i naszej wewnętrznej duchowej walki oraz intelektualnego rozwoju i technicznego postępu żyjemy w nieustającej wściekłości, cisi lub wybuchowi, niemniej zawsze nienasycenie wściekli? Czy nie uważasz, że to niewybaczalne zaniedbanie z Twojej strony, iż po tych tysiącach lat wciąż nie potrafimy zrozumieć siebie samych, tak zresztą jak i Ciebie?

Tu Pen zrobił przerwę; w panującej ciszy odwrócił się, podniósł ze stojącego obok stolika szklaneczkę i wypił... co? Wodę? Wódkę? Nie umiałem tego stwierdzić. Nie musiał się teraz spieszyć, miał przed sobą rozdarte audytorium, po tych wszystkich latach kazań dobrze wiedział, co robi. Ja jednak nigdy nie słyszałem, jak wygląda kazanie, i byłem równie zdumiony jak pozostali. Zerknąłem na biskupa, który był blady i siedział sztywno na krześle, jakby go do niego przywiązano powrozem.

– Panie, gdybyś mógł pokazać dowód na istnienie piekła – odezwał się znowu Pem – nie ów wymysł naszej rozpalonej wyobraźni, ale piekło prawdziwe, z ludźmi, którzy powinni do niego trafić, miałbym jakąś nadzieję dla Ciebie, Ciebie takiego, jakim Cię tradycyjnie pojmowano... Gdybyś mógł spowodować, żeby w ukrytej głębi superstrunowego wszechświata zapanaował obrzydliwy, monstrialny Szatan, jak kiedyś wierzyliśmy, iż panuje on w czeluściach naszej Ziemi, i gdybyś dał mu wielką masę, uczynił ogromnym i lodowatym, i obdarzył taką siłą grawitacji, że nic, co do niego przyciągane, nie mogłoby od niego uciec, niczym od jednej z tych czarnych dziur wszechświata... i gdybyś, ku jego udręce, zbudował go z fizycznych przeciwieństw, lodu i płomienia, dał mu szczególnie kruchą a zarazem papkowatą skórę i powiedzmy – tu posłał spojrzenie ku grupce stojących po jednej stronie sali dzieciaków – mnóstwo oczu osłoniętych zakrzepłą krwią oraz oślisze szpony i macki, mogące sięgnąć wszędzie, i cały byłby cuchnący i ohydny... i gdybyś pokazał nam tych zbrodniarzy z nagłówek gazet naszego stulecia, tych krwiożerczych władców plemion i narodów, sklejonych razem w jego uścisku, a on przez miliardy lat ziały im w twarze swoim ryczącym, cuchnącym, zdzierającym skórę oddechem i obryzgiwał obrzydliwymi wymiocinami pełnymi ruchliwych larw i żuków gnojaków, powoli wchłaniając ich w swoje ohydne jestestwo... i gdybyś sprawił, aby szczególnie się zatroszczył o tego szwargoczącego, wytrzeszczającego oczy, zgrzytającego zębami dupka niemieckiej religii narodowej i o tamtego ze stalowymi, wąskimi jak szparki oczyma, tę chłopską kanałię rosyjskiej rewolucyjnej religii, oraz tego małego, kolonialnego drania, króla-eksterminatora z cywilizowanej Belgii, a także tamtego z kamienną twarzą i uróżowanymi policzkami zabójcę-kretyna z dżungli południowej Azji... jak i o tych dręczycieli z republik banano-

wych, wyspiarskich tyranów z Karaibów i Pacyfiku, plemiennych zbirów Afryki i oprychów od czystek etnicznych z Bałkanów... i gdybyś dla dopełnienia dorzucił tych wszystkich bankierów i handlarzy bronią, i legiony ich lojalnych sługusów, dżgających sztyletami i bagnetami, obcinających głowy, strzelających z broni maszynowej, tnących maczetami, członków szwadronów śmierci, projektantów krematoriów i zarządzających obozami niewolników... i pozwolił, by ich własne brudne wydzieliny działały niczym żądła i alergeny tak doskwierające Szatanowi, że ten próbowałby swoim ognistym, nieczystym oddechem stopić dręczący go lód, z którego byłby zbudowany, i zmyć ich tym samym z siebie... a oni, z kolei, jeszcze bardziej uparcie czepialiby się jego ropiejącej skóry i cierpieli jeszcze większe męki, bo nieustannie zwiększałyby się ich świadomość, podczas gdy powoli, przez tysiące millenniów byłiby wchłaniani w jego lodowate trzewia, komórka po rozdygotanej i zamarzającej komórce, aż utworzyliby z nim jedność, żywą i wyjąca w piekle jego czarnego, lodowatego jestestwa, na zawsze i na wieczność... cóż, wtedy, Panie, wtedy mógłbym pozostać Twoim kapłanem...

Pem wyjął chusteczkę i otarł czoło. Teraz przemówił już niemalże szeptem:

– Jednakże skoro jest tak, jak jest, to sędzę, że my musimy przekonstruować Ciebie. Jeżeli mamy przekonstruować siebie samych, musimy zacząć od Ciebie, Panie. Musimy mieć coś, na czym będziemy mogli stanąć. Jesteśmy słabi i mali, i chwiejnie się poruszamy w tej naszej cywilizacji... Jediną naszą ostoją jest wzajemna miłość do siebie, nasze małżeństwa, dzieci, które trzymamy w ramionach, tylko to falujące odczucie, napływające i odpływające, określa naszą świadomość, powstrzymując nas przed usunięciem się z tego wszechświata. Ale to nie dość. To nie wystarczy. Musimy mieć pewny grunt pod stopami.

Proszę o podstawę do nadziei, że ten mozolny trud naszych dusz znajdzie rozwiązanie w Tobie, Panie, Tobie o Błogosławionym Imieniu. Proszę o to dla dobra wszystkich nas z tej Twojej małej planety. Amen.

Pem oddał mikrofon liderowi zespołu. Sarah wstała, przeszła przez parkiet, uścisnęła i ucałowała męża, a kiedy ją objął, odchyliła się do tyłu i odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów.

W galerii na dolnym Broadwayu pewien artysta wystawił model torów kolejowych z jeżdżącym w kółko pociągiem, którego lokomotywę zakrył przyspawanym hełmem z opuszczoną zasłoną, należącym do jakiejś średniowiecznej zbroi. Tak więc ten pociąg ciągnie w kółko pozbawiona wszelkiego wyrazu żelazna maska. Problem polega na tym, że kolejka nieustannie wypada z szyn i odpowiedzialna za eksponat urocza młoda kobieta musi klękać i prezentując patrzącym zsuwające się z pięt szpilki oraz całkiem kształtne pośladki w opiętej spódniczce, ustawiać koła pociągu z powrotem na szynach... a ponieważ dochodzi do tego trzy czy cztery razy w czasie, kiedy próbuję rzucić okiem na inne osobliwe instalacje w tej galerii, zastanawiam się, czy to również nie leżało w intencji artysty. Mam nadzieję, że tak.

Pośród tej całej zwyczajnej sztuki naszych czasów garstka artystów tworzy z cudowną beztróską i uroczą nieudolnością. Podoba mi się ten gość, który jeździ po świecie, opakowując wszystko, co mu się pod rękę nawinie... Reichstag w Berlinie, wyglądający po tym jak wyjątkowo duża paczka dostarczona pocztą kurierską... opakowana w poliester kępa drzew w jakimś szwajcarskim parku... Pont-Neuf owinięty w szafranowy jedwab... wszystkie te materiały marszczą się, połysku-

ją i przepuszczają światło, ukazując zarysy... Ustawił on całe mile otwartych parasoli wzdłuż wybrzeża Kalifornii, a teraz zamierza przyjechać do Central Parku i ustroić go rzędami stalowych bramek z powiewającymi chorągiewkami ze złocistego nylonu. Pozwól mu przyjechać, Panie Burmistrzu. Pozwólcie mu przyjechać, Panowie Radni. Podoba mi się ten pomysł na nie mieszczącą się w żadnej skali sztukę, która staje się zajęciem świata, planetarnym uściskiem, podobają mi się w takich projektach zupełnie odwrócone relacje, spokój wieloletniego planowania, ogromne ilości pieniędzy... by uzyskać fantazyjny dość rezultat, gwałtownie odkonformizowaną i na świeży sposób szaloną przestrzeń publiczną. Podoba mi się tupet, z jakim czyni się miasto, czy ziemię, efemeryczną sztuką.

Jeszcze inny naprzykrzony artysta jeździł po miastach Europy, wystawiając upiorne fotografie zmarłych na tych samych budynkach, w tych samych oknach i na tych samych chodnikach, gdzie niegdyś mieszkali. W wejściu do berlińskiej kamienicy stoi stary żydowski uczony ze swoimi książkami, na innej ulicy jakaś rodzina pozuje przed kamienicą, z której zostanie deportowana, w Amsterdamie odbija się w jakimś oknie kompania maszerujących Niemców... wszystkie te widmowe obrazy pojawiają się nocą, żeby przejeżdżały obok nich samochody, przechodzili obok przechodnie, żeby pośpiesznie od nich uciekali, wstrząsani dreszczem, podczas gdy przeszłość styka się z teraźniejszością, a czas i przestrzeń kurczą się do punktu.

Sprowadźcie go do Nowego Jorku, tego artystę, niech nas sportretuje! Wyprowadźcie sztukę ze skrytki na ulicę, sprowadźcie z powrotem artystów, którzy pomalowali się farbami w sprayu i zawiesili w ramach, pozwólcie artyście, który lubi w zawiązanym brezentowym worku kłaść się na jezdni przed pędzącymi ulicą autami, żeby w zawiązanym brezentowym worku po-

łożył się na nowojorskim asfalcie... I gdzie jest John Cage, kiedy go potrzebujemy, a może wciąż jest tutaj, ze swoją nie obwarowaną prawami autorskimi, wspólną dla wszystkich muzyką dźwięków tego świata, każdego warczącego silnika, każdego ptasiego zawołania, każdego uderzenia serca... a każdy moment pozornej ciszy jest artystycznym wyrazem jego świadomości?

Wołam o mówiący językami kabaret... o jedną gigantyczną symfonię utworzoną ze wszystkich piosenek Irvinga Berlina... i niech powstanie optymistyczna disneyowska produkcja Wittgensteinowskiego *Tractatus logico-philosophicus*. To wszystko jest nam potrzebne, uważam, że musi się to zdarzyć, chcemy, by to się zdarzyło tutaj, w tym mieście.

W każdym mieście jest muzeum, park, kościół z wieżą, system szkół publicznych i drużyna piłkarska. W każdym mieście jest bank i sąd, i areszt. W każdym mieście jest szpital. Większe miasta mają te instytucje w większej liczbie. Przez większe miasta przebiegają autostrady. Mają też one rzeki z mostami nad rzekami i tunelami pod nimi. Mają metro, kolejki nadziemne i tramwaje, drapacze chmur w centrum, teatry i opery, i dzielnice z eleganckimi, mniej eleganckimi i zupełnie nieeleganckimi adresami. Mają położone na swoich obrzeżach dzielnice magazynów i fabryk, i placów składowych, mają lotniska, elektrownie, wodociągi i oczyszczalnie ścieków. Mają slumsy. Dysponują systemami niewidzialnej łączności – falami radiowymi, telewizyjnymi sygnałami, sieciami telefonii komórkowej – by łączyć ze sobą mieszkańców i umożliwić im prowadzenie interesów.

Niezbędny był czas oraz błędząca mądrość i anarchiczna wręcz zachłanność naszych przodków, by doprowadzić do zbudowania tego nowoczesnego miasta

skonsolidowanych instytucji. Stanowi ono wspaniały, zakumulowany historycznie twór społeczny. Kiedy le-
cisz nad nim nocą, jest połyskującym klejnotami cudem
wszechświata, unoszącym się jak gigantyczny trans-
atlantyk na morzu ciemności. Jest eleganckie, znako-
mite, wyrafinowane i piękne, że aż zapiera dech. I błysz-
czy, i migoce jak wszystkie kruche rzeczy. Zastana-
wiacie się, ile z tym wspólnego miał Bóg, jak wiele
splendoru i buty nowoczesnego miasta, twórczo skon-
struowanego z rozbieżnych intencji ludzkich pokoleń,
pochodzi z Bożej inspiracji. Bo jest to miasto tego Boga
niepostrzeżonego, Boga niegdysiejszego, Boga histo-
rycznego.

Nakręcony z tego film: Coraz więcej ludzi przycho-
dzi w nim na świat. Płyną do niego strumieniem pa-
riasi tej ziemi. Nagle i niespodziewanie traci samowy-
starczalność. Jego gospodarka robi się niewydolna. Nie
potrafi już ono jak przedtem dawać zatrudnienia, da-
chu nad głową oraz żywić tych tłumów, które kręcą się
po ulicach. Kiedy gęstnieje smog, a wzrastająca global-
na temperatura przynosi nieznosne fale upałów, susze,
huragany oraz gigantyczne opady śniegu, podtrzymu-
jące społeczeństwo rytuały rozpada się, a koncepcja
normalnego życia ulega erozji. Miasto zaczyna tracić
kształt, jego zarysy się zamazują wraz z tym, jak roz-
dymają się jego granice, zanikają wyraźne różnice kla-
sowe pomiędzy dzielnicami. Wzrasta liczba przestępstw
godzących w cudzą własność. Dostawy żywności stają
się nieregularne, coraz częściej dochodzi do przerw
w dostawach energii elektrycznej, woda pitna jest za-
nieczyszczona, policja zbroi się jak wojsko, a inflacja
sprawia, że pieniądze stają się bezużyteczne. Pojawia-
ją się prorocy w strojach duchownych, by prawić o złu,
braku szacunku i o bluźnierstwie. Ogłaszają, że na to
miasto nienaturalnej wręcz pychy, ziemskie miasto,
spadł gniew Boży. Nawołują pobożnych, by je zniszczy-

li. A ten Bóg niepostrzeżony, Bóg niegdysiejszy znowu jest żywy, zmartwychwstały w całej swojej furii.

Ujawniają się politycy, którzy uważają, że miasto się dostosuje do wszelkiej politycznej abstrakcji, jaką na nim wycisną. Pojawiają się dziwne choroby, na które lekarze nie mają lekarstwa. Zamyka się szkoły. Stają się one miejscowymi magazynami broni. Wybuchają zarazy, korytarze szpitalne zamieniają się w kostnice, wybrani przywódcy ogłaszają stan wyjątkowy, wojsko jest wszędzie, a plugawe osiedla nędzarzy, które wyrosły na obrzeżach metropolii, rutynowo już ostrzeliwane są z broni maszynowej. Kiedy pijane Bogiem, wynędzniałe tłumy ruszają na miasto, są masakrowane. Wojskowi dokonują zamachu stanu, wybrani wcześniej przywódcy, którzy ich wezwali, zostają uwięzieni, rządząca junta zamyka wszystkie stacje telewizyjne i radiowe, delegalizuje komputery domowe, a wokół obleganych enklaw ludzi zamożnych buduje się wysokie mury z wieżyczkami strażniczymi.

Staje się polityczną oczywistością, której nie opierają się nawet teoretycy demokratycznej lewicy, że totalitarne rządy, wymuszone procedury sterylizacyjne, zasiłki rodzicielskie dla zaaprobowanych pod względem genetycznym oraz etos racjonalnej selekcji stanowią jedyną nadzieję dla przyszłości cywilizacji.

W takim to właśnie momencie poznajemy bohatera i bohaterkę filmu, głęboko religijną parę, która prowadzi małą, postępową synagogę na Upper West Side.

Wyrazy wdzięczności dla wymienionych
firm za pozwolenie na przedruk
wydanych wcześniej tekstów:

BOURNE COMPANY: fragmenty z *Me and My Shadow*,
słowa: Billy Rose, muzyka: Al Jolson i Dave Dryer. Copyright © 1927 by Bourne Co. and Larry Spier, Inc. Copyright renewed. All rights reserved. International copyright secured. Reprinted by permission.

WARNER BROS. PUBLICATIONS U.S., INC.: fragmenty z *Dancing in the Dark* Howarda Dietza i Arthura Schwartza. Copyright © 1931 (renewed) by Warner Bros. Inc. Rights for the extended renewal term in the U.S. controlled by Warner Bros. Inc. and Arthur Schwartz Music; fragmenty z *For Me and My Gal* Geo. W. Meyera; Edgara Leslie'ego i E. Raya Goetza. Copyright © 1917 (renewed) by EMI Mills Music Inc.; fragmenty z *Good Night Sweetheart* Raya Noble'a, Jimmy'ego Campbella i Rega Connely'ego. Copyright © 1931 by Campbell, Connelly and Co., Ltd. (London). Copyright renewed. Rights for North America administered by EMI Robbins Catalog Inc.: fragmenty z *I Wanna Be Loved by You* Berta Kalmara, Herberta Stotharta i Harry'ego Ruby'ego. Copyright © 1928 (renewed) by Warner Bros. Inc. Rights for the extended renewal term in the U.S. controlled by Warner Bros. Inc., Harry Ruby Music

and Edwin H. Morris & Company; fragmenty z *Shine on Harvest Moon* Nory Bayes i Jacka Norwortha. Copyright © 1907 (renewed) by Warner Bros. Inc. (ASCAP); fragmenty z *Someone to Watch Over Me* George'a Gershwina i Iry Gershwina. Copyright © 1926 (renewed) by WB Music Corp.; fragmenty ze *Star Dust* Hoagy'ego Carmichaela i Mitchella Parisha. Copyright © 1929 (renewed) by EMI Mills Music, Inc. and Hoagy Publishing Company in the USA. All rights outside of the USA controlled by EMI Mills Music, Inc.; fragmenty z *Varsity Drag* B. G. DeSylvy, Lew Browna i Raya Hendersona. Copyright © 1927 (renewed) by DeSylva, Brown & Henderson Inc. Rights for the extended renewal term in the U.S. are controlled by Ray Henderson Music Company, Chappell & Co. and Stephen Ballentine Music. Rights for the rest of the world are controlled by Chappell & Co. All rights reserved. Used by permission of Warner Bros. Publications U.S., Inc., Miami, FL 33014.

UNIVERSAL-POLYGRAM INTERNATIONAL PUBLISHING, INC.: fragmenty z *The Song is You*, słowa i muzyka: Jerome Kern i Oscar Hammerstein II. Copyright © 1932 by Universal-Polygram International Publishing, Inc., a division of Universal Studios, Inc. (ASCAP). Copyright renewed. All rights reserved. Used by permission of Universal-Polygram International Publishing Inc.

| | |
|-----------------|----------------|
| Language | Polish |
| Author | Doctorow, E.L. |
| Title | Miasto boze |
| Type | Fiction |
| ISBN13 | 9788373010505 |

www.brightbooks.co.uk

HERZOG



SAUL
BELLOW



RAVELSTEIN



ELIA
KAZAN



UKŁAD

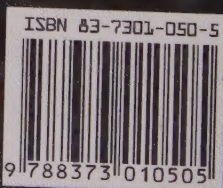




3 0011 00519681 2

Pewien nowojorski pisarz zapełnia swój brulion wszystkim, co mu się kłębi w głowie – szkicami opowiadań, historiami romansów, wariacjami na temat popularnych piosenek, pomysłami na filmy, swymi kosmologicznymi obsesjami. Właśnie trafił na ślad wydarzenia, które może się stać początkiem jego następnej powieści: z zaniedbanego kościoła episkopalnego na południowym Manhattanie zniknął wielki mosiężny krzyż, który tajemniczo pojawił się... na dachu synagogi ewolucyjnego judaizmu. Niepokorny proboszcz i młoda rabbi z tej synagogi próbują rozwikłać zagadkę owej podwójnej profanacji. Pisarz włącza się w śledztwo duchownych i jego brulion zaludnia się żywo nakreślonymi postaciami – uczonymi, weteranami wojennymi, pralotami, uratowanymi z holocaustu, teologami, dziennikarzami i filmowcami – a pogoń za tajemnicą krzyża przemienia się w poszukiwanie prawdziwej duchowości w końcu tego udręczonego stulecia.

Miasto Bóże, oszalamiająco pomysłowa książka tętniąca widokami i odgłosami Nowego Jorku, śmiało zawieszona między sacrum i profanum, to dokument definiujący naszą epokę, opowieść dwudziestowieczna napisana dla dwudziestego pierwszego wieku.



cena detaliczna 39 zł



KT-456-256

